

De 111  
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 143.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE  
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1876.

SERYA V.

Sierpień.

TOM III. — ZESZYT VIII.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 29 lipca 1876 r.

## T R E Ś Ć.

	stron.
I. Obrazy Czech. Przez Adolfa Smorczewskiego. . . . .	177
II. O zjazdach, czyli kongresach naukowych i ich działaniu w ostatnich kilku latach. Przez Edmunda Stawiskiego. . . . .	195
III. Gabryela. Komedia w pięciu aktach, Emila Augier'a. Tłumaczył Kazimierz Kaszewski. . . . .	216
IV. Podróże i odkrycia geograficzne (1874—1875). Przez F. J.	235
V. Przegląd pedagogiczny. Przez Piotra Chmielowskiego. . . . .	244
VI. Synowie hetmańscy. Opowiadanie historyczne. Przez Władysława Chomętowskiego. (Tom II). . . . .	253
VII. Z dziedziny przyrodoznawstwa. Przez T. Skomorowskiego.	279
VIII. Kronika Paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. . . . .	295
IX. Korrespondencya. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Przez Dra Artura Wołyńskiego. . . . .	323

### PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.

X. Historya Starożytna ułożona przez Tadeusza Korzona. Warszawa, 1876. Przez J—d. . . . .	326
XI. W sprawie mowoznawstwa krajowego. Przez F. Jezierskiego. . . . .	341
XII. Rys historyi literatury niemieckiej do połowy XVIII w. Zebral Antoni J. Szabrański. Warszawa, 1876. Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa. Przez J. . . . .	348
XIII. Nekrologia. . . . .	354
XIV. Wiadomości bieżące, naukowe, literackie i artystyczne. . . . .	355



De. II. 1.

# OBRAZY CZECH.

PRZEZ

*Adolfa Smorczewskiego.*

Nad doliną Berounki panuje od strony zachodniej obszerna wyżyna dzieląca wody tej rzeki od wód wpadających do Egery. Wśród tej wyżyny jest wieś kościelna Slabce. Przed kilkunastu laty dobra Slabce posiadał hr. N. żonaty z panną K., po której wziął znaczny posag. Zamek dawny, obszerny, otoczony pięknym parkiem, stanowił siedzibę pamiątkową, odpowiednią stanowisku rodziny N., wpływowej i poważanej dla swych wojennych i naukowych zasług <sup>1)</sup>. Wzgórza pokryte pięknym lasem ozdabiały krajobraz. Sześć folwarków dobrze zabudowanych i otoczonych łąkami ziemi żyznej, dającej z łatwością pszenicę i jęczmień, zapewniało dochód wystarczający rodzinie szlacheckiej, przywykłej do wygod i liczego otoczenia. Płynęły też dnie i lata mile, bez kłopotów i zbytniej pracy, gdyż zarząd dóbr był łatwy i dochody wpływały regularnie.

Niespokojny umysł hr. N. nie zadawał sobie na nieszczęście jednostajnym trybem życia. Stanowisko obywatela wiejskiego nie wystarczało mu. Zapragnął obrzymich bogactw i, by osiągnąć takowe, wdał się w poszukiwanie węgla kamiennego, który zawracał naówczas głowy wszystkim przemysłowcom czeskim. Niedaleka okolica Randnicka zawiera istotnie łoża znakomite węgla. Milionowe fortunę powstały przez rozumną eksploatacją bogatych pokładów leżących u podnóża gliniastych tamecznych wzgórz. Poszukiwania nie były tam czynione na chybił trafił, ale na podstawie pewnych danych naukowych. Obecny stan geologii umożliwia ściśle obliczenia granic, w jakich rozciąga się łoża węglowe oraz prawdopodobną grubość i rozciągłość pokładów. Wszelkie kosztowne poszukiwania poprzedzone są też zwykle badaniem geologicznym, które z układu i nachylenia warstw zwierzchnich w otaczających wzgórzach wywodzi linie geometryczne, a tych zetknięcie wskazuje niemylnie najbogatsze punkta łoża węglowego i wyznacza miejsce dla szybów (studni górniczych). Hr. N., nie posiadając nauki koniecznej, uwierzył zwykłemu górnikom zarozumiałym a zapewniającym, że gdziekolwiek ich użyto

<sup>1)</sup> Główna linia rodziny N. posiada w Pradze bogatą galerią obrazów i liczną bibliotekę, w której znajduje się wśród wielu cennych ksiąg oryginał dzieł Kopernika, własną tegoż ręką pisany, odnaleziony przez Komeńskiego w Norymberdze, gdzie był posłany do druku przez naszego sławnego astronoma.



wynaleźli węgiel w wielkiej obfitości. Posiadając małą własność na krańcu doliny Raudnickiej, nie pytał geologów mogących go ostrzedz, że pokład węgla nie będzie obfitym ku brzegom łożyska raudnickiego. Rozpoczął kopanie studni na własne ryzyko, cieszył się miękkim brunatnym węglem, który mu wynaleziono w płytkiej warstwie, a widząc w tém odkryciu stanowczy dowód obecności twardego węgla w większej głębokości, zadłużył dobra Slabce na dalsze koszta poszukiwań. Po przebicciu grubego pokładu gliniastego łupku, dostali się istotnie górnicy do węgla zdatnego do opału lokomotyw, a ponieważ znali fachową swą czynność i pracowali usilnie, kopalnia dała przez kilka lat dwadzieścia pięć tysięcy reńskich rocznego zysku. Wedle zwyczaju wszystkich zbyt żywych umysłów, hr. N. wyobraził sobie, że ma pewny ugruntowany dochód z kopalni, a ten, dodany do dawniej renty z dóbr Slabce, dozwala mu stanowczo na podwyższenie stopy wydatków na życie i zbytkowe zachcianki.

Dawny, nieco posępny zamek wydał mu się nieznośnym, uprojektował więc sobie rodzaj monarchicznego Wersalu, a łącząc zaraz czyn z myślą, obalił połowę starego gmachu i wznosił wprędce natomiast wspaniałe skrzydło i podjazd włosko-francuzki zdobny w sztukaterye, gzymsy kamienne i balkony. Ponieważ koszta przeniosły ostatecznie dochód biejący, a meble, dywany, lustra, musiały odpowiednio być dobrane na kredyt, dług zaciągnięty dla kopalni na dobra Slabce wzrósł w dwójnasób, z powodu pałacu znamionującego powodzenie w nowym przemysłowym zawodzie. Zwiększona służba pokojowa, liczniejsza stajnia, częstsze wspaniałe przyjęcia, pochłaniały cały biejący dochód.

Nagle okazało się dno skaliste w kopalni; pokład węgla cieńczał i znikał w stronie własnych gruntów, a spotykał granicę sąsiedzkich koncesji przezorniej zyskanych ku środkowi węglowego łożyska. Nie pozostawało jak szukać głębiej nowego skarbu. Lecz brakło pieniędzy na własny nakład. Kredyt ocieężał i dużo kosztował. Sprzedał więc hr. N. drzewo w oszczędzanych dotąd lasach, sprzedał zboże na pniu i wełnę na owcach, kupił za to nowe kosztowne maszyny i wziął się namiętnie do pogłębiania szybu w kopalni. Ironiczne uwagi sąsiadów, mszczących się za zbytek niebacznie rozwinięty, wstrzymywały hr. N. od wszelkiej myśli oszczędności w wydatkach domowych. Usłudni żydkowie, których była już kupka w Slabcach, nie zaniedbali sposobności zasłużenia się p. hrabiemu. Znieśli wszystkie swe pieniądze do stóp JW Pana, którego czcili, kochali i w którym uznawali wysoką zdolność finansową i genialną przedsiębiorczość.

Za skorą pomoc w przebyciu przykrzej chwili, powierzył hrabia żydkom całą sprzedaż i kupno produktów rolnych oraz wypłatę pensyi i najmów oficyalistom, służbie folwarcznej i rolnikom, to jest utworzył ministerjum finansów na wzór wiedeńskiego z najwierniejszych zwolenników i najzyczliwszych poddanych. Ponieważ ciągle brakło gotówki w kassie gospodarskiej dóbr Slabce, zatem pensye



i wypłaty najmów zalegały ustawicznie, a że każda rodzina ma swe niezbędne bieżące wydatki, nieakuratność dominium pchnęła dwórahrabiowski, służbę i wieś wreszcie całą w ręce lichwiarzy. Rozwielmoznili się ci ostatni wprędce, pobierając przy wszelkiej sprzedaży i kupnie, przy wszelkim awansie pieniędzy, wysokie odsetki. Na liczbę ogólną 2897 mieszkańców znalazło się wkrótce 158 żydów, równie chciwych jak ci, którzy usadowili się po wsiach naszych. Drukowana statystyka wykazuje w dobrach Slabce ten stosunek liczebny a elegancka bożnica postawiona za hr. N. dowodzi potęgi napływowego, dziwnie zniemczającego pierwiastku. Nawet pola i łąki wieśniaków przeszły w znacznej części w ręce nabywców izraelskiego plemienia, któremu przyznać można w Czechach, że zna dobrze rolnictwo a szczególnie umie ciągnąć dochody z pachtów.

Poniżenie pierwiastku czeskiego było już zupełne w parafii Slabce, gdy otrzymał probostwo miejscowe młody ksiądz Mikołaj Karlach, wykształcony w seminarjum pragskiem. Ks. Karlach, wzrósłszy sam w chacie wieśniaczej, znał wady słowiańskiej ludności i bolał nad jej upadkiem. Świadomy usposobień miejscowych, wziął się do poprawy umiejętnie i przeczornie. Pragnąc się oddać w zupełności pracy około dobra swych parafian, wypuścił w dzierżawę grunta należące do probostwa z wyjątkiem ogrodu, kawałka łąki i sześciu morgów roli. Uprawę tej ostatniej dzierżawca wziął także na siebie. Mógł więc odtąd ks. Karlach liczyć na pewno, że skromna jego spiżarnia będzie zaopatrzona w konieczne zboże, parę krówek znajdzie pożywienie, a ogród dostarczy warzyw i owoców. Stały, niewielki dochód z wypuszczonych w dzierżawę gruntów, wystarczał na pieniężne wydatki. Rząd domowy i gospodarkę kobiecą objęła zacna matka ks. Karłacha, nosząca skromny strój wieśniaczki czeskiej. Wzorowy porządek, czystość, cisza i spokój stanowiły główną ozdobę skromnej plebanii, mało się różniącej zewnątrz od sąsiedzkich domostw. Pod niski dach tej plebanii wchodzili jednak z przyjemnością uczeni i wpływowi patryoci odwiedzający skromnego pracownika, który zmierzał przez umoralnienie i oświatę jednej parafii do najwyższych celów odbudowy społecznej, zalecanych przez wysokie czeskie koła.

Okazało się, że ks. Karlach rozsądnie postąpił z gruntami należącymi do probostwa. Lud wiejski lubi zwykle czynić szkody większym właścicielom, mianowicie przez wypasanie i worywanie: nastają ztąd zajścia, które psują stosunek sąsiedzki. Ks. Karlach uniósł tych przykrości, gdyż gruntów do probostwa należących bronił od czasu onych wypuszczenia, dzierżawca wybrany z pośród tych wieśniaków, którzy się odznaczali dobrą uprawą i troskliwością we własnym gospodarstwie. Taki dzierżawca-wieśniak, stał się wprędce pomocnikiem i sprzymierzeńcem ks. proboszcza. Pojętny a przezorny, korzystał pierwszy z rad i stosował takowe ze znajomością zwykłej praktyki gospodarskiej. Ostrożnie wprowadzane nowości powiodły się i zyskały uznanie innych wieśniaków. Utworzyło się sto-

pniowo kółko, przewodniczące wsi całej i dźwigające się mozolną pracą z dotychczasowej biedy. Proboszcz był dobrym jakoby geniuszem, strzegącym cnoty i czystości obyczajów a pomocnym w gospodarce radą swą i świadomością sposobów, wynalezionych w krajach wyżej rozwiniętych.

Sprzedaż produktów rolnych, równie jak kupno wyrobów fabrycznych przychodziły z trudnością a zawsze ze stratą we wsi Slabce, z powodu nieustannój zmywy lichwiarskiej szajki, władnącej tak w zamku jak i w chatach. Ks. Karlach nie mógł ocalić hr. N. zbyt zakłanego w interesa pieniądze, a przytém zarozumiałego i nieprzyjętynego przyjaznym uwagom. Wieśniacy łatwiej usłuchali przełożen życzliwego proboszcza. Idąc za jego radą stowarzyszyli się w spółce zawiązanój pod nazwą *Oul* (Ul) aby sprowadzać hurtownie żelazo, towary kolonialne, przybory kuchenne i inne potrzeby domowe.

Sklep wspólnie założony we wsi Slabce powiódł się zupełnie. Z początku był prowadzony zupełnie za gotówkę a następnie, przy zwiększonym zaufaniu, stał się składem, gdzie fabrykanci pomieszczają chętnie swe wyroby i czekają spokojnie sprzedaży takowych, obliczając się ze sklepem w terminach stałych. Przyjmuje sklep w ten sposób na skład i sprzedaż: mocne i ładne dreliszki kolorowe, wyrabiane przez okolicznych tkaczy, a stanowiące przeważnie odzież gospodarnych i oszczędnych wieśniaczek czeskich.

Fabryki i składy hurtowe kredytuują zwykle w handlu pojedynczym kupcom, licząc na osobistą ich sławę i uczciwość. Większą zaiste pewność przedstawia liczna spółka właścicieli ziemskich, odpowiadających swém mieniem za powierzony towar. Kredyt jest przeto udzielany w Czechach bardzo chętnie spółkom rolnym, zakładającym sklepy, byle osoba wiążąca stosunek i prowadząca korespondencje z fabrykami, umiała przemawiać za stowarzyszeniem i wykazać możliwość rychłej sprzedaży towaru, a następnie wywiązywała się ściśle i terminowo z przyjętych zobowiązań. Ks. M. Karlach posiada w wysokim stopniu umysł praktyczny, obejmujący jasno istotne położenie; nie pomylił się więc w kierunku a dopomógł w porę i taktownie zawiązaniu coraz to szerszych stosunków handlowych, czuwając nad tém, aby sklep *Oula* we wsi Slabce sprowadzał tylko towary istotnie potrzebne i zastosowane do wzrastającego stopniowo ządania. *Oul* we wsi Slabce doszedł do obrotu rocznego 120,000 reńskich a trzy filie po wioseczkach mają 25,000 reńs. obrotu. Kapitał stowarzyszenia zwiększony zyskami wynosi 40,000 reń., w tém dwa domy i 12 morgów pola. Jako życzliwy a bezinteresowny pośrednik, ułatwiał téż ks. Karlach stowarzyszonym *Oula* sprzedaż zboża, w połączonych większych partyach, dalszym zamożnym młynarzom. Przyzwyczał rolników wsi Slabce do czyszczenia lepij zboża na sprzedaż, aby odpowiedzieć słusznym wymaganiom piérwszorzędných kupców, a przez to otrzymał stale lepsze ceny; przekonał więc dowodnie, że wszelkie liczenie drobnych rolników na zysk z niedoczyszczenia

ziarna jest oszukiwaniem siebie samego, gdyż pokątny przekupień, przyjmujący źle czyszczone ziarno, nagrodzi sobie dobrze tę pozorną łaskawość, dając niższą cenę za taki produkt.

Podczas, gdy połączone chatki wioskowe dzwigały się w Słabcach z biedy i zależności lichwiarskiej, świetny zamek hr. N. przeciążały rosnące długi. Po zużyciu wszelkiego możliwego kredytu, znalazł się właściciel w obec potrzeby zaniechania poszukiwań węgla pod wyczerpaną kopalnią, przyznania się, że zbłądził goniąc za niepewnym zyskiem industrialnym i wrócenia pokornie do właściwej sobie pracy rolniej z powiększonymi wprawdzie ciężarami i obowiązkiem wielkiej oszczędności. Duma nie pozwoliła na takie wyznanie i redukcją w wydatkach osobistych. Poświęcił więc hr. N. uczucia swój żony cichej i dobrej osoby, którą głównie boleć mogło rozłączenie się z miejscem, gdzie tyle lat przeżyła. Wyrzekł się pozycyi obywatelskiej w okręgu, gdzie nadziady ugruntowali swój wpływ i znaczenie rodziny. Sprzedał groby i popioły, sprzedał siedzibę swych przodków, ich znój i pracę, by gonić dalej za złądną nadzieją fortuny w nieznanym mu fachu, by pchać się w szeregi zdobywców czarnego, węglowego skarbu, który nieuków osmała, a przekuć się daje na złoto tylko biegłym spekulantom.

Upadek rodziny hr. N. w Słabcach, jakkolwiek smutny sam w sobie, wyszedł jednak na dobre gminie tamecznej. Zamek i dobra kupił książę Croy, pochodzący ze ściśle katolickiej rodziny, mającej wysokie znaczenie w Prusiech nadreńskich. Nowy nabywca sprzyja szczerze ludności wiejskiej, zna i rozumie korzyści stowarzyszeń, zawiązywanych pod nową formą spółek wytworczych i spożywczych; poparł więc swym wpływem i znaczeniem znaczne przedsięwzięcia księdza **Karlacha**, który stał się motorem i przewodnikiem całego okręgu górskiego.

Wchodząc w nowo nabyty majątek, książę Croy obojętny na blask zewnętrzny i sądy pseudo-architektów, nie silił się na ukończenie ozdobnego pałacu, którego jedno skrzydło wznosił ryzykowny poprzednik. Idąc za przykładem wielu angielskich i francuzkich właścicieli, zmiarkował, że takie nieukończone, przytknięte budowle, dają się zharmonizować przez umiejętne osłony z roślin pnących, rzucone na mury nie mające właściwego charakteru i że osiąga się przez to ogólne korzystne wrażenie. Stary więc zamek nieco klasztorny, obsnuty winem i klimatysm pozostał jako tło masywne, na którym występują strojnie i wesoło balkony i kolumnady pawilonu włosko-francuzkiego, stawionego przez hr. N.. Umiejętne użycie ogrodniczych tanich pomysłów, wróciło harmonią między bardzo odskakującymi przedtem przedmiotami i godzą zupełnie oko z zewnętrzną zamku postacią. Wszelkie zatem pokuszenie by iść śladem zuchwałych architektonicznych pomysłów poprzedniego właściciela, ustąpiło wobec zadowolenia z miłej tymczasowości.



Rozległy dawny park ożywiły kwiatowe desenie rzucone po trawnikach starannie utrzymywanych. Znać wszędzie inteligentną rękę, umiejacą skorzystać z piękności miejscowego krajobrazu i wydatnić takowy bez kosztów i wysiłków zbytnich. Widać poszanowanie pracy dawniej, mianowicie drzew starych, którym trzeba było lat mnogich, by osiągnęły swój kształt wspaniały. Starannie uprawiane ogrody warzywne, oddzielone murem, dowodzą, że pamięć o codziennych potrzebach kuchni i zaopatrzenie dostatecznie téjże na zimę, nie znika w obec zaprzątnień estetycznych i że *utile dulci* jest właściwém *motto* obecnego właściciela dóbr Slabce.

Folwarki, przyprowadzone do porządku i pola umiejętnie uprawne, wykazują dbałość o szczegóły i pamięć o głównych potrzebach gospodarstwa rolnego. Piękne koniczyny, jęczmiona i kłosista pszenica nagradzają stale pracę dokładnie spełnioną. Główny nakład uczynił książę Croy na obszerne drenowania, których znał korzyść z przykładu Anglii i Belgii, a których tęgi grunt gliniasty, wymagał w dobrach Slabce tém więcej, że te dobra są położone w chłodnej, wyższej strefie Czech. Grunta odwodnione, ocieplone łatwiejszym przystępem powietrza, skruszały, stały się przenikliwsze dla korzeni roślin, przystępne z wiosny i w późnej jesieni pomimo słońca i deszczów a w upały straciły swą dawną spiekliwość. Od czasu zdrenowania gruntów, pszenica w dobrach Slabce nie ulega śniedzi, ani zamietleniu i daje znakomicie wyższy omłot ziarna, ważnego i pięknie wykształconego.

Gospodarstwo, oparte na właściwej sobie podstawie prac melioracyjnych rolnych, daje w dobrach Slabce świetne teraz dochody, których nigdy nie miał poprzedni właściciel. Rola wdzięczną jest zawsze i odpłaca sownie nakłady, jeśli takowe poczynione zostały rozumnie, oględnie i z konieczną fachową umiejętnością. Obecnie, wszystko jest w zgodzie i spokojnym trwałym postępie, w gminie i dobrach Slabce. Ksiądz, dziedzic i rada gminna działają wspólnie i w jedności, w obec której zesłał nagle pierwiastek obcy zniemczyły, podstępny i chytrze wyzyskujący wady i niezgody słowiańskie.

Dnie świąteczne są spędzane we wsi Slabce cicho, bez pijaństwa i hałasów karczemnych. Kościół jest dość przestronny, ozdób architektonicznych nie posiada, ale ład i porządek ściśle przestrzegany w nabożeństwie, usposabia do modlitwy wstępujących w święte progi. Śpiew zgodny, harmonijny, zebranych wieśniaków łączy myśl obecnych z ofiarą ołtarza. W Czechach, trwa zwyczaj pierwotnego chrześcijańskiego kościoła, że w czasie mszy, zwłaszcza cichój, wszyscy zebrani śpiewają hymny. To uczestnictwo w ofierze i łączność z księdzem, przenosi myśl w wieki, kiedy idea chrześcijańska była pocztą głęboko i szczerze, a każda gmina, każda parafia stanowiła wielką, zgodną rodzinę, wznoszącą głośno do Boga dziękczynienia i prośby swe, jak do Ojca, którego czcić, miłować umiano i ufać w Jego moc i opiekę.

Książę Croy urządził oratoryum dla swęj rodziny i wszystkich służby w przybudowie bocznej, parterowej, kościoła, po prawej stronie prezbiteryum. Szeroka arkada otwarta daje widok na ołtarz. Kilka rzędów ławek z kłęcznikami, pokrytemi tanim drelishkiem miejscowego wyrobu, stanowi całe udogodnienie. Spokój i odosobnienie dopomaga skupieniu myśli we wgłębieniu oratoryum, gdzie pokaźne toalety osób na nicby się nie przydały, gdzie więc pretensye wszelkie światowe nie mają podniety. Przykładem własnym, trybem życia pracowitym i poprzestawianiem na niewyszukanych wiejskich przyjemnościach, wpływa obecny właściciel zamku poważnie i rozsądnie na liczne swe otoczenie.

Rodzina de Croy, skromna w wydatkach osobistych, umie być rozumnie hojną, gdy idzie o dobro okręgu, w którym zamieszkała. Rządząc się zasadami zdrowej ekonomii, popiera stowarzyszenia, dążące do podniesienia produkcji rolnej i przeróbki płodów gospodarstwa, aby takowe służyły wprost konsumpcyi miast okolicznych.

Celem zupełnego wyswobodzenia się z rąk przekupni miejscowych, założony został w pobliżu wsi Slabce młyn parowy na akcye, których wartość pokryli w całości: książę Croy i okoliczni wieśniacy. Nie liczono na żadną podwyżkę na akcyach, nie kupowano ich w myśli krótkotrwałej spekulacyi. Czyniono raczej ofiarę z pieniędzy swych i lokowano takowe świadomie w długoletnie przedsięwzięcie, wiedząc dobrze, że młyn tylu uczestników nie zbogaci, że musi się kontentować taniem mlewem i dawać przeto nizki procent od kapitału zakładowego. Wzięto jednak chętnie udział w przedsięwzięciu, przedstawioném chłodno i nie ponętnie, gdyż zrozumiano dobrze, że tylko jednorazową znaczną ofiarę ugruntuje się spółkę, mogącą zwalczyć drobne intrygi żydowskich przekupni i wyzwolić okrąg rolniczy z zależności od procentowiczow, zmówionych na szkodę pracowitej ludności.

Książdz M. Karlach był głównym motorem spółki młynarskiej, która otrzymuje odtąd dla wszystkich rolników w okręgu ceny takie za zboże, jakie poprzednio tylko zabiegliwy spekulant mógł wyjątkowo uzyskać przy wielkiej stracie czasu i częstém zaglądanu na targ Pragski.

Gdy był we wsi Slabce, pewien niemiecki żydek, nazwiskiem Szenk, rozprzedawał przez licytacyą 25 morgów gruntu, które posiadał w epoce upadku gminy. Przezorny geldmacher spostrzegł, że gromada, dobrze kierowana, nie da już mu sposobności do lichwiarskich zysków; realizował więc swe mienie i sposobił się do wędrowki na Wschód, jako kulturtreger. Galicya lub Rumunia będzie prawdopodobnie miejscem, gdzie skieruje swe zdolności.

Włościanie w Slabcach odkupili grunta za gotówkę od Szenka, płacąc za morgę trzystoprętową po czterysta reńskich; tak prędko przyszedli do zamożności pod kierunkiem nowej idei stowarzyszenia i wzajemnej pomocy.

Książę Croy świadomy, że dla większego *dominium* wszelka spekulacya zbożowa i wyczekiwanie cen najwyższych są niewłaściwe, oddał stanowczo ziarno, wyprodukowane w dobrach Slabce, do rozporządzenia rady zarządzającej młynem spółkowym. Zboże dworskie brane jest częściowo do młyna w ciągu roku, osiąga więc ceny przeciętne najsprawiedliwsze. Dla spółkowego zakładu bardzo jest znów dogodna stała rezerwa w spichrzach księcia, zapewniająca ruch nieustanny młyna parowego. Drobnymi właścicielami gruntów, w całym okręgu, oddają przeważnie swe zboże do zakładu, który ich interesuje jako wspólne dzieło, a płaci zawsze wedle cen targowych.

Gdy młyn spółkowy już się zupełnie ugruntował i wszedł w dobrą rutynę, założona została przy nim wielka spółkowa piekarnia, stosownie do rady księcia Karlacha, który osiągnął w ten sposób najzupełniejsze połączenie interesu, między gminą Slabce oddaną produkcji rolniej a gminą sąsiedzką Krzywoklat, stanowiącą w tymże okręgu administracyjno-sądowym, grupę fabryczną, zajętą wyrobem żelaza w wielkich Fürstenberskich hutach.

Dobra niegdyś królewskie Krzywoklat, sprzedane roku 1734. rodzinie badeńskiej książąt z Fürstenberga, obejmują pięćdziesiąt cztery tysiące morgów lasu, pięknie zagospodarowanego, pokrywającego góry, które zawierają rudę dającą od 30 do 45% czystego żelaza, tak ciągliwego jak styryjskie. Położenie wyniosłe, przernięte wartką rzeką Berounką, tak jak Pieniny Dunajcem, nie sprzyja rolnictwu, które może zużytecznieć tylko małe skrawki równego gruntu. Góry strome, podarte częstokroć skalistymi wąwozy, porastają natomiast łatwo bujnym drzewostanem, do którego hodowli zwrócone jest też całe staranie administracyi dóbr Krzywoklaskich. Szpary i wąwozy w górach krzywoklaskich przydają się, gdyż udostępniają jako naturalne drogi wydobywanie rudy z warstw poziomych.

Huty Krzywoklaskie korzystają głównie z lasów miejscowych, gdyż całe poręby średniego drzewostanu są wypalane w mieluchach na węgiel i służą do topienia rudy. Żelazo otrzymywane jest bardzo ciągliwe. Znaczna część użyta jest w miejscu do wyrobu drutów telegraficznych. Walcownia dostarcza blach grubych na mosty do kolei żelaznych i na kotły do maszyn. Taż walcownia wyrabia też w potrzebie blachy tak cienkie, że niektóre numera równają się grubości papieru rejestrowego. Wielka ciągliwość metalu umożliwia równe i bardzo cienkie walcowanie blach.

W jednej z fryserek Krzywoklaskich jest dział maszyn wyrabiających turbiny, koła trybowe i wszelkie delikatniejsze części a nawet specjalne przyrządy do ciągnięcia i wiercenia żelaza. W potężnych lanych kołach trybowych palce są teraz dawane z drzewa wytrzymałego; złożone każdy z dwóch kawałków i wprawiane w odlew żelazny, mogą być łatwo zastąpione nowymi, gdy się starły a odlew masywny nieskończenie długo służyć może. Drobne obrobione dokładnie części składowe, mianowicie te które są potrzebne do budowy wagonów



kolejowych, mogłyby być obstalowywane i wyrabiane oszczędnie w dziale machin zakładów Krzywokłackich, gdyż wszelkie ślusarskie roboty dają się wykonać na warsztatach miejscowych. Mniemam, że układ o wyrób zupełny cząstek składowych z ciągliwego i pięknie obrabianego żelaza byłby korzystny dla naszych fabryk, które mogłyby obsadzać części gotowe, jak czynią zegarmistrze i rusznikarze.

Układ z administracją dóbr rodziny Fürstenbergów miałby wszelkie warunki bezpieczeństwa, gdyż książęta ci posiadają w Czechach majorat największy po fortunie Szwarzenbergów a przedstawiciel obecny i stryj nieletnich, książę Emil Fürstenberg znany jest ze swój przedsiębiorczości i umiejętnego zarazem kierunku własnych hut i tych które należą do synowców.

Wyrób surowcu w hutach Krzywokłackich jest następujący:

Nowa huta otrzymuje z czterech małych pieców	1,600	cet. wiedz.	tygod.
z wielkiego pieca. . . . .	550	„	
Kralowy Dwór na koksie topi. . . . .	700	„	
był w konstrukcyi drugi większy piec na. . . . .	1,000	„	
Joachimów 2 piece drzewem . . . . .	1,200	„	
Karlowa huta własność księcia Emila Fürstenberga: z czterech małych pieców . . . . .	1,600	„	
z wielkiego na węglu drzewnym . . . . .	500	„	
razem tygodniowo cet. wiedeńskich	7,150		

W myśli, że stosunek z hutami książąt Fürstenbergów może się komu u nas przydać, wziętem próbki rozmaitego żelaza i cenniki tarczne, które są złożone w redakcyi G. P. i mogą być tamże widziane. Stosunek bezpośredni z Czechami, jako krajem rozwiniętym fabrycznie a słowiańskim, byłby korzystnym dla budzącego się naszego przemysłu jako przykład, podnieta w działaniu i gotowe przyjazne źródło.

Rudy Krzywokłackie są w dwóch gatunkach: jedna ruda miękka rozsypująca się, którą dobywano w Krusznějhorze i wytapiało od stu przeszło lat, otrzymując mniej żelaza niż obecnie; druga ruda bogatsza lecz twarda bardzo, znajdująca się w miejscowości Nuczyce, wożona była na szose, gdyż nie umiano sobie z nią poradzić. Zdarzyło się, że professor Uniwersytetu Pragskiego p. Krejczy, w czasie ekskursyi swój zauważył błąd popełniany i poddał zarządowi hut Krzywokłackich sposób użycia rudy twardszej; mianowicie by takową rozprażać, przed topieniem, w piecach oddzielnych, nakształt wałpiennych, w których kruszeje tak, że puszczone między dwa wały lane, miele się zupełnie. Przy topieniu następnem w wielkich piecach, powinno być dodane wapno.

Od czasu tej naukowej rady, opartej na badaniu ogólnem geologicznem pokładów i składu chemicznego tychże, oba gatunki rudy są używane w następującej proporcyi:

rozsypującej się z Krusznéhjory . . . . .	53
twardój prażonój i nielonój z Nuczyc . . . . .	32
dodatek wapna . . . . .	15

Postępując w sposób wskazany przez uczonego geologa, otrzymują buty piętnaście procent więcej surowcu jak przedtém, z którego po przekuciu jest osiemdziesiąt pięć do siedmiu procent czystego, bardzo ciągliwego żelaza. Jeden dowód więcej, jak teoria i wiedza ogólna uniwersytecka może być przydatną specjalnym praktycznym zajęciom. Postęp materyalny byłby o wiele szybszy i stalszy, gdyby producenci tak rolni jak fabryczni byli w częstej styczności z ludźmi badającymi naukę w sposób uniwersytecki, to jest w ogólnych jej podstawach, z których wnioski i porównawcze spostrzeżenia budzić mogą nową myśl i przybrać praktyczne znaczenie, podnoszące znakomicie zyski z przedsiębiorstw. W téj mierze, użyteczne są bardzo stowarzyszenia czeskie zwane *biesiadami*, w których spotykają się stale pierwiastki odpowiednie sobie i przyczyniają się wielce do rozwoju tego kraju; gdyż wiele błędów jest w czas poprawionych, wiele wiadomości zużytecznionych, tak w skutek wieczornych pogadanek przy skromnym posiłku, jak i w następstwie zaproszeń wzajemnych na wieś lub do miast, na odczyty lub ekskursye.

Zamek krzywoklacki jest jednym z najdawniejszych i najokazalszych w Czechach, a lasy otaczające były miejscem ulubioném łowów królewskich. Na takim polowaniu pochwycony został książę Jaromir r. 1006 przez sprzysięgły nań ród Wrszowców i odebrany tymże przez pomoc, którą przywiódł wierny leśniczy Howora. Nowoczesny poeta czeski Wincent Furch opisał w pięknej balladzie napad i ocalenie. Na pamiątkę postawił Jaromir kościółek pod wezwaniem św. Jana Ewangelisty w miejscu wypadku przy wsi Welisze. Po rozszerzeniu i przebudowaniu stał się ten kościółek parafialnym. Okazują w nim dotąd strzały od łuków, przez Wrszowców w utarczce użyte.

Brzetysław II nie uszedł zasadzki jak Jaromir, lecz padł zabity przez niejakiego Lorka w roku 1100 koło folwarku Zbeczuo, gdy wracał z polowania w lasach Krzywoklackich. Władysław I kazał, wedle kroniki Kosmаса odnowić zamek w r. 1110 i tam trzymał przez trzy lata uwięzionego brata swego Otona II, księcia na Ołomuńcu.

Przemysław Otokar I aż nazbyt lubił Krzywoklat i przemieszkiwał w tym zamku. Poeta kronikarz Dalemil mówi: „Otokar, trzeci kral, koronu przeje, pak leże z Smilem <sup>1)</sup> na Krzivoklatie tyje.”

Wacław I, syn Otokara I, prowadził świetny dwór rycerski na Krzywoklacie, gdzie odbywały się turnieje, a król, rozmiiłowany w poezyi, układał miłośne śpiewy. Liczne nadania i wyroki, które podpisał na Krzywoklacie w latach 1241, 2, 3 i 4-tym dowodzą, że zajmował się

<sup>1)</sup> Ulubieniec i doradca.

téż tam sprawami państwa swego a przemieszkując w pięknym ustronnym swym zamku powoływał tamże najznakomitsze osoby z Czech całych, wiążąc rycerskie zabawy i pobyt wiejski z zajęciami monarchy dbałego o kraj swój. Król ten wystąpił odważnie na czele swego rycerstwa przeciw Mongołom i odegnał ich od granic czeskich. Wprawa w turniejach i śmiakém myśliwstwie usposabiała do dzielnych czynów na wojnie w obronie kraju. Polowania téż ówczesne, odbywane zwykle konno i z dzirytem w rękę, wymagały siły i zręczności. Zdarzały się i smutne wypadki: Wacław I stracił oko jedno od gałęzi w nieuważnym biegu.

Krzywoklat nie przestał być ulubionym pobytem królów. Najznakomitszy z rodu Przemysłowców Otokar II, który panował od roku 1253—1278, kazał ozdobić wielką salę zamku krzywoklackiego herbami wszystkich ziem, które połączył z monarchią czeską.

Gdy ostatni z Przemysłowców Wacław III został zamordowany w Ołomuńcu roku 1306 ręką nieznanego Niemca, świetne połączenie wszystkich Słowian zachodnich i Węgier całych pod jednym monarchą zostało uniemożliwione. Z następnego nieładu w Czechach, starał się korzystać Rudolf Rakuski i syn jego Henryk, który zajął Pragę i osadził załogą niemiecką zamek krzywoklacki. Załoga ta wypędzona została przez walecznego pana czeskiego Wilhelma z Waldeka, który w lasach téż Krzywoklackich zastąpił drogę Szwabom, cofającym się z Pragi, pobił ich i odebrał im łupy oraz zakładników których ze stolicy czeskiej wprowadzili.

Wilhelm z Waldeka stawał zawsze w obronie ostatniej z rodu Przemysłowców, księżniczki Elżbiety wydanej za Jana Luksemburskiego, burzliwej pamięci króla. Na zamku krzywoklackim mieszkała ta królowa w r. 1317, a gdy Waldek zabity został w kłótni z niesfornymi Bawarami, niby z przymierzeńcami, król Jan pochwycił zupełnie władzę w Czechach, które uważał tylko za przeznaczone do napełnienia jego pustej zawsze kassy. Obawiając się swéj żony uwięził ją w Melniku a syna swego strzedz kazał oddzielnie na zamku krzywoklackim, aby Czesi niezadowoleni z łupieckich rządów nie odjęli mu opieki nad dzieckiem i władzy nad krajem.

Trzy lata od 1320—1323 przebył młodzietki królewic w zamku krzywoklackim patrząc na piękne lesiste góry i szumiącą u stóp skały zamkowej rzekę Berounkę. Upodobanie do takich krajobrazów i ogólnie do pięknego królestwa czeskiego powziął już naówczas ten, który miał zasłynąć jako cesarz Karol IV i najlepszy z królów czeskich.

We dwanaście lat później to jest r. 1335 odbył Karol jako margrabia Morawski i namiestnik czeski wspaniały wjazd z żoną swą Małgorzatą Blanką de Valois na zamek krzywoklacki, gdzie czas jakiś przemieszkiwał a słowiki kazał ze wszystkich lasów znosić pod zamek, aby śpiewając uprzyjemniały pobyt księżnic.



Za Wacława IV, który niepomiernie lubił polowania i nawyk do zbytowego picia wina i do uczt hałaśliwych, Krzywoklat był czas jakiś zamieszkiwany przez króla i jego łowiecką drużynę. Gdy trunek popsuł i poniżył umysł Wacława, gdy częste okrucieństwa popełnione w brzydkim pijańskim nałogu, odstrychnęły serca narodu, bał się Wacław przemieszkiwać na Krzywoklacie, niedość jak się mu zdało bezpiecznym i przeniósł swą siedzibę do umyślnie zbudowanego dworca pod zamek Toczniak, który sterczy na ostrzejszej dzikięj skale, kilka mil powyżej Krzywoklatu nad nie wielkim strumieniem.

Za wojen husyckich usadowiła się na zamku rodzina Sternberków; mianowicie Piotr Holicki ze Sternberga rycerz śmiały, żonaty z Anną ze Szwarzenberga od 1441—1454. Władysław Jagiellończyk, wstąpiwszy na tron czeski, wykupił zamek i dobra Krzywoklacie od Henryka z Podjebrad, płacąc 10,000 dukatów, które pożyczył od ojca swego Kazimierza Jagiellończyka, ówczesnego króla Polski, dopomagającego jak widać synowi w usadowieniu się na tronie czeskim. (Jan Długosz liber XIII hist. Polonicae).

Władysław Jagiellończyk lubił budowy i wspaniałość. Od r. 1490—1500 pracowano na Krzywoklacie, który nabył królewskiej okazałości. Kaplica zamkowa wówczas została przebudowana. Po oddaleniu się króla do Węgier, ustała praca na Krzywoklacie. W Węgrzech król popadł w taki niedostatek, że współczesny biskup ołomuński Jan Skala Dubrawski pisał: „Widziałem w Budzie, jak służba króla Władysława przyszła do biskupa z Fünfkirchen (Pietykosteleckiemu) prosząc, by pozwolił napełnić puste flasze winem dla króla. Biskup zapytał: „czyż nie macie wina w zamku?” odpowiedzieli: „nietylko piwnice ale i spiżarnie wszystkie puste są w zamku.”

Król Ludwik II Jagiellończyk zastawił dobra Krzywoklacie Hardegom za 4,000 kóp groszy pragskich a później Alb. Szlikowi. Gdy król poległ pod Mohaczem w wojnie z Turkami, dobra koronne wszędzie popadły w nieład zupełny.

Ferdynand pierwszy z Habsburgów rodu wykupił dobra Krzywoklat z zastawu. Syn cesarza arc. ks. Ferdynand ożeniony tajnie z Filipiną Welslerową ukrywał w Krzywoklacie swój stosunek. Za jego wpływem, zamek został zastawiony Wła. ze Sternberga mężowi Katarzyny z Lokszań krewniej Welslerów. Dzieci rodzące się Filipinie były chrzczone tajnie w obec kilku przyjaznych panów, jako Fran. hr. Thur, Lud. hr. Lodron. Chrzczył ksiądz Jan de Cavaleriis, który dał był ślub arcyksięciu z Filipiną w Brzeźnicy. Po chrzcie dzieci podrzucane były pod drzwi Władysława ze Sternberga, który odnosił arcyksięciu a ten przyjmował za własne. Z dzieci tych najstarszy syn Andrzej, urodzony jeszcze w Brzeźnicy, został kardynałem; drugi margrabia burgawski znakomitym wojownikiem. Arcyksiążę oddany polowaniu i pożyciu miłemu, z żoną żył szczęśliwie na Krzywoklacie. Filipina sławiona przez kronikarzy ze swjej piękności, miała tak białą i przezroczystą skórę, że jedę z pisarzy

ówczesnych, Paweł Żydek kanonik pragski twierdzi, jako, gdy wino piła czerwone, przeglądało to wino przez szyję. Cesarz Ferdynand I-szy, dowiedziawszy się o tajnym małżeństwie, ulitował się nad Filipiną, uznał ją za prawą żonę arcyksięcia i nadał szlachectwo rodzinie Welserów z przydomkiem z Zinne nberga. Samój Filipinie nadał tytuł margrabinę Burgawskiej i landgrafiny z Nellenberga.

Filipina złagodziła swém wstawieniem los Jana Augusty ostatniego biskupa braci czeskich i jego towarzysza Bilka. Zastała ich na Krzywoklacie w tak srogiém więzieniu, że Augusta 16 lat a Bilek 13 pozostawali w izbach dolnych, których okna były deskami zabite. Przed zamknięciem w tém ciemnym więzieniu byli męczeni na torturach i ciała nieopatrzone raniły się długo. Sternberg zrobił Bilka dozorcą kuchni i piwnic a Augustę sadzał u swego stołu. Na parę miesięcy przed śmiercią cesarza Ferdynanda wypuszczeni więźniowie. Arcyksiążę Ferdynand wyjechał z Filipiną do Inspruku. Zamek przestał być siedzibą królów a stał się głównie więzieniem. Męczony był tam Anglik Edward Kelley urodzony 1 sierpnia 1555, zwany Talbot, był aptekarz i notaryusz z Worcesteru. Łącznie z Janem Dec udał się on r. 1583 do Polski a ztamąd następnego roku do Czech, gdzie pracował jako alchemik i złototwórca a Wilhelma z Rozenberga a następnie u cesarza Rudolfa II, który go tak polubił, że wyjednał od stanów czeskich indygenat Edwardowi Kelleyowi jako potomkowi rodziny rycerskiej Ymairi w hrabstwie Conagsbak. Kelley twierdził, że ma receptę złotodajną pozostałą po pewnym biskupie angielskim. W r. 1591 znikł Kelley raptem z Pragi. Szambelan cesarski Mardocheusz Delle twierdzi, że zabił Jerzego Hunklera w kłótni. Fugger (ces. Biblioteka Wiedeńska M. S. N. 8964) opisuje obszernie całe postępowanie z Kelleyem. Piotr z Rozenberga wstawiał się, lecz cesarz uparł się, by wymódz na Kelleyu receptę *aurum potabile*, którego już kosztował z rąk Kelleya używającego wyż wymienionego eliksyru. Chciał téż mieć sekret robienia drogich kamieni. Królowa angielska Elżbieta przemawiała za wypuszczeniem Kelleya; ten próbował uciec, złamał nogę, bo się powróż zerwał: śmierć nastąpiła w skutek złamania.

Dnia 25 czerwca 1613 roku odbywał się sąd apelacyjny w wielkiej sali zamku Krzywoklackiego, sąd nad rycerzem Burkhardem z Berlichingen i jego żoną Izoldą z Tyna oskarżonymi o „ujmę sławy rodu Szlików, mianowicie za fałszywe zarzuty czci panińskiej, Magdaleny Szlik urodzonej hrabianki na Pasaunie i Holiczach.” Sąd skazał Berlichinga „w miejsce zasłużonej kary śmierci, na publiczne odwołanie kłamstwa, policzek i pięcioletnie więzienie w Krzywoklacie, żonę tamże na całe życie.”

W walce 30-letniej Krzywoklat nie ucierpiał, ale w roku 1633 przez nieuwagę jednego pachotka wszczął się ogień, który zniszczył wielką część budowli; kaplica nietknięta: okna w téjże dotąd całe.

Cesarz Ferdynand III zastawił w roku 1658 zamek Krzywoklat hr. Ferdynandowi ze Szwarzenbergu a następnie Arnostowi hr. z Waldsteina za 600,000 reńskich z całemi dobrami. W roku 1731 dostał się Maryi Annie z Waldsteina wydanęj za księcia z Fürstenberga.

Roku 1734 cesarz Karol VI odstąpił prawa wykupu za dopłatą 200,000 zfr. Marya Anna przed swą śmiercią założyła w roku 1756 z dóbr Krzywoklaskich i do nich dokupionych Podmokli, Szkrywan i Wszetat drugi fideikomis Fürstenberski. Wnuk jój ks. Karol Egon zaczął w roku 1856 odnawiać zamek w pierwotnym stylu po pożarze zdarzonym w roku 1826; roboty z powodu śmierci właściciela nie wiele postąpiły. Dobremu księciu Karolowi postawili urzędnicy i słudzy piękny gotycki pomnik naprzeciw zamku w kształcie przezroczystej kamiennęj wieżyczki, w której stoi biust księcia.

W zamku są piękne gotyckie budowy wykonane za Władysława Jagiellończyka, mianowicie sala rycerska szeroka bardzo i wspaniała; krużganek na okrągłych smukłych kolumnach, wysokich jak palmy lub sosny masztowe, otacza dziedziniec zamkowy. Kaplica ma od sklepienia dziwnie kunsztowny kamienny niby kosz, złożony z wydwojonych żeber sklepiennych spotykających się i wiążących w powietrzu. Ta siatka kamienna zniżająca się ku ołtarzowi, stanowi całość lekką a zadziwiającą swą śmiałością. Takie kunsztowne kamienne zwieszadła sklepień, trzymające świeczniki lub lampę bogatą znajdują się w Anglii i Hiszpanii. Ołtarz rzeźbiony z drzewa wykonany w epoce Władysława, przedstawia w kaplicy Krzywoklaskiej koronowanie Matki Bożkiej przez Ojca i Syna; na skrzydłach ołtarza jest Zwiastowanie, Narodzenie, Obrzezanie i cześć Królów Wschodu; na blatach zamykających ołtarz, postacie ś. Wacława i ś. Wita: wszystkie malowidła pięknie wykonane i dobrze zachowane.

Okna w zamku są wspaniałe, dzielone na trzy części słupkami kamiennymi misternęj roboty. Pod każdém oknem są herby i cyfry W podwójne, jako monogram Wacława I równie jak Władysława Jagiellończyka.

Obecnie zwiedzana jest kaplica i sala rycerska. W niższéj przybudowie czyli podzamczu jest mieszkanie właścicieli obecnych, gdy chwilowo przebywają na Krzywoklacie. W zbiorze pamiątek tamże się znajdujących, można widzieć kilkanaście złotych brakteatów, to jest pieniążków z wystającym brzegiem jak obrączka, znamionującym pieniądze z epoki pogaństwa u Słowian. Te pieniążki złote znalezione zostały przy oraniu na starém polu ofiarném, które otacza w téj okolicy zwaliska twierdzy pogańskiej zwanęj Zbeczno, wznoszącęj się niedaleko rzeki Berounki.

Miasteczko Krzywoklat, położone u stóp skały zamkowéj, stanowi jeden a najwięcej dwa rzędy domów, wciśniętych między skały a wartką rzekę, od której oddziela tylko droga. Sąd okręgowy i ra-



da powiatowa, zbierająca się peryodycznie, ożywiają osadę krzywoklaską. Na płaskowzgórzach, równających się z zamkiem, są ładne piętrowe lub parterowe domy, zamieszkałe przez dyrektora wydziału leśnego i inne osoby, składające zarząd dóbr. Szpital i ochrona, łańdnie i wygodnie urządzone, stoją téż na tém wzgórzu, ozdobioném rozległemi plantacyami i pomnikiem postawionym księciu Karolowi z Fürstenberga.

Przyjechałem do Krzywoklatu z księdzem M. Karlachem, tym który podźwignął gminę Slabce, zawiązał stowarzyszenia przemysłowo-rolne tameczne i przez takowe ułatwił stosunek bezpośredni górników krzywoklaskich, potrzebujących nabywać chleb i mąkę z rolnikami, osiadłymi w drugiej połowie tego okręgu, a mającymi zboże na sprzedaż. Ksiądz Karlach wybrany od lat kilku starostą okręgu, kieruje ciągle tym zjednoczonym kraikiem, gdzie praca rolna i fabryczna wzajem sobie pomagają w najlepszej harmonii a z wyłączeniem pasożytów i wyzyskiwaczy.

Właśnie przypadał zjazd miesięczny przedstawicieli gmin, składających okręg krzywoklaski. Ksiądz Karlach, obecnie kanonik wyszehradzki, dojeżdża tylko z Pragi na zebrania okręgowe i przewodniczy w takowych, jako starosta. Urząd ten zatrzymał, nie mogąc się oprzeć żądaniom gmin, które mają w nim szczególne zaufanie, oparte na przekonaniu o gorliwości i patriotyzmie tego zacnego księdza.

W ostatnich latach ciężkiego przesilenia pieniężnego, które dotknęło Austryę, a z nią w części i Czechy, kanonik Karlach utrzymał ruch w hutach krzywoklaskich budową dwóch mostów żelaznych kratowych na rzece Berounce w miejscach, gdzie ta zrywała zwykle drewniane mosty, stawiane na palach i odosobniała fryszerki, piece i łozyska rudy jedne od drugich, jako leżące po obu bokach krętej i rwącej rzeki.

Zatrudnienie czasowe fabryk żelaza w chwili ogólnej stagnacji, tudzież przygotowanie na przyszłość stałych komunikacyj, przeto zapobieżenie częstym miejscowym przerwom w pracy na przyszłość, zjednał ksiądz Karlach swą obrotnością i prędką decyzją oraz wpływem téż przekonań i wymowy. Zrozumiał bowiem i pochwycił sposobność korzystania z chwilowego usposobienia sfer rządowych w Wiedniu, po zniszczeniach spowodowanych wylewem rzeki Berunki w roku 1872.

Ministryum centralistyczne niemieckie wyznaczyło wówczas kilka milionów reńskich na pożyczki długoletnie dla okręgów, nawiedzonych klęską. Ksiądz Karlach potrafił być pierwszym ze swą modyfikowaną propozycją dla okręgu krzywoklaskiego o 160,000 reńskich i ubiegł niemieckie konsorcya i gminy, dla których właściwie pomocy były przeznaczone w myśli ministrów wiedeńskich. Natarczywość, doskonałe przygotowanie w kwestyi nagle wynikłej, zmusiły rozdawców do przyznania okręgowi krzywoklaskiemu pożyczki

z wyznaczonych przez izbę funduszów. Oglądałem po drodze wianania mostów w hutach i widziałem zapuszczanie potężnych cementowych fundamentów pod filary. Wszystkie te roboty wykonywały się już w roku 1873, to jest zaraz po powodzi i krachu wiedeńskim, a zatrudniając masę całą miejscowych robotników uchroniły okręg krzywockacki od nędzy i przerwy w pracy. W roku 1872 wybrany został ksiądz M. Karlach kanonikiem kolegiaty wyszehradzkiej w Pradze i zamieszkał tamże w jednym z dworców odwiecznych zbudowanych przy skale, gdzie był pierwszy zamek królów i pierwszy kościół chrześcijański w Czechach stawiony <sup>1)</sup>). Zakres działalności księdza M. Karlacha w Pradze przybrał wielkie rozmiary, wiążąc kierunki dotąd rozdzielone. Mianowicie potrafił zużytecznie wiele dobrych chęci i obrócić dążenia religijne abstrakcyjne do prac realnych, mających na celu dźwignięcie jednostek zacnych i sił młodych, przez dostarczenie odpowiedniego zajęcia i przez pomoce w kredytcie, oraz prowadzeniu przedsięwzięć. Jako wice-prezes *Biesiady katolickiej* w Pradze, do której należy wiele osób z arystokracji krajowej, potrafił rozwinąć działanie kassy zasiłkowej nowo-założonej do siedmiu milionów reńskich obrotu rocznego <sup>2)</sup>). Z zysków dwuletnich kupił dom na imie kassy za sto czterdzieści tysięcy i w tym domu pomieścił *Biesiadę katolicką*, zajmującą dotąd lokal. Rzec można, że córka pomieściła dostojną matkę w domu zyskanym pracą i uczciwym zarobkiem.

Od dziewiątej rano do późna w wieczór, zatrudnia się ksiądz Karlach interesami kassy, wglądając we wszystkie czynności skrupulatnie; to też prowadzenie interesów jędrne i rozumne zyskało kassie znakomity obrót i wielkie zaufanie. Zyski są zaraz użyte na cel znaczny ogólny. Myśl i wykonanie zawsze dobrze i praktycznie związane. Najnowszém dziełem księdza Karlacha, jest utworzenie muzeum sztuki chrześcijańskiej, z którego rozwinęła się akademja chrześcijańska, już funkcjonująca. Myślą przewodnią było, żeby ułatwić artystom i rzemieślnikom pracującym w dobrych i czystych pojęciach sztuki sprzedaż tych przedmiotów, które służyć mogą do ozdoby kościołów, kaplic i oratoryów; tych ostatnich jest bardzo wiele w Czechach jako kraju szczerze katolickim. Lud wiejski wzniosł w Cze-

1) Parafia wiejska Slabce, w której pierwsze były prace księdza M. Karlacha, przedsięwzięte około dobra moralnego i materialnego czeskiej ludności, nie została bez opieki i stałego kierunku. Brat rodzony księdza Mikołaja, młodziutki i miły ksiądz został proboszczem i pracuje z wznowioną energią a przejęciem się zupełnem zwyczajami starszego brata. Na plebanii prowadzi gospodarkę stara zacna matka jak przy pierwszym synu. Byłem w tym gościnnym domu, nocowałem, następnie obszedłem wioski i zachowałem miłe bardzo wrażenie spokoju, zadowolenia i rosnącej zamożności widocznj w parafii Slabce.

2) Sprawozdanie za rok bieżący wykazuje 7,552,837 zlr. 40 c.

chach tysiące kaplic z ołtarzem do mszy w drobnych wioskach, na podziękowanie Bogu, za prawa pozyskane w roku 1848, w skutek zmiany systemu Meternichowskiego, powrotu samorządu słowiańskiego w gminach i zniesienia resztek pańszczyzny. Lud zdobi te kaplice i starsze kościoły z dużym nieraz wydatkiem, ale nie wie gdzie się zwrócić w wyborze ozdób i prac artystycznych. Otóż wystawa nieustająca przedmiotów uznanych przez osoby kompetentne za pomyślne po chrześcijańsku i wykonane uczciwie, ułatwia tak nabycie ofiarodawcom, jak sprzedaż tym artystom i rzemieślnikom, którzy umieją czerpać z nieprzebranój skarbnicy myśli chrześcijańskiej.

Osoby, które zaopiekowały się muzeum chrześcijańskim, uznały, że stałe stowarzyszenie z rozległym programem zdoła podźwignąć wszystkie gałęzie sztuki i wyrzucić może wpływ pożądany na czucia i opinią ogólną. W tej myśli, zawiązana została pod przewo dnictwem p. Józefa Ireczka, b. ministra oświaty mieszkającego w Pradze, akademii chrześcijańska podzielona na cztery sekcye: nauk i umiejętności, muzyki kościelnej, sztuk pięknych i archeologii. Akademia liczy obecnie 1,200 członków ze sfer ukształconych. Działalność jest wielka i poparcie silne, gdyż klasy wyższe społeczeństwa czeskiego rozumieją potrzebę działania łącznego i bronienia cywilizacji chrześcijańskiej od nowotnego poganizmu. Sekcja muzyczna akademii urządziła koncerty historyczne, na których wykonywane są dzieła religijnego układu. Każdy utwór jest poprzedzony wykładem ustnym, objaśniającym słuchaczy o epoce, w której żył kompozytor, o myślach które chciał wyrazić, i pojmowaniu należytem utworu. Jeżeli wszystkie sekcye akademii chrześcijańskiej rozwiną taką erudycją i odznaczą się wykładami równie nauczającymi i rozjaśniającymi myśl słuchaczy, to stowarzyszenie czeskie podniesie w nowy oryginalny sposób kwestye czystej estetyki z obecnego upadku i da Słowianom świetne posłannictwo wznowienia piękna idealnego. Tém cenniejszy jest ten objaw, że wykwita wśród narodu, któremu zarzucić nie można płonnego marzycielstwa; narodu pracowitego, myślącego trzeźwo a działającego w tém, co przedsięwzię, zawsze z wielkim rozmysłem i wrodzoną praktycznością.

Podczas, gdy rada okręgu krzywoklackiego rozprawiała nad kwestyami miejscowego interesu, zwiedziłem zamek w towarzystwie dodanego mi uprzejmie urzędnika magistratu, znającego przeszłość i dzieje miejscowe, które wyżej podałem. Zstępując ze skały zamkowej, zeszliśmy do głównej oberży miasteczka. W dużej sali zastawione były trzy stoły: jeden dla zebranej rady okręgowej, drugi dla urzędników miejskich i z dóbr książęcych, z których nieżonaci stołują się wspólnie, trzeci stół obsiedli rozmaici konsumenci. Rada okręgowa pomieściła mnie wśród siebie, a składała się oprócz księdza Karlacha, z dwóch jeszcze proboszczów, z których jeden rolnik postępowy a drugi matematyk piszący do dzieł specjalnych; trzech czy czterech urzędników, jako przedstawicieli nieletnich Fürstenbergów



i wielkiej własności; kilku wreszcie włościan rozmawiających bardzo rozsądnie i ze znajomością interesu wspólnego wszystkim klassom w narodzie.

Przy obiedzie mowa téż była o zawiązaném niedawno stowarzyszeniu muzyczném w miasteczku i okolicy. Jeden z księży był zapisany do stowarzyszenia i przyznawał, że uczestniczy zawsze z wielką przyjemnością w wykonaniu utworów muzykalnych, a z chórów i śpiewu spodziewa się wiele, dla czci Boga i podniesienia uczuć uzanających duszę i czucia ludzkie.

Po obiedzie poszedłem z księdzem Karlachem do dyrektora lasów krzywoklackich pana Kraus, sławnego botanika i hodowcę drzew najrozmaitszych. Pan Kraus poprowadził nas zrzębem rozległej wyżyny ciągnącej się na równi z zamkiem ponad małowniczemi zakręty Berounki. Droga cienista, przestronna, prowadzi krawędzią płaskowzgórza, obejmującego zwarte massy sosen i modrzewi. Brzezi i skaliste występy okryte są plantacyami drzew liściastych, ozdobnych i pożytecznych. Gdzie zupełnie jałowa skała, potrafił pan Kraus pomieścić w załamkach pojedyncze drzewka sumaka, który wynajduje korzeniami swemi wszelkie szczeliny i wypuszczając z nich nowe latorośle, szerzy się sam po takich urwiskach, gdzieby ręka ludzka go nie doniosła. Sumak z akacją mógłby w ten sposób pokryć u nas boki wąwozów w Sandomierskiém i Krakowskiém. Inne jałowe i spieklive cyple i urwiska w krzywoklackich lasach pokrywa janowiec, *ulex europea*, zaprowadzony dla zajęcy. Lasy krzywoklackie obejmują pięćdziesiąt kilka tysięcy morgów w doskonałej sztucznej uprawie. Poręby po wycięciu drzew są oddawane do wykarczowania darmo na lat trzy najuboższym wieśniakom, zwanym *domkarzami*, którzy wydobywając stopy pieńków i korzeni, mają w ten sposób obfity opał dla siebie i na sprzedaż. Kamienie wydobyte kupuje okręg od karczowników i bierze na szose. Grunt oczyszczony obsiewają karczownicy żytem, następnie potrzásają nawozem i sadzą w drugim roku kartofle, między któremi, to jest co trzeci krzak, sadzony jest jednocześnie mały modrzew lub sosenka. Po wykopaniu kartofli zostają dołki i nierówności przydatne bardzo wzrostowi drzewek, gdyż zatrzymują wodę ze śniegów i deszczu, której przeto więcej wsiąka w grunt. Drzewka sadzone na gruncie wzruszonym i trochę umierzwionym, rosną wiele prędzej jak w zwykłym zagajniku i tém nagradzają zupełnie właścicielowi jego rozumną uczynność dla ubogiej ludności, której pozwala téż wyrzynać przez dwa lata trawę bujnie rosnącą między drzewinami, za co dosadzają darmo drzewka w miejsce nieprzyjętych: jest w tém zachęta do sadzenia odrazu dobrze.

O ZJAZDACH,  
CZYLI  
KONGRESACH NAUKOWYCH

I ICH DZIAŁANIU W OSTATNICH KILKU LATACH.

II.

Kongresy nauk społecznych.—Ewolucye na polu tych nauk.—Kierunki szkół nowych.—Szkola polityki społecznej i socjaliści katedrowi.—List otwarty Schmollera do Trietschkego.—Szkola ewolucyjno-umiarkowana.—Luzzati.—Kongresy ekonomistów w Niemczech, Anglii i Francyi.—Kilka uwag ogólnych nad ruchem ewolucyjnym w naukach społecznych.

Liczba zjazdów, które pod ogólną nazwę nauk i kwestyi społecznych podciągnąć można i należy, była w ostatnich latach, a mianowicie w roku ubiegłym stosunkowo znaczna. Zanim podamy ich wyliczenie i obraz ważniejszych i wydatniejszych robót na tém polu, musimy najprzód zwrócić uwagę na tę okoliczność, że wzrastająca liczba kongresów nauk społecznych wskazuje, jak kwestye téj natury żywo zaczynają zajmować umysły. Rzeczywiście pod względem zajęcia, ważności, doniosłości, nauki społeczne zdają się współubiegać z naukami przyrodniczymi i z ich zastosowaniami. Pod pewnemi względami więcj nawet niewątpliwie jak tamte wkraczają w stosunki, położenia osób, stowarzyszeń, warstw społecznych, w obyczaje, prawodawstwo, polityczny ustrój państwowy i stosunki międzynarodowe. Dotykając tyle rzeczy i osób, więcj téż nierównie jak tamte dzielą umysły, a co gorsza roznamiętniają je niejednokrotnie.

Nie będzie może zbyt cennym zwrócenie uwagi na pytanie: co nadało w nowszych czasach taki niezwykły ruch, ważność i doniosłość naukom i kwestyom społecznym?

Nauka ekonomii jest nauką nowoczesną, ale nie dzisiejszą. Długi czas jednak teorye przez nią rozwijane, krążyły w sferach najwyższej inteligencji, niestosowane a nieraz odpychane i prześladowane. Szersze i częstsze stosowanie ich wywołało powodzenia lub zawody, ztąd starcia zdań. Jednocześnie przemysł zyskał rozmiary jakich nigdy poprzednio nie miał, w skutek nowo wynajdywanych przyrządów i stosowania nowych środków nadających im ruch. Z tą ewolucją przemysłu zająć musiała ewolucya w losie robotników. Powstały kwestye: robotnicza, stowarzyszeń ze wszystkimi ich następstwami i rozgałęzieniami. Jak w sferze przemysłu, tak w sferze komunikacji także nastąpiła ewolucya przez zastosowanie pary i kolei żelaznych. Perturbacye w świecie ekonomicznym z tego źródła powsta-

łe, dalekie przed sobą mają następstwa i przewidzieć nie można jeszcze w zupełności, dokąd zaprowadzą przemysł i produkcją rolniczą. Kwestye tariff celnych, wynikłości teorii wolno-handlowych i protekcyjnych, wystąpiły wszędzie naprzeciw siebie i spór trwa dotąd z całą mocą. Nowe drogi na jakie rzucił się świat finansowy, banki, akcyjne towarzystwa, spekulacje papierowe, nagłe i wielkie wzrosty fortun prywatnych, burze i katastrofy pieniężne, doszły rozmiarów niezwykłych i wywołały szereg kwestyi nowych, potrzebujących rozwiązania. Kiedy dodamy do tego jeszcze burze i katastrofy polityczne, wojny i rewolucye, olbrzymie uzbrojenia, przekształcenie stosunków rolniczych, wzrost długów państwowych i poszukiwanie nowych źródeł podatkowych i nowych podstaw opodatkowania, zrozumiemy łatwo żywość niezwykłą dyskusyi w kwestyach ekonomiczno-społecznych i niezmierny wzrost literatury, kongresów, rozpraw parlamentarnych do nich odnoszących się. Coraz szersza bowiem wszędzie swoboda prassy, dyskusyi i stowarzyszeń przyczyniały się do tego, że kwestye społeczne coraz szerzej, coraz głębiej, coraz jawniej i otwarciiej mogły być traktowane.

Na tak rozszerzonym polu doświadczeń i dyskusyi, teorye dotychczasowe ekonomistów znalazły się w prawdziwej próbie ogniwój. Dodać bowiem jeszcze należy, że jakkolwiek objawy ekonomiczne w tegoczesnym świecie cywilizowanym miały i mają pewne familijne podobieństwo, to jednakże znalazły się także znakomite różnice pomiędzy rozmaitemi krajami a to stosownie do różnic w obyczajach, prawodawstwie, ustroju społecznym i politycznym. Wypadki zastosowań zasad ekonomii społecznej przedstawiały różnice. Stawiały się więc wątpliwości, nowe porównania i przeciwstawienia, wreszcie badanie zasad samych.

Ekonomia społeczna tak, jak ją sformułowali najprzód fizyokraci a następnie szkoła genialnego Ad. Smitha, była w jednej i drugiej swojej postaci dzieckiem swojego czasu, wypadkiem summy wiadomości i doświadczeń ekonomicznych w danym miejscu i czasie. Ta summa wiadomości i doświadczeń na swój czas była znakomita, bo Adam Smith był historykiem i filozofem, nietylko ekonomistą! Liczba ta jednak u następców wzrastała i wzrastać musiała ciągle. Z nagromadzeniem się coraz nowych faktów historycznych i porównawczych i coraz nowych doświadczeń, pierwotny ich zapas mógł się zdawać ubogim. Powstał więc zarzut, że ekonomia społeczna powstała dedukcyjnie, że więc opiera się na prawdach rozumowych, niżeli na takich, które z wielkiej liczby faktów, porównań, wyprowadza się indukcyjnie. Aby więc prawdy i zasady w nauce ustalone skontrolować, następcy się wątpliwości rozwiązać, ciemne punkta rozjaśnić; aby jednym słowem naukę posunąć i do tłumaczenia faktów życiowych, ekonomicznych zyskać klucz niezawodny: badania naukowo-społeczne poszły w trzech kierunkach, trzema, że tak powiemy, łożyskami.



Użyto na ten cel metody historycznej, porównawczej i eksperymentalnej. Właściwie wszystkie te trzy drogi są gałęziami jednej metody indukcyjnej.

Do piérwszój dostarczyły materyału badania stosunków ekonomicznych we wszystkich krajach i czasach. Bogatą tę kopalnię otworzył Roscher, za nim poszli inni. Zasługi tej metody podniósł L. Wołowski w znakomitej przedmowie, jaką poprzedził swe tłumaczenie na język francuzki Ekonomii społecznej Roschera.

Do metody porównawczej dostarczyły wątku podróże po kuli ziemskiej i zestawienie oraz porównanie różnych stopni i epok cywilizacji, różnych stopni uobyczajenia, różnych prawodawstw, religii, form rządowych, ze względu ich wpływu na stosunki społeczne.

Do trzeciej dała głównie wątek usystematyzowana nauka statystyki porównawczej a obok tego cały szereg badań gruntownych nad faktami społecznymi, badań prowadzonych niezależnie od wszelkich apryorycznych twierdzeń, w nauce istniejących.

W skutek zastosowania tych trzech metod do badań społecznych, zaczęły się w nauce wychylać nowe poglądy, wytwarzać nowe teorye, nowe, coraz odrębniejsze szkoły.

Jesteśmy w samym środku tego nowego ruchu naukowego; doniosłość tylko i główne linie możemy rozróżnić, ale ostatecznych wyników, form przyszłych nauki, jeszcze rozróżnić nie zdołamy. To pewna, iż odbywa się znakomita ewolucya w naukach społecznych, którą zaznaczyć chcieliśmy, bo bez tego zaznaczenia trudnoby było czytelnikowi niewtajemniczonemu we wszystkie prace nowoczesnych ekonomistów, zrozumieć robotę kongresów ekonomicznych i wrogą nieraz ekonomistów względem siebie postawę.

Na trzy głównie obozy dają się dziś podzielić pisarze społeczni: na takich 1) którzy z góry uznawszy całą dotychczasową naukę ekonomiki za przepadłą, za chybioną, za zbankrutowaną, zrywają z nią zupełnie, przenoszą się na inne pole, to jest polityki społecznej i z tego punktu wyjścia, idą wprost do reformy społecznej na podstawach socjalizmu, który w zasadzie przyjmują modyfikując tylko sposoby zastosowania; na takich: 2) którzy uważając metodę indukcyjną w nauce gospodarstwa społecznego za pewniejszą, chcą według tej metody iść i prawdy ekonomiczne o tyle uznawać, o ile próbę tej metody wytrzymają, a w żadnym razie w istniejących zasadach ekonomiki, nie chcą uznawać przeszkody do postępu i ulepszeń, skoro analiza naukowa i siła faktów przekona, że dobro społeczne zyska, gdy się odmiennymi, jak te które są uznane przez naukę, pójdzie drogami; wreszcie na takich: 3) którzy uznając główne zasady ustalone, nie uważają tych zasad za nienaruszalne, owszem uznają potrzebę doskonalenia i posuwania nauki, ale posiłkują się obu metodami i uznając ewolucye w nauce, nie chcą w niej rewolucyi.

Należy nam bliżej oznaczyć te kierunki. Mamy przed sobą materyały, które nam najlepiej do tego oznaczenia posłużą.

Co do pierwszego z powyżej wskazanych kierunków, posłuży nam pismo Schmollera rektora akademii strasburskiej, zamieszczone w piśmie czasowem „Jahrbücher der National Oekonomie und Statistik” <sup>1)</sup>, jako list otwarty do historyka i publicysty Trietschkego. Szkoła, za przedstawiciela której stawiamy tutaj Schmollera, głównie rozwinęła się w Niemczech i rozszerzyła w wyższych sferach inteligencji. Schmoller, chcąc skreślić obraz dzisiejszego zamętu pojęć ekonomicznych, dał rzeczywiście najwierniejszy ich obraz w Niemczech; gdzieindziej bowiem, jakkolwiek w pojedynczych pisarzach objawiać się może uczucie potrzeby pewnej reformy i postępu nauk społecznych, zamęt taki albo się nie objawił, albo takich rozmiarów nie przybrał. Tak się on wyraża w tej mierze w piśmie wyżej pomienionem: „Zyjemy w epoce najpamiętniejszych przekształceń ekonomicznych. Nasze pojęcia i ideały od stu lat biegają rącho do nieznanych nam celów. Chaotycznie i bez związku mieszają się systemy i szkoły, próby praktyczne i zachcianki. W nauce państwowej i społecznej walczą ze sobą stare dogmata i nowe teorye, abstrakcyjna i historyczna metoda. Praktyka podważa teorię, obok teoretyków stoją komuniści, socjaliści, demokraci” i t. d.

Pismo Schmollera, o którym mówimy jest pismem głównie polemicznem; wiele rzeczy i kwestyi porusza takich, które nie są w związku z naszym przedmiotem, lub są czysto miejscowej natury. Dlatego ograniczamy się na kilku zarysach z niego wziętych, w których uwidoczniają się cechy nowego kierunku ekonomicznego i zarzuty, robione dotychczasowej nauce gospodarstwa społecznego.

Odrzuca Schmoller z góry całą naukę dotychczasową, jęj prawa ogólne, jęj zasady i cele, jęj metodę. Odrzucając to wszystko, sądzi, że ekonomia społeczna w swoich rozstrzygnięciach, może wychodzić tylko z charakteru narodowego, z jego praw, obyczajów w danym czasie pojęć panujących. W postawieniu tej zasady wnoszącej na czoło nauki partykularyzm i empiryzm w miejsce pewnych praw ogólnych, tkwi zaród całego szeregu następstw, właściwie cała nauka jako nauka jest wywróconą. Z tego punktu widzenia wychodząc, życie ekonomiczne narodu każdego staje się prądem płynącym, zmiennym, któremu żadnego koryta naznaczyć nie można. To też według Schmollera, formy społeczne nie mają nic stałego. Nic więc dziwnego, że bez wahania przystępuje do reform najśmielszych i że wszystko, co jest wyprowadza przed trybunał krytyki; że adoptuje wszystkie nieomal zasady socjalizmu, broni ich, usprawiedliwia je, zarazem utrzymując, że to jest najlepszą bronią przeciw zбочnieniom i nadużyciom socjalizmu. Raz wszedłszy na ten tór, tworzy idealny sąd *sprawiedliwości rozdzielającej* i orzeka za niego, jaki jest słuszny rozdział mienia w społeczeństwie. Jesteśmy tu już nie na polu ekonomii spo-

<sup>1)</sup> 1-er Band 1-es und 2-es Heft, 1875.

łecznej, ale na nowo wytworzonem przez całą grupę ekonomistów niemieckich polu polityki socjalistycznej.

Co jest społeczna reforma? zapytuje Schmoller. Cel jęj jest jasny. Jesto przywrócenie przyjacielskiego stosunku pomiędzy warstwami społecznymi; usunięcie niesprawiedliwości, zbliżenie się do zasad słusznych rozdziału mienia i korzyści, przebudowanie społecznego prawodawstwa tak, iżby ułatwiało postęp, zarazem moralne i materialne podniesienie class niższych. „Harmonia interesów jest głównym naszym ideałem.”

Blizj jeszcze wchodząc w rozbiór tęj kwestyi, żąda on jako stopni przechodnich, większego ożywienia i rozrostu ducha korporacyjnego, innych zasad ubezpieczeń tak, aby te zastąpiły wszelką opiekę nad ubogimi; konstytucyjnego urządzenia fabrycznego przemysłu, zniżenia stopy procentowej, zdemokratyzowania kredytu, rozszerzenia kredytu osobistego, systemu podatków postępowego i postępowych opłat od spadków: jednem słowem równiejszego rozdziału nietylko zysków i zarobków, ale mienia i dochodu wszelkiego.

Wprawdzie, czystej krwi socjaliści idą cokolwiek prościęj do celu. Hasselman, w izbach niemieckich przy dyskusyi art. 130 nowego kodeksu karnego, powiedział: „Nie walczymy przeciw osobom, ale przeciw niesprawiedliwościom społecznym. Chcemy, aby w miejsce ciągłych przesileń, wszedł stan rzeczy taki, któryby się opierał na stowarzyszeniu produkcyjnem. Fabryki i narzędzia pracy powinny być własnością ogólną. Wykup kolei żelaznych jest pierwszym krokiem na drogę demokratyczno-socjalną, na drodze przemienienia państwa w jednego właściciela. Nieuniknionem następstwem tego być musi, że najprzód ziemią a potem własność fabryczna, stanie się własnością państwa.”

Tu już jest cel jasny i drogi skrócone, u Schmollera cele i środki nieco się modyfikują, więcj jednak środki jak cele.

Że do przeprowadzenia swych życzeń, ta grupa ekonomistów, o której mówimy, szuka nowych narzędzi i metod, że narzędzia i metody dawne zupełnie jęj nie wystarczają: jest rzeczą bardzo naturalną. Schmoller odrzuca więcj, jak już powiedzieliśmy, hurtem, całą dotychczasową naukę ekonomii społecznej, nazywając ją naukwem bankrutwem. Nauka ta jednak miała według nas tę między innymi zasługę, że umiała lepiej określać pole swojego działania, że nie wdzierając się na pole polityki państwowej i kościelnej. Nowa szkoła, zmieniając nazwę, zmieniała naturę swą i taktkę. Schmoller śmiało stawia swój ideał polityczny czy w imieniu szkoły swęj, czy w imieniu własnem, tego już powiedzieć nie potrafimy; wszystko jednak zdaje się wskazywać, że robi to w imieniu szkoły. Odrzuca parlamentaryzm, jako prowadzący do kompromisów pomiędzy stronnictwami a więcj do rezultatów niweczających reformy radykalne, jako opierające się na swobodnej dyskusyi zasad i środków, co znowu jest drogą zbyt długą i nie pewną. Nie chce odpowiedzialnych ministrów, bo ta odpowie-



działność zbyt przeważa machinę polityczną na stronę republikanizmu. Chce niepodzielnej władzy monarchicznej i silnej organizacji biurokratycznej, któraby harmonią warstw społecznych uorganizowała i utrzymywała. Usunięcie parlamentaryzmu ze sfery politycznej a przeniesienie go do sfery stosunków pomiędzy przedsiębiorcami a robotnikami, jest cechą charakterystyczną nowój szkoły. Widać z tego że nie jest i nie chce być doktrynerską, że o jedność zasad i konsekwentność w ich przeprowadzeniu wcale się nie troszczy.

W polityce kościelnej uznając Schmoller wielki i poważny wpływ pojęć religijnych, żąda rozdzielenia państwa i kościoła.

Niemniej i pojęcia prawa modyfikują się u Schmollera. Nie uznając w prawie żadnej zasady stałej, odrzuca rękojmie prawa dla własności, odrzuca swobodę testowania; a ściślej mówiąc jedno i drugie robi zależnym od zmiennych prądów wyobrażeń czasowych i zmiennych pojęć o dobru i obowiązku społecznym. Nie zmienia to istoty rzeczy, że przy naruszeniu własności, kładzie pewne uwarunkowania i jakby złagodzenia. Powiada, że państwo nie powinno brać jednym a dawać drugim odrazu, ale stopniowo, a umysłowe i literackie szermierki powinny zawsze wprzód grunt przysposobić. To co się daje, musi być dawane nie w formie podarunku, trzeba to robić konsekwentnie i systematycznie, osłaniając rzecz: to formą podatku, to formą kredytu, to formą ubezpieczenia i t. d.

Ciekawy jest ustęp, w którym Schmoller staje w obronie naukowego socjalizmu. Tu już jego słowa powołujemy. „Komunizm jest szaleństwem, nigdy jeszcze zdrowej myśli nie postawił; niweczy jednostkę i prowadzi do anarchii. Co innego socjalizm. Najszlachetniejsi idealisci hołdowali mu po wszystkiej czasy, osłania on jednostkę i rodzinę a zboczenia jego w tém tylko leżą, że do *sum cuique* gwałtownymi dochodzić chce środkami. Socjalizm w gruncie jest odwrotnym biegunem indywidualizmu; jest również jak ten ostatni uzasadnionym. Egoizm i dobro wspólne, wolność i prawo, rozdzielenie i łączność, jednostka i państwo, indywidualizm i socjalizm: oto są różne nazwy dla dwóch przeciwnych biegunów, około których obraca się życie ludzkie; dla dwóch ostateczności, które równe mają prawo pociągania ku sobie.”

„Plany socjalistów były dotąd niepraktycznymi utopiami; przyczyną tego było, że wywoływała je nauka ekonomii społecznej, stojąca na gruncie ślepych sił natury. Naprzeciw porządkowi naturalnemu, postawił socjalizm prawo. Chodzi przedewszystkiem o swobodę jednostki, mówiła nauka; nie: odpowiadał socjalizm, o powodzenie ogółu. Najwyższa produkcya, mówiła ekonomia społeczna; nie: najsprawiedliwszy podział, odpowiadał socjalizm. Egoizm jest najgłośniejszą sprężyną naturalną, mówili ekonomiści; nie, odpowiadali socjaliści; może być psychologiczno-obyczajowy rozwój ludzkości, który przysposobi, nawet w ekonomicznych stosunkach, ludzi cuotliwych (bez egoizmu). Chodzi o kapitał i zyski z przedsiębiorstw, mówili

ekonomiści; nie, wołali socjaliści, głównie chodzi o dobrobyt największej liczby ludzi i to pracujących." „Są to wszystko antytezy, dodaje. które po części fałszywe, po części prawdziwe są, a prawda pomiędzy nimi leży w pośrodku.”

„Ten idealny element, który tkwi w socyalizmie, mówi dalej, jest to ten sam element, który stworzył korporacyą, państwo, cechy średniowieczne, hanzę, związek miast.” „W kierunku praktycznym, mówi jeszcze S., „w ostatnich czasach działał socyalizm ożywczo; dogmatyzm ekonomii politycznej uległ jego wpływowi; wiele ulepszeń co do pracy dzieci i kobiet w fabrykach, poszło z jego inicjatywy; wywołał ruch stowarzyszeń spożywczych, wytworczych i wzajemnej pomocy.”

Oczyszcza wreszcie S. socyalizm z zarzutów, jakie mu są robione i kładzie je na rachunek radykalizmu i sankiulotyzmu. Zarzut materjalizmu, zazdrości mienia, nienawiści klassowej, składa właśnie na przeciwników socyalizmu.

Nie chcemy jednak wcale rozbierać szczegółowo doktryny S., niepodobna jednak nie zapytać, czy wszystko to co na rachunek socyalizmu liczy, jest istotnie jego zasługą? Czy ekonomiści zajmowali się tylko kapitałem, produkcją, bezwarunkową swobodą jednostki? Czy da się taka ścisła poprowadzić granica pomiędzy wynoszonym przez autora socyalizmem a potępionym przez niego radykalizmem? Granica ta bowiem i w piśmie jego jest pod bardzo wielu względami zatarta.

Wart jest jeszcze wspomnienia ustęp, w którym określa autor cele i dążności stowarzyszenia „Polityki społecznej.” Ponieważ stowarzyszenie to dało początek kongresom w Eisenach, dla zrozumienia więc robót tych kongresów, wypadło nam ustęp ten choć w ogólnych zarysach zamieścić.

Związek polityki społecznej powstał z czysto praktycznych pobudek. Chciano zwrócić uwagę na nowy kierunek umysłowy, usuwając powagę i wpływ ekonomiki dotychczasowej, która to powaga i wpływ, przez członków stowarzyszenia za szkodliwe były uważane. Aby działalność i cele związku ocenić, dość oznaczyć czém on nie chce być. Związek nie zamierza przekształcać i organizować nauki. Nie chce stanowić partji; nie chce nikogo do jakiejś teoryi ogólnej zobowiązywać. Nawet założyciele sami, pomimo że łączą się w ogólności z Englem, Kniesem, Hildebrandem i Roscherem, w szczegółowych kwestiach, w kwestiach mianowicie socyalnych, różnią się z nimi. Jedni zbliżają się do Rodbertusa albo Langego, inni do Raua i starszej szkoły więcćj jak do Roschera. Łączą się tylko w ogólnym pojęciu o bankructwie dawniej dogmatycznej ekonomii politycznej; w kilku głównych zasadach; w metodzie; w niektórych głównych celach co do społecznych reform. Związek nie chce stanowić partji politycznej. Nie chce opierać się na jednej klassie społecznej. Sfera jego działania leży na granicy teoryi i praktyki; chce popula-



ryzować w najlepszym znaczeniu tego wyrazu. Chce rezultaty teorii praktycznie rozbiierać; zarodki nowych idei do dojrzałości doprowadzać; chce obojętność budzić; uczucie obowiązku w wyższych klasach podnosić; działać przeciw zepsuciu i egoizmowi.

„Z umiarkowańszymi,” kończy wreszcie autor, „z pomiędzy naszych manczesterskich przeciwników, na polu praktycznych kwestyi, możemy się częściowo godzić; nie możemy jednak być w zgodzie z Oppenheimem, Lammerem, Bambergerem, Böhmertem, choć się w niektórych punktach jednoczymy; ogólne przeciwieństwo zasad pozostaje pomiędzy nami. Oni nazbyt wyłączenie hołdują egoizmowi, wolnemu współubieganiu, harmonii interesów; my myślimy zupełnie inaczej o stosunku gospodarstwa społecznego do obyczajów, prawa i państwa; my stoimy na historycznym, oni na abstrakcyjno-dogmatycznym gruncie. W największym jednak przeciwieństwie z nami są ci, którzy stoją w usługach kapitału, giełdy, towarzystw akcyjnych. Tych zwalczać jest głównym naszym zadaniem.”

Taka jest w najogólniejszych zarysach fizyognomia najdalej posuniętej nowej szkoły ekonomistów czyli polityków socjalistycznych. Opuścić musieliśmy wiele, skrócić wiele; to co dajemy jest szkielec, ale poniekąd wystarcza to dla naszego przedmiotu, to jest do objaśnienia ogólnych kierunków, celów stronnictwa, oraz natury kongresów z tego źródła wynikłych. Podaliśmy zarys ten bez uwag i krytyki; kilka uwag ogólnych nad całym ruchem ewolucyjnym w ekonomii społecznej zrobimy później; tutaj nadmienimy tylko, czegoby się i tak łatwo czytelnik domyślił, że szkoła, za której przedstawiciela wzięliśmy Schmollera, ma silnych przeciwników w obozach zachowawczych i umiarkowanych i że jeżeli wymierza razy gwałtowne, z mniejszą gwałtownością i bezwzględnością jest przez swych przeciwników traktowana.

Postawimy teraz przed czytelnikiem, przedstawiciela umiarkowanego odcienia nowej szkoły ekonomicznej. Wybraliśmy na ten cel ekonomistę włoskiego, nie dlatego, iżby w Niemczech nie znalazło się do tego egzemplarzy, ale dlatego najprzód, aby dać wyobrażenie, jak idea ewolucyjna w różnych krajach się wyrabia, a powtóre dlatego, że Luzzati nader krótko a jasno myśl swoją wyłożył, co pisarzom i myślicielom niemieckim nie często się udaje.

Obecny na zebraniu ekonomistów francuzkich w Paryżu dnia 6 grudnia 1875 r. Ludwik Luzzati prof. uniwersytetu padewskiego, deputowany i delegat do rewizyi traktatu handlowego pomiędzy Francją a Włochami, interpelowany był przez prezydującego, tak co do ogólnego kierunku przyszłego traktatu, jak co do kierunków jakie przybięra we Włoszech nauka ekonomiczna. Prezydujący tak się wyraził co do tego ostatniego pytania: „Wszystkim członkom Towarzystwa wiadomo, że objawiła się w ostatnich czasach, z pewnym rozgłosem, pretensya odrodzenia nauki ekonomii społecznej i wydobycia jęj z błędów niebezpiecznych, w jakie ją pogrążyli jęj twórcy Turgot, Ad. Smith,



J. B. Say i Bastiat. Jednym z tych błędów i to głównym ma być liberalizm. Manifest téj szkoły czytaliśmy niedawno w *Revue des deux Mondes*, manifest którego nie cechuje ani umiarkowanie, ani przyzwyczajenie<sup>1)</sup>. Niektórzy profesorowie niemieccy na tę samą weszli drogę, nadając sobie nieszczęśliwe nazwisko socjalistów katedrowych. Rzucili się w nieskończone argumentacye, odpowiednio do charakteru narodowego, zkądinąd wiele mającego zalet. We Włoszech wielu zasłużonych ekonomistów miało pójść tą samą drogą."

Zaznaczywszy dalej, że ekonomia społeczna, jako nauka moralna i polityczna, jest nauką wolnej dyskusji i że nigdy za naukę zamkniętą i skończoną uważaną nie była, prosi o udzielenie objaśnień pana Luzzatego, gdyż i jego głos publiczny do nowéj szkoły zalicza.

Luzzati, objaśniwszy stanowisko swoje w różnych kwestyach specjalnych, a zapewniwszy że w nowym traktacie niemasz mowy o powrocie do zasad protekcyjnych, zwrócił się do kwestyj ogólnych i tak rzecz swoje przedstawił.

„Pytanie, które należy postawić, jest takie: czy istnieją dwa prądy, pomiędzy które rozdziela się nauka ekonomiczna? Sądzę, że tak jest. W ekonomii politycznej, jak we wszystkich gałęziach nauk społecznych, dwie metody stoją naprzeciw sobie: metoda metafizyczna albo dedukcyjna i metoda fizyczna albo indukcyjna; jedni wyprowadzają fakta z zasad, drudzy dochodzą do zasad przez staranne rozpatrywanie faktów. Badania statystyczne i historyczne nabierają coraz większego znaczenia. Spotyka się w zakresie gospodarstwa społecznego ten sam fenomen, co w astronomii. Genjusze, jak Kepler, Newton, Laplace, postawiły prawa budowy świata; obecnie astronomia ma przed sobą skromne zadanie, badać i sprawdzać przez obserwacye, zboczenia ciał niebieskich. Ekonomia społeczna eksperymentalna, nie przypuszcza *a priori* ani harmonii, ani koniecznej sprzeczności interesów ludzkich; zrzekając się poszukiwań świata idealnego, ogranicza się na cierpliwém badaniu istoty rzeczy; w porządku i harmonii, odkrywa i zaznacza perturbacye ekonomiczne, kładąc sobie za zadanie usunąć je, jeżeli można, albo je przyjąć z poddaniem, jeżeli są koniecznym wpływem niedoskonałości rzeczy ludzkich. Tu właśnie jest miejsce dla kwestyi tak mocno poruszającej umysły, kwestyi interwencji państwowej w sprawy ekonomiczne."

„Nic jednak prostszego nad to: swoboda ekonomiczna jest regułą, wyjątki od niej usprawiedliwić się winny koniecznością i korzyściami. Państwo jest przede wszystkim organem sprawiedliwości, wyjątkowo stać się może i powinno organem postępu. Jest to armia rezerwowa, która w danéj chwili, występuje na pierwszą linię i rozstrzyga zwycięstwo. Tutaj badanie staje się czysto eksperymentalnym;

<sup>1)</sup> Mowa tu jest o artykule „Les tendances nouvelles de l'économie et du socialisme" w R. d. d. m. z d. 15 lipca 1875 przez de Laveleye.

na każdy pojedynczy wypadek należy oznaczyć udział swobody i udział władzy. Nauka właściwie rozstrzyga; do niej należy rozdzielić w tym udziale, samowolność lub zbyteczność od istotnej potrzeby wpływu władzy, tak samo jak niedostateczność albo dostateczność wolności. Postęp ludzkości jest rzeczywiście ciągłym mienianiem się wpływu swobody i władzy; postępują razem i mieniają się jak światło i cień. Przykład wzięty z dziejów marynarki angielskiej kupieckiej objaśnia tę myśl. Od r. 1848—1854 akt nawigacyjny kruszy się, skala ruchoma ceł upada; porty angielskie otwierają się dla wszystkich żeglarzy. Włochy idą za tym przykładem i od wolności żeglugi handlowej, otrzymują w nagrodę rozwój swojej marynarki i rybołówstwa. Ale jednocześnie interwencja państwowa działał użytecznie, kontrolując budowę i utrzymanie okrętów. W ogólności, udział państwa niepotrzebny w produkcji właściwej, występuje użytecznie w misji higieny publicznej i wychowania publicznego.“

„Rozległość przedmiotu zmusza mówcę do ograniczenia się. Wynurza przecież pragnienie, aby wielkiej subtelności pytanie udziału państwa w sprawach ekonomicznych, było zawsze rozbiegane nader spokojnie i bezstronnie. Egzageracye socjalistów katedrowych są tu tak dobrze nie na swém miejscu, jak twierdzenia absolutne stronników bezwzględnych indywidualizmu. Działanie władzy państwowej samo w sobie, nie może być ani dobroczynnem ani złém; nie zasługuje ani na hymny ani na złożeczenia; analiza tylko okazać może, kiedy jest koniecznem i użytecznem.“

„Myśl ekonomiczna idzie obecnie dwoma równoległemi łożyskami; oby się połączyły, nie ubożąc się! Oto cel szlachetny, do którego zwracać się muszą prawdziwi przyjaciele ludzkości.“

Nie będziem określać téj szkoły ekonomistów, o której pod nr. 3 wspomnieliśmy, jest to bowiem cała dotychczasowa nauka.

Powyższe objaśnienia dają niejako klucz do zrozumienia postawy kongresów ekonomicznych. I tak, w Niemczech spotykamy w dalszym ciągu swych poprzednich zebrań, funkcjonujący kongres ekonomistów liberalnych w Monachium, to jest tych ekonomistów, którzy nie odpychają nauki, którzy chcą owszem godzenia jej ciągłego z praktyką, odrzucają tylko stanowczą dogmatykę; którzy uznają, że tak dobrze władze rządzące, jak działalność prywatna mają wiele do zrobienia i powinny mieć wolne pole działania. W imię téż tego odrzeczenia się dogmatyki, kongres w większości swój okazał się protekcyjnym i przyjął konkluzye przeciwne wolności handlowej; co znowu z jego liberalizmem w niezupełnej było harmonii. Naradzał się jeszcze tenże kongres nad ubezpieczeniami i w tym przedmiocie okazał się nierównie liberalniejszym. System podatkovania, statystyka przywozu z zewnątrz, wyczerpywały program jego.

Kongres drugi z kolei w Eisenach, nie jest właściwie kongresem ekonomistów; sami twórcy tych kongresów dali im nazwę polity-



ki społecznej. Cel i kierunki tego zebrania widzieliśmy w poglądach Schmollera. Jeżeli kongres w Monachium nazwał się liberalnym, kongres w Eisenach nazwałby można z istoty swój antyliberalnym; ale nazwa liberalizmu i anty-liberalizmu nie już właściwie nie wyraża, tak została nadużyta, skrzywioną; do tak różnych celów, wprost nieraz przeciwnych sobie, została w Niemczech mianowicie użyta.

Trzy przedmioty były na porządku dziennym: podatek od dochodu, czeladź rzemieślnicza czyli uczniowie rzemiosł i reforma monetarna. Prezydujący Nasse, professor w Bonn, w przemowie zagajającej, odrzekął się w imieniu kongresu myśli wytwarzania nowej doktryny ekonomicznej; windykował tylko dla niego misją budzenia ze snu klas możliwych, którym się zdaje, że socjalizm jest tylko wynikiem knowań agitatorskich, kiedy przeciwnie jest on wynikiem widoku bogactw skandalicznie nabytych. Że w kwestyi podatków, kongres oświadczył się za podatkiem dochodowym progressywnym, to wypłynęło z natury i celów kongresu; ale zadziwić może kogoś takiego, który potrafi się obecnie jeszcze czemuś dziwić, taka teoria w przedmiocie systemu podatkowego postawiona przez Nassego: „Repartycja równa, czyli sprawiedliwość repartycji podatkowej, jest rzeczą drugorzędną; rzeczą główną są potrzeby skarbu, które zaspokojone być muszą, choćby kosztem sprawiedliwości, dążyć jednakże potrzeba do sprawiedliwości.“ Bezwątpienia tak jest i tak być musi, ale tak jest nie z uznania zasady ale z konieczności, z uznania niedokładności robót ludzkich i ze względu na to, że wszystko, tak w sprawach pojedynczego człowieka, jak w sprawach państwowych, doskonalić się musi z czasem i w samej praktyce. Nikt też się jeszcze nie posunął do zamienienia tego *malum necessarium* w teorię. Jak dalece Nasse jest niekonsekwentnym w takim postawieniu kwestyi, dosyć wskazać na to, że przeciągnąwszy jego tryb rozumowania do innych czynności państwowych, musiałoby się powiedzieć: że w urzędzeniu poczt przez państwo, celem nie jest dogodność publiczna lecz bezpieczeństwo i szybkość przesyłek; że w urzędzeniu policji nie chodzi o pokój i bezpieczeństwo publiczne; że w zakładach wychowawczych rządowych oświata nie jest głównym celem: że zgoła wszędzie, gdzie interes państwa z dobrem społeczeństwa się łączy, toż dobro jest rzeczą podrzędną. Tą drogą rozumowania idąc, można dojść do obudzenia istotnego wstrętu do władzy i działania państwowego; co przecież nie może i nie powinno to nigdy leżeć w zamiarach roztropnego obywatela, tém mniej ekonomisty tej szkoły, która usuwa wszelką inicjatywę prywatną w sprawach ekonomicznych a pragnie jak najszerszej interwencji władz państwowych. Zastęgiwałaby na bliższy rozbiór mowa Schmollera, w której usiłuje wykazać potrzebę dwóch organizacyi, z jednej strony robotników pomiędzy sobą, z drugiej przedsiębiorców pomiędzy sobą. Mówca jest tego dziwnego zdania, że pokój i harmonia pomiędzy nimi wtenczas dopiero nastąpić może, gdy dwa obozy staną naprzeciw sobie uorganizowane czyli gotowe do walki. Musimy się jednak ograniczać i przechodzimy do zjazdu ekonomistów austriackich w Wie-



dniu. Tu walka zasad i teorii wyszła tylko pod jedną formą, to jest przewagi protekcyjizmu nad zasadą wolno handlową. Rozważano jeszcze kwestye systemu podatkowego, taryf kolei żelaznych, reorganizacji banku, ze stanowiska głównie potrzeb i interesów miejscowych.

W ojczyźnie Luzzatego, we Włoszech, widać przeważa ten praktyczny i jasny pogląd na sprawy ekonomiczne, jaki widzieliśmy w jego mowie. Zaszło i tam rozdwojenie w obozie ekonomistów i zawrzała walka stronnictw; czy przez naśladownictwo Niemców, jak utrzymują przeciwnicy młodej szkoły, czy z własnego impulsu, jak utrzymują ci ostatni, nie potrafimy rozstrzygnąć, skoro sami Włosi o to są w sporze. Zdaje się jednak, że zasady socjalistowskie nie musiały tam tak silnie zapanować jak w Niemczech i że istotnie tylko dwie metody, wskazane przez Luzzatego, walczą tam przeciwko sobie, kiedy ekonomiści włoscy zamiast rozdzielić się na dwa przeciwne sobie kongresy, zgodzili się na wspólnym wypróbować przeciwne sobie pojęcia, obierając praktyczne bieżące kwestye. Zjazd odbył się w Medyolanie w styczniu r. z.. Walka na nim była poważna i gruntowna, według opinii człowieka nader kompetentnego do wydania sądu, to jest historyka Cezara Cantu. Trzy było przedmioty, które rozbiegano: 1) praca dzieci po warsztatach 2) urządzenie kas oszczędności połączonych z urzędami pocztowymi i 3) emigracja. Co do wszystkich tych kwestyi przyszło do stanowczych konkluzji i co do wszystkich, dla wprowadzenia ich w życie, uznano udział czynny władz rządowych jako pożyteczny a nawet konieczny.

W Anglii odbył się w r. z. 19 zjazd stowarzyszenia do postępu nauk społecznych w Brighton. W obradach jego podobnie jak w obradach zjazdu zeszlorocznego w Głazgowie, nie odbiło się rozdwojenie w pojęciach ekonomicznych. Wymienia wprawdzie de Laveleye i w Anglii kilku pisarzy, którzy od tradycyjnych zasad w nauce zaczynają się oddalać; wpływ ich dotąd musi być mały albo żaden, skoro się nie uwidocznili w zebraniach stowarzyszenia. Anglicy w zakres nauk społecznych wprowadzili, oprócz samej ekonomii społecznej, wychowanie publiczne, higienę publiczną i prawodawstwo. Na tyle też sekcji podzielone są zebrania kongresowe. I tu obok wielu kwestyi miejscowego interesu, wystąpiła kwestya będąca na porządku dziennym wszędzie: traktatów celnych i taryf. Niezmierny wzrost komunikacji międzynarodowych, wzrost przemysłu i jego liczne kryzysy, potrzeby finansowe z wielkich uzbrojeń wynikłe, nadają tej kwestyi pierwszorzędne znaczenie. Znane są powszechnie koleje idei wolnohandlowej, słynny traktat pomiędzy Francją i Anglią oraz dalszy postęp na tej drodze innych krajów. Niebawem nastąpił zwrot wsteczny. Ameryka, po wojnie domowej, w interesie skarbu a więcéj jeszcze w interesie zwyciężkiego stronnictwa, zamknęła granice swoje cłami zakazowemi. Francya, po wojnie niemieckiej, za powództwem Thiersa, poszła za tym przykładem. W Niemczech

pomyślność finansową Francyi przypisano téj głównie przyczynie; zaczęto więc wzdychać do zasad restrykcyjnych. Jednocześnie w Bawaryi, Prusach, w Austrii objawiły się w izbach i jak widzieliśmy w kongresach zdania a nawet większości, żądające ścięsen. Włochy również z potrzeb fiskalnych wychodząc, chcą podnosić cła. Kampania reakcyjna przeciw idei wolnohandlowej wszędzie nieomal jest otwarta i podsycają ją jak się wyraził Grant Duff na kongresie angielskim, interesa egoistyczne. Mówca angielski ma nadzieję, że wyjdzie z téj próby zwycięzko; patrząc na to co się dzieje wokoło, trudno w zupełności podzielać jego optymistyczne nadzieje. Czy ubolewać nad tém? czy cieszyć się należy? każdy z inaczéj interesowanych, inaczéj na to pytanie odpowie. Zapatrując się nie ze stanowiska interesów specjalnych, ale ze stanowiska ogólnego dobra, przychodzi się do uwagi, że jak z jednéj strony szybkie przeprowadzenie zasady wolnohandlowej, wielkie perturbacye zrządza w łonie pojedynczych krajów, ubezsilnia słabsze i uboższe i wzmaga zależność jednych od drugich, tak z drugiéj strony zwrot do systemu zakazowego wzmagać musi separatyzm państwowy, zaostrzać egoizm narodów, a rosnąc jak każda reakcja, doprowadzić musi kraje, ściśnięte w swém życiu ekonomiczném do szukania, siłą dróg życia. Zwrot do wojen handlowych i taryfowych staje się w takim razie bardzo prawdopodobnym. Z tego punktu widzenia rozpatrując agitacyą dzisiejszą, żałowaćby należało, gdyby rządy znalazły się zmuszone opuścić drogę powolną, stopniową, wiodącą ku coraz szerszej przewadze zasad wolnohandlowych. Żałowaćby mianowicie należało ogromnych kapitałów rzuconych w komunikacye, które przy systemie zakazowym byłyby w większej części straconemi.

Opuścić musimy ciekawy obraz skutków prawodawstwa kryminalnego w Anglii, jaki na kogresie w Brighton został przez jednego z mówców stawiony; niemniej ciekawy obraz wychowania publicznego tamże. Nie chcemy wyłącznie zajmować się Anglią pod temi względami, a kongresy ekonomiczne innych krajów, jako wyłącznie ekonomiczne, nie przedstawiają żadnego porównawczego materiału. Wprawdzie odbywały się i w innych krajach zjazdy pedagogów lub nauczycieli ludowych. Czytaliśmy np. z wielkiem zajęciem wiadomości w piśmiech naszych o naradach i zebraniach nauczycieli galicyjskich; dane jednak są niedostateczne, aby na nich sąd jakiś oprzeć można: miały one na celu, zdaje się, więcej wzajemne oświecanie, jak obmyślanie nowych środków i kierunków w oświacie ludowej. Materiału z innych krajów nie spotkaliśmy, przedmiot więc ten ważny z prawdziwym żalem, musimy w zupełności pominąć.

Zaznaczamy, zanim pójdziemy dalej, że kongresy nauk społecznych angielskie przedstawiają, w tém zebraniu czterech gałęzi gospodarstwa społecznego, nierównie większe bogactwo i różnorodność, większe zajęcie, jak kongresy czysto ekonomiczne innych krajów. Idea nauki społecznej wychodzi tym sposobem w pojęciach ogółu organicz-



nie a nie oderwanie; związek nauk pokrewnych jest uwzględniony. Unikną też może Anglicy, tym sposobem, owego rozpadnięcia się ekonomistów na obozy przeciwne; zwalczające się nawzajem w niechętnych sobie zjazdach.

Opuścić musimy również roboty sekcji ekonomistów na zjazdach uczonych francuzkich, jako nieprzedstawiających ogólnego interesu a zatrzymamy jeszcze na chwilę uwagę czytelnika na dwóch kongresach specjalnych, to jest: na kongresie towarzystw kooperacyjnych w Anglii i na kongresie paryzkim stowarzyszenia ekonomii miłosierdzia (*economie charitable*) jako typach odrębnych.

Kongres kooperatorów angielskich odbył się przedostatni w Halifax, ostatni w Londynie 30 marca r. z.; walka kapitału i pracy była przedmiotem mowy zagajającej p. Rodgers prezydującego zebraniu. Mówca mniema słusznie, że walka ta niepowinna mieć miejsca, bo kapitalista jest robotnikiem, wprowadzając w życie swój kapitał; robotnik nawzajem jest kapitalistą, który umieścił swoje oszczędności w swém uzdolnieniu techniczném; to uzdolnienie techniczne jest nagromadzoną i oszczędzoną pracą, równie jak majątek kapitalisty <sup>1)</sup>. W walce pracy i kapitału musi wreszcie uleść. Trades-Unions czyli zorganizowane stowarzyszenia robotnicze przedłużają tylko walkę, ale jój nie usuwają, bo stowarzyszenia coraz będą tracić na swój mocy, gdyż widzimy fakt niezaprzeczony, że kapitały dążą do skupiania się w coraz mniejszą liczbę rąk. Stowarzyszenia (*Trades-Unions*) mają zasługę, że ułatwiły edukacją polityczną i społeczną robotnika. Prawdziwy środek pogodzenia kapitalisty i robotnika jest w połączeniu ich w stowarzyszenia współdziaławcze (kooperacyjne).

Jeden z mówców pochwalał banki według systemu Schulze-Delitsch; powstano na to i uznano je za niestósowne dla Anglii, dla tego: że pożyteczne one mogą być tylko tam, gdzie jest liczna klasa drobnych rzemieślników i handlujących. W Anglii właśnie stowarzyszenia spożywcze głównie mają za cel usunąć pośrednictwo kramarzy i przekupniów a przemysł fabryczny usuwa coraz bardziej klasę rzemieślników na własną rękę małe warsztaty prowadzących.

Stan kooperacyi w Anglii jest następujący <sup>2)</sup>: towarzystw zarejestrowanych było z końcem 1873 r.: 1292. Z tych w Anglii 792, w nich liczba członków 340,930, kapitał akcyjny 83,352,000 franków, depozyta 10,759,200 fr. Cyfra sprzedaży doszła do 284,000,000 fr., procent od kapitału wyniósł 3,823,000, czysty zysk 23,968,000; z tego akcyonaryusze pobrali 21,549,000, nieakcyonaryusze 483,000.

<sup>1)</sup> Przeciwno teorii takiej i teoryom jój pokrewnym występują najmocniej socjaliści, niemieccy w szczególności, wskazują zarazem na kapitały niegodziwemi środkami nabyte; jak gdyby zgromadzenie kapitału niegodziwemi środkami było regułą a nie wyjątkiem.

<sup>2)</sup> Cyfry podane są urzędowe, sięgają po koniec 1873 r.; obliczenie na franki zostawiamy według pisma francuzkiego, z którego czerpiemy.



W Szkocyi towarzystw 188, liczba członków 46,771, kapitał akcyjny 5,971,000, depozyta 1,623,000, obrót sprzedaży 49,205,000, procenta 302,100, zyski 3,737,000. Różnica pomiędzy liczbą stowarzyszeń na początku podanych a położonych w szczegółowym obliczeniu pochodzi ztąd, że nie wszystkie nadesłały swoje rachunki, obliczono tylko 980. W ogóle liczba rodzin złączonych w Wielkiej Brytanii w stowarzyszenia spożywcze jest 387,703, co pomnożone przez pięć, jako przeciętną cyfrę osób rodzinę składających, daje liczbę osób 1,938,515, więc na 25 milionów ludności, blisko dwunasta jej część. Kapitał z depozytami dochodzi do stu milionów franków. Stowarzyszenia współdziaławcze produkcyjne, daleko mniej się rozwinęły; liczono ich 13 w Anglii a 3 w Szkocyi. Znane Roczdalskie główne cyfry stanowi i zupełnie góruje nad innemi; obrót jego wynosił 4,849,175 fr., wszystkich innych 865,600 fr. Zauważyć jednak należy, że niektóre z towarzystw produkcyjnych powstały pod firmą bezimiennych i nie weszły w to obliczenie. Taż sama forma dała początek stowarzyszeniom do kupna placów i budowy domów: takich towarzystw było w r. 1874 w Anglii 25, Szkocyi 5.

Stowarzyszenie *d'Economie charitable* powstało w Paryżu, a jak paragraf 1-y jego statutu opiewa, zawiązało się dla rozbioru pytań mających na celu podniesienie fizyczne, moralne i umysłowe warstw społecznych pracujących lub cierpiących. Na kongresie jaki w r. z. odbyty był w marcu, rozbiegano wyłącznie ważną kwestyą stowarzyszeń syndykalnych. Musimy najprzód objaśnić znaczenie tego rodzaju stowarzyszeń.

Nie w skutek inicjatywy prawodawczój, ale z uznania potrzeby, robotnicy paryzcy pojedynczych lub połączonych kilku rzemiosł wiązać się zaczęli w stowarzyszenia tak zwane syndykalne, opisane właściwemi statutami, według których wybrane komitety, mające rozległe atrybucye, zarządzały wspólnemi sprawami stowarzyszonych. Kilkakrotnie władze wystąpiły przeciw nielegalności tych stowarzyszeń; umiarkowaniem jednak postępowania i widoczną pożytecznością swoją, zdołały syndykaty te zdobyć dla siebie tolerancją prawa. Z czasem sami nawet przedsiębiorcy, czyli jak ich nazywają we Francyi patronowie, łączyć się zaczęli z niemi i tworzyć syndykaty mieszane. Mieszane te syndykaty rozstrzygają spory pomiędzy robotnikami i przedsiębiorcami, ustanawiają taksy wynagrodzeń, urządzają kassy oszczędności, zakładają biblioteki i czytelnie dla użytku stowarzyszonych i t. d.

Na tę formę mieszanych syndykatów zwrócono głównie uwagę na kongresie wyżej wspomnianym. Wynurzono życzenie, aby dobry ten wzór znalazł jak najrozszerzenie, i aby jak jedni chcieli, wyjednać dla niego opiekę; jak inni chcieli, tylko sankcyą prawa. Były zdania w łonie kongresu, że rozszerzenie się syndykatów będzie zwrotem do instytucji cechów, które rewolucya zniósła. Odpowiedziano im słusznie, że obawa ta jest przesadzona. Instytucya

syndykatów może mieć istotnie korzyści cechów a nie mieć ich stron szkodliwych. Pomoc, opieka, łączność w celach pożytecznych, godzenie sporów w domu i przez swoich, były to niewątpliwie strony dobre; monopoliczność, zamknięcie w sobie, przymus rozciągany nad jednostką, chcącą pracować niezależnie, były strony wadliwe cechów. Tym wadliwościom łatwo zapobiedz teraz, a nawet właściwie niepotrzeba im zapobiegać; prawa, obyczaje dzisiejsze, już im same przez się kładą stanowczą tamę.

Wytworzenie się mieszanych syndykatów we Francji, jakkolwiek rzecz ta nie nabrała dotąd dostatecznej rozciągłości, jest faktyczną odpowiedzią na teorie katedrowych socjalistów, odsądzających naprzód swobodę ekonomiczną od wszelkiej pożyteczności, a zrzucającej na nią odpowiedzialność za wszelkie złe obecne; powtóre, dążących do tego, aby dzielić a nie łączyć przeciwne interesa, uzbrając je przeciw sobie i drażnić podejrzeniami, rzucanemi na prawowitość kapitału i sposób jego wytwarzania się.

Ta ostatnia uwaga przenosi nas do zarzutów i oskarżeń, postawionych przez nowe szkoły ekonomistów nauce dotychczasowej. Zebrał je i sformułował de Laveleye, ekonomista belgijski w wyżej wspomnianym artykule pisma *Revue des deux Mondes*. Nie oddzielił tylko i nie rozróżnił szkoły radykalnej i szkoły umiarkowanej. Nie leży w naturze i zakresie tego pisma, iżbyśmy zarzuty te i oskarżenia, oraz kierunki różnych szkół do gruntu i w całej obszerności rozbierali. Wymagałoby to osobnej, obszerniej i gruntownej pracy. Ograniczymy się na kilku uwagach, jakie się nam nasręczyły.

Najprzód zauważmy że szkoła Eisenachska, właściwie do szkół ekonomicznych zaliczaną być nie powinna. Sama ona tak tę rzecz pojmuje, inne sobie dała miano, inny znalazła punkt oparcia, naukę ekonomiczną uważa za przepadłą a o budowaniu nowej nie myśli. Jój punkt wyjścia w traktowaniu przedmiotów praktycznych, jest odrębny. Wprawdzie nie masz i nie może być granic zupełnie ścisłych pomiędzy naukami jednej rodziny, jaką np. są nauki moralno-polityczne, ale są pewne cechy, według których można oznaczyć, która z tych nauk może i powinna służyć za punkt wyjścia i oparcia przy poruszaniu jakiejś kwestyi, a które inne z nauk pomocniczo tylko mogą być użyte. Nie ulega wątpliwości, przy bliższém rozpatrzeniu się, że rozbiór np. prawa własności, prospektywowego rozdziału mienia ogólnego, nowych tytułów posiadania, wytykanie nowych linii dla reform społecznych, muszą tam szukać swego punktu wyjścia i oparcia, gdzie są właściwe korzenie, podstawy tego wszystkiego. Forma i istota prawa własności, prawa posiadania, urzędzeń i zasad społecznych, są, jużto w prawie natury, jużto w prawie pozytywneńm, jużto w ustawie politycznej państwowej, jużto w głębi przekonań jednostek, na które się składają historyczne, religijne i obyczajowo materialne. Względy ekonomiczne i całe współdziałanie nauki ekonomicznej, jest tu tylko pomocnicze, drugorzędne; pomijane być nie mo-

że, bo jak doświadczenie uczy, wzgardzone przez politykę zasady i względy ekonomiczne, mszczą się srogo, podkopując całą budowę, ale ich miejsce nie jest naczelne. Eisenachska też szkoła, w prawie i polityce obrawszy sobie gniazdo, z rzędu nauk ekonomicznych się usunęła. Kwestye ekonomiczno-praktyczne, które porusza, służą jej za broń, za narzędzie, ale nie są jej celem. Nie idzie za tém, aby nią wzgardzić i za nic jej nie mieć. Jest to, bądź co bądź, ciekawy fenomen, ale fenomen politycznej natury. Oryginalnością wcale się nie odznacza, znane są doskonale wszystkie źródła teoretyczne, i wszystkie wzory praktyczne, z kąd czerpano; oryginalność leży w tém, że ludzie pewnego stanowiska naukowego podjęli tę doktrynę i że powstała wśród wygórowanych roszczeń niemieckich do przewodniczenia światu. Metodę jej postępowania względem socjalizmu, możnaby uważać za zastosowanie sposobu szczepienia ospy krowiej do rzeczy społecznych. Co z téj próby wyniknie? Nie chcemy wróżyć—czas to pokaże.

Usunięcie téj szkoły z zakresu i gruntu ekonomicznego, nie usuwa zarzutów, jakie w niej i po za nią sformułowane zostały przeciw zasadom nauki gospodarstwa społecznego. Redukują się one przy ścisłym ich zbadaniu do dwóch: 1) że założyciele stawiali zasady podstawowe *a priori*, 2) że te zasady błędnie oznaczone zostały w skutek błędnej metody.

Jako błędne zasady wskazują przeciwnicy: optymizm, polegający na przecenianiu przymiotów piérwotnej natury człowieka; przesadne ocenienie zalet swobody pozostawionej samej sobie; mylne poszukiwanie harmonii interesów na drodze równowazenia się dobrowolnego interesu każdej jednostki z interesem innej jednostki; fałszywe pojęcia o istnieniu pewnych praw ogólnych, przyrodzonych, służących za punkt wyjścia i oparcia dla nauki ekonomicznej.

Myliłby się ktoby mniemał, że zarzuty te są nowe. Dawno one krążą po różnych dziełach wprost przeciwnej sobie natury. Czy jest coś nowego, coby jeszcze powiedzieć można o wadach i nadużyciach egoizmu i indywidualizmu, o złych skutkach wolnej konkurencyi, o nadużyciach swobody ekonomicznej, o nierówności pozycyi stron kontraktujących, o eksploatacyi pracy przez kapitał?

Prostowano, uzupełniano w skutek tego wykłady naukowe. Metoda weszła na inną drogę, badania historyczne, porównawcze, analiza faktów rozszerzyły i podniosły naukę, oczyszczając ją z wielu błędów i niedokładności. Nie można powiedzieć, iżby przy téj robocie, nie jedna jej część składowa, nie wyszła przeistoczona. Padło nie jedno, przerobiono nie jedno, wiele jest do zrobienia. Ta sama odległość jaką widzimy pomiędzy nauką fizyokratów a 'nauką Ad. Smitha, większa może jeszcze jest pomiędzy tym ostatnim a Millem, Roscherem, Kniesem. Ruch ten jest ciągły. Nauczono się starannie odróżniać co jest ogólne a co się odnosi do miejsca i czasu i jest to jedna z najważniejszych zdobyczy nauki. Powtarzamy, wiele jest jeszcze



do zrobienia na tój prawidłowój drodze. Ile czasu potrzeba na wyrobienie się istotnych prawd ekonomicznych rozleglejszego znaczenia, za dowód niechaj posłużą kwestye: renty gruntowój, przez tyle czasu i osób rozpatrywanój, coraz inaczej stawianój; kwestya bilansu hadlowego podważona w kierunkach wprost sobie przeciwnych; kwestya obfitości monety, także wcale dotąd nie rozbita i inne. Zdaje się jednak być pewnym, że tylko posiłkując się wszystkimi metodami, rozszerzając swe pole, wcielając ciągle nowo odsłonięte naukowe zdobycze, doświadczając, porównywając, badając dziejei obecność, a nie rujnując i wywracając, może dojść nauka do ostatecznego sformułowania się i pogodzenia szkół. To pogodzenie szkół jest widocznie warunkowe. Nietylko prawdopodobne ale naturalne, a więc konieczne jest zlanie się szkół różniących się w metodzie, szkół, z których jedna wcale nie odpycha eksperymentacyi o ile ta okaże się gruntowna i pożyteczna, a druga nie odpycha praw ogólnych, o ile własną metodą do ich sprawdzenia przyjdzie. Niepodobnym przecież zdaje się zbliżenie się z taką szkołą, która zupełnie od gruntu ekonomicznego odbiegła i całą naukę dotychczasową odrzuciła.

Ważniejszém dla nauki od innych pytaniami i mniej dotąd od innych pytań rozbieraném jest to: czy są rzeczywiście pewne prawa ogólne, na których nauka społeczna opierać się może i powinna, czy ich nie masz, jak utrzymują radykaliści i empiryści ekonomiczni; czy każda kwestya społeczno-ekonomiczna winna być rozwiązywaną według danych wskazanych przez czas i miejsce tylko; czy warunek czasu i miejsca odnosić się ma tylko do pewnego szeregu pytań i do pewnej strony pytań, modyfikując ogólne prawa, ale ich nie naruszając?

Herbert Spencer w dziele swém *Introduction à la science sociale*, (*Bibl. sci. intern.*) powiada co do tój kwestyi: „we wszystkich fenomenach przyrodzonych, charakter agregatu, czyli połączenia pierwiastków, jest zdeterminowany charakterem jednostek, które ten agregat stanowią.” Przenosząc ten ogólnik do specjalnej kwestyi istnienia zasad nauki społecznej, powiada dalej: „musi być nauka społeczna, wyrażająca stosunki wzajemne jednostki do społeczeństwa, z całą dokładnością, jaka jest możliwa przy pracach tój natury. Nauka ta, w społeczeństwach różnej natury, od najbardziej dziecinnych do najwyżej posuniętych, winna ustalić: jakie są cechy wspólne wszystkim i płynące z natury wspólnej wszystkim ludziom; jakie są cechy mniej ogólne, właściwe pewnym tylko grupom społecznym, wypływające z odrębności właściwych rassom; wreszcie jakie są w każdym społeczeństwie odrębności, które odnieść należy do różnic w jednostkach. Nauka ta ma więc za przedmiot budowę, funkcyonowanie, wzrost tego agregatu społecznego, jako wypadkowój summy z działania wzajemnego na siebie ludzi, których natura zawiera w sobie rysy wspólne wszystkim, rysy właściwe tylko rassom i rysy jednostkowe.” Wprawdzie H. Spencer ustalenie ostateczne praw takiej nauki uważa za najeżone trudnościami, z powodu różnicy interesów wprost sobie

przeciwnych. To nam téż tłumaczy powolne wyrabianie się nauki społecznej, antagonizm, jaki nieraz spotyka szkoła, na jakie się dzieli. W oceniu np. natury ludzkiej w ogólności i w scharakteryzowaniu jej rysów zasadniczych różnili się ludzie bardzo i różnią się dotąd. Filozofom XVIII wieku, zarzuca nowa szkoła ekonomistów, że ich optymizm, ich upatrywanie doskonałości w pierwotnej naturze ludzkiej, odbiło się nietylko w rewolucyi francuzkiej, ale przechodząc poprzednio do zasad tworzącej się wówczas ekonomii politycznej, wniosło do niej fałszywe pojęcia o wolności i porządku naturalnym. Można by na to odpowiedzieć, że pesymizm i zapatrywanie się na człowieka, jako na zwierzę potrzebujące obroży i łańcucha wydał Machiawela i Hobbesa, oraz tych wszystkich, którzy ich zasady w praktyce stosowali. Ale czy nie właściwiej odrzucić te dwie widocznie błędne ostateczności a przejść do pojęć w tej mierze, które zdają się jedynie odpowiadać rzeczywistości, a mianowicie uznać że jest wiele dobrego i wiele złego w człowieku; że jednak ilość dobrego musi przeważać. Gdyby bowiem summa złego i dobrego była taż sama, równoważyłaby się, a wszelkie ulepszenia, wszelki wzrost sprawiedliwości i porządku byłby niemożliwy. Zwroty zaś, upadki, błędy ludzi i społeczeństw wskazywać się zdają, że summa dobrego jakkolwiek przeważa, ale w skromnej tylko mierze.

Frakcyja radykalna ekonomistów stanowczo staje po stronie pesymizmu i przyjmuje go ze wszystkimi następstwami, jakie za sobą pociąga. Jak to zapatrywanie się pesymistyczne ma swój cel, tak musi mieć swój cel i zaprzeczenie wszelkich punktów wyjścia, wszelkich praw ogólnych natury ekonomicznej, któreby za oparcie nauce służyć mogły. Aż zanadto jest widocznym, że zaprzeczenie to jest naciąganym, ale w jakim celu? Zdaje mi się, że nie w innym, jak żeby ze stanowiącemi ją zasadami ogólnemi pochować naukę samą, a w miejsce jej stawiając prosty empiryzm i dowolność, dać dosyć wolnego pola dla maksymy, że siła faktu idzie przed wszelkiem naukowym prawem. Jest w tém całym zachowaniu się nowej szkoły i zwątpienie i widoczny wstręt do swobodnego funkcyonowania działalności ludzkiej. Jużto w ogólności wolność jest dziś bardzo zdyskredytowaną: jedni nieznoszą wolności sumienia, inni wolności woli, inni wreszcie wolności ekonomicznej, nie mówiąc już nic o wolności politycznej, która ma może więcej jak inne przeciwników. Rzeczywiście wolności trzeba umieć używać i trzeba jej być godnym, musi ona mieć za podstawę moralną wartość i siłę. Ekonomiści radykalnej grupy zapominają jednak, że sławna i bezwątpienia bardzo jednostronna maksyma: *laissez faire, laissez passer*, była hasłem reakcyjnym przeciwko takim błędom administracyjno-ekonomicznym, jakie bezwątpienia jużby się powtórzyć nie mogły. Dosyć przypomnieć obchodzenie się Hiszpanii z koloniami i krajami podbitymi, politykę kolonialną i handlową Anglii, prawodawstwo wewnętrzne ekonomiczne we Francyi. Zapominają i to jeszcze ci ekonomiści, że możność porównywania



dzisiaj skutków zbytecznej albo szkodliwej interwencji państwowej, ze skutkami nadużyć i niedostatków swobody ekonomicznej, winni tylko tej ostatniej, i że właściwie skutkiem zrobionych doświadczeń i możliwości porównania, będzie winna ludzkość to, że znajdzie prawdziwy stosunek pomiędzy korzystnym i koniecznym udziałem władzy, a udziałem rozsądnym i dobrze zrozumianym wolności i że władza sama, będzie o właściwości i kierunkach swojego działania dostatecznie oświeconą.

Trudnoby również było przekonać ludzi, że interes osobisty nie jest jedną z najsilniejszych pobudek działania. To pewna, że ci ekonomiści, którzy o zupełnym zniszczeniu egoizmu w sprawach ekonomicznych, za pomocą specjalnie przez nich obmyślonych teorii i reform społecznych, marzą, muszą wprzód rozprawić się z darwinizmem i postawioną przez tę szkołę teorią walki o byt. Skromniejsze ale możliwsze zadanie, niż zadanie zupełnego zniszczenia egoizmu, jest: uznanie go w zasadzie a razem obmyślanie środków równoważenia jego zapędów i zaślepień i kierowanie nim do celów użyteczności publicznej. Dawno przed zjawieniem się najnowszych szkół ekonomicznych, wiedzano dobrze, że to jest czynnik, przeciw którego zapędom i zaślepieniom najsilniejsze hamulce i przeciwdziałacze obmyślać należy. Wielką zasługą, powtarzamy, o czym już poprzednio wspomnieliśmy, nowszych ekonomistów nieradykalnych, jest wprowadzenie do nauk uznania dla pobudek i celów religijnych i moralnych i dla ważności ich w sferze ekonomicznej. Wielką zasługą ich są wskazania prawodawczych środków powściągających nadużycia interesu osobistego wszędzie tam, gdzie naprzeciw siebie stoją strony nierównymi środkami obrony zaopatrzone. Wielką wreszcie zasługą ich: uznanie, zbadanie i zastosowanie stowarzyszeń w formach właściwym celom odpowiadających. Stowarzyszenia, skupiając siły, organizując pracę, zapobiegają zbyt bezsilnemu w wielu razach indywidualizmowi, nie niweczając jednostki; powstrzymują gwałtowność konkurencji i ukracają jej zapędy. O to też właśnie chodzi, bo zupełne zabicie działalności jednostki i współubiegania sprowadziłoby śmierć ekonomiczną.

Aby zaś aggrupowanie wszystkich zajęć ludzkich we wspólki i stowarzyszenia, korporacje, przy usunięciu indywidualnej własności lub ograniczeniu jej do *minimum* i równomiernym podziałem korzyści z pracy, miało konkurencją i egoizm usunąć; pozwalamy sobie jak najmocniej o tym wątpić. Wiadomo, że wspólki, korporacje, wszelkie interesem wspólnym połączone zbiorowiska ludzi, mogą ulegać tym samym namiętnościom co jednostki, jeszcze pomnożonym przez liczbę jednostek je składających. Pamiętne są z historii wieków średnich współubiegania, walki i nienawiści stronnictw wyobrażających przeciwne interesa: cechów, korporacji, miast, rzeczypospolitych. Widoczne są dotąd jeszcze wyłączości egoistyczne stanów, kast, plemion. Egoizm społeczny niemiecki w stosunku do wszelkiego obcego elementu najlepiej znają Słowianie. Widoczne są wreszcie stosunki mię-



dzynarodowe, wcale nienacechowane brakiem egoizmu i konkurencyi. Egoizm narodowy angielski poszedł w przysłówie a egoizm narodowy pruski dorównał mu w ostatnich czasach, jeżeli go nie prześcignął. Konkurencyja i egoizm grup całych miałyby więc w danych razach daleko groźniejszy charakter a cóż dopiero mówić o skoalizowanych interesach mass ludności, przeciwnymi interesami rozdwojonych.

W ogólności w robotach socyalistów katedrowych, jeżeli z jednej strony widzimy prawdziwe ale przesadzone współczucie dla klass upośledzonych i istotną ale również przesadzoną surowość dla wad wśród klass wyższych, to z drugiej strony, w robotach tych dostrzegać się daje, widoczne i wielkie zwątpienie o sile moralnych środków działających wewnątrznie na sumienie człowieka i gonienie za środkami, któreby ten brak zastąpić mogły. Środki te, sądzą oni, że już znaleźli; mają one polegać na ograniczeniu jednostki przez wprężenie jej we współkę i opasanie wszystkiego władzą państwową. Niepodobna odmówić pewnej względnej, właściwymi warunkami określonej, pożyteczności jednego i drugiego środka. Zwracamy jednak raz jeszcze uwagę na aksyomat stawiony przez H. Spencera: że charakter agregatu jest zdeterminowanym przez charakter jednostek, które ten agregat stanowią. Zawsze więc zwrócić się wypadnie przedewszystkiem do działania na sumienie i wolę pojedynczych i w tém upatrywać fundament każdej trwałej roboty czy to społecznej czy politycznej. Tą drogą zawsze szedł chrystyanizm, dla tego sądzymy że szkoła polityczno-socyalna, o ile zdaje się wstępować na kierunek przeciwny, oddala się od prawdziwego ducha nauki chrześciańskiej.

Spieszmy się zamknąć te nazbyt może szerokie a przecież niewyczerpujące, nad ruchem ekonomicznym współczesnym uwagi; nie mamy przecież na sumieniu wyrzutu, iżby się one nie łączyły z głównym pisma przedmiotem; sądzymy owszem, iż go do pewnego stopnia objaśniają.

Zbierając i porównyując to wszystko, cośmy o kongresach naturalistów i ekonomistów powiedzieli, nastreczałyby się pewne uwagi ogólne o kierunkach umysłowych współczesnych, o różnicach rezultatów, do jakich się dochodzi przy obraniu innego punktu wyjścia, o niedostateczności podstawy do tworzenia systematów całość rzeczy ludzkich obejmować mających, kiedy się z jednego odosobnionego szeregu nauk wychodzi; ale uwagi te odkładamy na koniec niniejszej pracy, kiedy i inne jeszcze, równie ważne pola działalności społecznej obejrzymy. Zaznaczamy tylko jedną uderzającą różnicę pomiędzy naturalistami a skrajnymi ekonomistami. Tamci znajdują wszędzie stałe, niezmiennne prawo w naturze i wszystkich fenomenach; ci nie chcą uznać i dopatrzeć żadnych w stosunku człowieka do społeczeństwa i w funkcyach tego ostatniego.

# GABRYELA.

KOMEDIA W PIĘCIU AKTACH,

*Emila Augier.*

TLUMACZYŁ

Kazimierz Kaszewski.

## AKT III.

*(Taż sama dekoracja)*

### SCENA I.

ANIELA, TAMPONET.

- ANIELA. Jesteśmy więc bez świadków, mów mężu kochany;  
Nikt nas nie słyszy, chyba krzeselka lub ściany.
- TAMPONET. Więc nas nikt nie usłyszy, myślisz?
- ANIELA. Jestem pewna,  
Jeśli nie będziesz wrzeszczał do mnie, jak do drewna.  
Może masz zamiar?
- TAMPONET. Jaki?
- ANIELA. Powrzeszczyć na żonę.
- TAMPONET. Ja chcę pomówić seryo, więc żarty na stronę!
- ANIELA. Doprawdy?
- TAMPONET, *(w gniewie)*. Ty śmiesz jeszcze zbywać żarcikami,  
Gdy twe postępowanie tu mój honor plami?  
Ty masz mnie....
- ANIELA. *(kładąc palce na ustach)*. Tu się wszyscy zbiegną na twe  
[krzyki.
- TAMPONET. Dobrze, dobrze.  
*(półgłosem)*.  
Ty, mówię, masz mnie za mazgaja,  
Jak męże ślepi, głusi, lub paralityki,  
Których się żony strzegą, mniej niżli lokaja?  
Nie rozumiem cię, mężu.
- ANIELA. Rozumiesz mnie; ale
- TAMPONET. Wiedz, że i ja widziałem wszystko doskonale,  
Jak beczelnie strzelałaś oczami w kulisie  
Na twójego współnika, choć zdawało ci się,  
Żem ślepy. I widziałem, w jaki sposób gładki  
Umiesz swemu gachowi rzucać pod nos kwiatki.

Nie on jeden rozumiał głuche epigramy,  
Któremiś mnie wciąż kłuiła, jak te zacne damy,  
Co to... I cóż mi na to odpowiesz?

ANIELA.

Oh! ciszej,

Przez litość!

TAMPONET.

Aha! boisz się, czy kto nie słyszy.  
Bo to pani zagraża reputacyi zgubą.  
Oh! ja się bardziej boję.

ANIELA.

Mylisz się pan grubo.  
Ja się boję śmieszności, lecz na Boga w niebie,  
Boję się jęć nie dla mnie, a tylko dla ciebie.

TAMPONET.

Więc to ja mam być śmiesznym... O, gorszący wstydzief...  
Twierdzić że tu nie o nią, ale o mnie idzie;  
Nie, takiego cynizmu w życiu nie widziałem:  
On mnie ogarnia jakimś niebezpiecznym szałem.

ANIELA.

Mnie nic tyle nie bawi, jak ta zamaszysta  
Pewność siebie, co z błędu nigdy nie korzysta;  
I ta bystrość umysłu, która między dwiema  
Drogami stojąc, idzie tam gdzie drogi niema;  
I ta fantazyja, która nie spoczywa chwilki,  
A widzi straszne rzeczy, gdzieś, na końcu szpilki.

TAMPONET.

(z rozpaczonym giestem).  
Ręce mi opadają!

ANIELA.

Podniesiesz je zaraz.

TAMPONET.

(w pasy). Nie żartuj, bo się wścieknę, rozwałę ten taras...  
Uduszę się... nie żartuj z zazdrością, bo zginę...  
Nie śmieję się, złą do śmiechu wybrałaś godzinę,  
Raczej uśmierz tę wściekłość co w mych piersiach pała.

ANIELA.

Ja śmieję się z obawy, bym nie zapłakała!  
Bo na tę twą porywczosć niegodną i srogą,  
Tylko śmiech lub łzy moje odpowiedzieć mogą!  
Pozwól lekko traktować te ciężkie wymysły,  
Które chmurą podejrzeń nademną zawisły,  
I bądź pewien, że mimo przekąsy z méj strony,  
Padł mi w serce obelgą nóż twój zaostrzony.  
Nie dam zwiéść się dwa razy.

TAMPONET.

ANIELA.

Ozwał się w twém słowie  
Ten wieczny wyrzut, co się *przebaczeniem* zowie;  
Zniewaga wiecznie nowa i wiecznie wisząca  
Nad mą głową, o którą stokroć się roztraça.  
Czas więc; porozumiejmy się co do téj rzeczy:  
Nikt mnie, stokroć zelźonój, prawa nie zaprzeczy.  
Czy sądzisz, że ty nie masz udziału w mym błędzie,  
Ty, co mi z tak wysoka wyrzucasz go wszędzie;  
Ty, co wzięwszy mnie dzieckiem, nie miałaś starania,  
Jakiem męż kochający żonę swą osłania;



Ty, coś przemawiał do mnie zawsze tonem pana,  
 Nie zazdrościł, gdy zazdrość była pożądana,  
 I bez żadnej podpory mnie przez pierwsze lata  
 Zostawiał na łup nudzie i pokusom świata?  
 Jam uczyniła wszystko co kobięta zdoła,  
 By cię kochać; lecz ty mi nie pomogłeś zgola;  
 Za ważnemi sprawami wychodzięś rano,  
 Wieczorem powracałeś z głową zfrasowaną;  
 I potrzeba kochania, co gorzała we mnie,  
 Witając cię resztkami iluzji, mój Boże!  
 Napotykała oschłość, gnięw, gorycz w humorze,  
 O której zawsze powód pytałam daremnie.  
 Odkąd mnie do twojego domu wprowadzono,  
 Byłam w tym domu, cackiem, oh!... smutném, nie żoną;  
 Trzymała mnie czas jakiś obowiązku siła,  
 Lecz ta młodego serca wreniu nie starczyła:  
 Upadłam. A ty mężu, ma prawna podpora,  
 Czyś starał się ratować moję duszę chorą?  
 Tyś mnie popchnął w tę przepaść!... Więc dzisiaj mój  
 [panie,

TAMPONET. Uznaj winę, w wyrzutach miéj upamiętaniel  
 A więc do tego zmierza ta sławna parada,  
 Że mnie za me afronty skłonić się wypada,  
 I żem powinien, na wzór pokornego sługi,  
 Raz dostawszy w policzek, prędzéj podać drugi?  
 O nie! niedoczekanie! Nigdy Tamponety  
 Nie dawali policzków swoich na kotlety,  
 I twój kochanek wkrótce przekona się o tém,  
 Że moja skrucha jemu nie będzie namiotem.

ANIELA. Po raz ostatni jednak powtarzam te słowa,  
 Że mnie żadna nie łączy ze Stefanem zмова,  
 A jeśli tego nie dość na twe podejrzenie,  
 Tém gorzéj! Ja obejścia mojego nie zmienię;  
 Będę jak dotąd skromna, jednakże swobodna,  
 W słowach, czynach, spojrzeniach, zawsze siebie godna:  
 Wiedz o tém.

TAMPONET. To się znaczy....

ANIELA. Ktoś idzie; toć przecie

Ucisz się!

## SCENA II.

TAMPONET, ANIELA, GABRYELA, PROSPER.

PROSPER. Ciekawym téż co państwo powiecie?

TAMPONET. A to o czém?

PROSPER. Czy nasza gosposia kochana  
 Jest dość uprzejmą w domu swoim dla Stefana?

- TAMPONET. A choćby i nie była, mnie to nie obchodzi:  
Ja tam nie lubię takiej rozbestwionej młodzi.
- PROSPER. Lubisz, nie lubisz; na tém nic nam nie zależy:  
Podług mnie, on jest perłą tutejszej młodzieży.  
(*do Gabryeli*)  
Przyznaj że dlań uprzejmą jesteś bardzo mało....
- ANIELA. Czy chcesz ażeby z obcym była poufałą?
- PROSPER. (*do Gabryeli*). Nie; chcę cię widzieć nieco mniej zimną  
[dla chłopca,  
Którego i rodzina nie jest dla nas obca,  
I on sam w domu moim, przy zajęciu szczerém,  
Zdobyl sobie mą przyjaźń dzielnym charakterem.  
Nie życzę, aby twoje szorstkie obchodzenie  
Zamknęło dom nasz chłopcu, którego tak cenię.
- GABRYELA. Jeśli tak, to spokojnym możesz być, Prosperze;  
Wkrótce się twój przyjaciel sam od nas wybierze.  
Jako?
- PROSPER. Bo na prowincyą wzywa go rodzina.
- GABRYELA. Co znowu?... A to dla mnie szczególna nowina!
- PROSPER. Kiedyż ci to powiedział? Gdyście w bilard grali.
- GABRYELA. (*na stronie*). Aj, aj!...
- ANIELA. (*na stronie*). Nic nie rozumiem. Jeśli się oddali,  
TAMPONET. To się nie zna z mą żoną. W głowie mi zaczyna  
Mieszać się!

## SCENA III.

Ciąż I STEFAN.

- PROSPER. (*do wchodzącego Stefana*). A chodź-no tu, niewdzięczny!  
[Azali  
Prawdą jest, że rozstajesz się ze swym kolegą?  
(*żywo*). Rozkaz ojca....
- GABRYELA. (w pomieszeniu). Tak, ojciec wzywa mnie....
- STEFAN. Dlaczego?
- PROSPER. (wahajaco). Ot tak... domowa sprawa... ja nie śmiem  
[istotnie...  
ANIELA. (*na stronie*). Widać biedak niewprawny, pod kłamstwem  
aż potnie.
- GABRYELA. Czemuż pan nie śmiesz, jak tu w przytomności mojej,  
Opowiedzieć mężowi, jak ta sprawa stoi?...  
Ojciec pana zważając, tak jak ojców wiele,  
Że się tutaj synowi karyera nie ściele,  
Zamierza go gdzieindziej umieścić korzystniej,  
I te zamiary ojca syn urzeczywistni.
- PROSPER. Szaleństwo!... Na prowincyi wiązać sobie ręce!

ANIELA. Tam, małym kosztem życie więc można książęce.

TAMPONET. *(na stronie)*. Toż i ona go skłania?

PROSPER. Słyszałem sto razy,

Że ci prowincya sprawia rozliczne odrazy.

I słusznie, bo stolica jest życiem i ruchem

Każdemu co się czuje czémś inném niż brzuchem.

Tam, na prowincyi, nudy zabijają ci ducha;

Zeschniesz jak śledź, lub gorzej, styjesz jak ropucha.

Cóż, kiedy ojciec...

STEFAN.

PROSPER.

Byłby wielkim egoistą,

Gdyby nie miał przed prawdą uledek oczywistą.

STEFAN.

ANIELA.

Jam przyrzekł.

Według tego co wy tu mówicie,

To ludzie na prowincyi wilcze wiodą życie.....

Przepraszam! Są to strefy zupełnie mieszkalne,

Głowy, jako i u nas,—zimne lub zapalne;

Ojciec pana ma słuszność: zamiast wegetować

W Paryżu, lepiej świetne indziej życie prowadź.

W Paryżu kto niewielki, ten jest niczém wcale;

By go widziano, musi stać na piedestale.

Na prowincyi, niewielki jest czemściś, coś znaczy,

I choć bez piedestału, każdy go zobaczy.

Lepiej zatem do celu iść sobie pomału,

Skoro talentom pańskim brak jest piedestału.

TAMPONET

PROSPER.

*(na stronie)*. Ależ to śliczny młodzian!

Siostrze, rada

[zdrowa.

Twój piedestał jest rzeczą ważną, ani słowa:

Postaramy się o nią. Dziś z ministrem radzę,

A nad umysłem jego mam maleńką władzę.

Właśnie mu przybocznego brak jest sekretarza;

A jest to posterunek...

TAMPONET.

Jak rzadko się zdarza!

Tam można zajść daleko przy pomocy boskiej,

I widzę jak na dłoni beret prezesowski.

PROSPER.

No, beret prezesowski jeszcze siedzi w chmurze,

Lecz bogaty ożenek bardzo śmiało wróżę.

Jeśli trzykroć posagu z wielkiem czarném okiem

Może ci się podobać, tom dobrym prorokiem.

TAMPONET.

Któż to?

PROSPER

*(cicho)*. Twoja pupila.

TAMPONET.

A, prawda; bogata,

Przystojna.

*(do Stefana)*

Masz pan we mnie gotowego swata.

Zgoda?



STEFAN. Dziękuję: ja się nigdy nie ożenię.  
 PROSPER. Więc było słuszném moje pierwsze spostrzeżenie:  
 Ty jesteś zakochany.

STEFAN. Ja?

PROSPER. Tak, zakochany.

Ztąd się wzięły twe smutki, ztąd się wzięły rany;  
 Lecz ta miłość przyszłości twojej nie okupi.

TAMPONET. Czemuż odjeżdża?

PROSPER. Jacyż szwagrowie są głupi!

Mężowie dróg żelaznych tak nawotowali,  
 Że kochankowie chociaż mieszkają najdalej,  
 Mogą raz w tydzień bywać w Paryżu a w przerwie  
 Poczta liścikiem czułą kochankę rozerwie.

TAMPONET. Tak sądzisz?

(Prosper potwierdza giestem)

GABRYELA (na stronie). Co ja słyszę!

ANIELA (na stronie). Teraz się założę,  
 Że maż mój znów majaczy.

TAMPONET. To być bardzo może.

STEFAN. Przysięgam...

PROSPER. Nie zaprzeczaj. Któż cię za to gani?

Nie chcę bynajmniej wiedzieć nazwiska téj pani;  
 Lecz niech mi tam wybaczy ta twoja wybranka,  
 Nie pierwszego to ona musi mieć kochanka.

TAMPONET (na stronie). Duszę się!

STEFAN (żywo). Dość!

GABRYELA (na stronie). Umieram ze wstydu, o Boże!

PROSPER. Nie gniewaj się. Ona ci podobać się może,  
 Lecz wie zapewne, jakim sposobem się kończy  
 Miłość, która rozrywa raczej niżli łączy.

Więc i ty mógłbyś śmiało, wzięwszy ją na stronę,  
 Powiedzieć jój: „Mnie, pani, ofiarują żonę,  
 „Rozrzadzaj moim losem.“ A ja pewien jestem,  
 Że ci odpowie: „żeń się!“ z najzgodniejszym giestem.

ANIELA (patrząc na Gabryelę).

Być może.

TAMPONET (na stronie). Tego nadto!

(głośno)

Proszę cię, Prosperze,

Wyjdźmy trochę pomówić.

(na stronie). Znów go wściekłość bierze.

ANIELA. Czy to pilno?

PROSPER. Tak, pilno.

TAMPONET. Jestem zlany potem.

(na stronie).

PROSPER. Chodźmyż.

(do Stefana). Jak wrócę, jeszcze pomówimy o tém.

(Tamponet i Prosper wychodzą).

## SCENA IV.

ANIELA, GABRYELA, STEFAN (*w głębi*).

ANIELA

(*do Gabryeli*).

On wie, że jest kochanym?

(*Gabryela spuszcza głowę*).

Niebaczna!...

GABRYELA.

A przecież

Odjeżdża.

ANIELA.

Tym odjazdem tak się bardzo nie ciesz.

Wierzyły w taki odjazd nieszczęśliwe panie,

Co dziś sromotnie gią.

GABRYELA.

Co za porównanie!

ANIELA.

Czy chcesz niebezpieczeństwu raz położyć tamę?

GABRYELA.

Chcę.

ANIELA.

A więc...

GABRYELA.

Słucham...

ANIELA.

Czekaj... nie jesteśmy same.

(*spozierając w okno*).

Chciałabym widzieć Emmę...

GABRYELA.

Pójdę po nią zaraz.

STEFAN.

Ja pójdę...

(*wychodzi żywo*).

## SCENA V.

ANIELA, GABRYELA.

ANIELA.

Dobrze; będzie zbiegał cały taras.

GABRYELA.

Więc to wybieg?

ANIELA.

Niewinny. Tak, moja kochana,

Trzeba do tego związku nakłonić Stefana.

GABRYELA.

Anielo!

ANIELA.

Trzeba, mówię, i to bez odwłoki;

Inaczéj twoja zguba już jest niezawodną.

GABRYELA.

Czemuż to mnie, Anielo, masz za tak niegodną,

By między mną i hańbą bić mur tak wysoki?

O! mam ja dosyć siły, by wytrzymać próbę.

ANIELA.

Muszę mówić wyraźniej, by zakłóć twą zgubę.

Coś uczyniła, aby tak siłom swym wierzyć?

Coś uczyniła, aby z tą burzą się mierzyć?

Zataić nawet uczuć swych nie byłaś w stanie!

Wielka mi rzecz, kochanka skazać na wygnanie!

Ależ ja ci powtarzam, że właśnie te żony,

Przeciwko którym słusznie świat dziś oburzony,

One téż, Gabryelo, jak ty, na początek

Nie szczędziły tych marnych godności pieczętek.

Chcesz pójść ich torem? Dobrze. Zawierz sile swojej,  
I niech niebezpieczeństwo u drzwi twoich stoi.

GABRYELA. Jak odjedzie na zawsze, to koniec kłopotu.

ANIELA. Najpewniejsze odjazdy nie są bez powrotu.  
Lecz choć odjedzie, to już po jego karyerze;  
A ty go nie chcesz gubić: tak przynajmniej wierzę.

GABRYELA. Prawda... A mnie to na myśl nie przyszło. O nieba!  
Tak; to nie mnie, lecz jego uratować trzeba!  
I czemużeś nie zaraz od tego zaczęła?

Ale czy co poradzą moje nalegania?

Jego, smutny ten związek od zguby ochrania;

Lecz zechceż on przyłożyć się do tego dzieła?

ANIELA. Zechce, gdy obojętność po tobie spostrzeże.

GABRYELA. Obojętność!... Udawać?... kłamać własnej wierze!...

ANIELA. Więc wolisz, by odjechał, złamał przyszłość całą,  
Lub został, by cię zgubić?

GABRYELA. O! nie. Jak przystało,  
Uczynię.

ANIELA. Otóż wraca: zostawiam was.

## SCENA VI.

GABRYELA, STEFAN.

GABRYELA (*do siebie*). Próba  
Zbliża się. Serce wytrwaj!... Sromota lub chluba!

STEFAN. Nie znalazłem córeczki.

GABRYELA (*przybierając ton lekki*).

Oh, zachodu tyle:

Dziękuję. Siadaj-no pan: pomówimy chwilę.

STEFAN. Więc to rzecz ważna?

GABRYELA. Bardzo.

STEFAN. Słucham.

GABRYELA. Na żądanie

Pan się musisz ożenić.

STEFAN (*zeskakując z krzesła*).

Ożenić!...

GABRYELA. Tak, panie.

Lecz jeśli pierwsze słowo tak już pana drażni,

To nie skończymy nigdy: słuchaj więc uważniej.

Twoja przyszła jest perłą pośród płci niewieściej:

Rozum, wdzięki, majątek, wszystko się w niej mieści;

A niech kto jak chce na grosz będzie obojętny,

Przyznajmy, że towarzysz to wcale ponętny.

Pani-ż to mówisz, pani?...

STEFAN.

GABRYELA.

Przy takiej tabelce,

Mogę się wprawdzie wydać powierzchowną wielce;



- Lecz w żadnym razie rady mojej nie odmienię.  
 STEFAN. Ależ to sen być musi!  
 GABRYELA. Nie! To przebudzenie.  
 Wymieniliśmy wprawdzie kilka słówek, ale  
 Bez znaczenia są rzeczy wymówione w szale;  
 A to co tutaj zaszło, nie chcę, iżby panu  
 Jaką przeszkodą miało być do zmiany stanu.  
 STEFAN. Czy to próba?  
 GABRYELA. Bynajmniej, to przyjaźni znamię:  
 Nic więcój. Lecz, na Boga, krzesło mi pan złamie.  
 STEFAN. A więc u pani wszystko poszło w zapomnienie?  
 GABRYELA. Ja życia poetyczne epizody cenię;  
 Lecz kiedy rzeczywistość głowę swą wychyli,  
 To romans musi przed nią ustąpić tój chwili.  
 STEFAN. Pod tém wszystkiem, co słyszę, opada mi głowa!  
 Więc to dla pani była rozrywka chwilowa?  
 (*wyjmuje różę z dziurki od guzika*).  
 Żegnaj cię, idź odemnie, drogi, biedny kwiecie!  
 I razem z mą miłością niech cię wiatr rozmiecie:  
 Ty i miłość, jużecie dobę swą przeżyły.  
 (*rzuca różę za okno*).  
 GABRYELA (*na stronie*). Aniela!.. Chwałaż Bogu!.. już mi brakło siły.

## SCENA VII.

GABRYELA, ANIELA, STEFAN.

- STEFAN (*do Anieli*). Dobrze że pani idzie, bo ja właśnie stawam  
 Z wieściami, które pewnie zadziwią.  
 ANIELA. Ciekawam!  
 STEFAN. Otóż, wszystko zważywszy ściśle i dokładnie,  
 Widzę, że mi się gwałtem ożenić wypadnie.  
 GABRYELA. (*na stronie*). Już!..  
 ANIELA. Czy tak?  
 STEFAN. Zalotnicą zająłem się cały,  
 Która miłość zrównywa z bengalskimi strzałą.  
 ANIELA. (*cicho do Gabryeli*).  
 O! to dobrze.  
 STEFAN. Przez skrupuł naiwny bez miary,  
 Jak i ja sam, pragnąłem dochować jój wiary;  
 Lecz pani  
 (*wskazując na Gabryelę*)  
 wykazała niedorzeczność moją;  
 Dzięki jój zdrowym radom, tak te rzeczy stoją.  
 ANIELA. Tak, ożeń się pan, ożeń; jest to zdrowa rada.  
 STEFAN. Tembardziej że i pauna jest piękną nielada,

Jak mówią.

ANIELA.

Bardzo piękna.

STEFAN.

A ciemna czy płowa?

ANIELA.

Blondynka.

STEFAN.

Jakżem szczęśliwi!... Pewnie młoda, zdrowa...

Wieleż ma lat?

ANIELA.

Szesnaście.

STEFAN.

Oh! coraz to lepij!

W jej towarzystwie chory umysł się pokrzepi,  
Bo nie sądzę, by była zepsuta tak wczesnie.  
Lekko przy młodej duszy starą boleść prześnię,  
Nektarem niewinności wzmocnię własną duszę,  
I stopią się w całusach zalotnicy pęta.

GABRYELA.

(*na stronie*). O mój Boże!

ANIELA.

(*cicho do Gabryeli*). Bądź mężną!

STEFAN.

A czy ma talenta,

Jak się zwykli wyrażać grzeczni notaryusze?

ANIELA.

Każda kobieta talent ma jakiś w naturze.

STEFAN.

To prawda; nie wie pani, czy lubi podróże?

ANIELA.

Tego nie wiem.

STEFAN.

Oh, kochać i razem iść w drogę!

W obcym kraju być więcej z nią i dla niej mogę,  
Zdała od tego tłumy, co z głupiej przyjaźni,  
Kradnie chwile samotne i natręctwem drażni.

ANIELA.

Tak. Czy chcesz pan nazewnątrz rozgłosić te wieści?

STEFAN.

Chętnie.

(*Idzie za nią ku drzwiom, potem odwraca się i wskazuje na Gabryelę*).

A pani?

ANIELA.

Ona spocznie.

GABRYELA.

(*na stronie*).

O, boleści!...

STEFAN.

(*wracając do Gabryeli*).

Co pani jest?

ANIELA.

(*u drzwi*).

Chodźże pan.

STEFAN.

(*cicho do Gabryeli*).

To się zmienić może,

Rozkaż pani!..

GABRYELA.

(*cicho i żywo*). Nie żeń się... i przebacz mi, Boże!

STEFAN.

O nieba!

(*Na znak Gabryeli, wraca do Anieli i wychodzi z nią*).

GABRYELA.

(*wstając*). Byłam wczoraj kobietą uczciwą!..

A dzisiaj!.. Oh! mąż idzie!.. Uchodźmy ztąd żywo.

(*wychodzi*).

## AKT IV.

(Taż sama dekoracya).

## SCENA I.

PROSPER, TAMPONET (*przy stoliku popijają.*)

TAMPONET. Nie, nie! To jest kobieta niegodnej natury.  
 PROSPER. Zwaryowałeś, szwagrze!

TAMPONET. Kobieta, dla której  
 Od lat dwudziestu czynię największą ofiarę  
 Z mych gustów, upodobań...

PROSPER. (*nalewając.*) Jeszcze jedną czarę!

TAMPONET. Oto nagroda!.. Gdybym był zimny dla żony,  
 Niedbały... Ale gdzietam!.. Jestem zapalony,  
 Tęsknię do niej jak w dobie miodowych miesięcy;  
 Daję słowo honoru!.. I czegoż chce więcej!

PROSPER. Ależ pozwól..

TAMPONET. Mnie, męża wiernego tak rani,  
 Męża, coby się w ogień gotów rzucić dla niej.  
 Ja ci krótko uwagę na mą względność zwrócę:  
 Wiedząc, że ona... jak tam?.. jest egzaltowana,  
 W książkach, w nutach, w ołówkach, grzebie się od ra-  
 [na,

Lat piętnaście udaję że się kocham w sztuce.

PROSPER. Więc ty nie lubisz sztuki?..

TAMPONET. Ja, ja?.. To dopiero!  
 Niecierpię, nienawidzę zarówno z cholera!  
 Muzyka mnie ogłusza i nudzi przekłęcie;  
 Malarstwo mnie zabija; wiersz, oh! sprawia rżnięcie.  
 Otóż, by się podobać téj niewdzięcznej, bracie!  
 Rozczulam się, jak ciełę, przy każdej sonacie;  
 Skupuję malowidła i oprawiam w ramy,  
 Z ciężką krzywdą kieszeni. Dla niej tylko samój  
 Klepię na pamięć wiersze, choć niech marnie zginę,  
 Jeśli choć w ząb rozumiem tę tam bazgraninę.  
 I tyle uczyniwszy, z wielkim moim żalem,  
 W nagrodę ofiar, w końcu zostałem... rogalem.  
 Gadasz!

PROSPER. Jój przeniecierstwo widoczném jest przeciel!

TAMPONET. Mylisz się.

PROSPER. Gardło daję!

TAMPONET. Błuźniesz Tamponecie!

PROSPER. Ale kiedyż widziałem...



- PROSPER. Jakąś bagatelę...
- TAMPONET. Nie!.. Żeby mnie nie wierzyć, tego już zawiele!
- PROSPER. Kochany bracie, pozwól...
- TAMPONET. Czyżem ja idiota?  
Czyż mi czart na mózg jakieś przywidzenia miota?  
Dowodówbym nie zmieścił w gazecie z dodatkiem...  
—Koniec końców powiedz mi... chcesz być moim świad-  
[kiem?
- PROSPER. Gdy o ten nowy tytuł tak ci bardzo chodzi,  
To i mnie się wygadać pozwól pan dobrodziej.  
Ja, gdyby mnie gach podszedł, oj, zjadłby mi licha,  
Jabym go odprowadził łagodnie i z cicha;  
Sądząc, że wlec po drodze honor nadszarpany,  
Nie jest środkiem skutecznym dla zamknięcia rany;  
Że rozropne milczenie w tym tak ciężkim razie  
Jest najlepszym przyrządem przeciwko obrazie.  
Gdybyś więc i był nawet czem pragniesz być...
- TAMPONET. Gdyby!..  
Chodźno tu kaznodziejo, i spojrzuj przez szyby.  
Co tam widzisz?
- PROSPER. Cóż widzę? Stefana z twą żoną.  
Rozmawiają.
- TAMPONET. Lecz z jaką miną zaognioną!  
Pięknie mi rozmawiają. Czyż to takie ruchy  
Towarzyszą rozmowie, gdy spokojne duchy?  
Patrz!.. Ona chwyta tego zbrodniarza za ramię...  
Myślisz, że cię nie widzą, nędznicu!.. Cóż, kłamie?  
—Zatrzymują się... Ręce on na piersi składa..  
O! łatwo się domyślcć, co jej odpowiada!  
Wyciąga rękę, jakby przysięgał przed niebem...  
Czekaj!.. twoja bezczelność skończy się pogrzebem.  
Zobaczymy, czyja górą, farbowany lisie!..  
—Cóż ty na to?.. He?.. Czy to moje widzimisię?  
Tak, to dziwna.
- PROSPER. Zaczynasz więc godzić się trochę,  
Że moje podejrzenia nie tak bardzo płocze?  
To przecie!.. Mam więc prawo bronić cześci mojej:  
Czy będziesz moim świadkiem?
- TAMPONET. W oczach ci się troi
- PROSPER. I mnie też wzrok zaciemniasz.
- TAMPONET. Będziesz moim świadkiem?
- PROSPER. Wyjaśnijmy nasamprzód te fakta ukradkiem.  
Oni tu idą, my tam  
(wskazuje drzwi na prawo).  
cichaczem przystaniem,  
I będziem wszystko słyszeć za tém forsztowaniem.

- TAMPONET. A gdy ci ma zniewaga jawnie się wykaże,  
Czy będziesz moim świadkiem?
- PROSPER. Rozważę, rozważę.  
Lecz ta nasza zasadzka, ręczę, będzie miała  
Ten skutek, że Aniela wyjdzie jak śnieg biała.
- TAMPONET. Śmiać mi się chce.
- PROSPER. Tak?.. Tylko spraw się jak należy,  
A wkrótce, mam nadzieję, będziesz śmiać się szczerzej.
- TAMPONET. Wstrętny to środek.
- PROSPER. Stary... Pewien jestem przecie,  
Że dopóki zazdrosnych, póki drzwi na świecie,  
Będą drzwi zazdrosnemu za nawias służyły;  
Więc i ty bierz ten środek, chociaż ci niemiły.  
Idź za drzwi i posłuchaj zwierzeń czułej duszy,  
Tembardziej iż, by słuchać, dosyć jest mieć uszy,  
A na tych ci nie zbywa.
- TAMPONET. *(we drzwiach)*. Będziesz świadkiem?
- PROSPER. Zgoda.  
A to widzę, w mym szwagrze płynie krew nie woda.  
*(Znikają we drzwiach na prawo)*.

## SCENA II.

ANIELA, STEFAN *(wchodzą z głębi)*.

- ANIELA. Cały więc zapał pański na powietrzu ginie,  
Zostajesz kawalerem z zasady jedynie?..
- STEFAN. Tak pani. Ja stanowczo już się nie ożenię!  
Wprawdzie rozum potępia to postanowienie,  
Lecz napróżno. Mnie trudno być z rozumem w zgodzie.  
Zważała pani kiedy gałązkę na wodzie?  
Wszak można ją rękami zagłębić aż na duo,  
Lecz wciąż wypływa na wierzch, gdy ręce odpadną.  
Czy dla pani wystarcza takie porównanie?
- ANIELA. Nie. Ja naturalniejszą mam odpowiedź na nie:  
Pan się jeszcze nadzieją łudzisz...
- STEFAN. O! z tej strony  
Upewniam, żeś nazawsze jest ubezpieczony.  
Ta kobieta zupełnie zamknęła mi drogę,  
Przeciw obojętności jej walczyć nie mogę.
- ANIELA. Ona panu wyznała że jej jesteś miły;  
Lecz choć się jej uczucia nagle odmieniły,  
Ale próżność mężczyzny jest taka zacięta,  
Że musi stokroć upaść, nim się upamięta.
- STEFAN. Co do mnie, ja tak pewien jestem klęski mojej,  
Że zupełna niepamięć mi za zemstą stoi.

- ANIELA. Jeśli panu istotnie tyle siły stało,  
To wieszuję, bo na to możem liczyć śmiało  
Że Gabryela...
- STEFAN. Pani wiadoma?...
- ANIELA. Rzecz cała.  
I wyznam, że jak mogłam szyki-m ci łamała.  
A więc upewniam pana, że tylko jój głowa  
Gdzieś w kryjówce pamięci może cię zachowa.
- STEFAN. Doprawdy! Pomniż ona jeszcze imię moje?...  
Za miesiąc, to i o to nawet się nie boję.  
Piękny temat, by rozwieść się z goryczą w duchu  
O tych wietrznych istotach, o tym marnym puchu!  
Lecz ja się frazesami nie bawię w żałobie.
- ANIELA. I żałoba wesola i zmarły zdrów sobie,  
Ale co mamy tracić czas na bagateli:  
Panieś przed wyjściem szepnęła coś do Gabryeli...
- STEFAN. Ja?
- ANIELA. Pan. A ona co też ci odpowiedziała?  
Chciałam podsłyszéć, ale nie byłam dość śmiała.  
Jest jednak oczywistém, że odpowiedź dana,  
Od małżeńskich zamiarów odstręczyła pana.
- STEFAN. Ja pani nie rozumiem.
- ANIELA. Doprawdy? Nie wierzę:  
Mówisz pan ze mną raczjéj ostrożnie niż szczerze.
- STEFAN. W tém przenikliwość pani zawiodła się srodze.  
ANIELA. To widzę, muszę pana postawić na drodze;  
Czy to czasem nie było takie oto zdanie:  
— „Ja ciebie zawsze kocham, nie żęń się Stefanie!”  
Przypomnij-no pan sobie.
- STEFAN. Pani, ja odchodzę,  
Bo przecież raz musimy przerwać to badanie.
- ANIELA. Więc przyznajesz?...
- STEFAN. Bynajmniej! Ja się tylko boję,  
By w tych wspomnieniach serce nie skruszało moje.  
(wychodzi).

## SCENA III.

ANIELA, TAMPONET, PROSPER (*bardzo błady*).

- TAMPONET. (*uchylając drzwi*). Odszedł.  
ANIELA. Prosper!
- PROSPER. (*uśmiechając się*). Ja siostró we własnej  
[osobie.
- ANIELA. Czy słyszałeś?...
- TAMPONET. Wszystkośmy słyszeli. A tobie



Tysiąc przeprosin składam na to piękne czoło:  
Śpiewałbym, skakał, tak mi w duszy jest wesoło!  
Dość.

ANIELA.

(*do Prospera*).

Wiesz więc... że się Stefan kocha w Gabryeli?..

PROSPER.

Wiém.

TAMPONET

(*na stronie*). A jam ją posądzał—żeby dyabli wzięli!

ANIELA.

Lecz gdy nie jest kochany, więc...

PROSPER.

O! jest kochany,

Słowo w słowo słyszałem wszystko z za téj ściany.

ANIELA.

W takim razie ten spokój przeraża mnie.

PROSPER.

Czemu?

TAMPONET.

(*podchodząc do Prospera*).

Wspomnijno, jeśli pałasz złą chęcią ku niemu,  
„Że roztropne milczenie, w tym tak ciężkim razie,  
Jest najlepszym przyrządem przeciwko obrazie.”

PROSPER.

Lecz to zdanie się tutaj stosować nie może,  
Bo ja siebie nie czuję dotkniętym w honorze.

W żonie méj większa cnoty niż miłości siła.

Szanuję ją tém więcej że dzielnie walczyła;

Jam jéj postępowaniem wielce zbudowany,

Ona godna czi mojej więcej niż nagany:  
Kłamcą będzie w mych oczach kto inaczej powie.

TAMPONET

(*na stronie*). Ależ wyrozumiaty!... daj mu Boże zdrowie.

PROSPER

(*z wysileniem*). Co do pana Stefana...

TAMPONET.

Tak, co do Stefana...

PROSPER.

On tutaj spełnia zwykłe rzemiosło młodziana.

Prawda ja go kochałem.—Mimo zdrady przecie,

Liczę na jego serce i na umysł prawy.

TAMPONET.

Co, on?... Ależ to hultaj z najgorszych na świecie:

Wygnać go ztąd.

PROSPER.

Nie, musi on sam wyjść z téj sprawy.

Więcej go lekkomyślnym niż występny widzę...

Ten jego zły postępek ja mu tak obrzydę,

Tak obarczać go będę przyjaźnią prawdziwą,

Że grozę swojej zdrady musi uczuć żywo.

TAMPONET.

A gdy się tak nie złoży?

PROSPER.

Czemu się nie złoży?

Gdy kto nie jest wyrzutkiem nędzniejszym od zwierza,  
Nie oszuka człowieka, który się powierza.

TAMPONET.

A gdyby téż się ważył?

PROSPER.

Tém dla niego gorzej;

Bo wtedy Gabryela ze wstrętem odskoczy

I obraz mój korzystniej stanie jéj przed oczy.

ANIELA.

Ale jeśli uczucie jest silnej natury,

Prąd jego wszelkie tamy, wszelkie złamie mury.

- PROSPER. Oh! jeszcze ich uczucie dziś strumykiem płynie,  
Który może rozdzielić się przy lada trzcinie;  
Tylkoż proszę was, niech to tajemnicą będzie,  
Że ja uwiadomiony jestem o ich błędzie:  
Inaczej wszystko za nic.
- ANIELA. Kochany Prosperze!  
Moja rola skończona, kiedy mąż stér bierze.
- TAMPONET. Ja nie pisnę ni słówka.
- PROSPER. W jakie pół godziny  
Przyslij mi ją tu siostró.
- ANIELA. Chętnie.
- PROSPER. Widzę z mioty,  
Że i pan szwagier tęskni do sam na sam z żoną,  
Bo od pewnego czasu wciąż stawa na progu.
- TAMPONET. O, tak! Pójdziemy razem z moją uwielbioną.  
(*całuje jej rękę*).
- PROSPER. Lecz jemu miliej będzie niż mnie.
- TAMPONET. (*na stronie*). Chwała Bogu!  
(*do żony w głębi sceny*).
- ANIELA. Dziwny zaprawdę spokój, niech mi co chce gada.
- TAMPONET. Tak, rzeczywiście dziwny!  
Filozof nielada!  
(*wychodzą*).

## SCENA IV.

- PROSPER (*sam*). Teraz wybuchnij biędne serce, zrozpaczone!  
Ona mnie już nie kocha!.. Ja straciłem żonę!  
I całe życie moje porwała ta burza!  
Szczęście, praca, wytrwałość—wszystko się zanurza  
W zimną przepaść... I pocóż wysilać ramiona?  
Jestem dziś sam na świecie, nie kocha mnie żona!  
(*siada*).
- I ja tę zmienną czułość, tę twarzyczkę gładką  
Przeniosłem nad twe serce, dobra moja matko!  
Gdy chatę twą opuszczał mój dobytek mały,  
Wylewałaś łzy ciche, te łzy słusznosc miały:  
Twój syn prawdziwą zęgnął przyjaciółkę w tobie.  
O! moja święta matko, dziś uspiona w grobie!  
Jam tę kobietę więcej ukochał niż ciebie,  
Czulój dbał o nią, myślał o każdej potrzebie;  
Aby nie widzieć zmarszczki na jej białém czole,  
Krew i mózg wysuszałem bezsennie przy stole;  
Lecz ona wstaje zdrowa, świeżością zachwyca,  
Ja zapominam znojów przy różach jej lica...  
Niewdzięczna!... Toż nagroda mych bezsennych nocy!  
(*wstaje*)
- Ale co ja się skarżę?... Ja rzecznik sierocy,

Adwokat wdowi, w obec takiej wielkiej pani!  
 O, biedny gryzipiórko!.. czém ty jesteś dla niej?...  
 Czyż możesz wyrobniku przydatnym być na co,  
 Prócz opłacenia ciężką jej wydatków pracą?  
 Dość ci tego zaszczytu, byś póki sił stanie,  
 Okupywał jej zbytki i jej próżnowanie.  
 Myślisz, żeś jest kochanym? Spojrzyj-że w zwierciadło,  
 Znamię starości w zmarszczkach na skroń twoję padło;  
 'To praca, rzekniesz! Lecz jej co zaczą te ofiary?  
 Ona w tém widzi tylko, żeś przedwcześnie stary,  
 I z pierwszym lepszym chłystkiem puszcza się w zaloty...  
 O kobiety!... o! płóche, bezecne istoty!  
 Okrutna, jakżeż krwawo rozdarła mi duszę! (siada).  
 Lecz ona... Mniejsze-ż znosi odemnie katusze?  
 Jakiz ciężki niepokój w jej piersiach się wszczyna!  
 Ona mnie już nie kocha! Lecz to nie jej wina...  
 Może moja!... Walczyła i cierpiała srogo,  
 Nie można żądać więcej niż siły znieść mogą.  
 Brońmyż jej czci!... Śmieszności ją się nie ustraszę:  
 Jej cześć, toż to ostatnie wspólne dobro... nasze!  
 Trzebaż choć w obowiązku umocnić jej duszę...  
 (wchodzi Gabryela).

Czy czas jeszcze? Ach! zaraz dowiedzieć się muszę.

## SCENA V.

PROSPER, GABRYELA.

GABRYELA. Co każeś?

PROSPER (prosto i spokojnie).

Ja wyjeżdżam, nie wrócę aż rano;  
 Przygotuj mi koszulę, wiesz, tę haftowaną;  
 Trzeba też, żeby suknie oczyścili moje.

(przechodzi na drugą stronę).

Al!... każ tam przygotować sypialne pokoje:  
 Dla małżonków, alkowa będzie doskonała;  
 Dla Stefana....

GABRYELA.

Dla pana Stefana?

PROSPER

(na stronie).

Zadrzała.

GABRYELA.

To niepodobna!

PROSPER.

Czemu?... Ależ, moje życie,  
 Przecież mamy dość miejsca, by pomieścić gości?  
 Jednak.... kawaler.... nocą.... w twój nieobecności...  
 Ja sądzę, że to nie jest bardzo przyzwoicie.

PROSPER.

Co znów! Tamci zostają i nikt im nie broni.

GABRYELA.

To co innego.

PROSPER.

Taki dobry on, jak oni.



GABRYELA. Oh Boże! nie nalegaj.

PROSPER. Co się tobie stało?

Dla nikogo nie jesteś uprzejmą tak mało.

GABRYELA. Zgoda: ależ nocować w niebytności twojej!...

PROSPER. (na stronie). Dzięki Bogu! czas jeszcze, skoro go się boi.

(głośno). To mu każ nająć jaką izdebkę w hotelu:

Mniejsza czy tu, czy owdzie, lecz niech pozostanie.

(Wchodzi Stefan, zatrzymuje się we drzwiach, spostrzegłszy Prospera).

## SCENA VI.

PROSPER, GABRYELA, STEFAN.

PROSPER. Prosimy....Ja wyjeżdżam; lecz mój przyjacielu,  
Spodziewam się tu jutro zjeść z tobą śniadanie.

STEFAN. Jakto?...

PROSPER. Jeżeli wszakże nie zraża cię, bracie,  
Chłodny i ciasny nocleg w jakiej wiejskiej chacie.

STEFAN. Owszem.

PROSPER. (do Gabryeli, która zmierza ku drzwiom na prawo)

Gdzie idziesz?

GABRYELA. Pójdę przygotować tobie....

PROSPER. Prawda!.., i ja za chwilę będę w garderobie.

(Gabryela wychodzi).

## SCENA VII.

STEFAN, PROSPER.

PROSPER. Naszą gościnną izbę krewni nam zabrali,

Ale mamy tu hotel o sto kroków dalej.

STEFAN. To doskonale.

PROSPER. Wybacz ciasnocię mieszkania,

Która nam gościnnocię należytęj wzbrania.

O! gdyby przyjaźń mogła rozszerzyć te mury,

Miałbyś pokój złożony od dołu do góry.

STEFAN. (zakłopotany).

Nie zasługuję na te względy....

PROSPER. Mój Stefanie,

Choćby i były względy, zasługujesz na nie.

Tyś mi przypadł do serca od najpierwszej chwili,

A ja wiem że mnie nigdy instynkt mój nie myli.

Oto, rzekłem, przyjaciel: człowiek jakich mało,

Prawy, szczerzy, którego niebo mi zesłało.

Czym się zawiódł?

Bynajmniój.

STEFAN. To też, mój Stefanie,

PROSPER. W tobie mam tylko jednym całe zaufanie,

Wiarg; przed tobą jednym tylko jestem gotów  
Otworzyć głębię moich tajemnych kłopotów.  
Kłopotów?

STEFAN.

PROSPER.

Ma wesołość zwodzi cudze oczy,  
Kłamie; ja noszę w sercu raka, co mnie toczy.  
Jest to.... Rzecz delikatna.... dobry mój Stefanie,  
Przed tobą jednym mogę zrobić to wyznanie,  
Bo ludzie skłonni raczej są śmiać się z niedoli  
Męża, którego żona opuszcza powoli.

STEFAN.

*(zmieszany).*

Czyż pan sądzisz, że pani....

PROSPER.

Tak! przeczyć daremnie,  
Jój serce z każdym dniem się oddala odemnie.

STEFAN.

PROSPER.

Czy myślisz pan że inny?...

O nie! Gabryela

Nie zawiedzie takiego, jak ja, przyjaciela.

Ale tracić jój miłość, niedośćże to straty?

STEFAN.

PROSPER.

Więc pan.... bardzo ją kochasz?

Jak przed siedmiu laty;

Jak ją kocham niezdolnym wypowiedzieć słowy,

Ona jest fundamentem całej mój budowy:

Bez jój miłości nicość podemną otwarta.

Zważ więc, co moje życie, ma wesołość warta,

Gdy mi na ten głos serca braknie odpowiedzi!

— Jestem jak rolnik, który na swym pługu siedzi,

Nucąc wesołą piosnkę z oglupiałą miną,

I patrzy jak w pożarze jego zboża giną.

STEFAN.

O! pan pewnie przesadza....

*(na stronie).*

PROSPER.

Co powiedzieć? Boże!

Nie! Serce jój odchodzi; bez żadnej przesady.

Gdybym wiedział dlaczego, zaradziłbym może!...

To téż ciebie, mój bracie, chcę wystać na zwiady.

STEFAN.

Mnie!...

PROSPER.

Moja żona ciebie szanuje, Stefanie:

Postaraj się jój tylko zyskać zaufanie.

Możem ja co zawinił względem niéj. W rozmowie

Naprowadź na to zręcznie, może ci wypowie.

STEFAN.

Ależ to delikatne i trudne zadanie.

PROSPER.

W imię przyjaźni, zrób to dla mnie, mój Stefanie;

Życie daję w twe ręce, a sam ruszam w drogę:

Bądź zdrow!

*(na stronie).*

A no, do jutra spać spokojnie mogę.

*(wychodzi).*

## SCENA VIII.

STEFAN. (*sam. Wolno przechodzi po scenie, z głową na piersi schyloną; siada na kanapie na lewo i po długim milczeniu*):

Z tém wszystkim i jaż kocham, kocham Gabryelę!  
 Miłość ma po wiek wieków samolubne cele.  
 Nie odjadę! Jednakże uwodzić człowieka,  
 Który na pomoc moję z zaufaniem czeka,  
 Który mnie tak uczciwą przyjaźnią obdarza,  
 Na to salonowego trzebaby hecarza,  
 A jam do tak nikczemnej niezdolny podłości.  
 Ja celu mego dopiąć powinienem prościć.  
 Zostać, i w ciągle kłamstwo stroić się dla świata?  
 Zostać, i wstyd podziału rozłożyć na lata?  
 Nie!.., To rzecz intrygantów, co się prawdy boją.  
 Gabryela być musi jego albo moją!  
 Honor mój drżał ze wstydu przy ostatniej scenie;  
 Ja zdrady na codzienny zwyczaj nie zamienię,  
 Ja nie wejść w przymierze z hańbą źle ukrytą,  
 Nie zstąpię do kałuży z kochaną kobietą.  
 — Porwę ją, uprowadzę!... i bronić jęj będę;  
 Zamach opłacę życiem, lub skarb mój posiędę.  
 (*wychodzi środkowemi drzwiami*).

## PODRÓŻE I ODKRYCIA GEOGRAFICZNE.

(1874—1875).

## II.

*Nil i Ukanda.* Mówiliśmy o odkryciach w środkowej Afryce, prowadzonych od Wschodu i Zachodu <sup>1)</sup>. Z kolei wspomnieć winniśmy o trzecim punkcie wyjścia, to jest z północy. Stanowisko cywilizacyjne Egiptu w stosunku do Afryki wschodnio-centralnej, przypomina poniekąd przedwiekową działalność Aleksandra W-go. Przedsiębiorczy Kedywe uważa siebie za posłannika kultury w kierunku południowym; wspomnienia o synu Jowisza Amońskiego, tułające się dotąd nad brzegami Nilu, stanowić mogą rodzaj poetycznego pasemka wśród zaburzonych pomysłów i planów wicekróla. Gdyby nie zbytne gospodarowanie polityki obcej, tedy pokrewieństwo dwóch misji tak odległych wiekami, pokrewieństwo pomiędzy synem Jowisza Amońskiego i Aleksandrem W-m w mi-

<sup>1)</sup> Zobacz Bibl. Warsz. 1876. Zeszyt na maj, t. II, s. 266.



niaturze, narysowałyby się wydatniej. W skutek zaś rad przyjacielskich, zadanie kultury, zadanie ciśnienia na dzikie ludy jej wyższością, przeradza się w zadanie terytoryalne. Jedynym odwetem za spazczenie mandatu, są tu zdobycze nauki; zamiast oświecenia zwyciężonych mamy oświecenie się samego zwycięzcy w rzeczach etnografii i odkryć geograficznych. Jeśli sobie dobrze przypominamy, wyprawa Kedywego miała na sztandarze swoim godło wysokiej humanitarności: zgniecenie ostateczne handlu niewolnikami na Białym Nilu. Sir Samuel Baker, dowodzący wyprawą wojenną (w swojej korespondencji do Towarzystwa geograficznego londyńskiego) oświadcza, że „zniósł handel niewolnikami na Bar el Abiad (Biały Nil); a zebranie reszty owoców cywilizacyjnych pozostawia rządowi.” Niestety! zarzucono mu, że zbyt dosłownie spełnił myśl firmanu. Najlepszym komentarzem do takiego zarzutu było pozbawienie Bakera łaski, a co ważniejsze, wypuszczenie na wolność najzjadliwszego handlarza Negrami: Abu Sauda, którego był schwycił Baker, domagając się na niego kary. Na miejsce Bakera, jako nie umiejącego czytać pomiędzy liniami i pojmującego firmy dosłownie, dowództwo i władza powierzona została pułkownikowi inżynierowi Gordonowi. Szczególniej zastanawia nas przytém okoliczność, że do orszaku nowego dowódcy przeznaczonym został właśnie Abu Saud! Ironia godna podziwu współczesnych i potomnych!

W skutek ostatnich zwycięstw, granice państwa egipskiego posuwały się daleko w kierunku południowo-wschodnim. Podstawą polityczną tej nieforemnej figury (prawdopodobnie tymczasową) stanowi mało znane, niezależne mocarstwo Undżoro, oparte z zachodu o górną ścianę jeziora Albert Nyanza, ze wschodu o jezioro Ibrahim-Basza i Biały Nil, będący jego południowym natokiem. Tym sposobem władza wicekróla przeszła prawie pod równik i sięga przeszło 2-go stopnia szerokości północnej. Niżej pomiędzy 1-ym stopniem szerokości północnej, a równikiem leży państwo *Uganda*. Jest to kraj miły dla oka, o pięknych formach, pełen gór i rzek rozszczepiających się gąszczem przy ujściu (do jeziora Wiktoryi).

*Obfitość gruntu zwrotnikowa.* Na czele płodów jego stoi kawa rosnąca dziko, którą mieszkańcy żują nie gotując, trzcina cukrowa, tytoń najpyszniejszy, kukurydza, bataty, granaty najcenniejszego gatunku, rosnące całemi lasami banany. Z państwa mineralnego wspomnieć należy o żelazie i kryształach. Klimat jego z powodu mnóstwa bagien jest niezdrowy, szczególnie w dolinach, po których koczują słonie i bawoły.

Władca kraju (dzisiaj jest nim Mntesa) panuje nieograniczenie nad ludem swoim (blisko pół miliona). Armia Mntesa wynosi *pięćdziesięciu* ludzi! Naczelną wódz tej siły zbrojnej w chwilach wolnych od pracy i od narad państwowych, rozrywa się rozbojami i rabunkiem. Lud w ogóle jest łagodny, lękliwy, zabobonny. Mntesa niedawno przyjął wiarę mahometańską.

Ponieważ władca Ugandy wśród ogólnej nienawiści ludów ościennych przeciw Egipcjowi, okazuje wyjątkową życzliwość dla Kedywego, przeto Gordon postanowił, z polecenia rządu starannie utrzymywać z nim stosunki polityczne. W tym celu, z ramienia dowódcy posłanym został do niego z poufną misją pułkownik sztabu Long, który o pomyślnym wypadku swojej podróży przesłał sprawozdanie londyńskiemu Towarzystwu geograficznemu, czytane na posiedzeniu tegoż Towarzystwa <sup>1)</sup>. Podróż po Nilu południowym w wysokim stopniu ułatwioną i skróconą została od czasu, jak Gordon dopiął swojego zamiaru, wprowadzenia rozkładanego parowca na Nil za Wielką Kataraktą. Ma on nadzieję wkrótce wyjednać dla parowca wstęp na jezioro Wiktoryi; co zdaje się o tyle trudnym, o ile byłoby pożądanym. Albowiem pomimo życzliwości władcy, nasz dyplomata po długiej prośbie zaledwie zdołał wymóżyć na nim zezwolenie do odbycia drogi powrotnej wodą. Podróż taka zaczyna się z zatoki Napoleona, tworzącej wązki prostokąt (pod stop. 0,3<sup>o</sup> szerok.), do którego spływają wodospady Białego Nilu. Począwszy od tego miejsca w górę aż do Katarakty Karum, to jest 2½ stopnia szerok., Nil zdolny jest do dźwignania na sobie największych nawet okrętów, tak że sam Great Eastern nie doznałby tu zawodu. Pułkownik Long uważał sobie za wysoki dowód łaski władcy to, że pozwolono mu podczas odwiedzin dostać się na odnogę Murchissona, wystającą w kształcie dziobu z jeziora Wiktoryi, a odległą od rezydencji królewskiej o trzy godziny drogi. Następnie kompania wsiadła w łódzie robione z kory drzewnej. Naprędce dokonane przez Long'a pomiary pokazały głębokość od 25 do 30 stóp angielskich <sup>2)</sup>.

Serdeczność w przyjęciu, jakiego przed zwiedzeniem jeziora doznał p. Long na dworze królewskim, objawiła się w szczególny sposób. Dobroduszny monarcha na dowód wysokich względów swoich dla gościa, rozkazał w obecności i „na jego cześć” ściąć głowy trzydziestu poddanym.

*Ukerewe.* II. Stanley wysłany przez właściciela dziennika amerykańskiego (Goniec Nowojorski) na odszukanie Liwingstona, podał wyborny opis jeziora Wiktoryi <sup>3)</sup> inaczej Ukerewe, a także Nijanca. Położenie jeziora oznacza on na 3808 st. nad p. m., powierzchnią zaś, łącznie z wyspami na 1525 mil kwadratowych, to jest o dwieście większą nad powierzchnią Bawaryi. Podróż Stanley'a, o której tu mówimy, odbywała się z południa ku północy i dlatego stanowi ważne dopełnienie odkryć wyżej nadmienionych, jako dotyczących krajów na północ od jeziora. List też jego piérwszy zawierający sprawozdanie z podróży (w drugim liście zawiera się opis opłynięcia samego jeziora), pi-

<sup>1)</sup> Zob. Proceedings of the R. Geogr. Society XIX. II.

<sup>2)</sup> Athenae 1875, n. 246 4.

<sup>3)</sup> Odróżnić należy to jezioro od jeziora *Albert Nijanca* o jeden stopień wyżej ku zachodowi.

sany był z wioski położonej w kraju Uzukuma, u południowej wężkiej taśmy wodnej, jaką tworzy jezioro ponad 3-m stopniem szerokości. Przytaczamy z listu niektóre obrazy, dla ich ważności etnograficznej.

„Na piąty dzień (pisze Stanley pod dniem 1 marca 1875 roku), przybyliśmy do Uwerywery, niedawno zbudowanej wioseczki, której ludność stanowili czterej murzyni ze swojemi żonami i dziećmi. Nie mieli dla posilenia nas ani ździebełka. Ludzie moi zgłodnieli i znękanii, nie byli już w stanie iść dalej. Musiałem przeto zatrzymać się, a dwudziestu najsilniejszych z mojego orszaku wysłałem po żywność do Suna odległego na 29 mil angielskich od naszego przystanku. Tym czasem przedsięwziętem wycieczkę do lasu dla zdobyczy. Niestety, bezskutecznie, jakkolwiek ludzie moi odkryli lwa i przynieśli mi dwoje lwiątek, które zabito i zdjęto z nich skórę. Po niefortunnym zakończeniu obławy, twarze towarzyszy moich miały wyraz przerażający. Postanowiłem cośkolwiek uczynić dla zmniejszenia mąk głodu. Rozpakowawszy moj kufer blaszany ze wszystkiego, co w nim być mogło i nalawszy wodą, postawiłem na ogniu. Z magazynu aptecznego wy dobyłem pięć funtów szkockiej mąki owsianej, trzy puszki rewalenty arabskiej i zgotowałem kléik owsiany, dla nakarmienia nim 220 zgłodniałych. Biédacy! jak szczerze pomagali mi w mojej kucharskiej operacji, otoczywszy kufer wskrzeszenia z napełnionemi wodą miseczkami z dyni, dla powstrzymania kléiku, gdyby miał kipieć. Nastąpiła uczta, chorzy otrzymali podwójną porcyą. Trudno opisać niecierpliwosć i trwoę, z jaką oczekiwano na wystrzał karabina, mający stanowić hasło szczęśliwego powrotu wysłanych po żywność. Po 48 godzinach zbawcy przybyli z pomyślnym skutkiem, z zapasem zboża. Jednomyślnie tedy oznajmiono gotowość do dalszej podróży, natychmiast po obiedzie. Niestety, przed opuszczeniem przystanku, dwaj współnicy wyprawy wyzionęli ducha!

Obozowaliśmy owęj nocy u stóp skalistego wzgórza, panującego nad obszerną równiną, co sprawiało dla nas prawdziwie słodki gościniec po długim mroku i duszącém powietrzu gąszczów leśnych. Naza jutrz, posuwając się wzdłuż równiny ku północy, stanęliśmy wśród palącego żaru słońca w *Suna*, który jest obwodem kraju *Urymi* (pod przeszło 4-ym i pół stopni szerokości południowej).

Tu odkryliśmy lud, odznaczający się męską pięknoscią, o szlachetnych krojach ciała, zupełnie nagi. Tylko kobiety, noszące dzieci, szczyliły się posiadaniem skórki kozłój. Ale pomimo ujmującej budowy i rysów, było to plemię najpodejrzliwsze ze wszystkich, jakie dotąd widzieliśmy. Ileżto trzeba było wytrwałości i taktu, aby w zamian za perły i materye ubiorowe wyzyskać od nich pożywienie. Naczelników plemię to nie ma, ale jest tam wysokie poszanowanie rozkazu najstarszych wiekiem; z nimi też wchodziliśmy w układy, dla uzyskania prawa przejścia przez ich krainę. Udzielili nam je, ale z nadzwyczajną niechęcią; podobny wstęptowaliśmy sprzedazom żywności. Należało jednak być stoicko cierpliwym. Tu znowu zmarło sześciu ludzi ze



znużenia i niewygód, lista chorych wynosiła 30. Edward Pokock zapadł na silny tyfus i to spowodowało nas do zatrzymania się o cztery dni dłużej nad zamiar w Suna. Ale z każdą chwilą téj nowój zwłoki niechęć mieszkańców wzrastała. Wyruszyliśmy więc, zagnieni, Edwarda Pokock'a ułożywszy na wiszącą matę.

I znów przechodzimy jasną rozległą krainę Urymi. Po krótkim pochodzie około godziny 10 doszliśmy do Czywyu, ale poto, aby usłyszeć ostatnie tchnienie szlachetnego Edwarda! Nieszczęśliwy anglik skonał na samym punkcie tego rozdroża wód, z którego strumienie poczynają już spływać do Nilu.

Nad mogiłą Edwarda, pogrzebionego w nocy, stoi na czatach śmiertelnych krzyż, silnie utkwiony w drzewo. Tu spoczął wędrowiec, w odległości czterysta mil od morza. Kierujemy się wciąż ku północy. Strumienie i rzeki, snujące się po drodze naszej, zapowiadają, że wchodzimy w kraj mglisty, gdzie się poczynają lenniki Nilu; w tu i owdzie włóczących się źródłkach, niby pasmach porozrzucanych, wycytujemy zawiązujące się dzieje tytanicznej rzeki. Po trzydniowém posuwaniu się wzdłuż Urymu, przybywamy do Mangara. Tu niegdyś posłany przezemnie (r. 1871) z listami Kirka do Liwingtona, Kaif został męczeńsko zamordowany. Położenie orszaku, którego większa część była złożona chorobami (bólom piersi, dyaryą), zniewoliło mię do zrzeczenia się tym razem pomsty.

Dnia 21 stycznia stanęliśmy w Ituru (obwód północnej Urymi). Wieś, w pobliżu której rozłożyliśmy się obozem, nazywała się Winyata, leżała ona w przestronnej dolinie, mieszczącej w sobie od 2—3 tysięcy mieszkańców. Tu dostrzegliśmy rzekę Liwumbu, przyjmującą w siebie wszystkie okoliczne strumienie, płynące pomiędzy Winyatą i Czywyu. Nawet w czasie posuchy ma ona około 20 stóp szerokości a 2 głębokości, zaś w porze deszczu staje się rzeką głęboką i niebezpieczną. I tu mieszkańcy przyjęli nas podejrzliwie, ponieważ jednak byliśmy tylko o dwa dni drogi od Iramba (pod 3 i pół stop.), przeto uwziętem się na zjednanie sobie ich życzliwości. Usiłowania moje uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem i wkrótce zaczęli znosić mleko, ciasto i jaja: płaciłem sownie perłami i płótnem. Szczodroblivość moja doszła nawet do uszu wielkiego męża, lekarza-czarnoksiężnika, który tu zaszczyconym został przez mieszkańców władzą równą królewskiej. Władca lekarz przysłał mi w podarunku wołu, prosząc tylko, abym mu odstąpił z niego serce. Życzenie to zostało spełnionem."

Korzystając z pięknego dnia słonecznego, Stanley rozkazał powieszać płótno i inne towary dla wysuszenia. Widok różnokolorowy sprowadził tłumy widzów, nie wzbudzających zrazu żadnego podejrzenia. Sam nawet lekarz-czarownik wszedł do obozu, i prosił o podarowanie mu kilku perek. Po pewnym, udaném wahaniu, Stanley uczynił zadosyć téj prośbie. Zaledwie oddalił się z obozu udarowany, oto

massy plemienia Wataru ze wszystkich dwustu wiosek doliny poczęły się gromadzić na około obozu.

Podejrzenia podróżników, właśnie w chwili gdy się najmniej tego spodziewali, okazały się słusznymi. Wkrótce bowiem zagrzmiały ze strony tłumów okrzyki wojenne: *Hehu, a Hehu!* Ponieważ jednak u ludów Ituru podobnego rodzaju okrzyki były zwykłym hasłem, donoszącym o napadzie zbójców i wzywającym ludność do broni, przeto na chwilę wstrzymano się od zbrojnych kroków, i Stanley wysłał jednego ze swoich towarzyszy, posiadającego język krajowców, w poselstwie, żądając wyjaśnienia. Odpowiedziano, iż niektórzy z żołnierzy wyprawy, wysłani w okolicę po żywność, zabrali w pewnej chacie mleko, nie płacąc za nie. W odpowiedzi, Stanley kazał oświadczyć, że nigdy nie było jego zamiarem wydzierać im własność gwałtem, jednakże uznając ich skargę za wiarogodną, żądał, aby obliczyli cenę poniesionej straty. Pretensya wytoczona przez niby pokrzywdzonych, dziesięć razy przenośiła wartość zmyśloną szkody. Po zaspokojeniu poszkodowanych, burza zdawała się ustępować. Było to jednak tylko złudzenie. Wkrótce bowiem demonstracya wznowiła się, w nierównie groźniejszych rozmiarach i przedstawiła się w formie najdotkliwiejszego napadu na obóz. Przedwstępna scenę boju stanowiło zamordowanie dwóch ludzi wysłanych poprzednio na zwiady, z których jeden poległ pod razami pałek z węzłami, drugi zaś padł z otrzymanych dwunastu ran od włóczni. Następnie mamy przedstawiony, smutny ale ciekawy obraz bitwy, która zakończyła się śmiercią 21 ludzi z orszaku Stanleya; dzicy stracili podobno 35 ludzi. Stanley, zwijając obóz, uznał za stosowne obrócić w perzynę wszystkie wioski doliny (przeszło dwadzieścia). Dodać musimy, że wymiar sprawiedliwości, zaopatrzył też wyprawę w zapas bydła i wszelkiego rodzaju żywności na sześć dni dalszej podróży.

Zwracając się teraz w kierunku północno zachodnim, Stanley odbył przegląd swojej bohaterkiej drużyny. Jakże zasmucający to był obraz. „Wyruszywszy, powiada Stanley, od wybrzeża w imponującej sile przeszło 300 ludzi, oto dziś zaledwie zostało nas tylko 194. Jeszcze to pokaźna rzesza, zwłaszcza w obec uzbrojenia i zapasów. Ale skoro pomyślę, że jeszcze mam przed sobą tysiące mil, tedy strata 120 ludzi jest straszliwą klęską.”

Z niegościnną tedy ziemi wyprawa, kierując się północno-zachodnio, weszła do kraju Iramba (pomiędzy 4 i 1/2 a 3-im st. szerok. połud.). Nadmienić wypada, że w czasie niniejszej wyprawy Stanley'a, po całym dopiero opisanym przestworze Afryki środkowej, złowieszczo rozlegało się imię pogromcy „Mirambo“. Imię to, przejmujące trwogą i nieustającym oczekiwaniem mordów i zniszczenia, było jakoby w powietrzu. Ani eliksiry, ani sztuki magiczne wszelkiego rodzaju zgubić go nie mogły. Tam widziano go na dalekiem południu, tam ukazał się na północy, tu drżano przed nim, tu z nim walczone.

Z tego to powodu, wyprawa Stanley'a, na samém wejściu do Iramba spotkana została krzykiem: „Mirambo i jego zbójcy“ i ledwie że naszych wędrowców nieprzyjęto, tak, jakby przyjęto Miramba, gdy-



by się dostał w moc mieszkańców. Im dalej posuwała się wyprawa ku jezioru, tém donośniej rozlegało się straszliwe echo; i tylko niesłychana zręczność i uprzejmość w postępowaniu uchroniła wyprawę od skutków rozdrażnionej wyobraźni mieszkańców. Po przejściu kraju Iramba, wyprawa dosięgła ziemi, stanowiącej punkt operacyjny do wycieczki na jezioro. Krajiną tą była *Uzukama*, z której nasz śmiały i przedsiębiorczy następca Liwingstona obecne sprawozdanie wysyła. Przed wstąpieniem na jezioro, Stanley daje nam dosadny i pouczający opis tego przestworza Afryki środkowej.

Najwyższe wzniesienie jego nad powierzchnią morza nie dochodzi nigdzie wyżej nad 5100 stóp. Jest to ogromna płaszczyna. Od jęj krawędzi wschodniej aż do Urimi, mamy przed oczyma jednolity gąszcz lasu akacyowego, tłumiącego swoim rozrostem wszelką inną roślinność. Niekiedy tylko z rozpadliny skał wyziera majestatyczna euforgia. Powierzchnią gruntu stanowi tu cienki pokład humusu, suto przekładany piaskiem i okruchami skał. Warstwowania skał, przypominające słoje cebuli, albo liściowy układ karczocha; ogromne w nich szczeliny, dochodzące niekiedy 50 stóp głębokości; są to imponujące skazówki potęgi deszczów podzwrotnikowych. Natura, mówi Stanley, opowiada człowiekowi widomą historią swojej olbrzymiej działalności. Są to, jakoby jęj wyrazy: „zajrzyj w szczeliny skał; bruzdy owe coraz bardziej rozszerzają się; temito kanałami całe obszary ziemne spędziłam ze skał i odprowadziłam do jeziora, aby i z niego kiedyś wytworzyć ład stały.“

Natura rzeczywiście wykonywa tu od wieków olbrzymią robotę *sparalizowania* skał; allowiem massy granitowe i porfirowe, rozpalone od promieni zwrotnikowych, a potem nagle ostudzone zimnym deszczem, pękają jak wapno gaszone, zachowując kształt szkieletów jedynie na świadectwo tytanicznej potęgi upału i wilgoci.

*Zegluga.* W tęg chwili, powiada Stanley, oto stoimy w odległości 100 kroków od jeziora Nyanza, i kiedy spojrzę na jego płasające fale, porywa mię żądza spuszczenia z wędzidła „Lady Alicyi“ i wstąpienia na zwierciadło jeziora, dla zbadania jego tajemnic, bo stoję u jego brzegów, ale wiem o niém tak mało, jak reszta ludzi w Anglii i Ameryce. Nawet od krajowców nie mogę się dowiedzieć, czy Ukerewe (jezioro Nyanza) stanowi jedną kotlinę wodną, gdyż wiele imion obija mi się o uszy; ale czy to są nazwy łądów, czy części jeziora?... W tęg chwili porozkładane członki Lady Alicyi poczęto spajać śrubami; piérwszy to statek angielski, ważący się na zuchwałą pielgrzymkę.

Tysiące legend snuje się około moich uszu: ten opowiada mi o karkach zamieszkujących nad jeziorami, inny o olbrzymach; trzeci narzecie, jak zapewnia, słyszał o psach, „tak olbrzymich, że niczém są moje maszty w porównaniu z niemi.“

W wilią wyprawienia obecnego listu, Stanley zrobił powtórną przegląd składu wyprawy; było w nięj 3 białych i 166 ludzi z Wangwana, a więc od wystąpienia z Ituru, w ciągu miesiąca umarło 28!



Przystań Kagehyi, z kąd Stanley pisał niniejsze sprawozdanie i następne, zawierające opis jeziora, leży pod stopniem 2-m i minut 31 szerokości południowej; a 33 stóp i 13 minut długości wschodniej.

Dla dopełnienia obrazu wyprawy Stanley'a, pozostaje nam jeszcze wspomnieć o jego okrężnej żegludze po jeziorze Wiktorji (Ukerewe). Żegluga ta rozpoczęta w pierwszych dniach marca 1875 r., a trwająca prawie dwa miesiące prowadzoną była po linii zbliżonej do brzegów, i dlatego też dawała możność spostrzeżeń nad ogólną charakterystyką położenia i plemion zamieszkujących pobrzeża. I jedynie tylko w połowie południowo zachodnich pobrzeży jeziora, od st. 0, 40 minut szerokości południowej, wodny gościniec Stanley'a znacznie odsunął się od brzegów w głąb, i tym sposobem południowo zachodni pas ziemi nie został poznanym. Zapowiada nam jednak Stanley, że nie odstąpi od wyprawy, aż po zapełnieniu tej próżni.

W ciągu 58 dni od chwili wyjazdu, Lady Alicya przebyła przestrzeń wynoszącą przeszło tysiąc mil angielskich. Dla podróżujących, okolice dotykające brzegów jeziora były dotąd prawdziwą *terra incognita*. Z wielkiej liczby zamieszkujących je plemion, rzadko gdzie tworzących większe grupy, najwydatniej przedstawiają się następujące:

1) na południe jeziora: kraj Uzukuma, przerznięty rzeką Szymiju, graniczący z krajami rozlicznego charakteru gruntowego, gdzie polowania na słonie odbywają się na wielką skalę. Ludność Uzukuma zdaje się być *najmniej dziką* (na nieszczęście cywilizacja środkowej Afryki oznaczoną być może tylko stopniami niżej zera na skali ogólnej cywilizacji). Zupełnie jednak zmienia się postać rzeczy, skoro posuniemy się myślą za naszym podróżnikiem, południowemu pobrzeżem jeziora, wyginającego się w długą zatokę Spek'ego. Sam klimat dokonywa tu rażącego przeskoku, od suchej atmosfery, do ciężkiego, bagnistego powietrza.

2) Pod tą mglistą atmosferą, żyje lud barbarzyński, znęcający się nad wędrowcami: rabunek jest ulubionym jego żywiołem. Nazwa tego plemienia jest Wirygedy; z sąsiadami, u których wyprawa miała swoją główną stacją, zupełnie się nie łączą. Rzeka Ruana przerywa ziemię tych środkowych *Afrykanów* w najgroźniejszym znaczeniu tego wyrazu. Odnoga, do której wpada rzeka, zakończy się tępą ścianą czworokąta, na 12 mil szeroką. Okolice, dotykające odnogi, przypominają Suez; są one zupełnie pozbawione roślinności; tylko wzdłuż jeziora ciągnący się wązki pas krzewia i trzciny urozmaica męczącą jednotonność krajobrazu. Za to, nieco wyżej, ku zachodowi spotykamy obszerną wyspę, tegoż nazwiska, co i jezioro (Ukerewe). Jest to ziemia przedziwnej roślinności, obfitująca w kość słoniową. Mieszkańcy odznaczają się łagodnością; posiadają w swojej władzy wiele wysp jeziora i prowadzą rozległy handel. Władca tego przedsiębiorczego plemienia ma być człowiek nader sympatyczny. Naprzeciwko wspomnianej wyspy, na stałym lądzie (prawie pod 2-gim stopniem szer. po-

łudniowej) spostrzegamy poza trzema grupami gór zapadłą krainę *Uru-ri*, bogatą w bydło i piękne pastwiska.

3) Na północ (pod 1-szym stopniem szer: połud.) i nieco dalej za równikiem leży rozległy kraj *Ugejeja*, o którym krążą tysiące podań, graniczących z cudownością. Jest to niewyczerpane źródło handlu kością słoniową i polowania na niewolników. Zachodnio-południową podstawę tej fantastycznej ziemi, stanowi ogromna, kształtem do rogu podobna, odnoga jeziora (zwana Kawirondo). Nad odnogą wzdłuż pobrzeża ciągną się olbrzymie góry, na wschód zaś od nich, podług zeznania krajowców ma się znajdować okolica napełniona drobnymi wulkanami, jużto dynem, już ogniem wybuchającymi. Zasługuje na uwagę, iż żadna z rzek tej równiny nie płynie ku północy; wszystkie one wpadają do jeziora.

Teraz stoimy pod równikiem. Żegluga przybiera charakter romantyczny. Statek posuwając się ku północy, widzi się w pośrodku pomiędzy wyspą *Ugingo* a przypartemi od Wschodu do jeziora górami; u ich podnóża wygląda on jak drobny owad. Cisza przedziwna, góry powstrzymują prąd wiatru i fali; scena podobną jest do snu letniego. Nietylko podróżników, ale nawet i krajowców, wstępujących w to zaciszne, napełnia otucha. Otucha ta jednak w sercu krajowców przybiera nastrój religijny. Tak nagle przejście od szumu fali do marzącej prawie ciszy, popycha ich umysły gwałtownie do cudowności. Gdyby nawet po za przyłaskiem srożyła się burza, tu jej panowanie naraz stłumionem zostaje. I dlatego krajowcy, zbliżając się ku temu schronieniu, śpiewają wielebne pieśni na cześć Goszy (nazwisko rzeki wpadającej do odnogi jeziora). W chwilach zniekania, lub spóźnionej żeglugi, zachęcają się oni wzajemnie hasłem „Goszy jest blisko, Goszy nas wspomóże.“

Nieco dalej na północ, tuż pod równikiem, spotykamy grupę drobnych wysepek, blizkich ładu. Tu postanowiono zanoć. Jedna z tych wysepek szczególnie zajęła Stanley'a. Skoro zaczął upatrywać drogi, dla dostania się na nią, niespodzianie odkrył naturalny most z bazaltu, mający długości blisko 20 stóp angielskich, a na 14 stóp szeroki, pod którym wędrowiec dogodnie ukryć się i wypocząć może. Z pod bazaltu oczom jego przedstawia się widok nie do opisania: po jednej stronie spienione fale pogromczo biją do podnóża skał, stanowiących podstawę łuku; z drugiej strony widzi on Lady Alicyą zaskończoną od natarczywości żywiołu, pod cieniem gałęzi drzew mangrowy, w całym jej przepychu. Wyspę pomienioną Stanley nazwał wyspą mostową (*Bridge-Island*).

Na równiku, Stanley ujrzał się w samo południe, i o cztery mile północniej statek wpływa na wodę kolorową, o prądzie lekkim, zachodnio-południowo-zachodnim. Tu po raz pierwszy z powitaniem wędrowców wystąpiły hipopotamy, z którymi jednak skromna, cedrowa Lady, boju staczać nie myślała; przyspieszyła więc biegu, ale pomimo to wyprawa ciągle jeszcze znajdowała się na gruncie straszego państwa, czy też krainy *Ugejeja*. Jedyne piękne wrażenie, uniesione

z Ugejeja, z powodu mostu bazaltowego i poetycznego zacisza, zatar-te zostało zejściem z mieszkańcami Mahaty (stop. 0 i 12 min. szerok. północnej). Podróźni bowiem nasi podpłynęli w łódce na kilka łokci od brzegu, gdzie byli dostrzegli rybaków i zapragnęli pomówić z nimi o miejscowości; załedwie zdążyli usłyszć nazwę miejsca, gdy nagle całe pobrzeże napełniło się ludem, a następnie połyskiwać zaczęły i piki. Lady więc i tym razem musiała podwoić kroku.

4) Żegluga po północnym brzegu jeziora doprowadziła Stanleya do siedzib czwartego z rzędu najznacniejszych plemion, okalających jezioro Wiktoryi, t. j. do krainy *Uganda*, znanę już nam z powodu misyi p. Longa do jej władzcy, wystanę przez Gordona.

Ten sam władzca, który okazywał szczególną, powiedzmy raczej tak straszliwą uprzejmość dla pełnomocnika rządu egipskiego; ten sam król, na prośbę Stanley'a, oddał pod jego rozporządzenie flotylę składającą się z 30 łodzi i 500 ludzi osady; a to w tym celu, aby Stanley mógł dla dokończenia żeglugi okrężnej, opłynąć pozostałą, t. j. zachodnią część jeziora, a tém samém pozostawioną w Uzukuma część ekspedycyi sprowadzić.

Ten jednak dział wyprawy, jakeśmy już nadmienili, ważniejszych odkryć nie pociągnął za sobą, przynajmniej dotąd. Na wschodnim brzegu jeziora spotykamy dwie ogromne wyspy: na północy *Sasse* przez którą przechodzi równik; i na południo-wschodzie: *Bum-bireh*.

W ciągu żeglugi Stanley sumiennie odbywał obserwacye horyzontu wodnego, dwa razy dziennie: w południe co do szerokości, a po południu co do długości. Porównywając je ze spostrzeżeniami Speake'a znajduje on potrzebę małych sprostowań w jego wykazach, dotyczących szerokości. Tak np. w oznaczeniu ujścia rzeki Katongi (do jednéj z północno-wschodnich zatok jeziora), dostrzegamy taką różnicę: połdług Speake'a ujście leży pod równikiem, Stanley umieszcza je na 0,16 minut nad równikiem.

F. J.

## Przeгляд pedagogiczny.

PRZEZ

*Piotra Chmielowskiego.*

Jak ważną rolę gra wychowanie i wykształcenie w ogólnym rozwoju społecznym, wie mniej więćj każdy wykształcony, a niewykształcony czuje instynktownie. Że przyszłość jaśniejsza i lepsza zależy przedewszystkiem od dorastającego pokolenia i od massy światła, któ-



ra w otoczeniu swoim młodzież znaleźć może, jest to fakt pierwszorzędnej wagi, który powszechnie zdaje się zyskiwać uznanie. Jakiegokolwiek bowiem mogą być warunki ekonomiczne i polityczne, wśród których pewne społeczeństwo już rozwinięte ruszać się i działać będzie, zawsze nader doniosłym okaże się pytanie: jacy to ludzie występują do działania, jakie są ich siły fizyczne, moralne i umysłowe.

Nie mogąc odpowiedzieć na to pytanie w całości, starać się przynajmniej należy o odpowiedzi częściowe. I tak potrzeba przedewszystkiem wiedzieć dokładnie o stanie wykształcenia w kraju. A zatem wypadałoby poznać liczbę i jakość szkół, w których dzieci i młodzież naukę pobierają, liczbę i jakość nauczycieli tak publicznych jak prywatnych, którzy są przewodnikami młodego pokolenia, liczbę i jakość zarówno umysłową, jak moralną młodzieży szkolnej, stan wychowania domowego, stosunek wreszcie uczących się do ogółu ludności.

Tym sposobem poznalibyśmy *statystyczną* stronę zajmującej nas kwestyi. Chcąc ją zbadać do gruntu, należałoby się zwrócić do poznania pierwiastku ruchu w sprawie wychowania, jego strony *dynamicznej*. A więc potrzebaby określić, jakie są ideały wychowawcze, w jakiej formie one się u nas przedstawiają i jakie środki do urzeczywistnienia ich są zalecane. Ażeby spełnić to zadanie potrzebaby znać pedagogiczne przekonania nauczycieli, rodziców, czyli w ogóle wychowawców, zajmujących się pedagogią praktyczną, jak niemniej poglądy tych ludzi, którzy ją teoretycznie uprawiają.

Gdybyśmy mieli dokładną statystykę krajową, skreślenie *stanu* wykształcenia nie przedstawiałoby trudności. Atoli w obec niezliczonych, ułamkowych, a częstokroć mylnych wiadomości podawanych przez pisma i kalendarze, niepodobna się kuśić o spełnienie tego zadania. Wnioski wyciągnięte ze zbyt małej liczby faktów, niezawsze dobrze sprawdzonych, słusznej mogłyby uleść krytyce, jako pośpieszne i bezpodstawowe. Jeżeli więc poprzednio wyliczył szereg wiadomości pożądaných dla piszącego „przegląd pedagogiczny,” zrobiłem to naprzód celem pobudzenia innych pracowników do poszukiwania danych, a powtóre dla przypomnienia sobie i czytelnikom, jak wiele przeglądowni memu brakować będzie.

Oznaczenie dynamicznej strony wykształcenia jest już łatwiejsze przynajmniej pod względem umysłowym. Nie możemy wprawdzie poznać przekonań wszystkich nauczycieli, jesteśmy jednak w stanie wykazać ideały i środki ogólne wychowania i wykształcenia. Posługujemy się w tym celu śladami, pozostawionymi przez wychowawców w literaturze i z nich dopełniamy sobie całości. Do pewnego bowiem stopnia ogół pojęć danej chwili streszcza się w literaturze; obraz jego bezwątpienia nie jest tak żywym, tak różnostronnym, jakibyśmy mogli otrzymać, uprzytomniwszy sobie ideały wszystkich albo znacznej liczby nauczycieli; w każdym jednak razie może nam dać miarę główniejszych i wybitniejszych kierunków wychowawczych, panujących w naszym społeczeństwie. I w tym przecież razie sądy nasze nader umiar-

kowanie formułować wypadnie; nie wszystko bowiem co się w praktyce zdarza, da się wypowiedzieć w literaturze, wiele więc rzeczy pominiętych milczeniem, nieraz krytyk a z nim czytelnik domyślać się musi.]

Literatura więc pedagogiczna będzie jak nateraz przedmiotem „przeгляdu;” inne kwestye w miarę możności później podniesione zostaną. Literaturę zaś podzielimy na publikacje książkowe i pisma peryodyczne, zaczynając sprawozdanie od pierwszych, jako najbardziej z chwilą bieżącą, z danymi interesami i okolicznościami związanych, mogących zatem najlepiej odwzorować pierwiastek ruchu w wychowaniu i wykształceniu.

### *Pisma peryodyczne treści wychowawczej.*

Czasopisma pedagogiczne na dwie główne podzielić można kategorie: 1) takie, których zadaniem jest wyświetlanie zasad wychowawczych i praktyki dydaktycznej na pożytek wychowawców; 2) takie, które dzieciom i młodzieży podają sposoby nauczającego i kształcącego bawienia się, jak niemniej przedstawiają prawdy naukowe w sposób pociągający i zajmujący.

Prócz tego pisma pierwszej kategorii bywają albo ściśle naukowe, przeznaczone dla pedagogów specjalistów, albo też popularne, mające na oku wszystkich średnio wykształconych rodziców, nauczycieli i w ogóle wychowawców.

Takich pism w Królestwie Polskiem nie ma wcale. Przyczyny tego niebardzo pocieszającego objawu są natury zewnętrznej i wewnętrznej. O zewnętrznych przyczynach rozpisywać się tu niepodobna; o wewnętrznych zaś zauważyć należy, że u nas nie wytworzył się jeszcze widocznie stan nauczycieli prywatnych, którzyby zawodu pedagogicznego nie uważali za coś przechodniego i tymczasowego, lecz owszem za zadanie życia całego. Posiadamy wprawdzie dość liczny zastęp nauczycielek, lecz ich działalność w sferze teorii nie mogła się dotychczas zarysować wyraźniej, w części z powodu dość niskiego przeciętnie stopnia wykształcenia, a w części z powodu ich stanowiska, które je usuwało od gwaru życia publicznego. Nie mieliśmy więc dotąd i zapewne nie prędko mieć będziemy czasopismo, któreby pomieszczało specjalne, ściśle naukowe badania, pedagogiki i dydaktyki dotyczące.

Co do pism pedagogicznych popularnych, to przed kilku laty dwa mianowicie tygodniki: „Opiekun Domowy” i „Ognisko Domowe” wzięły sobie za cel rozpowszechnianie wiadomości wychowawczych wśród masy średnio wykształconych czytelników i przez czas jakiś chociaż nie wyłącznie, ale zawsze w znacznej części do celu tego dążyć nie omieszkiwały.

Trwało to jednak nie długo. Częsta zmiana osób do składu redakcyi wchodzących, nie pozwalała rozwinąć systematycznie programu i uwydatnić jednolitego kierunku w roztrząsaniu pytań wychowawczych.



Wprawdzie i w roku bieżącym pomieszczały one, a mianowicie „Opiekun Domowy” najwięcej stosunkowo artykułów pedagogicznych, lecz między nimi trudno dostrzedz jedności wewnętrznej i planu pedagogicznego. Drukowano je widocznie w miarę jak nadchodziły, bez myśli przewodniej, któraby je w pewne grupy ustawiała i porządkiem dobrze obmyślanym w unysłach czytelników czasopisma zamierzone wrażenie robiła.

Możemy to naocznie zaobserwować w „Opiekunie Domowym.” W pierwszych numerach tegorocznych, liczba artykułów treści wychowawczej jest dość znaczna. Spotykamy tu urywek z „Z roczników domu i szkoły,” w którym p. A. G. Bem przedstawia nienormalny stosunek wymagań rodziców względem pensji prywatnych, wyrażający się w nacisku na nie wywieranym. Czytamy dalej uwagi p. A. Mirskiego dotyczące „Wad w dzieciach i sposobów ich usuwania” za pośrednictwem dobrego przedewszystkiem *przykładu*. Są następnie wskazówki „Jak należy czytać” (niżej podpisanego), jak postępować z „Indywidualnością dzieci” (p. A. Szymańskiego), jak się zapatrywać na rolę „Korepetytorów w wychowaniu młodzieży męzkiej” (p. A. Celichowskiego). Znajdują się wreszcie „Gawędy higieniczne i lekarskie” (przekład z niemieckiego). Atoli od nru. 10 artykuły w tym kierunku zjawiają się coraz rzadziej a raczej znikają, przypadkowe tylko i całkiem sporadyczne znajdując pomieszczenie.

Artykułów tych nie będę rozbierał szczegółowo. Wskazawszy ich treść, odsyłam interesujących się powyżej wymienionemi kwestyami, do pism, w których je roztrząsnięto. Zauważyć jeszcze tylko muszę ogólnie, że pytania tam podjęte są istotnie nader ważne tak w teorii, jak i w praktyce wychowawczej; lecz sposób ich obrobienia: ułamkowy i luźny, a czasami powierzchowny, nie może zapewnić artykułom wymienionym trwalszej wartości naukowej. Szlachetne dążenia, które kierowały ich autorami, zasługują bezwątpienia na uznanie czytelników „Opiekuna.” W artykułach pomienionych wytknięto wady naszego wychowania, a nieraz wskazano zbawienne środki ich wykorzystania. Błędów rażących, któreby mogły szkodliwie na umysły czytelników oddziaływać, nie ma w nich wcale; są jedynie usterki, już to pod względem teoretycznym, już praktycznym. Wykazywać je nie jest moim zamiarem; potrzebaby bowiem wejść w drobiazgowy rozbiór zdań, nie mających zbyt wielkiej doniosłości pedagogicznej, nie przedstawiających zatem dla ogółu oświeconych żywego zajęcia albo pożytecznej nauki. Wiem bardzo dobrze, że rozbiór nawet takich drobiazgów powinien wchodzić w skład „przeglądu pedagogicznego,” lecz wzgląd zarówno na miejsce jak i na czytelników od spełnienia tego zadania powstrzymuje. Zresztą w przeglądzie naszym jak nateraz, nie idzie tyle o wartość szczegółowych artykułów, ile o ogólnego ducha pism sprawom wychowania poświęconych. Tam więc, gdzie całość tego ducha nie da się ująć w jedną ogólną zasadę, lecz przeciwnie *rozprasza się*



na wiele drobnych zasad, niepodobna zchodzić wraz z temi ostatniemi na rozmaite ścieżyny, po których kroczy myśl ludzka.

Równie krótko rozprawię się z drugim pismem, które, wedle programu swego, sprawy wychowania obszernie traktować miało. W „Ognisku Domowém“ jednak znajdujemy jeden tylko przyczynek do historii poglądów etycznych u nas p. n. „Rozprawy o małżeństwie i wychowaniu w dziełach z drugiej połowy XVI i pierwszej XVII wieku.“ Piękny ten artykuł pióra zmarłego już Władysława Chomętowskiego, w małej tylko części historii pedagogiki w ściśłem znaczeniu dotyczy i dlatego nie może być przedmiotem szczegółowej z naszej strony oceny. Podobną uwagę zastosować tu należy do nader przystępnie i zajmująco pisanych „Notatek lekarza domowego“ przez dr. Łuszczkiewicza.

Zebrawszy tak skromny plon na niwie czasopism, mających na celu rozszerzanie pojęć wychowawczych, zwracamy się do innych, i z kilku artykułów treści pedagogicznej, które w nich napotykamy, wybieramy najprzód jeden obszernością swoją sięgający rozmiarów rozprawy a ważnością poruszonych zagadnień celujący nad inne.

Mówię o rozszerzonym odczycie p. J. K. Plebańskiego, profesora b. szkoły głównej, drukowanym w „Kronice Rodzinnej“ (Nr. 8—12), p. n. „O pedagogicznem znaczeniu nauk klassycznych.“

Treść téj rozprawy porusza jedną z zasadniczych kwestyi wykształcenia, gdyż dotyczy jego *kierunku*. Od połowy XVIII stulecia kwestya ta stała się przedmiotem nie tylko sporów teoretycznych, ale i prób na polu praktyki dokonywanych dla zbadania, jakimi środkami pedagogicznymi możnaby nie tylko najlepiej i najpewniej, lecz także najprędzej osiągnąć cel upragniony: wykształcenie umysłu, serca i charakteru młodzieży. Klassycyzm i realizm pedagogiczny podzielił umysły na dwa niezbyt przyjazne sobie obozy, z których każdy stronie swojej zwycięstwo zapewnić usiłuje. P. Plebański utożsamia dwa te rodzaje poglądów na sprawy wychowania z ogólnemi prądami *idealizmu* i *realizmu* w zakresie filozofii i pojęć społecznych. A jakkolwiek stara się ntejednokrotnie wykazać swoją bezstronność w ocenie i jednego i drugiego, to przecież ostatecznie całą sympatya swoją dla kierunku klassycznego zachowuje. Co więcej, na kierunek realny w zakresie wychowania rzuca cień z racyi szkodliwego wpływu na moralność, nie wzmiankując nawet słowem, że takiz sam cień rzucić usiłowano na system klassyczny. Wypowiadając to zdanie, nie będę się opierał na przypuszczeniach i kombinacjach, lecz własne p. Plebańskiego, wcale nie dwuznaczne słowa przytoczę, w których szkodliwy wpływ na moralność naukom realnym przypisuje.

Oceniając ze stanowiska historycznego ważność zwrotu do zajęć praktycznych, do rękodzieł, przemysłu i handlu w kraju naszym, tak się zastrzega przeciwko wyłączności czy przewadze nauk realnych w całości wykształcenia: „Nie możemy stłumić w sobie przezornę oba-

wy szkodliwych skutków tego zwątpienia o moralnej i praktycznej wartości nauk duchowych w obec dźwigających się nowych potęg naukowych: bo *bez pewnego idealnego nastroju ducha* tak się jest przyniesionym przez żalną dolę życia, że można zwątpić i o realnych warunkach bytu. Potomność nie darowałaby nam tego błędu, gdybyśmy spodziewanemi rozkoszami *praktycznych korzyści* zwabieni, mieli spychać całe młodsze pokolenie do kondycji *intelligentnych rzemieślników i przemysłowców*, pozbawiając je *duchowego związku* z powszechną cywilizacją Europy, zwłaszcza gdy szkoła na systemie nauk klasycznych oparta, daje nam możność korzystania z doświadczeń wieków.“ A dalej wychwalając pożytek nauk klasycznych w sprawie idealnego wykształcenia charakteru, przeciwstawi im wpływ nauk realnych, zalecanie *pożytków materialnych* i mówi, że ten ostatni sposób „wyradza w kształcących się umysłach *egoizm i przebiegłość*, która pozostanie na zawsze wadą charakteru; tworzy obojętność dla spraw ogólnych, osobistą korzyścią szacowanych; podkopuje cnoty rodzinne, słowem przygotowuje dezorganizacją każdego społeczeństwa.“

W obec sądów powyższych powinienem przedewszystkiēm zaznaczyć, że pomiędzy szkołami klasycznymi a realnymi nigdy nie było tak gwałtownego przeciwieństwa, jak pomiędzy idealizmem a realizmem; że zatem poczytywanie systemu nauk klasycznych za system nauk duchowych, i przypisywanie naukom realnym dążeń materializmu praktycznego, dążeń pozbawienia młodzieży wyższego duchowego nastroju, jest co najmniej jednostronnością. Gdyby autor sądy te przytoczył jako motywa ludzi stronnych; gdyby im przeciwstawił podobne zarzuty czynione wpływowi nauk klasycznych, byłby najzupełniej w porządku. Ale p. Plebański uwydatniając wady kierunku realnego zamilczał o głosach wymierzonych przeciwko kierunkowi klasycznemu. Nie będę tu uzasadniał orzeczenia mego historycznie; odwołam się tylko do czasów niezbyt odległych i do osób, które dalekiemi były od wszelkiego rodzaju radykalizmu. Poprzestanę na dwu przykładach, z naszej własnej literatury wziętych.

W roku 1859 w „Pamiętniku Religijno-Moralnym“ (zesz. I str. 5—10) p. Eugeniusz Miłoz, wspominając o dziełku ks. Gaume p. n. *Le ver rongeur des sociétés modernes ou le paganisme dans l'éducation*,“ obwinia wraz z tym autorem „żywiol klasyczny, żywiol pogański, bezwzględnie i przesadnie od czasów tak zwanego odrodzenia nauk do edukacji wprowadzony, o największe klęski, jakie dotknęły kościoła i postawiły społeczność chrześcijańską w dzisiejszym stanie moralnego upadku i nędzy;“ co następnie szczegółowym rozbiorem ze swego stanowiska usprawiedliwia.

W rok potem ks. Adam Czartoryski w „Żywocie Niemcewicza“ (str. 178) przytoczywszy szkodliwe wpływy, jakie wywarł kierunek klasyczny od czasów odrodzenia nauk na literaturę i sztukę, tak dalej ciągnie: „Można było dodać, że wprowadzenie starożytnej literatury, mitologii i filozofii do cywilizacji europejskiej *było pierwszym wstrzą-*



*śnieniem i podkopaniem* prostych obyczajów, pojęć i wiary naszych ojców, które od XVI wieku tak znacznych i przewrotnych szwanków doznały. Mitologia w poezyi wzięła miejsce prawdziwej wiary, która odtąd aż do naszych czasów do poezyi dobrego gustu już nie przypuszczana, w kantyczkach jedynie się utrzymała. Poezycy erotyczne Greków i Rzymian rozpuściły, *pogorszyły obyczaje* i dały wzrost większym, rozwiąźlejszym, bardziej zniewieściałym usposobieniom i żądom: systemata zaś filozofii pogańskiej otworzyły wrota wolniejszym zaciekaniom umysłu i zagęściły przekonanie, że rozum ludzki, gdy rozwinie skrzydła, może sam lecieć i obejść się bez wiary. Niezaprzeczenie więc pęd nadany umysłom w końcu XV wieku przez tak nazwane odrodzenie przyczynił się stanowczo do wielkich zaburzeń religijnych, szarpających chrześcijaństwo w XVI i części XVII wieku i do ich dalszych skutków bądź lepszych, bądź z gruntu szkodliwych.“

Widzimy więc, że obu kierunkom: realnemu i klassycznemu, ze strony moralnej jednakowe niemal zarzuty zrobić się dadzą. Jeżeli p. Plebański uwydatnił egoizm, brak polotu ducha, podejrzliwość i t. d.; to Gaume, Miłosz, Czartoryski podnoszą rozpustę, pychę, skłonność do rewoltów i t. p. Ani na jedno ani na drugie zgodzić się bezwzględnie niepodobna: w obu poglądach zauważyć można jednostronność w tém: 1) że *przeceniają* wpływ nauki na utworzenie charakteru, a po 2) że nie odróżniają instrukcyi szkolnej od mnóstwa wpływów pobocznych, które w stosunkach ekonomicznych, politycznych i społecznych źródło swe mają.

Niema żadnej wątpliwości, że wszystko co wchodzi do umysłu naszego a zatem i nauka wyraża się dotykalnie we wpływie wywieranym na ukształcenie charakteru naszego; nie należy jednak zapominać, że najważniejszą w tym względzie gra rolę uczucie i przykład, jaki w otoczeniu bliższem i dalszem znajdujemy. Chcąc więc wydzielić cząstkę przypadającą nauce w rzeczy uformowania charakteru, potrzeby dwa pozostałe a najważniejsze czynniki uwzględnić. Nauka sama w sobie, czy nią będzie system umiejętności przyrodzonych, czy klassycznych, jest zawsze *idealnego* pochodzenia i wpływów innych na umysł nad idealne nie wywiera. Dopiero kojarzące się z nią uczucia w połączeniu z przykładem mogą poprowadzić do czynu, w sferę rzeczywistości, którą przywykliśmy z dwojakiego uważać i oceniać stanowiska: idealnego i materyalnego. Mówić więc o szkodliwym wpływie nauki na moralność, jest to odwracać naturalny przez psychologią wskazany porządek i stawiać na pierwszym planie to, co stoi dopiero na drugim. Naocznie możemy się o prawdzie tego zdania przekonać na ludziach, celujących wykształceniem a nikczemnych moralnie.

Instrukcyja szkolna ma zadanie przedewszystkiem teoretyczne i wywiera głównie wpływ teoretyczny; dopiero nauczyciel i całe otoczenie swoim przykładem i działaniem na uczucie wychowawca uczą wprowadzać zasady w wykonanie. Oskarżać więc instrukcyję o to, co może



być winą ciała nauczycielskiego lub otoczenia wogóle, jest to popełniać niesprawiedliwość.

Z niewłaściwego przeciwstawienia szkół realnych i klasycznych, z utożsamienia ich z kierunkami: idealnym i materialnym wyniknęła u p. Plebańskiego niewłaściwa wycieczka przeciwko moralnemu wpływowi nauk realnych. Ani szkoły realne nie były nigdy pozbawione pierwiastku duchowego, ni też szkoły klasyczne żyły samym duchem. Musimy więc rozróżnić dwa terminy różne i nie mieszać ich ze sobą.

Jesteśmy za p. Plebańskim, kiedy przemawia za koniecznością harmonijnego połączenia nauk duchowych (literatury, historii, psychologii, logiki i t. p.) z naukami świata zewnętrznego; jesteśmy za nim, kiedy opierając się na historycznym rozwoju cywilizacji europejskiej, przemawia za ważnością nauki dziejów; jesteśmy nawet za nim, kiedy ze względu na istniejące dotychczas przekonanie, uznaje naukę języka łacińskiego i greckiego za *niezmiernie ważny* środek wykształcenia; ale nie możemy się zgodzić, że taż nauka jest *niezbędnym* pedagogicznym środkiem harmonijnéj gimnastyki umysłu młodocianego w szkole; gdyż jesteśmy przekonani, że nad realnym i klasycznym kierunkiem wykształcenia zatryumfuje kiedyś narodowy; nie możemy dalej się zgodzić na to, że wskrzeszony duch starożytności klasycznej obudził ducha literatur narodowych, że w starożytności téj panował „zupełny pokój niewinności, cisza ideałów dobra, prawdy i piękna,“ i że przedmioty nauk klasycznych posiadają „zdolność do obudzenia czucia i zmysłu dla *wszystkich* ideałów.“

Za długoby było uzasadniać każde z tych twierdzeń; zaznaczywszy je tylko pozostawiam umotywowanie ich lub téż odrzucenie czytelnikom samym. Powiem więc tylko słów kilka o ogólném znaczeniu rozprawy p. Plebańskiego. Poruszył on przedewszystkiem jedną z najważniejszych kwestyi wykształcenia i obudził w umysłach myślącego ogółu dążność do bliższego zastanowienia się nad nią, przytaczając ze ogólnej strony argumenta, znane dotychczas w literaturze bardzo powierzchownie i niedokładnie. Argumenta te, o ile dotyczą nauk duchowych wogóle są bardzo silne i uzasadnione, przekonać téż winny wszystkich o niezbędnej potrzebie należytego ich uwydatnienia we *wszystkich* bez wyjątku szkołach, w mniejszym lub większym zakresie, stosownie do stopnia, który szkoła dana zajmuje. Argumenta, mające na celu zapewnienie naukom klasycznym a mianowicie nauce języka łacińskiego i greckiego naczelnego a nieodzownego środka pedagogicznego, nie do wszystkich wprowadzie umysłów przemówią, a w każdym razie nie mogą sięgać po doniosłość bezwzględna; wobec istniejących przecież warunków wykształcenia wykazują jasno, że studia klasyczne mają silną pod sobą *dydaktyczną* podstawę.

Prócz tych czysto teoretycznych zdobyczy, rozprawa p. Plebańskiego ma jeszcze w niektórych ustępach znaczenie praktyczne. Podnosimy mianowicie jeden ustęp, w którym p. Plebański walcząc przeciw formalizmowi gramatycznemu w nauce języków starożytnych, dotyka kwestyi błędów gramatycznych i stylistycznych w ćwiczeniach piśmiennych.

Bardzo słusznie powiada autor, że więcej potrzeba uważać na biegłość w czytaniu i tłumaczeniu pisarzy klasycznych, niż na drobnostki grammatyczne w wypracowaniach; że błędy tu popełnione należy nie *liczyć* lecz *ważyc*, że w przeciwnym wypadku „cel wykształcenia ogólnego przez języki klasyczne jest zupełnie chybiony i młodzież z wielką stratą czasu niepotrzebnie się temi drobnostkami grammatycznymi dreczy; gramatyka bowiem nie jest jedynym celem nauki szkolnej, ale tylko środkiem do samodzielnego badania świata i ducha starożytnego.“

Obok rozprawy p. Plebańskiego trudno mi postawić inną, któraby jej wyrównywała pod względem ważności rozbieranego pytania i pod względem talentu, z jakim napisana została. Z obowiązku tylko sprawozdawcy wspomnieć muszę słów kilka o odczycie również jak i pana Plebańskiego rozszerzonym, a drukowanym w *Atencum* w zeszytach majowym i czerwcowym p. n. „Dzieje oświaty ludowej.“ Każdy pod tym tytułem spodziewałby się roztoczenia przed czytelnikami historii tych usiłowań, które dążyły do rozszerzenia światła wśród tak długo zaniedbaną warstwę ludności, jaką lud właśnie przedstawia. Tymczasem autor „Dziejów oświaty ludowej,“ zamiast spodziewanego, dał nam wcale nieoczekiwany zarys wyobraźni, poglądów i ustaw wychowawczych w Grecji i Rzymie, w wiekach średnich i w ostatnich stuleciach, poświęcając dopiero w końcu kart zaledwie kilka właściwemu przedmiotowi artykułu. Że tym sposobem praca jego straciła na wartości, łatwo zgadnąć. Cóż bowiem można ważnego i pod względem naukowym zadawalniającego powiedzieć w szczupłych rozmiarach o rozwoju pedagogiki poprzez wszystkie wieki cywilizacyjne? Potrzeba wielkiego talentu, ażeby nie popaść w powtarzanie rzeczy powszechnie znanych w sferze ludzi wykształconych i dać obraz nowy a pouczający. Autor starannie dosyć zbierał wiadomości, usiłował ożywić swój wykład; lecz pomimo to nie ustrzegł się powierzchownego traktowania przedmiotu a skutkiem tego odjął swemu artykułowi wartość naukową. Przedmiot nawet główny pracy: oświata ludowa, sprowadzony do podrzędnego w niej stanowiska, został zaledwie dotknięty. To też artykuł pomieniony może mieć tylko znaczenie jako popularna gawęda o niektórych rzeczach tyjących się dziejów wychowania, jako przypomnienie ogółowi, że są kwestye wychowawcze bardzo ważne a zbyt pobieżnie opracowane.

Tęmi wzmiankami wyczerpałem ważniejsze rozprawy i rozprawki, w których znajdujemy teoretyczne zastanowienie się nad pytaniami pedagogicznymi; ponieważ ich niewiele, nie potrzebuję raz jeszcze ich streszczać i pod ogólny widok sprowadzać. Zaznaczam więc jedynie, że istnieją przeszkody zewnętrzne, nie pozwalające traktować niektórych ważnych przedmiotów, że jednak ta okoliczność nie może usprawiedliwiać zbyt szczupłej liczby artykułów pedagogicznych.

Przypatrzymy się w swoim czasie praktyce pedagogicznej w zakresie piśmiennictwa.

# SYNOWIE HETMAŃSCY.

O P O W I A D A N I E H I S T O R Y C Z N E .

PRZEZ

*Wł. Chomętowskiego.*

Tom II.

I.

Ważne wypadki i sprawy publiczne stanęły na przeszkodzie w doprowadzeniu do skutku konkurów chorążego, który z relacji księdza Perkiewicza i z listów pani Sieniawskiej czerpał już blizkiej zgody i pomyślniej przyszłości nadzieję. Wkrótce po powrocie z Swiecia do Lwowa Jana Jabłonowskiego, umarł król Jan III w Willanowie, w dniu Ś. Trójcy, 19 czerwca. Na kilka godzin przed śmiercią, spadł król w czasie rozmowy z kanapy; ocucony po trzygodzinném omdleniu, odzyskał przytomność i nie utracił jęj aż do chwili skonu.

Wiadomość o śmierci króla otrzymał hetman w. kor. we Lwowie w dniu 21 czerwca, o godzinie 3 po północy. Zbudzony ze snu przeczytał fatalną depeszę, poczem załamał ręce i zwiesił sędziwą głowę, a łzy głębokiego żalu potoczyły się po twarzy pooranej zmarszczkami. Prawie całą godzinę rozmyślał samotnie hetman nad srogim, jakkolwiek przewidywanym ciosem; poczem przywołał synów Jana i Aleksandra, i temi pozdrowił ich słowy:

— Oznajmuję wam, synowie moi, wieść żalosalną, że król Jan III w dniu Ś. Trójcy oddał wielkiego ducha Bogu. Ciężka to strata jest dla kraju, ale najcięższa dla mnie. Skoro wspomnę na długoletnią służbę w polu, w obozach lub na sejmach, widzę wszędzie przedemną cień mego wodza i króla, w srogich zapasach bitwy, w tryumfach i w niedoli. Wielkie nieszczęście z woli Wszchemogącego Boga dotknęło całą naszą rodzinę, której ś. p. król Jegomość był szczególnym opiekunem i ojcem. Wiecie najmilsi synowie, że z dniem śmierci króla, nastaje czas żałoby, którą ojcowie nasi zachowywali zawsze solennie. Dzień ten podwójnie jest dla nas żalosalny: strata własną i Rzeczypospolitej, która w osieroceniu swém wyciąga ku nam ręce. Proszę was i zaklinam, dopomagajcie mi w sprawach publicznych jako też domu królewskiego, który ma słuszne prawo żądać od nas opieki.

Potém zwracając się do młodszego syna Aleksandra dodał:

— I tobie mości chorąży, konkury i festa hymeneuszowe odłożyć na czas późniejszy wypadnie, najprzód dla żałoby po królu, potém dla



sprawy publicznej, która wielkie choć trudne otwiera dziś dla zasług pole. Niezadługo pojedziesz z listem moim do kardynała, opowiesz mu o wielkiem ubóstwie wojska i złém opatrzeniu fortec, mianowicie okopów Ś. Trójcy, które bez należytej obrony łatwym stać się mogą łupem dla nieprzyjaciela. Niech kardynał prymas zagrzeje w uniwersałach szlachtę, aby radziła na sejmikach o zapłaceniu zaległego żołdu i zaopatrzeniu fortec, bo pryncypalną materją powinna być dziś obrona.

Długo po tój przemowie do Aleksandra, rozprawiał i naradzał się hetman z najstarszym synem Janem.

W ślad za pierwszą wieścią, z różnych stron przybywali do Lwo-wa gońce. Kilka listów jednocześnie odebrał hetman z Warszawy, z doniesieniami o okolicznościach skonu króla Jana, jako tóż o następujących wypadkach, mianowicie o zajęciu warszawskiego zamku przez królewicza Jakóba i o plenipotencyi wydanej przez tegoż Stefanowi Potockiemu łowczemu koronnemu. Pomieniony dokument, jak wiemy, ułożono jeszcze za życia króla; natychmiast więc po skonie ojca, wysłał królewicz łowczego do Żółkwi, z rozkazem objęcia na rzecz jego zamku i opieczętowania skarbów, sam zaś zamknął się w zamku warszawskim, zkąd wysłał do królowej matki, biskupów poznańskiego i inflanckiego, z ostrzeżeniem, ażeby nie przyjeżdżała do Warszawy, gdyż brama zamku królewskiego jest przed nią zamknięta. Królowa rozgniewana srode na syna za czyn tak niegodny i zuchwały, udała się pod protekcją kilku znakomitych osób, w których orszaku wraz z marszałkiem swym Rafałem Leszczyńskim, pojechała do Warszawy i stanęła w pałacu siostry Wielopolskiej, kanclerzyny. Tymczasem Jędrzej Załuski biskup płocki, Lubomirski marszałek w. kor. i Miączyński podskarbi nadworny, stanęli wraz z ciałem zmarłego króla przed zamkiem, lecz znaleźli bramy zamknięte ku wielkiemu zgorszeniu wszystkich przytomnych. Atanazy Miączyński, konwojujący zwłoki króla Jana, zażądał od chorążego, dowodzącego miejscową załogą, aby roztworzono bramę; chorąży nie śmiał sprzeciwić się temu żądaniu, rozkazał wpuścić wóz żałobny i oczekujących przed bramą dygnitarzy. Wszedł najprzód biskup Jędrzej Załuski a spotkawszy królewicza Jakóba, wystawił mu nieprzyzwoitość jego postępku i zachęcał do pogodzenia się z matką: zmieszany i zmięczony królewicz, napisał list do matki z tłumaczeniem i zaproszeniem do zamku. Przybyła Marya Kazimira na wezwanie syna, który nie mógł wynaleźć zręczniejszego tłumaczenia nad to, że postanowił zamknąć przed nią bramy, z obawy, ażeby nie zawładnęła sama ojcowską spuścizną i nie pokrzywdziła go w sukcesyi, dodając, że obudziły w nim to podejrzenie, liczne i jawne dowody jej niechęci. Królowa, jak można się spodziewać, wyrzucała gorzko synowi jego czyn zuchwały i z oburzeniem przyjęła pomienione tłumaczenie. Odtąd rozpoczyna się szereg tych skandalicznych sporów pomiędzy matką a synem, które zaszkodziły tak mocno wspólnemu interesowi królewskiej rodziny.

Tymczasem z powodu wyprawy łowczego do Żółkwi, hetman Jabłonowski odbierał listy we Lwowie, z różnemi doniesieniami i prośbami. Najprzód przybiegł konno z Żółkwi Wychowski, dworzanin królewicza Jakóba, z listem, w którym tenże oznajmia hetmanowi, że posyła z plenipotencją łowczego koronnego, przyczém zaklina, ażeby mu nietylko nie przeszkadzał, lecz owszem, dopomagał do opieczutowania ojcowskich skarbów, jako najstarszemu synowi i opiekunowi młodszych braci. Odpisał hetman uprzejmie, ale dodał zarazem, że postąpi tak, jak mu prawo i uczciwość wskaże. W dniu następnym przyjechał Kochanowski, pokojowiec królewicza Jakóba, z listem łowczego i doniesieniem, że zjechał Żółkiew na mocy plenipotencji, protestuje się przytém jako nie dopuścić się żadnego gwałtu, w końcu prosi o komendę nad żołnierzami garnizonu. Przekonał się Jabłonowski z przysłanej mu kopii plenipotencji, jako takowa daną była łowczemu jeszcze za życia króla, odpisał więc, że akt wydany przez królewicza Jakóba Sobieskiego, nieopatrzony podpisami innych królewiczów jako też matki, jest nieważny; nadto, że królowa za szlacheckim prawem siedzi w dożywociach, summach i oprawach; przeto nie zgadza się na to samowolne zajęcie Żółkwi i nie odda komendy łowczemu.

Wkrótce po rzeczonych odezwach królewicza i łowczego, odebrał hetman list od królowej, który brzmiał w następujących słowach:

Jaśnie wielmożny, uprzejmie nam miły!

Niespodziewana śmierć Najjaśniejszego króla, jako nas rzewnemi zalała prawie łzami, w tak ciężkiem z całą Rzeczpospolitą zostawwszy osieroceniu, innéj po Panu Bogu nie zostawiła pociechy, tylko w sercach życzliwych nam i najjaśniejszemu domowi naszemu przyjaciół. Najpierwszy jednak wszelkich interesów naszych zaszczyt pokładamy w życzliwym uprzejmości waszój afekcie, i do niego pilnie czyniąc rekurs w tak nagłym razie, jako najpilniéj żądamy, abyś poufnego sobie i życzliwego przybrawszy senatora, do zamku żółkiewskiego niemieszkanie zjechał, skarbiec w nim będący pieczęciami swemi zapieczetować i obwarować kazał, przestrzegając tego, ażeby nikt do niego bez naszej nie interesował się dyspozycyi. Wszakże, jeśliby się kto ważył, z czyjegokolwiek rozkazania, tedy uprzejmość wasza, zażyłby władzy urzędu swego hetmańskiego, do poskromienia takowój śmiałości. Cokolwiek w tém uprzejmość wasza ku nam wyświadcysz uczynności, za osobliwszą w żalach naszych przyjmiemy konsolacją, dobrego na ten czas od Pana Boga uprzejmości waszój życząc zdrowia. Dan w zamku warszawskim 9. 19 Junii 1697.

*Maryja Kazimira królowa Polska.*

Następnie odebrał Jabłonowski dokładną relacją wypadków zasłych w Żółkwi czyli zajazdu łowczego. Podajemy treść téj relacji:

D. 20 Junii, około godziny 6 po południu, przybył JMPan łowczy koronny do miasta, z plenipotencją królewicza Jakóba w towarzystwie trzydziestu ludzi, którzy liczyli się po większej części w służbie tegoż najjaśniejszego królewicza. Najprzód JMPan łowczy miał naradę

z p. chorążym Orchowskim, który, jako człek przedajny i ladaco, nie sprzeciwiając się wcale, wpuścił łowczego do zamku i oddał mu klucze. Ale francuz Dupont, kamerdyner i faworyt dawny królowej Jéjmości, zaprotestował najsolemniej przeciw inwazji łowczego, mówiąc: „Przepraszam WMPana, ale mając powierzony dozór pokojów królowej Jéjmości, nie mogę nikogo wpuszczać bez wyraźnego jéj rozkazu. To powiedziawszy stanął we drzwiach i zagroził łowczemu drogę, ale ten wybuchnął okrutnym gniewem, uchwycił francuza za ramiona i odepchnął. Następnie wszedł pan łowczy z tryumfem do pokoju królowej, zasiadł na krześle pod oknem i rozkazał stawić się kamerdynerowi. Kiedy nadszedł Francuz, rzekł do niego plenipotent królewicza w te słowa:

— Za zuchwalstwo i sprzeciwianie się rozkazom królewicza JM. powieszę WMPana przed zamkową bramą.

To powiedziawszy, wstał z krzesła, kazał się przybliżyć do okna Dupontowi, poczem wskazał na wierzbę rosnącą w pobliżu bramy, mówiąc:

— Tam, na tém drzewie odpokutujesz waszmość za tę insolencyą, przez cały tydzień wisić będziesz dla przykładu, a kruki nad ciąłem waszmości pastwić się będą.

Struchlał Francuz usłyszawszy pogroźkę, ale przekonał się wkrótce, że zadrwił z niego pan łowczy i zastraszył tylko z dobrej fantazyi.

Na drugi dzień przechadzał się łowczy z wielką pompą po zamku, przeglądał stajnie, spisywał inwentarz i zagospodarował się w najlepsze. Po południu pisał listy, z którymi w różne strony rozesłał posłańców, mianowicie do JMPana Potockiego wojewody krakowskiego i JMPana Sieniawskiego wojewody bełzkiego.

Taką otrzymał hetman relacyą z Żółtkwi od naocznego świadka.

W dalszym ciągu sprawy odebrał hetman Jabłonowski jednocześnie dwa listy: jeden od Adama Sieniawskiego, drugi od jego żony.

Wojewoda bełzki chcąc zadość uczynić żądaniu królewicza i wezwaniu swego szwagra łowczego, pisał z prośbą o oddanie mu komendy w mieście Żółtkwi; przeciwnie pani Sieniawska, dowiedziawszy się o zamiarach męża, zaklinała na wszystko hetmana, ażeby nie oddawał mu komendy, przez wzgląd na królowę Jéjmość i jéj prawa, przyczem załączyła listy Maryi Kazimiry i królewicza Aleksandra. Tymczasem królewicz Jakób wysłał powtórnie gońca do Lwowa, z prośbą o udzielenie pomocy łowczemu; ten zaś po otrzymaniu nieprzychylnéj odpowiedzi hetmana, upraszał go tylko, ażeby upoważnił i wyznaczył kogokolwiek do opieczętowania skarbów, całą zresztą sprawę oddawał pod jego rozporządzenie. Tak więc w przeciągu dni kilku zarzucony został hetman korespondencyami najróżnorodniejszej treści, na które, zaledwie z pomocą synów, mógł wygotować odpowiedzi. Przychylając się do żądania wyrażonego w ostatnim liście łowczego, wysłał do Żółtkwi i upoważnił do opieczętowania skarbów, Żaboklickiego kasztelana ka-



mienieckiego i Łosia podsędką lwowskiego. Komisarze ci przyjechali do Żółkwi w d. 26 czerwca, ale z wielkim zgorzeniem spotkali niejakiego Złotowskiego, dworzanina wojewody krakowskiego, który pieczęcią królewicza Jakóba pieczętował już skarby. Łoś pokazał rozkaz z podpisem i pieczęciami hetmana w. kor. i zaprotestował przeciw czynności Złotowskiego, ale ten nie chciał ustąpić dobrowolnie i odpowiedział z uśmiechem: „Królowa was, królewicz nas wziął za protektorów.“ Rozgniewany Łoś tą zuchwałą odpowiedzią, wyprowadził z pokojów Złotowskiego i zmusił do zaniechania dalszej protestacji, gdyż Nikodem Żaboklicki kasztelan kamieniecki, objął w imieniu hetmana komendę nad całym garnizonem. Tak więc spełzył na niczém zamach królewicza Jakóba w Żółkwi. Plenipotent jego, Stefan Potocki, widząc liczne ze wszech stron przeszkody, usunął się powoli z placu. Adam Sieniawski nie śmiał również występować do walki z potężnymi przeciwnikami, zagrożony nadto energiczną protestacją żony.

Wtedy to panowie Lubomirscy, marszałek w. kor. i podskarbi, przywódcy stronnictwa, które wystąpiło już pod chorągwią księcia de Conti, oświadczyli, że pojedą do Żółkwi w celu położenia aresztu w imieniu Rzeczypospolitej, na skarbach nieboszczyka króla. Widok niebezpieczeństwa ze strony wspólnego nieprzyjaciela, nakłonił królowę i królewiczów do zawarcia umowy, na mocy której wszyscy trzej bracia mieli się udać do Żółkwi w obronie ojcowskiej spuścizny.

Hieronim Lubomirski uprzedził królewiczów, jakoż przyjechali do Żółkwi i opieczętował skarby. Stanisław Denhoff pułkownik doniósł o tém Jabłonowskiemu, w ślad za nim przybył Małachowski wojewoda kaliski do Lwowa. Ten ostatni towarzyszył królewiczowi w podróży do Żółkwi, ale podskarbi Lubomirski kazał przed nimi pozamykać bramy i nie wpuścić ich do zamku. Pomienione wieści zaniepokoiły mocno hetmana, złożył więc naradę z Małachowskim i Denhoffem, w której wziął udział i syn jego najstarszy. Uchwalono zgodnie, że młodzi Jabłonowscy wyruszą natychmiast z Małachowskim do Żółkwi, jako też, że pojedzie pułkownik Denhoff z upoważnieniem do objęcia komendy wojskowej, sam zaś hetman wyruszy dopiero za dni kilka.

Jan i Aleksander Jabłonowscy nie zastali już w Żółkwi Hieronima Lubomirskiego. Przyjechali oni do zamku o północy wśród burzy i ulewnego deszczu, obudzili natychmiast młodszych królewiczów, którzy powitali ich z wielką radością. Stanisław Małachowski udał się z rełacją do królewicza Jakóba, ale ten zagniewany na Jabłonowskich, nie chciał z początku widzieć się z nimi, uległ jednak w końcu przed przedstawieniami wojewody kaliskiego i wyszedł na spotkanie wojewody wołyńskiego. Po przywitaniu, narzekał królewicz na zawód doznany ze strony hetmana. Jan Jabłonowski usprawiedliwiał ojca, jako tenże czcząc pamięć zmarłego króla, nie mógł działać wbrew prawom i słusznym żądaniom królowej wdowy. Królewicz rozjątrzony mocno, nie zadowolnił się tém tłumaczeniem, lecz powtarzał kilkakrotnie, że dom Jabłonowskich odplacił mu niewdzięcznością, chociaż dla ich przyjaźni

poróżnił się z Lubomirskimi i ściągnął na siebie nienawiść tych panów. Wojewoda wysłuchał tych wyrzutów i spokojną postawą rozbroił gniew królewicza. W dalszym ciągu rozmowy, ułagodzony królewicz wylewał głównie żale przeciwko Hieronimowi Lubomirskiemu, z którym miał niedawno żywą utarczkę; jakoż oświadczył podskarbiemu, że każe strzelać do niego, jeżeli raz jeszcze ośmieli się najechać Żółkiew.

Wkrótce przybyła do Żółkwi królowa Marya w towarzystwie swęj przyjaciółki pani Sieniawskiej i panny Teofili; za królową ściągnął liczny poczet wysokich dygnitarzy. Nadjechał też hetman Jabłonowski ze Lwowa z szwagrem swym Dzieduszyckim wojewodą podolskim, w licznym orszaku towarzyszków, rajtarów i dworzaków. Synowie hetmana wyjeżdżali na jego spotkanie, królewicz Konstanty zeszedł na dół i przywitał go u wschodów.

Królowa przyjęła hetmana w jadalnej sali, długo nie mogła wymówić słowa pod wpływem srogiego żalu, rzewnemi zalewając się łzami. Obok niej stał królewicz Jakób pochmurny i zadumany, po jego zaś drugiej stronie stał powiernik i przyjaciel, Stefan Potocki łowczy koronny.

Po wzajemnym przywitaniu wzięła królowa hetmana na stronę i wiodła z nim długą poufną rozmowę, podczas kiedy królewicz Jakób rozmawiał z Janem Jabłonowskim.

Skarżyła się Marya Kazimiera najprzód na najstarszego syna, potem na Lubomirskich, którzy wystąpili już jawnie z kandydaturą księcia de Conti i urazili najmocniej Jakóba, proponując mu w imieniu księcia francuzkiego 50,000 dukatów za zrzeczenie się praw do tronu. Opowiadała dalej różne szczegóły dotyczące się innych osób, mianowicie ks. Melchiora Polignac'a, kardynała Radziejowskiego, Stefana Bidzińskiego kasztelana sandomierskiego, Adama Sieniawskiego wojewody bełzkiego, Marcina Chomętowskiego wojewody bractawskiego. Mówiła o zdradzie Polignac'a, jako niepomyślnym na dawne obietnice, zaufany w pomoc silnego stronnictwa i w hojność dworu wersalskiego, zerwał stosunki przyjaźni z rodziną zmarłego króla. Oświadczyła następnie, że z liczby wymienionych dawnych przyjaciół, jeden tylko wojewoda bractawski zasługuje na zaufanie. Ale z największą goryczą mówiła o Stefanie Bidzińskim, który nie tylko nie udarował ją słowem pociechy, lecz owszem najsroższymi obarczył ją zarzutami. Pokazała hetmanowi list, w którym kasztelan sandomierski w odpowiedzi na jej odezwę, wynurza żal po stracie króla Jana, następnie w te do niej odzywa się słowa:

„Prawda, że i świat zły i ludzie na nim zepsowani, ale któż tych Sejanów narobił, jeżeli nie Wasza Królewska Mość; pani moja miłościwa potłoczyłaś promocyami swemi potencye w ręce ludzi, którzy się jeszcze za panowania pana mego na majestat zamierzali i teraz tego tylko słuchać, kiedy tenże *ambitus* wybuchnie, bodaj nie z wielkiem zamieszaniem ojczyzny; ale że to nie wszystkim wystarczy, to przynajmniej

według owej przypowieści, że „dwaj za łeb, drudzy za kaletę.”

Daléj tak brzmi koniec listu:

„Każesz mi Wasza Królewska Mość w zapasy chodzić z gigantami, coś ich WKMość na swoje i ojczyzny uciążenie narobiła; ciężko to na jednego, ale kiedy mnie podżega życzliwość moja ku Najjaśniejszemu domowi pana mego i powinny zaszczyt miłej wolności naszej, w jakiej mnie woli ta rzeczy odmiana i wola JKMości zastąpiła, w takiej służyć będę; wszak i Dawid nie wielką z sobą wyprowadził na pojedynek armatę, pięć kamyków w torbie, a przecież położył Goliata, co szczupłe ciało jego miał ptakom po powietrzu rzucać. Ja pełnym już będąc dni moich, nie miałbym większego ukontentowania, tylko umrzeć za dobro pospolite, usługę Najjaśniejszego domu królewskiego i złotą wolność. Jeżeli tedy WKMość, pani moja miłościwa, tych zbiorów nie na zamieszanie Rzeczypospolitej używać będziesz, do czego pochlebnicy prowadzą, ofiaruję na obronę ich żywot i ostatek krwi mojej. Strzeż Boże inaczej, i o twardych sucharach wzięwszy się za ręce będziem tego bronić, co przodkowie nasi krwią swoją usłużyli. Całuję prztem kraj szaty WKMości, pani i dobrodziejki mojej, jako najniższy sługa”

*Stefan Bidziński.*

Słuchał hetman uważnie listów i poufnych zwierzeń królowej, poczem odpowiadał kategorycznie i starał się uspakajać jej obawy. Zaręczył, że nie dozwoli na pokrzywdzenie jej w majątku, dodając, że może być pewną w tej mierze nie tylko jego pomocy, lecz nawet i kardynała. Następnie zaklinał ją, jako dawny przyjaciel i sługa, ażeby dla ogólnego dobra rodziny pogodziła się z Jakóbem, przebaczyła mu urazy i nie drażniła wyrzutami jego porywczego charakteru. Nakoniec, mówiąc o kandydatach do tronu, wyznał szczerze, że zięć jej Maksymilian elektor bawarski, prędjéj nierównie niż królewicz Jakób może przeważać wpływy księcia de Conti i zniweczyć intrygi posła francuzkiego.

Nie powiemy, ażeby myśl wyniesienia na tron zięcia, zgadzała się z projektami królowej, atoli pamiętna świeżo doznanej zniewagi od najstarszego syna, przyjęła poważnie i milcząco to przyjacielskie zwierzenie. W istocie w obecnej chwili, obrażona srodze w swój dumie matka, jeden cel tylko miała przed sobą; zamyślała ona przedewszystkiém o upokorzeniu syna Jakóba, jakkolwiek czuła dotkliwie zdradę Polignac'a i nie łudziła się co do grożącego sprawom jej rodzinnym niebezpieczeństwa, ze strony licznych, wzrastających w potęgę wrogów.

## II.

W gronie dam zgromadzonych w Żółtkwi, oprócz pani i panny Sieniawskiej, znajdowała się wojewodzina wołyńska, Jabłonowska, która pospieszyła wraz z mężem w celu odwiedzenia królowej, swój ciotki.

Kiedy królowa naradzała się z hetmanem Jabłonowskim, nad interesami dotyczącymi się jej własnej osoby i rodziny, w sąsiedniej kom-



nacie zabawiał się rozmową Aleksander Jabłonowski z panną Teofilą. Stanowili oni w téj chwili świat oddzielny, poza obrębem intryg dworskich i walczących stronnictw.

W odległości kilku kroków siedziały panie: Jabłonowska i Sieniawska. Dwie młode wojewodziny różniły się wielce charakterem i sposobem myślenia, jakkolwiek obie zarówno kształciły się i wzrastały na dworze królowej. Anna z Bethunów Jabłonowska, od czasu zamążpójścia żyła prawie wyłącznie w domowém kole, zajęta wychowaniem syna, szczęśliwa w pożyciu z mężem, którego kochała gorąco, unikała zabaw, przepychu i intryg dworu. Pani Elżbieta z Lubomirskich Sieniawska, udarowana żywą wyobraźnią i wyższemi zdolnościami, nie mogła ograniczyć swéj działalności w cichém domowém kole. Sprawy publiczne zajmowały młodą panią wojewodzinę bełką jak najgoręcej; przywiązana całym sercem do królowej, z której osobą wiązały ją najmilsze lat dziewiczych wspomnienia, w obec grożącego jéj niebezpieczeństwa po śmierci króla, ślubowała bronić jéj sprawy i popierać zamiary w przedmiocie utwierdzenia dynastji Sobieskich na tronie. Jeszcze za życia króla Jana, pracowała pani Sieniawska nad utworzeniem stronnictwa przyjaznego królewskiej rodzinie; ułożyła w tym celu projekt ożenienia młodszego syna hetmana Jabłonowskiego z panną Teofilą Sieniawską. Wiemy już, jakie napotkała przeszkody przyjaciółka Maryi Kazimiery ze strony własnego męża, opiekuna panny, skoro chciała przyprowadzić do skutku projektowane małżeństwo. Wiemy również, że Lubomirscy, ojciec i stryj wojewodziny bełkiéj, jako naczelnicy przeciwnego obozu, najmocniej przeszkadzali jéj w doprowadzeniu do skutku pomienionego planu. Pani Sieniawska wierna uczuciom obowiązku i przyjaźni dla królowej, nie wahała się w wyborze drogi, jakoż postanowiła raczej ściągnąć niezadowolenie ojca i własnéj rodziny, niż wyrzec się dokonania rozpoczętego dzieła.

Hieronim Lubomirski podskarbi w. kor., korzystając z chwilowego wpływu nad umysłem Adama Sieniawskiego, podsuwał różnych konkurentów do ręki panny Teofili, mianowicie dwóch blizkich krewnych, którzy pomimo wszelkich jego starań i zabiegów nie otrzymali zezwolenia panny. Miłość wojewodzianki wołyńskiej dla chorążego koronnego, utwierdzona wpływem jéj bratowéj, zniweczyła projekta panów Lubomirskich. Skoro więc pogodziła się z mężem za staraniem ojca i stryja, pani Sieniawska użyła całego wpływu w celu pojednania go z rodziną Jabłonowskich, którzy w jéj oczach stanowili główną podporę domu królewskiego. Zadanie to wszakże było wielce trudném, bo mąż jéj chwiejnego charakteru i umysłu, nie miał pewnych stałych politycznych przekonań. Niemniej niestały w wyborze przyjaciół, przetrzącał się z jednego do drugiego obozu. Pogodzony niedawno z Stefanem Potockim, przyrzekł że będzie działać z nim wspólnie, w wiadomym interesie królewicza Jakóba. Zrażony atoli protestacją hetmana Jabłonowskiego i przedstawieniami żony, zawiódł oczekiwanie łowczego. Pani Sieniawska, korzystając z obecnego usposobienia męża,

wymogła na nim słowo, jako i nadal nie będzie mieszać się do sporów pomiędzy królową a jej synem. Wtajemniczona jednak w intrygi stronnictw, jako też świadoma stosunków i politycznych dążeń własnej rodziny, obawiała się wojewodzina wpływu stryja Hieronima Lubomirskiego, ten bowiem pomimo dwukrotnie doświadczonego zawodu, nie porzucał myśli wyswatania jednego z krewnych z siostrą wojewody bełzkiego. Rola więc pani Sieniawskiej była trudną, ale wywiązywała się z niej dotąd tak zręcznie, że popierając konkury Aleksandra Jabłonowskiego, nie ściągnęła zarzutu ze strony ojca lub stryja. Trudniejsze nierównie przedstawiło się do spełnienia zadanie z chwilą otwierającego się bezkrólewia. Zrozumiała teraz przyjaciółka Maryi Kazimiery, że interes rodziny królewskiej wymaga jak najenergiczniejszego poparcia i działania; nie zważając więc na własne stosunki rodzinne, postanowiła występować jawnie w obronie godności i praw królowej i jej domu.

Określiwszy stanowisko polityczne Elżbiety Sieniawskiej, przytoczymy wyjątek z rozmowy dwóch młodych niewiast, z których jedna była przyjaciółką, druga siostrzenicą królowej Maryi Kazimiery.

— Mężowie nasi—mówiła pani Sieniawska—mają dziś sposobność wykazania czci i wdzięczności ku ś. p. królowi, obowiązkiem zaś jest naszym czuwać nad tém, ażeby nie zapominali o tej powinności, lecz dopomagali wiernie królowej jejmości. Co do mnie, czynię wszystko co tylko w mojej jest mocy, w interesie Maryi Kazimiery. Mąż, pokonany memi argumentami, zrzekł się współudziału w intrygach uknu-tych przez królewicza Jakóba, z krzywdą królowej jego matki. Sądzę, że małżeństwo JMPana chorążego koronnego z siostrą mego męża, połączy ściślejszym węzłem przyjaźni dwa nasze domy, zatem nakieruje akcyę wszystkich członków tych rodzin ku wspólnemu celowi. Spodziewam się, że miłościwa pani dopomożesz mi swym wpływem do fortunnego zakończenia sprawy projektowanego małżeństwa p. Aleksandra Jabłonowskiego z panną Teofilą.

— Zawsze rada słyszałam o zamiarach i konkurach brata mego męża, gotowa więc jestem usłużyć waszmość pani w tej sprawie. Projekt ożenienia pana chorążego z panną Sieniawską podoba mi się z dwóch racyi: najprzód, że i kawaler i panna wzajemnym pałają afektem; powtóre, że pragnęłabym równie jak waszmość pani tej nowej kolidacyi naszych domów. Wyznaję też, że pamiętną będąc łask i do-rodziejstw królowej jejmości, mojej ciotki, rada jestem dopomagać w tém wszystkiem, co zgadza się z jej życzeniem. Ale wnoszę z wieści które mnie dochodzą, że głównie intrygi p. łowczego i p. podskarbiego koronnego, przeszkadzają do zgody mego męża i chorążego z mężem WMPani.

— Sprawa z łowczym jest już ukończona, odebrał swój posąg i nie będzie nam teraz stawać na przeszkodzie. Chciał on nawet pogodzić się ze mną, ale nie mogę wybaczyć mu tak prędko wyrządzonego mi afrontu. Podałam więc ten punkt do zgody, ażeby przeprosił



mnie publicznie i odwołał rozsiewane niebacznie potwarze. Co zaś dotyczy się intryg pana podskarbiego, oświadczam WMPani, że protestowałam i nadal protestować będę przeciwko projektowanemu przez niego małżeństwu panny Teofili z Lubomirskimi. Wyznam nawet WMPani, że ważne skłaniają mnie powody do rozerwania przyjaźni, łączącej mojego męża z podskarbis. Stryj mój, pan Hieronim Lubomirski jest nieubłaganym nieprzyjacielem królowej, połączył się z księdzem Polignac'em i chce wynieść na tron polski księcia francuzkiego. Ojciec mój i inni Lubomirscy poszli lub pójdą za jego przykładem. Jedna więc z tego domu pozostaną wierną rodzinie Sobieskich i nie odstąpię królowej jéjmości. Sprawa konkurów chorążego, zatém połączenie naszych domów, może nie za długo ułożyć się według méj myśli. Panna rozmówiona srodze w kawalerze, nie chce o żadnych innych słyszeć zalotach. Odmówiła już stanowczo staroście spiskiemu, który protegowany przez podskarbiego, konkurował w ostatnich czasach o jéj rękę. List ś. p. ojca mojego męża, doręczony mu niedawno przez księdza Perkiewicza, oddał sprawie naszej największą przysługę. Syn czcząc pamięć i wolę ojca, nietylko nie będzie dziś zmuszać Tosi do innego związku, lecz przeciwnie, pewną jestem, że zgodzi się na połączenie jéj z chorążym, skoro tylko konkurent postara się o jego przyjaźń i łaskę. Ale potrzeba niezwłocznie wyprawić ze strony chorążego formalnych swatów, dla pogodzenia go z mężem moim. Polecam to staraniom WMPani i proszę abyś nakłoniła pana hetmana, ojca kawalera, do pośpiesznej rezolucyi w téj mierze.

— Zgodnie z życzeniem WMPani starać się będę o wysłanie w jak najprędszym czasie swatów do JMPana wojewody betzkiego, ale słyszałam, że z okazji *interregnum* i ważnych spraw publicznych, ojciec mojego męża postanowił odłożyć konkury chorążego do późniejszego czasu.

— Dziwi mnie to postanowienie JMPana hetmana. Można odłożyć wesele, wszakże konkury raz już zakończyć wypada, zarówno dla spokoju panny jako i kawalera. Polecam to staraniom WMPani, powiedz odemnie JMPanu hetmanowi, niech gwoli ojcowskiemu afektowi wyśle niezwłocznie do Oleszyc swatów. Nadto, proszę i zaklinam WMPanią na stosunki pokrewieństwa z królową jéjmością, racz jéj interesa mieć w szczególnéj pieczy i czuwaj nad tém, aby mąż WMPani nie ostygł w afektach dla królowej, lecz przeciwnie, aby poświęcił się na jéj usługi w czasie terażniejszego bezkrólewia i przyszłej elekcji. JMPanowie Jabłonowscy w połączeniu z nami i przy pomocy prymasa, mogą wielką oddać przysługę rodzinie ś. p. króla Jana. Nie wątpię téż, że znajdzie się jeszcze wielu innych, którzy pamiętni łaski i dobrodziejstw zmarłego, nie opuszczą jego żony i potomstwa, lecz z chętną pośpieszą pomocą.

To powiedziawszy, spojrzła się pani Sieniawska na wojewodzinę wołyńską z wyrazem najzupełniejszego zaufania. Pani Jabłonowska zmieszała się, lecz odpowiedziała skromnie:



— Co dotyczy się przyspieszenia decyzji JMPana hetmana w materji konkurów chorążego, przyrzekam WMPani, że nie zaniedbam przypominać o tém mężowi mojemu, oraz jegomości dobrodziejowi p. hetmanowi. Ale co do drugiego punktu, dotyczącego interesów królowej jójmości, nie spodziewam się, abym dopomagać mogła w tak ważnych publicznych sprawach. Mąż mój naradza się często z JMPanem hetmanem nad różnemi politycznemi sprawami, ale czynią to w wielkim sekrecie, zemną zaś nie rad rozmawia w materji publicznej. Skoro go zapytam o interesa królowej ciotki, zbywa mnie krótką odpowiedzią, z której jednak domyślać się mogę, że wątpi o powodzeniu sprawy rodziny ś. p. króla jegomości w czasie przyszłej elekcji. Mówi on, że kardynał prymas zawiązał już potajemne układy z posłem francuzkim, nadto że spory matki z synem najwięcej szkodzą interesom królewskiego domu...

— Prawda że kłótnia ta jest fatalną. Królewicz Jakób jest złym i niewdzięcznym synem!—zawołała z goryczą pani Sieniawska, poczem dodała:

— Tak jest, kłótnie królewicza z matką dogadzają zamiarom nieprzyjaciół królowej jójmości. Ale zkądże ta wiadomość o zdradzie księdza kardynała, który dotychczas oświadczał się z życzliwością naszej królowej ustnie i listownie? Czyż mąż WMPani posiadał jakie dowody układów prymasa z posłem?

— Nie mogę na to odpowiedzieć WMPani, wszakże domyślam się, że mąż mój mógł otrzymać tę wiadomość od samego posła francuzkiego, który pisał do niego niedawno.

— Więc ksiądz Polignac koresponduje dotąd z mężem WMPani? —zapytała znaczącym głosem wojewodzina bełzka.

— O ile wiedzieć mogę od czasu śmierci najmiłościwszego króla, ten jeden list mój mąż odebrał od księdza posła.

— Czy nie wiesz WMPani, jaka była treść tego listu i co odpowiedział JMPan wojewoda.

— Mówiłam już WMPani, że mąż mój nie rad rozmawia ze mną w materji publicznej, tém więc nie odczytuje mi korespondencyi, które ciągle z różnych stron odbiera. Od czasu śmierci królewskiej, zafrasowany on jest mocno sprawami kraju, częstokroć dnie całe i noce przepędza na pisaniu lub odczytywaniu listów i na naradach sekretnych z jegomością dobrodziejem, swym ojcem. Treść tych listów i narad jest mi nieznaną, wszakże to wiem i za to tylko ręczyć mogę, że mąż mój i ojciec nie zgadzają się na propozycye francuzkiego posła, nie wierzą mu i szydzą z kandydatury księcia Conti...

— Dziękuję WMPani za udzielenie mi wiadomości, mianowicie o układach kardynała z posłem, jest to rzecz nowa, o której dotąd nie mówiono jeszcze na dworze królowej. Jutro pomówię w tej materji z mężem WMPani, od którego obszerniejszą spodziewam się otrzymać relacyą. Również w interesie konkurów chorążego muszę porozumieć się z wojewodą wołyńskim i z jego ojcem. Zresztą spodziewam się, że królowa jójmość sama oświadczy WMPani swe zamiary, oraz potwier-

dzi to, co powiedziałam, że pragnie gorąco, aby domy mężów naszych połączyły się ściślej związkiem krwi i przyjaźni.

Kiedy taką wiodła rozmowę Elżbieta Sieniawska z Anną Jabłonowską, jednocześnie panna Sieniawska słuchała zwierzeń chorążego koronnego, który tłumaczył się tak z uczynionego mu zarzutu:

— Łowczy koronny bez żadnego słusznego powodu uczynił mi to zadanie, jakobym konkurował o rękę panny Maryanny Zamoyskiej, gdy nigdy nie myślałem nawet starać się o afekt innej osoby. Otóż zasmuciłem się srodze, dowiedziawszy się o haniebném zadaniu delatora i o niepokoju WMPanny. Natychmiast po odebraniu listu, pobiegłem równo ze świtem na jej spotkanie, chcąc osobiście wytłumaczyć się z tej potwarzy, ale z wielkim moim żalem nie zastałem WMPanny już w Dzwinirodzie. Pocieszył mię jeno ksiądz Perkiewicz w tym smutku, przyrzekłszy najsołenniej, jako zbije owo zadanie i instancyonować za mną będzie do WMPanny, o przywrócenie mi dawniej łaski i życzliwości.

— Niepotrzebnie tłumaczysz się WMPanie chorąży—odrzekła z uśmiechem panna Teofila. Ksiądz Perkiewicz wymówił cię najzupełniej i żadnego odtąd nie mam już żalu. Słusznie powiada JMPani bratowa, że łowczy jest szarpaczem cudzego honoru i lubi rozsiewać bajki po świecie! To tylko boli mię srodze, że siostra moja tak aprobejuje inwencye i intrygi swego męża, skoro długo wmawiała we mnie, jako wszystko jest prawdą, co łowczy o WMPanu powiedział; nadto, podbechtana zapewne przez niego, chciała deklarować się za mnie staroście spiskiemu, ale okrzyknęłam się natychmiast, że nic z tej imprezy nie będzie i że prędzej żywą położą mię do grobu, nim oddam rękę staroście!

To powiedziawszy, westchnęła ciężko wojewodzianka i łzami zabiegły jej oczy.

Chorąży spojrział się z współczuciem na pannę, poczem nachylił się ku niej i rzekł półgłosem:

— Nie wiedziałem dotąd, że i pani łowczyni koronna partycypowała w owych konkurach, ale tém więcej winienem ostrzedz WMPannę, że grozi jej niebezpieczeństwo ze strony starosty spiskiego...

— Dziś już jestem spokojna panie chorąży, bo powiedziałam wyraźnie staroście, jako nigdy nie będę jego żoną. Brat mój z okazji zakomunikowanego mu przez księdza Perkiewicza listu, zmienił się do niepoznania. W kilka dni po wyjeździe z Oleszyc ksiądz, żartując z mego dla WMPana afektu, zapytał, jaką ma dać ostateczną odpowiedź staroście spiskiemu. Powtórzyłam słowo w słowo bratu, co już piérwiej powiedziałam łowczyni. Zatem zakończyły się niezupełne konkury, bo starosta, po krótkiej z bratem moim rozmowie, kazał natychmiast zaprzęgać konie i z wielką furją wyjechał z oleszyckiego dworu.

— Cieszę się, że JMPan wojewoda betzki okazuje się teraz życzliwszym dla WMPanny, jakoż ztąd czerpię nadzieję, że wysłuchać mię raczy, skoro z winną submisją poproszę o rękę jego siostry. Ale

nim ten upragniony nastanie moment, obawiam się jakiego zamachu ze strony starosty spiskiego; suspicją zaś moję powziąłem z relacyi księdza Perkwiewicza, który podsłuchał w Oleszycach dyskurs starosty z Leśnikowskim towarzyszem ussarskiej chorągwi. Ten to zdrajca i łotr wierutny, dziś towarzysz, dawniej pokojowiec jegomości dobrodzieja, umawiał się ze starostą i przyrzekł, że mu dopomagać będzie w każdej imprezie, mianowicie, jeśli utraci wszelką nadzieję otrzymania dobrowolnie ręki WMPanny.

— Książd Perkwiewicz słyszał jak układał się o mnie starosta spiski z Leśnikowskim!—zawołała blednąc nagle wojewodzianka, po chwili zaś dodała zakłumując ręce:

— Mój Boże, co może znaczyć ta zмова? co zamyśla starosta? i jakąż przygotowuje imprezę?

Chorąży widząc ogromną boleść na twarzy wojewodzianki, rzekł:

— Nie frasuj się jeszcze WMPanno. Nie tak jest straszny dyabeł, jak go malują. Nie wiemy, jaką starosta spiski uknuł z Leśnikowskim intrygę, bo książd Perkwiewicz nie mógł dosłyszć ich całej rozmowy; domyśla się tylko, że przyrzekł ten łotr przeklęty staroście donosić o moich konkurach i rozmowach z JMPanem wojewodą betzkim. Nie mogliśmy wybadać Leśnikowskiego, bo w drodze, wracając do domu, czmychnął bez wieści i bez śladu. Podwójnie tłumaczę tę jego ucieczkę: albo powąchał, że źle będzie, skoro odkryje się jego zdrada, lub może dręczony wyrzutami sumienia, nie śmie spojrzeć nam w oczy. To jest jeno niewątpliwe, że spodziewa się otrzymać sowitą nagrodę i dobrze naładować kaletę, skoro delatorskiego podjął się rzemiosła. Potwarzam jednak, niech ta nowina nie zatrwąza tak WMPannę, bo jeśli JMPan wojewoda betzki nie będzie dopomagać staroście, nie powiedzie mu się żadna impreza.

— Nie wiem sama, czemu obawiam się, WMPanie chorąży, tego starosty spiskiego... Skoro usłyszałam o zmowie jego z Leśnikowskim, stanął mi obraz starosty przed oczami z ognistym wzrokiem i z groźną okrutnie twarzą. Złe i niespokojne nastają dziś czasy. Starzy ludzie prognostykują klęski... W nocy trapią mię sny niespokojne, a nawet na jawie, równie jak we śnie, słyszę głos, który mię ostrzega, że czekają nas nowe przygody, a może jakie nieszczęście!

— *Sen mara, Bóg wiara;* WMPanno nie frasuj się próżną marą, przewidywaniem klęski i przygód. Jestem twym dożywotnim sługą i niewolnikiem. Wkrótce w towarzystwie JMPanów Zaboklickiego i Stamirowskiego pojedę z przeproszeniem do JMPana wojewody betzkiego, brata WMPanny; skoro zaś ukontentowany zostanę jego łaską i zezwoleniem, będę zajeżdżać często do Oleszyc, dopóki upragniony nie nadejdzie moment, w którym kapłan połączy stulą na zawsze nasze ręce. Tymczasem proszę tylko o jedną łaskę: donoś mi WMPanno o swoim powodzeniu i zdrowiu, lub czego Boże uchowaj, gdyby jakie groziło nieszczęście... Skoro zamieszkać we Lwowie, nasz wierny i sprawny sługa turczyn Peliwan, co tydzień zgłaszać się będzie do



oleszckiego zamku; kiedy zaś pojedę na sejm konwokacyjny do Warszawy, przez pocztę korrespondować będę z WMPanną.

— Pisz do mnie często panie chorąży, ale przyjeżdżaj do Oleszyc dla pogodzenia się z bratem moim i wygluzowania z serca jego dawniej inwidy. Pamiętaj o mnie i na smutne opłakane moje sierotwo... Brat zajęty publicznemi sprawami, bratowa oddana usługom królowej; któż dziś biedną sierotą opiekować się będzie? Mam wprawdzie siostrę i jej pono zostaną oddana w opiekę, ależ mój Boże! ona tak niepodobna do mnie, tak zajęta strojami, zabawą i intrygami, nie będzie troszczyć się o mnie, lub co gorzej jeszcze, może jakie nowe ze chce podsuwać mi projekta...

To powiedziawszy, uśmiechnęła się smutnie panna Sieniawska i spojrzała na chorążego wymownym, tęsknym wzrokiem, jakby wzywając jego pomocy i opieki.

Chorąży wyrozumiał ze słów panny Teofili, że stosunek z siostrą był główną przyczyną jej niepokoju. Myśl ta zafrasowała go mocno, jakoż po chwili zastanowienia, rzekł wzruszonym głosem:

— Wprawdzie siostra WMPanny z jawną ku mnie już nieraz oświadczała się niechęcią, choć nie wiem i nie domyślam się wcale, z kąd mię spotyka ta niełaska JMPani łowczyny. Ale skoro nastąpi upragniona zgoda i otrzymany zezwolenie brata, spodziewam się, że i siostra WMPanny okaże się dla mnie łaskawszą, a przynajmniej, że przeszkadzać nam nie będzie. Jeśli z racy *interregnum*, na długi czas jeszcze rozłączyć się nam wypadnie, miejsce zaś pobytu WMPanny będzie w domu siostry w Dźwinigrodzie, sądzę, że nikt nie wzbroni mi jej odwiedzać i czuwać nad tém, ażeby jaka niefortunna przygoda, czego uchowaj Boże, nie zakłóciła jej spokoju...

Kiedy w tych słowach oświadczał się zakochany młodzieniec pannie, zbudzeni zostali z miłych marzeń, zjawieniem się we drzwiach komnaty królowej i kilku dostojnych osób. Kawaler i panna, jako też obecne panie powstały i powitały ukłonem Maryą Kazimirę, która weszła poważnie w orszaku dwóch synów, Aleksandra i Konstantego, oraz hetmana Jabłonowskiego.

Obecność nowych osób przeszkodziła poufniej rozmowie chorążego z panną. W ciągu tego wieczora Aleksander Jabłonowski asystował królowej, ale przed pożegnaniem miał sposobność wymienić z panną Sieniawską słów kilka, z których ostatnie były: zobaczymy się wkrótce w Oleszycach, daj Boże doczekać w dobrém zdrowiu tój fortunnej chwili!

### III.

Minęło pół roku od opisanych powyżej wypadków; w wirze politycznych namiętności obracał się cały świat ówczesny: unoszeni tą powodzią ludzie w różne płynęli strony, jednak w stosunku chorążego do wojewodzianki wotyńskiej żadna stanowcza nie zaszła zmiana.

Wprawdzie od kilku miesięcy pogodził się najzupełniej Aleksander Jabłonowski z bratem panny Adamem Sieniawskim, tenże przyjął jego oświadczenie, udarował go na znak przyjaźni łukiem i kołczanami, ale oświadczył zarazem, że do czasu elekcji nowego króla, nie może wyznaczyć terminu wesela. Jak opiekun panny z jednej strony, tak z drugiej ojciec narzeczonego, zajęci sprawami publicznymi, nie chcieli myśleć o układach majątkowych, które poprzedzały zazwyczaj akt ślubu. Panna Sieniawska w przeciągu tego czasu pozostawała najprzód pod opieką bratowej w Oleszycach, później w Dźwinigrodzie, w domu siostry, obecnie zaś mieszkała w Warszawie, dokąd udała się w towarzystwie bratowej, pani Sieniawskiej. Narzeczonemu nie widział się już oddawna z bohdanką, lecz zgłaszał się do niej listownie, najczęściej przez umyślnych posłańców.

Aleksander Jabłonowski nie brał bezpośredniego udziału w sprawach publicznych, odbierał atoli od ojca rozmaite zlecenia, które nie dozwalały mu częstokroć rozporządzać dowolnie czasem. W Warszawie, na sejmie konwokacyjnym, miał w imieniu wojska długą oracyą, polecając troskliwie publicznej zastługi i potrzeby żołnierzy.

Nadmienić tu musimy, jako najznacniejsza część wojska, mianowicie chorągwie hussarskie i pancerne przystąpiły do związku, za niewypłacenie zaległego żołdu i inne pretensye, o czem nadeszła wiadomość w czasie agitującego się sejmu. Związkowi obrali marszałkiem Bogusława Baranowskiego towarzysza chorągwi Feliksa Potockiego wojewody krakowskiego, przysięgli na posłuszeństwo władzom konfederackim, i jako trwać będą w związku, dopóki Rzeczpospolita nie uczyni zadość ich żądaniom. Owóz wyznaczono oddzielną komisyą, dla rozsądzenia i zaspokojenia słusnych zażaleń wojska. Pomieniona komisyja wraz z trybunałem wojskowym miała zasiadać we Lwowie. Konfederacya wojskowa, mianowicie w epoce bezkrólewia, była ogromną klęską. Najprzód, kraj pozbawiony wszelkiej obrony, z powodu niekarności zbuntowanego wojska, mógł stać się łatwym łupem dla nieprzyjaciela; powtóre, rozswawolone żołnierstwo niszczyło mieszkańców miast i wiosek grabieżą i kontrybucyami, które nakładała władza związkowa, jako wynagrodzenie za niewypłatę należnego żołdu.

W obec licznych klęsk kraju, zatargi z rodziną zmarłego króla nie rokowały pożądanego rezultatu obrad sejmowych. Przywódcy potężnego stronnictwa: Stanisław Lubomirski marszałek i Hieronim podskarbi W. K., działali z wielką energią, w celu obalenia wpływu królowej i jej dynastycznych zamiarów. Na sejmie konwokacyjnym wniósł podskarbi żądanie, ażeby Maryja Kazimira opuściła niezwłocznie Warszawę; ztąd zakłócono obrady, bo królowa opierała się długo, aż w końcu uległa radom przyjaciół i wyjechała do Bielan. Ale wyjazd królowej nie przyczynił się do ustanowienia porządku i zgody w dalszych naradach. Wiele strawiono czasu na bezużytecznych sporach, kiedy zaś marszałek Humiecki podał wniosek przedłużenia sejmu, Łukasz Horodeński poset

przekupiony przez królowę, zaprotestował przeciwko dalszym obradom, wyszedł z izby i zatamował czynność sejmu.

Więcej niż intrygi przeciwnego stronnictwa, zaszkodziły interesom rodziny Sobieskich, kłótnie Marii Kazimiry z królewiczem Jakóbem. Te głośne w dziejach spory matki z synem odstręczyły serca wielu przyjaciół, którzy w innych okolicznościach popieraliby elekcyą królewicza Jakóba. Wiemy, że królowa pogodziła się w końcu z synem, ale zapóźno nastąpiło przymierze. Stronnicy Sobieskich na dwa podzielili się obozy. Dąbski biskup kujawski, Marcin Chomętowski wojewoda bractawski i Stefan Potocki, łowczy koronny, trzymali dotąd stronę królewicza Jakóba, zgodnie z życzeniem Marii Kazimiry, która stanęła w obronie praw najstarszego syna. Inni oświadczyli się na korzyść Maksymiliana elektora bawarskiego, zięcia króla Jana. Jabłonowscy nie przemawiając jawnie za żadnym z kandydatów, przypatrywali się pilnie intrygom rozmaitych stronnictw, tymczasem w poufnych zdradzali się rozmowach, że radzi byli wynieść na tron zięcia króla Jana, lub jednego z młodszych jego synów. Najpotężniejsze wszakże w obecnej chwili było stronnictwo francuzkie, pod przewodnictwem posła księdza Polignac'a i Lubomirskich, z którymi połączyli się wkrótce: prymas kardynał Radziejowski i biskup Andrzej Załuski, później nakoniec Sapiehowie i Potoccy, z wyjątkiem Stefana Łowczego koronnego. Adam Sieniawski wahał się obecnie w wyborze, wabiony przez Hieronima Lubomirskiego i Polignac'a z jednej strony, z drugiej zaś, nagabany przez żonę, aby działał zgodnie z widokami królowej, na korzyść dynastji Sobieskich. Jak przekonamy się wkrótce, pan wojewoda bełzki uległ w końcu pokusom i wpływom stronnictwa francuzkiego.

Posł Polignac hojnymi datkami i hojniejszymi nierównie obietnicami nagród i pensji, jednał wielu przychylnych elekcyi księcia Conti. Pieniądze w epoce elekcyi wielką odgrywały rolę. Najmniejsi panowie musieli utrzymywać liczne zastępy braci szlachty, która ilością głosów wpływała na wybór króla, na elekcyjnym polu. Nie sądzimy, aby wszyscy sterownicy partyi kalali się prostym przekupstwem, w interesie pomnożenia swych dochodów: wyższe polityczne lub osobiste cele kierowały ich czynnościami. Wydatki ponoszone przez panów w epoce bezkrólewia, przynosiły częstokroć o wiele cyfrę, którą im ofiarowały dwory, w celu popierania tego lub owego kandydata.

Polignac, szafując hojnie obietnicami, nie obrachował się dobrze. Prócz nagród i pensji pojedynczym osobom, przyrzekł ogromną kwotę dla wojska; nadto, oświadczył w liście do biskupa kujawskiego w imieniu księcia Conti, że tenże własnym kosztem oblegać będzie Kamieniec przed koronacyą, pod umiawnieniem elekcyi w razie niedopełnienia tego warunku. Książę Conti zganiał mocno posłowi tak nierozważne zobowiązanie, dane w jego imieniu. Król Ludwik XIV strofował również Polignac'a i oświadczył, że ani swym kosztem nie myśli zdobywać Kamieńca, ani nie wypłaci nigdy sum



ogromnych, które poseł przyrzeka w jego imieniu; upominał go w końcu, że obietnicą oblegania Kamieńca, może zakłócić dobre stosunki rządu francuzkiego z Turcyą.

Sprawdziły się obawy króla i księcia Conti. Stronnictwo nieprzyjazne dworowi francuzkiemu, nie omieszczało korzystać z tej słabej strony polityki posła, ażeby go zdyskredytować w opinii publicznej: przesadzone obietnice jego stały się przedmiotem obmowy i licznych paszkwilów.

Na początku 1697 roku zachwiał się wpływ Polignac'a, chociaż nikt nie wymienił dotąd imienia nowego kandydata, który wsparty protekcyą sąsiednich dworów, miał otrzymać w końcu tryumf nad innymi.

Jabłonowski hetman i syn jego najstarszy, wojewoda wołyński, jakkolwiek popierali widoki rodziny Sobieskich, nie dowierzali powodzeniu żadnego z proponowanych kandydatów; to też, jak wspomnieliśmy wyżej, nie brali długo bezpośredniego udziału w przedelekcyjnych intrygach. Nie chcieli widocznie związywać się przedczesną deklaracyą w przedmiocie obioru nowego króla, w myśli skuteczniejszego działania w danej chwili, na korzyść kandydata, mającego największą powodzenia rękojmią. Obecnie, jedynem ważniejszém zadaniem hetmana było doprowadzenie do skutku traktatów z wojskiem, w jak najprędzszym czasie: obrany marszałkiem komissyi, pracował gorliwie nad likwidacyą zaległego żołdu, zawiązane więc w tym przedmiocie układy z nadzwyczajnym przeprowadzał trudem.

Pomieniona komissya traktatowa we Lwowie, ciekawy wówczas przedstawiała obraz. Przywódcy nieprzyjaznych stronnictw i wyznawcy różnych opinii, przyjęli udział w jej sprawach. Pod sterem Jabłonowskiego hetmana i Żaluskiego biskupa, widzimy następujące osoby z senatorskiego i poselskiego koła: Hieronima Lubomirskiego, Adama Sieniawskiego, Marcina Chomętowskiego, Jana Gnińskiego, Jana Jabłonowskiego, Rafała Leszczyńskiego, Stefana Potockiego łowczego koronnego, наконец Feliksa Potockiego wojewodę krakowskiego i Michała starostę krasnostawskiego, jego syna, oraz wielu innych, którzy bądź należeli do składu komissyi, bądź też dopomagali radą i namową. Wymienieni panowie, jakkolwiek zajmowali się głównie sprawą układów z wojskiem, nie zaniedbali korzystać z okoliczności rozszerzenia swego wpływu, mianowicie krzatali się gorliwie w przedmiocie elekcyi przyszłego króla. Najczynniejszym okazał się w tej mierze Hieronim Lubomirski: usiłował on podnieść i umocnić wpływy stronnictwa francuzkiego, w tym celu jednał sobie rodzinę Potockich i Adama Sieniawskiego. Wśród hucznych biesiad, któremi raczono komissarzy wojskowych, odnawiały się dawne przyjaźnie, zawierały się nowe lub kojarzyły rozerwane związki.

Wystawna uczta miała miejsce we Lwowie, w pałacu hetmana Jabłonowskiego, w pierwszych dniach lutego. Zgromadzenie było nader liczne, oprócz bowiem członków komissyi, zaproszone zostały na

uczcie inne jeszcze osoby, z grona bawiących we Lwowie dygnitarzy i posłów, jakoteż z duchownego stanu. Hetman zaprosił między innymi znanego z kaznodziejskiej wymowy księdza Gielazowskiego, na instancją biskupa Andrzeja Załuskiego, który używał wpływów tego kaptana, w układach z postami skonfederowanego wojska.

W dwóch komnatach zebrawi się goście na około zastawionych obficie stołów. W jednej, gospodarz domu hetman Jabłonowski podejmował wyższe duchowieństwo i najpoważniejszych wiekiem i godnością senatorów i dygnitarzy koronnych. W drugiej komnacie siedzieli synowie gospodarza, w towarzystwie Hieronima Lubomirskiego, Adama Sieniawskiego, posłów związkowych i wielu innych osób z koła rycerskiego. Pomiedzy Stefanem Potockim i Janem Popielem posłem wojska skonfederowanego, siedział ksiądz Gielazowski. Pomiedzy braćmi Jabłonowskimi zajął miejsce ich siostrzeniec Stanisław Leszczyński starosta odolanowski. Adam Sieniawski siedział z prawej strony Jana Jabłonowskiego, dalej Hieronim Lubomirski podskarbi wielki koronny.

Ostatni z wymienionych gości, podskarbi, był jedną z najwięcej wpływowych osób owego czasu i najczynniejszym członkiem Lwowskiej komisji. Mąż ten, słynny z niepospolitych zdolności wojennych, odznaczał się wielką przebiegłością umysłu, ale zarazem wyniosłą nadzwyczaj dumą, ztąd dwojznaną nieraz odgrywał rolę. Lubomirski układał się z postami związkowymi, lecz czuwał zarazem nad obaleniem wpływu hetmana Jabłonowskiego, obawiał się bowiem, aby najwyższy wódz wojska nie rachował na czynne poparcie swych zamiarów i nie stał się zbyt groźnym przeciwnikiem, w epoce elekcyi króla.

Podczas uczty często obiegały kielichy, przy wymienianiu rozlicznych toastów; mianowicie w drugiej komnacie, pod sterem młodych Jabłonowskich rozochoceni goście pili i gwarzyli wesoło. Już dawno wychylono zdrowia Rzeczypospolitej, gospodarza domu i inne, kiedy jeden z posłów związkowych, Popiel, podchmielony dobrze, wzniosł znów toast w imieniu całego związku, na cześć hetmana w. kor. Wszyscy prawie przytomni, na wezwanie posła wychylili sążniste kielichy, ale towarzyszy Popiela, poseł Głuchowski zaprotestował, że bracia jego związkowi nie uznają teraz władzy hetmańskiej, zatem i on nie może spełnić podobnego toastu.

Odezwa Głuchowskiego rozmaite na obecnych sprawiła wrażenie. Hieronim Lubomirski uśmiechnął się złośliwie i spojrzał znacząco na Stefana Potockiego. Inni oburzyli się srodze, mianowicie syn hetmana Aleksander, nie mógł powstrzymać gniewu i zawołał:

— Co słyszę? w domu własnym hetmana w. kor. ośmielasz się WMPan naigrawać z władzy i deptać *dignitatem* jego?

— Nie deptę niczyjego honoru i dostojenstwa, ale nie uznaję innej władzy prócz konfederackiej, bom przysiągł na to WMPanie, jako towarzyszy i konsyliarz związkowy:— odrzekł zapęrzony Głuchowski.

Jan Jabłonowski, nważając, że może z téj sprzeczki nie lada groźna powstać burza, pociągnął za poły brata i nachyliwszy się ku niemu rzekł półgłosem:

— Ucisz się panie bracie, Głuchowski podpił haniebnie; nie ma z nim mowy ani rozmowy, albowiem gorszy jeszcze może nas spotkać afront.

Chorąży koronny usłuchał przełożeń brata i zamilkł, ale poseł mówił dalej pod nosem:

— Nie odbieramy w zasługach satysfakcyi, a już domagają się od nas obedyencyi.... Niech pierwój wypłacą nam przeszłe ćwierci, niech imię *Towarzysz ad pristinum* wróci się *vigorem* <sup>1)</sup>, a wtedy pomówimy o tém i uradzimy, czy mamy uznawać władzę hetmańską lub nie....

Ostatnie wyrazy Głuchowskiego tak oburzyły mocno Aleksandra Jabłonowskiego, że nie pomnąc na udzielone mu przez brata napomnienie, zerwał się z krzesła i zwracając się do obecnych, zawołał:

— Biorę wszystkich WMPanów za świadków, jako JMPan Głuchowski poseł związkowy zaprotestował najsolennie w imieniu braci przeciwko zaczętej intencyi kolegi swego JMPana Popiela, który pił za zdrowie jegomości dobrodzieja, ojca mego; następnie oświadczył tenże sam poseł, jako powątpiewa, czy nawet po otrzymaniu satysfakcyi, zechcą związkowi uznawać władzę hetmańską. Jestto jawne *signum* nowego rokoshu *alias* zdrady....

— Nie żaden nowy rokosh ani zdrada WMPanie chorąży—wykrzyknął podnosząc się z krzesła Głuchowski, poczem tak mówił dalej: — Nie zdradzam ja nikogo, lecz raczej kolega mój JMPan Popiel zdradza związek, bo powtarzam to tylko, co napisano w sekretnej instrukcyi, którą marszałek wręczył nam w Samborze.

— Jako? co za instrukcye?—odezwało się kilka głosów, pomiędzy innemi Stanisława Leszczyńskiego, który zwracając się do posła rzekł:—Jakiż więc jest cel negocyacyi WMPanów? Jeżeli wyłamujecie się z pod władzy hetmańskiej i pogardzacie prawami Rzeczypospolitej, jak możecie od niej żądać wynagrodzenia swych zasług?

— Ten jest cel naszych negocyacyi, aby nam zatrzymane wydano ćwierci i powrócono wydarte prawa; dalej, abyśmy zupełną dostali amnestyą, której Rzeczpospolita bez króla dać nam nie może.

— Słusznie mówi kolega, ten jest cel naszych negocyacyi—podchwycił Popiel, który skonfundowany zarzutem Głuchowskiego, chciał się rehabilitować w opinii posłów związkowych.

— Więc cała ta negocyacya na nic się nie przyda—zawołał chorąży koronny—skoro wojsko oświadcza przez swych posłów, że nie ma intencyi zgody i jakoby Rzeczpospolita bez króla nie mogła im żądać dać amnestyi.

<sup>1)</sup> Pierwotne odzyszcze znaczenie.



— Ma intencją wojsko odebrania wszystkiego, co mu się należy! — odparł z gniewem Głuchowski.

— Uręczam, że odbierzemy zasługi i chleb nasz, choćby go nam przyszło krajać go sobie mieczem! — zawołał trzeci z posłów związkowych, równie podchmielony jak dwaj pierwsi.

— Krajecie go WMPanowie dawno z wielką krzywdą tój ziemi i ubogiego ludu — rzekł ruszając smutnie głową ksiądz Gielazowski, po chwili zaś dodał: — Pamiętajcie, że Pan upomni się o krzywdę ludu swego, według słów psalmisty, który grozi, że łyzy wdów i sierot popłyną aż do nieba....

— Jeśli krzywda się dzieje, z powodu egzekucyi i przechodu chorągwi związkowych, nie nasza w tém wina lecz Rzeczypospolitój i panów hetmanów, którzy zapomnieli o krwawo zapracowanym chlebie żołnierskim. Skoro Rzeczypospolita nie czyni sprawiedliwości, my sami o nią troszczyć się musimy — rzekł cierpko poseł Głuchowski.

Jan Jabłonowski, słuchając dotąd uważnie w milczeniu pomienionych rozpraw, tak na ostatnią przymówkę Głuchowskiego odpowiedział:

— Niestuszny czynicie WMPanowie zarzut hetmanom, jakoby zapomnieli o waszych zasługach. Upominali się oni zawsze i wyliczali krzywdy i potrzeby wojska na sejmach, nie ich zaś w tém jest wina, jeżeli z przyczyny niedochodzących sejmów, nie mogli polepszyć waszego losu. Któż nie wie o tém, jak często panowie hetmani wynagradzali pieniędzmi z własnej szkatuły służbę żołnierzy i towarzyszków, uposażali rannych lub wykupywali niewolników?

— A ja protestuję przeciw wymierzaniu sprawiedliwości samym sobie — wtrącił ksiądz Gielazowski — bo o takowym sposobie nie czytałem w żadnej konstytucyi; lecz uważałem przeciwnie, że konfederacye wojskowe wyraźnie są zakazane, jakoż wszelkie prawo Boskie równie i ludzkie, potępia każdą takową imprezę, osobliwie zaś nie aprobejuje najazdów, kontrybucyi *alias* rabunków i tym podobnych innych opresyi z największą krzywdą biędnych, spokojnych mieszkańców. Ostrzegają Bóg nieraz zatwardziały grzeszników w Starym Zakonie i ostrzega teraz was przez usta kapłanów: „Jeśli się nie nawrócicie, miecza swego dobędzie, łuk swój naciągnął i nagotował go.“

Popiel i towarzysz jego Dłużewski milczeli, ale najzapaleńszy z posłów Głuchowski, chociaż porządnie już podchmielony, powstał po chwili namysłu, spojrzawszy wyzywającym wzrokiem na księdza Gielazowskiego i rzekł:

— Nie kościół tu i nie miejsce WMksięża grozić nam karą niebios i wytykać nasze grzechy. Mamy swoje racye, swoje prawo i żadnej klątwy się nie boimy. Nie żądamy cudzego, nie jest zaś grzechem, że upominamy się o zatrzymaną własność. Rzeczypospolita nas skrzywdziła, wypowiedzieliśmy więc jój posłuszeństwo; skoro wróci nam zasługi, wtedy i my powrócimy *ad obedientiam*, i nastanie pokój i zgoda.

— Pokój i zgoda niech nastanie WMPanowie bracia, a Rzeczpospolita wynagrodzi wszystkie straty i krzywdy!—ozwał się Jan Jabłonowski.

— Wnoszę ten toast za zdrowie wojska, które chce żyć w pokoju i zgodzie, jako najprzedniejszy filar tej Rzeczypospolitej, ku wspólnemu ratunkowi i obronie—zawołał Stanisław Leszczyński, za nim wszyscy powtórzyli chórem:

— Za zdrowie wojska i Rzeczypospolitej, w bratniej zgodzie i miłości.

Poczem powstawszy wychylili po raz ostatni kielichy. Po spełnieniu tego toastu, ruszyli się goście od stołu, winszując i ściskając się wzajemnie. Posłowie Popiel i Dłużewski podchmieleni srodze, oświadczyli się po kolei każdemu z obecnych z przyjaznymi sentymentami dla senatorskiego i rycerskiego koła, oraz dla całej Rzeczypospolitej; jeden tylko Głuchowski stanął na stronie i nie podzielał ogólnego zapędu. Wszakże i ten ostatni nie protestował wcale, może zmieszany niespodzianym widokiem demonstracji pokojowej, lub prawdopodobniej, że nie dowierzał w obecnej chwili swój wymowie, przebrawszy miarę w napoju.

Tymczasem zgłębienie i zamieszanie wzrastało w komnacie, na progu której ukazały się sędziwe postacie dwóch hetmanów: Stanisława Jabłonowskiego i Feliksa Potockiego, z puhami w rękach; po bokach ich stali dwaj komissarze związkowi, którzy w gronie starszych dygnitarzy raczyli się u drugiego stołu. Okrzyk: „niech żyje Rzeczpospolita i wojsko!“ powitał hetmanów. Inni dygnitarze, za przykładem najstarszych nadeszli z sąsiedniej komnaty, nalano znowu i wychylono kielichy. Prawie wszyscy przytomni, rokując pomyślne rozwiązanie sprawy układów z wojskiem, nie szczędzili powinszowań hetmanom, przyczem splatały się bratnie ręce i gorące z ust wylały słowa.

Pomieniona demonstracja niemiłe sprawiła wrażenie na umyśle podskarbiego w. kor.; korzystając z zamieszania, rzekł stów kilka do do ucha łowczemu koronnemu, poczem tenże przysunął się do stojącego w osłupieniu Głuchowskiego i rzekł pocichu:

— Stoisz waszmość jak pień, czy nie widzisz co się dzieje?

— Co?—rzekł z wyrazem pomieszczenia na twarzy, zagadnięty poseł.

— Koledzy WMPana, w imieniu skonfederowanych braci, piją znów zdrowie Rzeczypospolitej i hetmanów, którym upadną do nóg z wszelką submissją i nie czekając zjazdu w Samborze, podpiszą punkta ugody!

Głuchowski, jakby rażony głosem gromu, ocucił się z odrętwienia, wystąpił naprzód kilka kroków i silnym zawołał głosem:

— Protestuję, miłośnicy panowie, przeciwko szkodliwej związkowi imprezie. Jako poseł i konsyliarz konfederacji oznajmuję WMPanom, że nie we Lwowie, lecz w Samborze mają być pisane punkta ugody. Tam czekamy na przyjazd JWW. i WWPanów!

To powiedziawszy, cofnął się ku drzwiom w zamiarze odejścia, ale młodzi Jabłonowscy i przyjaciele ich otoczyli go kołem i uprosili, aby zatrzymał się na chwilę, poczem wezwali go wraz z innymi konsyliarzami do sąsiedniego pokoju. Tam wytłumaczono, jako zebranie w domu hetmana i wzajemne oświadczenia przyjaźni nie mają urzędowego znaczenia, w końcu zapewniono Głuchowskiego, że stanie się zadość żądaniu marszałka konfederacyi, jakoż w oznaczonym terminie wyszle Rzeczpospolita swych komisarzów do Sambora. Tymczasem, jak hetman w. kor., tak wszyscy przytomni, chcą tylko przekonać postów związkowych o życzliwości i afekcie dla nich i dla całego wojska.

Głuchowski, przekonany temi racjami, czy też zmorzony trunkiem, nie protestował już więcej, lecz zasiadł spokojnie na sofie, poczem zasnął wkrótce, pomimo zgietku napętniającego komnatę. Koledzy jego raczyli się jeszcze przez pewien czas winem i zabawiali rozmową z synami gospodarza domu. Hieronim Lubomirski i inni mniej żarliwi zwolennicy Bachusa, wynieśli się wcześniej do domu hetmana. Gospodarz udał się do oddzielnej komnaty z Feliksem Potockim wojewodą krakowskim, hetmanem polnym koronnym. Zamknięci sam na sam hetmani mieli długą poufną rozmowę, w przedmiocie traktatu ze związkowymi. Jabłonowski narzekał na Hieronima Lubomirskiego, że tenże w widokach osobistych, przeszkadza mu w czynnościach komissyi i chce na własną działać rękę, zapewne w myśli, aby na niego tylko samego spadł zaszczyt rozwiązania konfederacyi. Napomknął przytém, że podskarbi w. kor. dwójznanym postępowaniem, nie bez przyczyny ściągnął na siebie zarzut, że podżega wojsko do nieposłuszeństwa władzy hetmańskiej i pokątnie układa się z naczelnikami związku. Dalej oświadczył hetman w. kor., że dla miłości pokoju i dla dobra Rzeczypospolitej, gotów jest zadość uczynić wymaganiom i dumie podskarbiego, zatem zgadza się na wysłanie komissyi do Sambora, gdzie zazdrosny jego przeciwnik ma przewodniczyć układow. W końcu téj rozmowy, w dowód szacunku i przyjaźni, darował gospodarz swemu gościowi drogocenną złotą szablę. Dar ten przyjął Feliks Potocki z wdzięcznością i oświadczył, że szabla ta będzie pamiątką ich zgodnego działania w sprawie skonfederowanego wojska, a może téż i zadatkem trwałej dozogonnej przyjaźni.

Długo przy wymianie przyjaznych oświadczeń gawędzili hetmani. Zbliżenie pomiędzy naczelnikami dwóch rodzeń, Jabłonowskich i Potockich, było wstępem do zawiazania na przyszłość serdeczniejszego stosunku i następnie połączenia związkiem krwi tych domów. Stanisław Jabłonowski starosta bohustawski, najmłodszy syn hetmana, po ukończeniu nauk i po powrocie z zagranicy, nawiedzał często dom Feliksa Potockiego. Słynna z urody córka wojewody Marya była wówczas jeszcze dzieckiem; ale czarujące oczy dziewczęcia wraziły się w pamięć i w duszę młodzieńca.

Jak wiemy z poprzedniego opowiadania, w ostatnich latach, Jabłonowscy z Potockimi częste mieli zatargi, niedawno nawet, z okoliczno-



ści garnizonu, mającego konsystować w Żółkwi, zwawe pomiędzy hetmanami toczyły się spory. W owym jednak czasie burzliwych, gwałtownych namiętności, łatwe było przejście od kłótni do zgody: nieraz śmiertelne urazy zatapiały się w puharze wytrawnego wina. Jak często spierano się i walczono, tak też często zawierano przymierza. To też i dwaj starzy hetmani rozstali się tego wieczora w jak najlepszej harmonii, zapomniawszy o dawnych nieporozumieniach i żwawych kłótniach, które nieraz dzieliły ich domy na dwa walczące obozy.

Tymczasem Jan i Aleksander Jabłonowscy zabawiali posłów związkowych i kilku młodych przyjaciół, pomiędzy którymi znajdowali się znani z poprzedniego opowiadania Antoni Stamirowski i Stefan starosta czerkaski. Ale w końcu wieczora jedni zasnęli, drudzy ostrożniejsi, wynieśli się ukradkiem z domu hetmana. Z grona posłów i konsyliarzy skonfederowanego wojska, pozostał jeden tylko Głuchowski, który spał od dwóch niemal godzin, ułożywszy się na szerokiej sofie. Obok tegoż, podchmielony według dawnego zwyczaju, zasnął starosta czerkaski: z drugiej strony sofy, na krześle drzemał Jan Gniński wojewoda pomorski. Jan i Aleksander Jabłonowscy siedzieli na środku komnaty, przy okrągłym stole, w towarzystwie Antoniego Stamirowskiego, który dotrzymywał jeszcze placu, ale nie wiązała się im rozmowa. Jan Jabłonowski nie tracił jednak przytomności, zwracała się od czasu do czasu ku Stamirowskiemu, który odpowiadał mu uśmiechem lub półsłowem. Między innemi opowiadał w tej chwili wojewoda, jako ukończył poemat: *Decimka myśli świętych albo dziesięć elegii polskich, Pisma Ś. sentencyami objaśnionych*, o czém prawil w tych słowach:

— Kiedy rozmyślałem WMPanie bracie, o gestych pijatykach i bankietach naszych, a mizernej pokorze i skrusze, pod słowami psalmisty: *Quia cinerem tanquam panem manducabam* <sup>1)</sup>, napisałem takie wiersze:

Po tym bankiecie w raj uodprawionym,  
Gdzie wąż się stawił gościem nieproszonym,  
I gdzie ochocza nazbyt gospodyni  
Stała się głodnej przyczyną pustyni,  
W którym zjadł jabłko Adam nazbyt chciwy,  
I naród ludzki sprawił nieszczęśliwy;  
Ludzie nie myślą, ni przedtém myśleli,  
Tylko ażeby i jedli i pili:  
A lubo każdy bankiet ciągnął z sobą  
Straty dóbr wszelkich, państw i śmierć z chorobą,  
Przecie my jemy, jako drudzy jedli,  
Jakby rozkoszy nigdy nie zawiedli.  
Upił się świat był za czasu Noego,  
Aż od potopu ochłódł powszechnego,

<sup>1)</sup> Bo popiół jako chleb jadalem.

Zagęściła się rozpustna ochota,  
 Aż ją rozegnał ogień w czasiech Lota.  
 Sardanapala, ani Baltazara,  
 Jaka spotkała po bankietach kara,  
 Ni nie wspominam! bo mnie, jako ludzi,  
 Ten strach i przykład do postu nie budzi...

Jeszcze miał deklamować dalej młody wojewoda, uniesiony poetyckim szałem, kiedy rozległ się nagle krzyk w przedpokoju; zaczęły z łoskotem rozwarły się podwoje, i z wielkim zdziwieniem przytomnych osób wjechał na koniu młody Michał Potocki starosta krasnostawski, wołając donośnym głosem:

— Szykuj się WMPanie chorąży do podróży, przywożę list od wojewodzianki wołyńskiej, ażebyś wyjechał na jej spotkanie.

To powiedziawszy skoczył z konia, poczem oddał list chorążemu i rzekł zwracając się do obecnych:

— Przepraszam WMPanów za najazd, ale podjąłem się tej misyi dla uspokojenia panny wojewodzianki i usłużenia JMPanu chorążemu. Widziałem niedawno JMPanię i JMPannę Sieniawską, i przyrzekłem, że dziś wieczorem lub w nocy oddam list do własnych rąk JMPana chorążego... chcąc zaś lepiej usłużyć, kazałem okulbaczyć konia, który nie zawiedzie Jegomości, lecz prędko do pożądanj doprowadzi mety.

Jeszcze nie skończył oracyi starosta krasnostawski, kiedy zbudzeni nagłym łoskotem goście, spoczywający na kanapie i na krzesłach, zerwali się i senne przecierali oczy, nie mogąc zdać sobie sprawy ze znaczenia otaczającej ich sceny. Poseł Głuchowski, niezrozumiawszy tłumaczenia starosty, sądził, że tenże naigrawa się z niego i wyzywa do bójki, widział bowiem tylko jak wjechał konno z okrzykiem i stanął tuż nad jego głową. Zerwał się więc na równe nogi poseł, wy dobył czémprędzej szablę i stanął obok mniemanego napastnika w wyzywającej postawie. Zauważył starosta, że wcale niepożądanym tu był gościem, przynajmniej dla tych, którzy odpoczywali w śnie błogim po trudach bankietu; ale nie tracąc fantazyi, zwrócił się natychmiast do Głuchowskiego i rzekł:

— Widzę, że Waszmość chcesz bić się zemną, gotów jestem służyć WMPanu!

— I owszem!—odpowiedział Głuchowski—ale proszę, powiedz mi Waszmość piérwój, co znaczy ta szalona z koniem impreza? Wszak tu nie stajnia, lecz dom JW. hetmana, który dla nas postów związkowych wyprawił dziś bankiet.

— Nie słyszałeś WMPan mojej relacyi, więc nie potrzebuje mu powtarzać; lecz jeśli ciekawy jesteś, lub chcesz spróbować się zemną, proszę na ustęp, tam rozprawimy się natychmiast, tylko nie słowami a szablą.

Po tém przemówieniu, zawracali się ku drzwiom przeciwnicy w zamiarze stoczenia bójki. W téjże chwili, Jan Jabłonowski zabiegł im drogę wołając: „Hola, mości panowie, szkoda przelewać krew szlachęką tak marnie!“ Potém wziął za rękę Głuchowskiego i rzekł:

— Uspokój się Waszmość. Starosta krasnostawski jest dobry nasz przyjaciel, przywiózł on tylko list od panny Sieniawskiej i oddał chorążemu...

Ale poseł nie przestał na tém tłumaczeniu i odgrażał się staroście. Wtedy zbliżył się Antoni Stamirowski z drugiej strony i przedstawił Głuchowskiemu, że uraża się bez przyczyny, skoro pan wojewoda wołyński, starszy syn gospodarza domu, wybacza chętnie ten postępek staroście, przypisując takowy nie złej żadnej intencji, lecz podchmielonej głowie.

Skoro uspokoił się nieco poseł i wyszedł ze Stamirowskim do sąsiedniej komnaty, Jan Jabłonowski przysunął się do Michała Potockiego i rzekł:

— Zadrwiłeś z nas WMPanie starosto haniebnie, wszakże nie gniewam się za tę imprezę, proszę tylko nie bij się z posłem, bo w razie jakiego niefortunnego dlań wypadku, ogłosiliby nas za zdrajców i zbójców panowie związkowi.

Inni świadkowie téj sceny stali na stronie, z wyrazem niemego podziwienia na twarzach.

Tymczasem pan chorąży zajął się czytaniem listu bohdarki, ale nawet przy dwóch woskowych świecach z trudnością dobijał się treści pisma, bo jak zwyczajnie przy zabałamuconej winem głowie, tańczyły i mieniły się litery w oczach; w końcu atoli przesyłabizował wyrazy: „Skoro odbierzesz panie chorąży to pismo, już będę w podróży z JMPanią bratową... Jedziemy na Bełżyce, Zamość, Tomaszów, do Oleszyc... Mówią, że droga jest niebezpieczna, z powodu konfederatów i włóczęgów.“

Wiadomość ta dostateczną była dla chorążego. Nie czytał już dalej listu, lecz schował go do kieszeni i rzekł zwracając się do brata: „jadę kochany panie bracie, na spotkanie panny.“ Potém do starosty krasnostawskiego: „dziękuję WMPanu za przyjacielską usługę.“ To powiedziawszy, chwycił za czapkę, krzyknął na stojącego w sieni hajduka, ażeby wyprowadził z pokoju konia; poczem rozkazał woźnicy zaprzęgać natychmiast do sanek i dwom rajtarom gotować się do podróży.

Hajduk spełnił rozkaz pana i wyprowadził konia, który czując niewłaściwość swego położenia, stał już na progu rozwartej komnaty i zabiérał się do odejścia.

Jan Jabłonowski, widząc tak nagłe postanowienie młodszego brata, rzekł:

— Zkąd tak prędko rezolucya panie bracie? Chcesz biec w noc ciemną, sam nie wiesz czemu, niepożegnawszy się z panem ojcem... Zaczekaj przynajmniej do rana...



— Przepróż kochany bracie odemnie jegomości dobrodzieja, że jadę bez pożegnania; nie chcę go budzić ze snu, a muszę dążyć natychmiast na spotkanie panny, która już jest w podróży.

— Szalony jesteś panie bracie, poczekaj trochę, niech wino wyszumi ci z głowy, bo ten niezawodnie trunek natchnął cię tą rezolucją.

— Jak chcesz nazywaj mię, bracie, już nie odmienię tój rezolucyi, bo najsolenniej przyrzekłem pannie, że wyjadę na jēj spotkanie, skoro powracać będzie z Warszawy; więc rachuje na moje słowo: świadkiem jest pan starosta krasnostawski, który mi list jēj oddał.

To powiedziawszy wskazał chorąży na starostę, który poświadczył skinieniem głowy.

Protestował jeszcze brat starszy, kiedy chorąży włożył czapkę na uszy i jak strzała wyleciał z komnaty. Starosta krasnostawski stanął w obronie zakochanego i rzekł do wojewody wołyńskiego:

— Niesłusznie WMPanie wojewodo strofujesz brata za afekt okazywany pannie, boć i ona równym dla niego pała afektem. Zwyczajna to zresztą powinność kawalerska, stosować się do woli i życzenia panny. Sam byłem świadkiem, jak JMPan chorąży koronny błagał swoją bohdankę, ażeby zawiadomiła go listownie, nim wyruszy w daleką i niebezpieczną podróż. Chętnie wyręczyłbym go w tēj usłudze damom i towarzyszyłbym w tēj podróży do Oleszyc, gdyby nie rozkaz Jegomości, mojego ojca, który mię pospiesznie zawezwał do Lwowa...

— Nie myśl panie starosto—odrzekł Jan Jabłonowski—ażebym ganił ten animusz kawalerski brata mojego dla panny, owszem pochwaliłbym ten sentyment we właściwej porze; ależ na Boga! nie czas i miejsce teraz na próbowanie amorów. Panna mogłaby się obejść w podróży bez asystencyi chorążego, który jako syn hetmana w. kor. winien teraz znajdować się przy jego boku, lub przynajmniej prosić o dozwolenie wyjazdu... Widocznie WMPanie starosto nawiodłeś na niego tę pokusę i obalamuciłeś do reszty rozamorowaną głowę.

Strofował następnie wojewoda wołyński starostę za niewczesną krotochwilę, którą wyprawił w domu jego ojca. Tak zagadniony Michał Potocki tłumaczył się i przeproszał, submitując się, że poważa wielce dom JW. hetmana w. kor., nie miał przeto intencji wyrządzenia żadnej obrazy, lecz z dobrej jeno ochoty i szczerzej przyjacielskiej fantazyi, przyszedł mu ten pomysł do głowy.

Uśmiechnął się wojewoda wołyński, słysząc ostatnie wyrazy starosty, wiedział bowiem o tēm, że w istocie dobra fantazyja podniesiona winem, była przyczyną tēj dziwnie żartobliwej krotochwili.

Tymczasem chorąży kazał zaprzęgać konie do sanek i kiedy wojewoda wołyński wybiegł na podwórze, chcąc próbować jeszcze czy nie zdoła zmienić postanowienia brata, ten już puścił się w drogę traktem ku Tomaszowu, w towarzystwie dwóch rajtarów, którzy jechali konno.

## Z DZIEDZINY PRZYRODOZNAWSTWA.

Postępy fizyki.—Szkic historyczny fizyki starożytnych.—Trzy główne podwaliny fizyki nowoczesnej.—Descartes, jej główny założyciel.—Poprzednicy i następcy Descartes'a.—Optyka.—Mechanika molekularna i jej uniwersalne znaczenie.—Rola, jaką zaczyna odgrywać w chemii.—Logika dynamiki molekularnej.—Pojęcie cząsteczki ze stanowiska chemii.—Podzielność materii.—Związek chemii z dynamiką molekularną.—Czas, jako element zagadnienia chemicznego.—Prędkość reakcji chemicznych, jako drugi element.—Teorya Williamso-na.—Zależność chemicznych własności ciał od ruchu atomów.—Największe odkrycie XIX wieku.—Jedność sił.—Równoważnik mechaniczny ciepła.—Prace Jamesa Joule.—Co to jest energia?—Źródło energii przy wybuchu prochu.—Związek zachodzący między życiem roślinnym a zwierzęcym.—Energia to nowożytny Proteusz.—Perpetuum mobile.—Słońce, jako źródło wszystkich energii wszechświata a tém samém i wszelkiego życia.

Podaliśmy już czytelnikom sprawozdania z różnych gałęzi wiedzy przyrodniczej. Z kolei przechodzimy do jednej z najważniejszych nauk, a mianowicie do fizyki; przedmiot to wszakże tak rozległy, że zamknąć go w artykule, na którego obszerność pozwalają ramy Biblioteki, jest rzeczą prawie niepodobną. Dlatego ograniczymy się na ogólnym filozoficznym poglądzie, przedstawiając główne podstawy fizyki nowożytnej, a następnie rozbierzemy cokolwiek szczegółowiej niektóre kwestye fizyczne, oraz jedno z największych odkryć naszego wieku, należące do dziedziny tej nauki. Takie traktowanie rzeczy, zdaje nam się więcej nawet odpowiada programowi Biblioteki, która nie ma na celu podawać systematycznego wykładu wszystkich zdobyczy, otrzymywanych na polu pewnej nauki, ale przeciwnie, traktować powinna każdą naukę z ogólnego, więcej filozoficznego, niż matematycznego lub przyrodniczego stanowiska, w sposób o ile można najprzystępniejszy dla ogółu czytelników. W pierwszej części naszego zadania, pomiędzy innemi posiłkować się będziemy obszerną rozprawą Ernesta Naville członka korespondenta Instytutu francuzkiego, która w roku przeszłym drukowaną była w jednym z pism francuzkich, a następnie w oddzielnej wyszła broszurze <sup>1)</sup>. Z rozbioru tego okaże się, iż mylną jest opinia, jakobyśmy wszystkie zasady fizyki, którą dziś mianem nowożytnej oznaczamy, mieli zawdzięczać ostatnim kilku dziesiątkom lat.

Ale wprzód kilka uwag o fizyce <sup>2)</sup> w ogóle. Jakkolwiek niektóre pojedyncze gałęzie fizyki znane już były starożytnym, jednak dopiero w czasach nowszych, bo niektóre z nich przed 200 zaledwie laty, a inne w wieku naszym rozwinęły się odpowiednio i podniesione zostały do

<sup>1)</sup> „Les origines de la physique moderne,” par Ernest Naville. Paris 1875.

<sup>2)</sup> Nazwa ta pochodzi od wyrazu greckiego *φύσις*, co znaczy przyroda.

godności nauki. *Statyka* traktuje o równowadze sił, o związku różnych sił, działających na materią stałą w spoczynku. Nazwa pochodzi od wyrazu greckiego *ιστημι* (histemi) stawiam. Nauka datuje od czasów Archimedesesa, który żył w III w. przed Chrystusem, i rozwinęta została głównie przez Galileusza, Bernouilliego, Lagrange'a. Część jęj, traktująca o równowadze płynów, zowie się *hydrostatyką* (od *ὕδωρ* woda). Hydrostatyka również sięga początkiem swoim czasów Archimedesesa. Ten wielki matematyk świata starożytnego, wążąc koronę z nieczystego złota w wodzie, odkrył obce domieszki; odkrycie to dało, jak wiadomo, początek prawu, znanemu w nauce pod nazwą „prawa Archimedesesa,” na mocy którego każde ciało, będąc zanurzone w płynie, traci tyle na wadze, ile waży ciecz przez nie wypchnięta <sup>1)</sup>. Stevinus i Pascal pracowali na polu tęg nauki i wiele w następstwie przyczynili się do jęg postępu.

Przeciwieństwem spoczynku jest ruch: mamy zatęm naukę, odnoszącą się do ruchu ciał stałych, naukę o ruchu płynów i gazów. *Dynamika* (z greckiego *δύναμις*, siła) traktuje o ruchu ciał stałych oraz o związku sił wywołujących ruch. Wzięta początek za czasów Leonarda da Vinci, największego malarza swojego czasu, który zarazem był znakomitym matematykiem, inżynierem, muzykiem i naturalistą. Wykazał on, że jeżeli dwie siły przedstawione są, co do wielkości swojej i kierunku, przez dwa boki równoległoboku, wypadkowa ich wyraża się przekątną tego równoległoboku. Zasada ta znana jest pod nazwą prawa „równoległoboku sił.” Do tych naukowych zdobyczy Galileusz dołączył prawo dotyczące spadania ciał, podczas gdy Newton i Huyghens podali prawa, rządzące siłami odśrodkowemi. *Hydrodynamika* zajmuje się ruchem płynów i w takim samym pozostaje stosunku do dynamiki, jak hydrostatyka do statyki. Ruchem gazów zajmuje się *pneumatyka*, datująca od czasu odkrycia Torricelli'ego (1642 r.), który, jak wiadomo, dowiódł, że powietrze posiada wagę. W ośm lat później, t. j. w połowie XVII wieku, burmistrz magdeburski Otto von Guericke wynalazł machinę pneumatyczną, i nauka zaczęła szybkie robić postępy. Pojawiły się różne traktaty, tęg gałęzi wiedzy dotyczące, i żadna może nauka tak szybko się nie rozwijała, jak ta, którą właśnie rozbiebiamy. Wymienione wyżej trzy gałęzie jednęj i tęg samęj nauki odnoszą się do własności materji w jęg trzech formach: stałęj, płynnęj i gazowęj, tak w spoczynku jak i w ruchu.

Przechodzimy z kolei do innych gałęzi fizyki zajmujących się więdę subtelnym i wewnętrznym ruchem cząstek materji, przy różnych przed-

<sup>1)</sup> Określenie to objaśnimy przykładem. Wiadomo, że żelazo jest przeszło 7 razy tak ciężkie, jak woda przy tęg samęj objętości, co wyrażamy w nauce mówiąc, że ciężar gatunkowy żelaza jest 7. Jeżeli kulę żelazną siedmiofuntową wążęć będziemy w wodzie, znajdziemy, że ciężar jęg wynosi tylko 6 funtów, co właśnie jest sprawdzeniem prawa Archimedesesa, gdyż kula straciła na wadze 1 funt, t. j. ciężar wypchniętęj wody.



kościach i w różnych kierunkach. Zaczynając od *akustyki* <sup>1)</sup>, mamy ruch wibracyjny cząstek, wydający to, co nazywamy dźwiękiem. Nauka o dźwięku, jakkolwiek więcej lub mniej związana z nauką muzyki, istnieje jako nauka doświadczalna od niezbyt dawnego czasu. Ruchy wibracyjne tej samej natury, odbywające się w subtelnej materii zwaną eterem, stanowią *ciepło* i *światło*, których różnica polega na prędkości. W końcu *magnetyzm* i *elektryczność* są to stany materii, może i nie różniące się wiele od tych, które stanowią światło i ciepło.

Nauka traktująca o *świelle*, której dają nazwę *optyki*, jest może jedną z dawniejszych. Już Euklides starał się wyłożyć prawa widzenia; astronom Ptolemeusz napisał traktat o świetle; odbijanie się światła w zwierciadłach, oraz jego załamywanie się przy przechodzeniu przez soczewki były dobrze znanymi faktami za czasów Archimidesa. Rozmaite traktaty w tej materii pojawiły się w wiekach średnich. Niedługo po ogłoszeniu drukiem dzieła A. Kirchera *Ars magna lucis et umbrae*, Newton dokonał wielkiego odkrycia, rozkładając światło białe na 7 kolorów (widmo); rozwiązał wiele zagadnień optycznych bardzo dokładnie przy pomocy matematyki. Nauka o ciepłe zrobiła wielkie postępy dopiero w ostatnich trzydziestu latach. Ciepło uważane było dawniej za pewien rodzaj materii, która przechodziła z jednej substancji do drugiej i wywoływała w nich pewne zmiany. Dziś wiemy, że jest pewnym rodzajem ruchu <sup>2)</sup>, podobnym do tego, jaki stanowi światło; tak więc, przestaje być materią, a staje się atrybutem, własnością materii. Pewne własności ciepła były dobrze znane starożytnym, jakkolwiek sama nauka o ciepłe jest stosunkowo bardzo młodą. Pliniusz powiada, że święty ogień Vesty zapalany był przez odbijanie promieni słońca za pomocą zwierciadeł. Historia floty rzymskiej, którą Archimedes spalił w porcie syrakuzzańskim, jest dobrze znana. Soczewki były również dawno używane jako szkła palące. Arystofanes mówi wyraźnie o używaniu soczewki szklanej do otrzymywania ognia; soczewkę znaleziono również w gruzach Niniwy, jak mówi Rodwell w swojej rozprawie o nauczaniu szkolnym, z której wyjmujemy niektóre dane <sup>3)</sup>. Chrześcijański Cynceron, Laktancyusz, zaznacza, że ogień możemy rozniecić, przepuszczając promienie słońca przez kulę szklaną, napełnioną wodą.

*Magnetyzm* długi czas istniał pod formą nauki doświadczalnej. O niektórych doświadczeniach z magnezem wspomina Lukrecyusz i Pliniusz. Busola marynarzy, znana w Europie w XII wieku, zwróciła uwagę na istnienie tak zwaną sity magnetycznej. Początek wszakże nauki datuje dopiero od czasu ogłoszenia przez Gilberta z Colchester traktatu „De Magnete“ (około r. 1600).

1) Nazwa ta pochodzi od wyrazu greckiego *ακουω* (akuo) słyszę.

2) Ob, dzieło Tyndall'a „Ciepło jako rodzaj ruchu”, w przekładzie polskim pod redakcją Masłowskiego.

3) „On the Study of Science in Schools”, 1872.

Już Tales z Miletu zauważył, że bursztyn przez pocieranie nabiera własności przyciągania lekkich substancji, a ponieważ bursztyn nazywa się po grecku *ήλεκτρον*, to tej własności dano nazwę *elektryczność*. Otto von Guericke, wynalazca maszyny pneumatycznej, był również wynalazcą maszyny elektrycznej. Nauki przyrodnicze nie uczyniły wszakże wielkiego postępu dopóty, dopóki nie wynaleziono narzędzi, przy pomocy których można było robić doświadczenia na tym polu. *Elektryczność Volty*, czyli *galwanizm*, datuje dopiero od początku bieżącego stulecia, a *elektromagnetyzm* jest rezultatem badań późniejszych.

Z powyższych uwag widzimy, że jakkolwiek niektóre z zasadniczych faktów różnych gałęzi fizyki znane były starożytnym, ci ostatni jednak nie posuwali naprzód postępu tej nauki. Własności materji były im zupełnie nieznane, gdyż opierali się jedynie na rozumowaniu, pogardzając doświadczeniem. To samo powiedzieć można i o wiekach średnich.

Przed XVII wiekiem było wielu obserwatorów, ale mało eksperymentatorów. Wszakże, aby nauka doświadczalna mogła czynić postępy, obserwacja czyli dostrzeganie, doświadczenie i rozumowanie muszą zgodnie postępować ręka w rękę. Połączenie tego w wybitnym stopniu widzimy pierwszy raz w Galileuszu, profesorze uniwersytetu pizańskiego: wynalazł on teleskop i termometr, popierał teorią wielkiego naszego astronoma z Torunia, Kopernika, który utrzymywał, że Słońce jest środkiem naszego układu, i że około Słońca dokonywa obrót Ziemia, odkrył księżyc Jowisza oraz plamy na powierzchni Słońca, słowem dokonał pierwszego rzeczywistego postępu w wielu naukach. Galileusza nazywają „ojcem nauk doświadczalnych;“ to pewna, że on był pierwszym eksperymentatorem, godnym tego imienia. Dzięki jego pracom, wielka liczba nauk wzięła początek w tym płodnym w wielkie rezultaty wieku.

Rzuciwszy ten dorywczy szkic danych, odnoszących się do ważniejszych wypadków w historii fizyki, przechodzimy do epoki najnowszej.

Przy badaniu podstaw fizyki nowożytniej—powiada E. Naville—odróżniamy trzy główne zasady, jakimi są:

1) *Natura wyłącznie mechaniczna zjawisk materialnych*. Zasada ta obejmuje w sobie negacyą owych płynów nieważkich, o własnościach nie dających się określić, których istnienie przyjmowano w ogóle jeszcze na początku naszego wieku.

2) *Bezwładność materji*. Zasada ta nie obejmuje negacyi siły w ciałach, gdyż ciało, na mocy oporu jaki stawia, jest siłą względem innych ciał, których ruch zmienia, ale wyłącza z pojęcia ciała fizycznego wszelką władzę zmieniania swego własnego ruchu.

3) *Stalość siły*. Na mocy tej zasady utrzymują, że wszelki ruch, który napozór ustaje, przekształca się jużto w ruch niedający się do-



strzedz, ale rzeczywisty i równoważny pierwszemu, albo téż w energią <sup>1)</sup>, zdolną wytworzyć ruch podobny, w skutek czego pierwotna siła poruszająca pozostaje stałą.

Oparta na tych zasadach, nauka fizyki przyjmuje istnienie eteru czyli płynu, którego falowania, połączone z ruchami materyi waźkiej, objaśniają zjawiska ciepła, światła, elektryczności, magnetyzmu. Bez téj hipotezy, niepodobna jest objaśnić ani stałości siły, ani téż wyłącznie mechanicznej natury zjawisk.

Utrzymywano dawniej, a nawet i dziś jeszcze panuje poniekąd opinia, że z wyjątkiem prawa bezwładności, zasady fizyki w sposób powyższy określone są rezultatem naszego wieku. Początek odnoszą do poszukiwań Fresnela nad naturą światła (1818), Oerstedt'a i Ampe're'a nad elektro-magnetyzmem, Augusta de la Rive nad elektrycznością <sup>2)</sup> (1828), Roberta Mayera i Jamesa Joule'a nad równoważnikiem mechanicznym ciepła, które doprowadziły do największego odkrycia XIX wieku. Podług E. Naville'a, pogląd ten, jakeśmy to już wyżej zaznaczyli, jest mylny. Zdaniem uczonego członka Instytutu francuzkiego, zasady główne fizyki nowożytnej odkryte zostały w wieku XVII, co głównie zawdzięczać należy Descartes'owi. „Nie są to zatem—powiada—prawdy nowe, ale prawdy wznowione” <sup>3)</sup>. Światło toruje sobie drogę i rozprasza ciemności, a zarazem błędy, które długi czas panowały. Bouillier i Bordas-Demoulin w dziełach swoich traktujących o filozofii kartezyańskiej, Renouvier w *Critique philosophique*, J. Bertrand członek Instytutu francuzkiego i autor znakomitej historii Akademii nauk <sup>4)</sup> w *Journal des savants*, wystąpili w obronie stanowiska Descartes'a, jakie mu słuszenie należy się w historii.

E. Naville poświęca kilkanaście ustępów téj kwestyi i w długich wywodach historycznych, w których opiera się na źródłach, wykazuje, że główne zasady fizyki nowożytnej datują od XVII wieku i że Descartes jest nie jedynym, ale głównym założycielem téj nauki. Nie możemy iść za nim w szczegółowym rozbiore téj kwestyi, zaznaczamy tylko, że wielkie dzieło, jakiego dokonał Descartes na tém polu, sprowadza się do uznania: 1) natury mechanicznej zjawisk fizycznych; 2) bezwładności materyi; 3) stałości siły.

To są trzy podwaliny fizyki nowożytnej. Szukać wyjaśnienia mechanicznego zjawisk przyrodzonych pod podwójnym prawem bezwła-

<sup>1)</sup> Rzecz tę objaśniliśmy przy rozbiore książek prof. Balfour Stewarta „Zasada zachowania energii” w zeszycie „Biblioteki” za miesiąc luty r. b.

<sup>2)</sup> W tym przedmiocie odsyłamy do artykułu naszego, zamieszczonego w „Przyrodzie” w roku zeszłym p. t. „August de la Rive”, w którym kwestya ta szczegółowo wyłożoną została (czerwiec, lipiec).

<sup>3)</sup> „Ce ne sont pas—powiada—des verités nouvelles, mais des verités renouvelées.” Op. cit.

<sup>4)</sup> „L'Académie des Sciences et les Academiciens,” par. J. Bertrand. Paris 1869.



dności materji i stałości siły, oto najwyższa zasada fizyki kartezyańskiej, program wszystkiego, co wie i czego szuka nauka współczesna. W dniu, w którym postawioną została ta zasada, określony został przedmiot samej nauki.

Ustanowiwszy takie zasady, jakie istnieją w nauce społecznej, Descartes przedsięwziął wyjaśnienie wszystkich zjawisk astronomii i fizyki. Przyjrzyjmy się bliżej fundamentom nauki, jakie założył, oraz budowie wzniesionej na tych fundamentach.

Długi czas uważano Bakona za prawdziwego założyciela nauki nowożytnej. On sam z całym przekonaniem przypisywał sobie tę rolę, i wierzone mu na słowo; ale historia dostarcza dowodów, iż rzecz ma się inaczej. Bakon jest bez wątpienia jedną z największych osobistości pomiędzy ludźmi myślącymi owych czasów. Wykazywał on, więcej niż ktokolwiek z ówczesnych, potrzebę dostrzegania, konieczność wzięcia doświadczenia za podstawę badań, i tym sposobem dostarczył ważnego przyczynku do metodologii. Przepowiadał rozwój, do jakiego dojdzie przemysł przez dokładną znajomość zjawisk przyrodzonych. Ale co się tyczy teoryi ogólnej fizyki, nie wybrał prawdziwego kierunku nauki, i w dziełach jego widać ślady wszystkich błędów przeszłości. Nad badanie przyczyn fizycznych, które służy za podstawę mechanice, a którą filozof angielski uważa za naukę niższą, wyżej ceni teorią *form*, podstawę, którą oznacza mianem *magii naturalnej* <sup>1)</sup>. Te formy, służące za podstawę magii naturalnej, podobne są bardzo do form substancjalnych, oraz własności materji, jak przyjmowano w tej szkole. Bakon poprzestaje na przyczynach ukrytych, które uważa za zasady objaśniające rzecz samą. Na pytanie: dlaczego salamandra gasi ogień? odpowiada: „Dlatego, że w ciele tego zwierzęcia jest siła gasząca, która tłumi ogień“ <sup>2)</sup>. Dla objaśnienia powstawania kryształu górnego, przyjmuje tłumaczenie Pliniusza, „że kryształy, to woda zamarznęła, co pozostała długi czas w tym stanie, do którego się przyzwyczaiła.“ Tak jest dalekim od nauki o bezwładności, że uważa materją, po Bogu, za przyczynę przyczyn (*causa causarum*). Jeżeli ciała idą po linii prostej, to dzieje się to skutkiem ruchu przyspieszonego. Bakon odróżnia dziewiętnaście rodzajów ruchów, z których ostatni jest to ruch, dążący do bezwładności, czyli wstręt do ruchu (*horror motus*).

Bakon występuje *przeciwko przyjęciu teoryi Kopernika*. Nazywa niedorzeczną pretensją szukanie w samym tylko ruchu ciał wyjaśnienia zjawisk <sup>3)</sup>. Jest to prosta negacya podstawy fizyki nowożytnej. Liebig utrzymuje, że pod tym względem Bakon pozostał tak daleko po za swoim wiekiem, iż zaprzeczył materialności dźwięku, z którego chciał uczynić pewien rodzaj *ruchu duchowego*.

<sup>1)</sup> „De dignitate et augmentis scientiarum“, lib. III, cap. X, jak cytuje Naville.

<sup>2)</sup> „Vis extinctiva in corpore illius animalis, quae ignem suffocat.“ (*Sylva Sylvarum*, cent IX, 860.)

<sup>3)</sup> „Motum corporum tantum stupide intuentes.“

Wszakże filozof angielski uczynił wielki krok naprzód, ogłaszając potrzebę doświadczenia; ale w zupełności zaniedbał przedmiot nauki, oraz kierunek, jaki potrzeba nadawać poszukiwaniom. Nie jest on wcale założycielem fizyki nowożytnej. Ataki, których był przedmiotem ze strony hrabiego de Maistre i Liebiga, są może namiętne i niesprawiedliwe—powiada Naville—ale są prawdziwe o tyle, o ile idzie o odebranie Bakonowi tytułu przywłaszczonego.

Dwaj współcześni Descartes'a, Kepler i Galileusz, spełnili dzieło poważniejsze, pozostające w związku z przedmiotem, który rozbieramy. Kepler zajmuje wysokie stanowisko w historii nauk matematycznych i astronomii. Leibnitz przypisuje mu znajomość bezwładności materii. Wszakże nie wypowiada on opinii swoich z taką stanowczością i konsekwencyą, jak Descartes. Przypuszcza w materii naturalną dążność do spoczynku i do pozbawiania się ruchu—*prona ad quietem et ad privationem motus*; tak, że planety zatrzymałyby się w skutek potrzeby spoczynku, gdyby nie było siły poruszającej, która ciągle działa. Nie mówimy już nic o owój dziwnej opinii, według której planetami mają kierować dusze, znające drogę, którą mają postępować dla utrzymania porządku świata.

Słowem, nie uwłaczając w niczém stanowisku Keplera w historii nauki, możemy powiedzieć, że nie on położył, w sposób ogólny i ścisły, podstawę teorii materii. Sława ta dostała się komu innemu; i obecnie nikt jęj nie zaprzecza wspomnianemu wyżej profesorowi uniwersytetu pizańskiego. Astronomia uznaje Galileusza za jednego ze swoich najużyteczniejszych pracowników. Słusznie uważany jest za założyciela mechaniki nowożytnej, w specjalném znaczeniu tego wyrazu, zwłaszcza z powodu odkrycia praw wahadła. W końcu Galileusz pierwszy dał nie tylko przykład praktyczny, ale teorią prawdziwój metody nauk doświadczalnych. Pod tym względem nawet większym jest od Descartes'a całą wyższością prawdy nad błędem. Ze wszystkich założycieli nauki nowożytnej Galileusz jest tym, z którego dzieł najmniej potrzebaby usuwać mylnych lub mniej ścisłych poglądów przy dzisiejszym stanie nauki. Ale czy Galileusz, pyta się Naville, widział jak Descartes, i ogłosił podstawy fizyki nowożytnej? Czy określił przedmiot téj nauki, zasadę kierującą wszystkiemi poszukiwaniami oraz cel, do którego powinna dążyć? Czy utrzymywał, że każda część zjawisk fizycznych sprowadza się do jedyne go faktu ruchu? Gdyby to był uczynił, powinienby być ogłoszony za założyciela fizyki nowożytnej z tego samego tytułu co Descartes. Ale Galileusz nie zajmuje ściśle tego stanowiska. Nie zerwał w zupełności z teorią przyczyn ukrytych, skoro wyrażeniem swoim *natura horret vacuum* przypisywał siłę próżni, której, podług niego, ma się obawiać natura!

Wszakże pomimo to, Galileusz postępuje w pierwszym rzędzie w badaniu praw mechaniki. Ale czy przyjął i sformułował zupełnie prawo bezwładności? Newton i Montucla <sup>1)</sup> przypisują mu znajomość

<sup>1)</sup> „Histoire des Mathématiques.”



tego prawa. Na poparcie tego twierdzenia, Martin przytacza wielką liczbę ustępów. Z rozbioru tych ustępów E. Naville dochodzi do wniosków, że Galileusz zbijał panującą w owym czasie doktrynę, według której dalsze trwanie ruchu, wywołanego przez przyczynę przypadkową, jest skutkiem środka, który otaczając ciało, popycha je naprzód. Zamiast tego Galileusz podstawia ideę bezwładności, podług której ciało nie przestaje się poruszać nieograniczenie, i zatrzymywane bywa dopiero przez opór, jaki napotyka. Wszakże, nie wypowieda tego prawa kategorycznie jak Descartes, i nie stosuje go w całej jego rozciągłości; gdyż w jednej z ostatnich prac swoich (*Sistema cosmico*) podtrzymuje opinią Arystotelesa, że są dwa ruchy pojedyncze, prosty i kołowy, i że pierwszy jest doskonały a drugi nie doskonały, co właściwie jest negacją jednej z najistotniejszych części prawa bezwładności, które ustanowił i sformułował Descartes, a które przyjęła nauka nowożytna.

Takim sposobem z cytat zamieszczonych w rozprawie Naville'a <sup>1)</sup> a których w tém streszczeniu małą tylko użytkowaliśmy częśćkę, jasno się okazuje, że Descartes pierwszy sformułował ogólne pojęcie nauki o materji, oraz położył podstawy teorii ruchu takie, jakie dziś przyjmuje nauka. Bacon neguje główne zasady nauki. Kepler i Galileusz przyjmują je i stosują nawet w swoich pracach, ale nie są im zawsze wierni. Descartes widzi je w całej czystości i ogłasza światu. Nie należy zmniejszać zasłużonej sławy jego poprzedników i współczesnych, ani też pokrywać błędów, w jakie popadł; ale jeżeli przyjmiemy, że założycielem fizyki nowożytnej jest człowiek, który pierwszy określił dokładnie przedmiot tej nauki, oraz zasadę kierującą temi poszukiwaniami, to za człowieka tego musimy uważać Descartes'a, i można powiedzieć, że główne podstawy fizyki nowożytnej datują od czasu ogłoszenia jego *Zasad filozofji* (*Principes de la Philosophie*), to jest od 1644 roku.

Po założeniu fundamentów fizyki nowożytnej, pozostawało do spełnienia podwójne dzieło: należało poprawić czyli raczej sprostować błędy założyciela i rozwinąć następstwa praw, jakie odkrył.

Jeden z wielkich błędów założyciela nowej nauki odnosił się do pojęcia materji, która, podług niego, zajmuje oznaczoną część przestrzeni. Ciało, powiada Descartes, zajmuje zawsze część przestrzeni tak ściśle proporcjonalną do swojej wielkości, iż nie mogłoby wypełnić większej, ani też ścisnąć się i zająć części mniejszej. Descartes tedy utożsamia pojęcie ciała fizycznego z pojęciem czysto-geometrycznym o rozciągłości; podług niego próżnia jest niemożliwą i nie daje się pojąć.

To czysto geometryczne pojęcie materji skłania go do przekroczenia linii demarkacyjnej, oddzielającej fizykę od nauk matematycznych. Wynika ztąd, że zamiast uważać fundamenta, jakie postawił, za zasady kierujące dla hipotez ciągle poddawanych kontroli dostrze-

<sup>1)</sup> „Les Origines de la Physique Moderne” 1875.



gania i doświadczenia, bierze je niesłusznie za podstawę bezpośrednich wywodów. Utrzymuje, że może zbudować system, nie uciekając się do powolnej drogi doświadczenia i pisze na końcu swoich *Zasad filozofii* te dumne słowa:

„Nie ma żadnego zjawiska w naturze, któreby nie zawierało się w tém, co jest wyłożone w niniejszym traktacie”<sup>1)</sup>.

To nam przypomina niemniej zuchwałe słowa, które nieraz zdarzało nam się słyszeć z ust jednego z profesorów uniwersytetu pragskiego w czasie samego wykładu: „Ja to mówię, a ja nic nie odwołuję”<sup>2)</sup>.

Dzieło rozpoczęte przez Descartes'a prowadzili dalej jego następcy, prostując błędy założyciela nowej nauki, wypełniając braki, jakie się okazały mimo jego wyrzeczenia, iż nie ma żadnego zjawiska w naturze, któreby nie było wyjaśnione w jego traktacie „Zasady filozofii.” Ale dopiero w pierwszej połowie XIX wieku nastąpił drugi okres rozwoju fizyki kartezjańskiej, i ogłoszoną została możliwość sprowadzenia całej fizyki do mechaniki. Jeden z największych geometrów tego wieku, Laplace, którego dzieło jest uwieńczeniem pierwszego okresu kartezjańskiego, tak w swoim *Essai sur les probabilités* jak również w *Exposition du système du monde* (t. IV., c. XVIII) wypowiada przekonanie, że przy dzisiejszym stanie nauki, trudno jest pod tym względem o dane dokładne. Ale o co trudno było za czasów Laplace'a, o to dziś, jak się wyraził Helmholtz na kongresie naturalistów niemieckich w Inspruku w roku 1869, nie jest tak trudno. Nauka nowożytna jest na dobrej drodze. Pamiętajmy tylko na przestrożę tego niemieckiego fizyka, że urzeczywistnienie całego dzieła będzie rzeczą pokoleń przyszłych.

Po tych ogólnych uwagach powiemy słów kilka o niektórych kwestiach specjalnych. Zaczniemy od optyki.

Mamy tu naukę, której podstawa jest czysto hypotetyczną. Definicja światła jest hipotezą, natura ruchu eteru jest również hipotezą, nawet samo istnienie eteru jest hipotezą, mimo opinii przeciwnej Lamégo<sup>3)</sup>. Hypotezy te wprawdzie doprowadzają niekiedy do wniosków sprawdzanych doświadczeniem, ale zawsze są to tylko hipotezy. Kiedy ruch, który nazywamy światłem, przechodzi z jednego środka do drugiego, niepodobna jest zrozumieć, jakim sposobem sprężystość eteru może być różna na różnych płaszczyznach, jak to ma miejsce przy zjawisku

1) „Qu'il n'y a aucun phénomène en la nature qu'il ne soit compris en ce qui a été expliqué en ce traité.” *Principes de la Philosophie*, IV, 199.

2) „Ich sage es, und ich nehme Nichts zurück.” Profesorem tym jest sławny czechożerca, historyk Höfler, który z powodu swojej znanej nienawiści do Francuzów, wysłany był jako deputat na otwarcie uniwersytetu strasburskiego i który w czasie wykładów w Pradze pozwalał sobie nieraz niekoniecznie przyzwoitych i słusznych wyrażań, jak np. „Die Jagellonen waren einfältig,” których kto wie, czyby nie odwołał.

3) Pod koniec dzieła swego *Leçons sur l'élasticité*, Lamé powiada, że zdaniem jego „l'existence du fluide étheré est incontestablement démontré.”

optycznym znanym pod nazwą podwójnego załamania się światła. Zdawałoby się rzeczą konieczną i najważniejszą, aby sprężystość eteru była ta sama we wszystkich środkach. Jeżeli jest ta sama w środku krystalicznym i nie krystalicznym, powinna być jednakową we wszystkich kierunkach, a jeżeli tak, to jakim sposobem objaśnić zjawisko podwójnego załamania? Chęć pokonania tej trudności bezskutecznie zajmowała uwagę Cauchy'ego, jednego z największych matematyków czasów naszych, w ciągu ostatnich lat jego życia. Ta sama kwestya podniesioną została na nowo po jego śmierci przez innych uczonych, jak np. Boussinesque'a, i dotąd jeszcze jest jedną z najtrudniejszych a zarazem najbardziej interesujących kwestyi fizyki matematycznej. Mimo te wszakże hypotetyczne podstawy, teoria rzeczona używa powszechniej wziętości.

Inny nierównie silniejszy dowód stałej podstawy, jaką pozyskała teoria undulacyjna w świecie naukowym, jest, jak powiada professor Jellett, ta okoliczność, iż używamy terminów tej teorii z taką śmiałością, z taką pewnością, jak gdyby oznaczały rzeczywiste wielkości, mające być realny. Kiedy niedawno jeszcze—ciągnie dalej uczony profesor—wiele poświęcano pracy na obliczanie długości fal dla różnych promieni widma, nie zdaje się, aby fizycy posiadali świadomość tego, iż rozprawiają o rzeczach, a nawet mierzą rzeczy, które istnieją tylko w wyobraźni matematyków. Obecnie przeciwnie, zaczęliśmy mówić o długości fal tak swobodnie i tak kategorycznie, jak mówimy o skażnikach załamania <sup>1)</sup>. A nie odnosi się to jedynie do oddzielnych rozpraw, któreby mogły przedstawiać tylko indywidualne opinie. Ten język i te zasady przeniknęły do zwykłych podręczników naukowych, co dowodzi, że znalazły powszechne uznanie w świecie naukowym.

Zaznaczywszy ten fakt, podniesiony przez Jelletta, nie wdajemy się w bliższy jego rozbiór i przechoźmy do innej gałęzi fizyki, ściśle związanej z optyką. Mamy tu na myśli mechanikę molekularną, o której z powodu jej ogromnego znaczenia w bardzo wielu naukach, a między innymi i w chemii, z powodu stanowiska, jakie kiedyś ta część fizyki zajmie w przyszłości względem różnych gałęzi wiedzy, zmuszeni jesteśmy powiedzieć słów kilka. Ta gałąź wiedzy jest zupełnie nową, liczy bowiem zaledwie pięćdziesiąt lat swego istnienia. Mechanika molekularna wykazuje wybitną dążność do wprowadzenia analizy matematycznej w dziedzinę chemii. Zdaniem niektórych, możliwą jest rzeczą ustanowić ścisły związek między tą ostatnią nauką, a mechaniką teoretyczną, i prawdopodobnie tu znajdziemy ogniwo łączące. Przyjdzie może czas, w którym dynamika matematyczna inaugurowaną będzie uroczystie jako nauka, dająca klucz do rozumienia i objaśniania zjawisk natury, i to w takim stopniu, w jakim dziś stosowaną bywa do

<sup>1)</sup> Stosunek wstawy kąta padania do wstawy kąta załamania się światła przy przejściu z jednego środka do drugiego, o który, jak wiadomo, jest zawsze stały dla tych samych środków, zowie się skażnikiem załamania (index refractionis).



objaśniania ruchów planet. Jellett nie utrzymuje tego, że tak być musi koniecznie; zaznacza tylko fakt, że prąd naukowy idzie dziś w tym kierunku. Ciągłą dążnością nauki jest zwiększać liczbę tych zjawisk, które uważane są za modyfikacje ruchu. Na tej liście dawno już pomieściliśmy dźwięk. Światło, jakkolwiek wnioski nasze są tu więcej hypotetycznej natury, dawno już również uważamy za należące do tej samej kategorii; toż samo, tylko z nierównie większą pewnością, daje się powiedzieć o cieple. Według profesora Williamsona, działanie chemiczne jest również zjawiskiem tego samego rodzaju. Wszystkie te zjawiska uważamy obecnie za rezultaty ruchów systemów nadzwyczaj małych cząsteczek, jak w przypadku dźwięku, światła albo téż hypotetycznego eteru, i nauka, mająca na celu matematyczny rozbiór praw rządzących ruchem tych systemów, odegra kiedyś ważną rolę w przyszłej historii fizyki.

Kiedy mamy do czynienia z nauką, która chce być czémś więcej, niż abstrakcją matematyczną, z nauką, która przyznaje sobie atrybucję przedstawienia rzeczywistej natury, pierwsze nasze pytanie jest: Jaka jest zasada, na której się opiera? Czy zbudowana jest na czystej hipotezie, nie oparta na doświadczeniu, podobnie jak metafizyka, i stara się usprawiedliwić swoje pretensje do rzeczywistości prawdziwością wyników, jakie można z niej wyprowadzić?

Wyraz „molekuł” (cząsteczka, drobinka), jak powiada professor Clerk Maxwel, jest terminem nowym, obejmującym pojęcie wzięte z chemii nowożytnej. Termin ten oznacza cząstkę materjalną tak małą, która nie daje się już dalej dzielić na działki, podobne do siebie pod względem natury swojej. Tak np. kropla wody może być podzielona na mniejsze krople, z których każda jest również wodą; ale *molekuł* czyli *cząsteczka* wody nie podlega już dalszemu dzieleniu. Nie znaczy to, że cząsteczka jest już bezwarunkowo niepodzielna, ale przyjmujemy, że dalsze dzielenie, gdyby było wykonane, wydałoby cząsteczki nie wody, ale składowych jej elementów—wodoru i tlenu. Z takimi to *cząsteczkami* czyli *molekułami* ma do czynienia dynamika *molekularna*.

To pojęcie cząsteczki obejmuje bezwątpienia hipotezę. Czy są takie ostateczne cząstki materji, nietylko opierające się przy dzieleniu wszelkim siłom, jakie mamy do rozporządzenia, ale bezwzględnie niepodzielne na cząstki podobne sobie lub na cząstki jakiegokolwiek rodzaju? Albo mamyż przypuszczać, że gdybyśmy mieli narzędzia dostyc delikatne, proces dzielenia mógłby być prowadzony dalej bez granic? Doświadczenie nie daje nam sposobu przekonania się, która z tych dwóch alternatyw jest prawdziwą; i jeżeli wymagania naszej metody badania zmuszają nas do powzięcia postanowienia, do zdecydowania tej kwestji, możemy to uczynić jedynie z pomocą hipotezy. Ale możemy zapytać: czy logika dynamiki molekularnej wymaga koniecznie tej decyzji? W tym względzie, idąc za Jellettem, postawimy małe wyjaśnienie. Kiedy zamierzamy oznaczyć ruch ciała, stałego czy płynnego, powinniśmy, jak we wszystkich zagadnieniach naukowych, utwo-



rzyć sobie najprzód jasne pojęcie o znaczeniu pytania, jakie sobie stawiamy. Chcemy odkryć prawa rządzące ruchem—czego? Z pewnością nie ciała wziętego jako całość. Jest to bezwątpienia część tego czego szukamy, ale tylko bardzo mała część. Kiedy się nauczymy oznaczać za pomocą ściślej metody, z pomocą formuły matematycznej, jak się zwykle mówi, położenie zajmowane w każdej chwili przez środek ciężkości ciała i przez jego główne osie, wiemy już wprawdzie coś, ale daleko jeszcze od tego, aby badanie można było uważać za skończone, za zupełne. Są liczne ruchy, o których podobna wiedza nic nas nie nauczy. Dla uzmysłowienia tego przedmiotu przywieziemy na to przykład. Przypuśćmy, że patrzymy na człowieka, który, jakto pospolicie mówią, „siedzi spokojnie.” Jest on w spoczynku, o ile to dotyczy ciała wziętego jako całość, gdyż ani nie obraca się na krześle, ani nie chodzi po pokoju; a jednak nie ma prawdopodobnie ani jednej cząstki jego ciała, któraby była zupełnie spokojną. Widzimy z tego, jak nieświadomi bylibyśmy ruchów żywotnych ciała ludzkiego, gdybyśmy wiedzieli tylko, że osoba ta „siedzi spokojnie.”

Przypuśćmy jednak, że posuwamy badanie cokolwiek dalej, i zamierzamy śledzić ruch krwi. Otrzymujemy tedy odpowiedź na to pytanie pod jednym względem, oznaczając stosunek, w jakim krew wzięta jako całość, porusza się, t. j. określamy liczbę uncyj krwi, która przechodzi przez pewne miejsce w ciągu minuty; wszakże dowiedziawszy się tego, bardzo jeszcze jesteśmy daleko od zupełnego poznania ruchu krwi. Ale przypuśćmy, że jesteśmy w stanie oznaczyć w każdej chwili położenie każdej kulki krwi uważanej za jednostkę, t. j. położenie jęj środka ciężkości i głównych jęj osi; znalibyśmy wtedy ruch krwi nie powiemy dokładnie (gdyż nie znalibyśmy jeszcze ruchu *surowicy* oraz wewnętrznych ruchów każdej kulki), ale nierównie lepiej niż poprzednio. Nadto rezultaty byłyby również prawdziwe, niezależnie od tego, czy kulki te są rzeczywiście jednostkami, nie przypuszczającami dalszego dzielenia, czy téż agregatami jeszcze mniejszych cząstek. W tym ostatnim przypadku, moglibyśmy wystawić sobie w wyobraźni, że każda kulka dzieli się na tysiąc części, i gdybyśmy mogli oznaczyć ruch każdej części, uważanej jako jednostka, rezultaty nasze byłyby jeszcze więcej zbliżone do dokładności, i t. d.

W ten sposób mniej więć Jelletta wykłada logikę dynamiki molekularnej, ale w wykładzie tym nie możemy iść krok w krok za tym uczonym. Z tego rozumowania wynika naturalny wniosek, że dynamika molekularna może być nazwana rachunkiem różniczkowym fizyki. Pozostaje ona w takim stosunku do fizyki, w jakim jest rachunek różniczkowy do geometrii. Jak w geometrii, chcąc przejść od klasy figur prostoliniowych do nieskończonych odmian krzywych, musimy uciekać się do rachunku różniczkowego; tak również chcąc przejść od abstrakcyjnych brył i niegiętkich powierzchni do uważania ciał, jakie rzeczywiście istnieją w naturze, musimy, jeżeli mamy dokładnie badać ich zjawiska, uciekać się do mechaniki molekularnej. Mechanika mo-

lekularna jest nauką o ruchu, w najobszerniejszym i najprawdziwszym znaczeniu tego wyrazu. Wielka uwaga, jaką w wieku naszym zwróciła na siebie ta nauka, oraz wielki postęp, jaki zrobiła, wykazują najwybitniej dążność myśli naukowej do wprowadzenia analizy matematycznej do wszystkich części fizyki: dynamika molekularna jest kluczem do tego.

Wykazawszy, o ile to można było uczynić w artykule popularnym, wielkie znaczenie dynamiki molekularnej dla fizyki, zastanówmy się jeszcze chwilę nad kwestyą, czy jej siostra, chemia, przedstawia jakie oznaki, któreby wskazywały możność przyszłego związku z mechaniką teoretyczną? Weźmy np. wielkie zagadnienie chemicznego łączenia się ciał między sobą. Czy są tu jakie symptomata wskazujące ten kierunek? Jednym z tych symptomatów jest wystąpienie czasu, jako jednego z elementów zagadnienia chemicznego. Uznając konieczność pewnego czasu na sprawienie skutku chemicznego, chemicy wykazują tém samém analogią z nauką mechaniki. „Czas, powiada Berthelot, potrzebny jest do sprawienia reakcyi chemicznych, podobnie jak do wszystkich innych zjawisk mechanicznych.” Co większa, chemicy nie tylko uznali konieczność czasu, jako warunku do wywoływania zjawisk chemicznych, ale również przedsięwzięli go mierzyć, czyli raczej, podejmując zagadnienie odwrotne, zamierzili mierzyć ilość skutku chemicznego, sprawionego w jednostce czasu, i prawo tego zjawiska, ogłoszone przez Berthelota, przybiera formę matematyczną, zupełnie podobną do równań, jakie spotykamy w dynamice. Chemicy postąpili jeszcze krok dalej, i obecnie mówią o *prędkości* reakcyi chemicznych, podobnie jak inżynierowie albo artylerzyści o *prędkości* kuli działowej.

Ale nie na tém zatrzymała się chemia. Jeszcze ważniejszą pod względem swego znaczenia dla przyszłości chemii i popierającą powyższy pogląd jest teoria łączenia się chemicznego, którą nauka winna jest prof. Williamsonowi, i według której zjawisko to, podobnie jak wiele innych, należy uważać w znacznym stopniu jako rodzaj ruchu. Przypuszczamy, że normalnym stanem składników atomowych pewnego ciała jest *ruch*, nie spoczynek; a kiedy powiadamy, że cząsteczka jednej substancyi wchodzi w *związek* z cząsteczką innej substancyi, nie oznaczamy przez to, że te same cząsteczki ciągle przylegają do siebie, ale że związek pomiędzy cząsteczkami, jakkolwiek byłaby jego natura, ciągle bywa naruszany i ciągle wytwarzany na nowo. Według tej teorii, równowaga chemiczna nie oznacza spoczynku molekularnego (sporyi, równowaga chemiczna nie oznacza spoczynku molekularnego, w którym skład i rozkład wzajemnie się równoważą).

Naturalnym następstwem tej teorii jest uważanie chemicznych własności ciał, jeżeli nie w zupełności za rodzaje ruchu, to przynajmniej za zależne w znacznym stopniu od natury ruchów, jakie mają miejsce pomiędzy ich atomami składowemi. Takim sposobem, jeżeli dwa ciała, niezdolne do chemicznego działania, znajdują się w zetknięciu, mo-



zemy przyjąć, że ruchy ich atomów, a tém samém i ich własności, pozostają bez zmiany i odwrotnie.

Ale dziś jeszcze nauka ta tak daleko nie postąpiła, aby można było traktować chemiczne łączenie się ciał jako zagadnienie dynamiki molekularnej. Nie mogłoby to zresztą być przedmiotem popularnego artykułu, w którym chcielibyśmy tylko potrącić z lekka o tę ważną kwestyą i zaznaczyć ścisły związek między fizyką i chemią, których łącznikiem mechanika molekularna, ten rachunek różniczkowy fizyki, ile że do kwestyi téj powrócimy w dziale „piśmiennictwa,“ rozbierając dzieło J. Cooke'a, do czego słowa powyższe dostarczą potrzebnego komentarza.

Przechodzimy teraz do największego odkrycia XIX wieku. Zasada, którą mamy wyjaśnić czytelnikom naszym, jest zbyt wielkiego, powiedzieliśmy nawet uniwersalnego znaczenia, aby mogła być dziełem pojedynczego człowieka. Jest ona, podobnie jak cała nasza wiedza, rezultatem rozwoju wiedzy poprzedniej. Każde odkrycie, każdy wynalazek, jakkolwiek byłyby wielkie, są tylko rozwinięciem lub ulepszeniem tego, co już znane było poprzednio. Ścisłe zatem biorąc, nie możemy powiedzieć, gdzie jest pierwszy zarodek, piérwszy kiełek pewnej prawdy naukowej. Dzisiejsza nasza wiedza jest rezultatem stopniowych modyfikacyj pojęć wieków dawnych. Ztąd to pochodzi, że każda wielka prawda, każdy wielki wynalazek jest rzeczywiście własnością wielu umysłów, których pracy byt swój zawdzięcza. Pomimo to jednak, zwykliśmy uważać tych za odkrywców i wynalazców, którzy najwięcej zrobili na drodze postępu, których geniusz i praca pokonały trudności, uważane powszechnie za niezwalczone.

Zasada, którą przedstawić mamy, jest tak wielką, rozciąga się na wszystkie niemal zjawiska wszechświata, że musimy dać o niej ogólne pojęcie czytelnikom naszym.

Największe odkrycie naszego wieku jest: *że siła, podobnie jak materya, nie ulega zniszczeniu, że ani utworzoną z niczego, ani też w niwecz obróconą być nie może.* Niektórzy z czytelników powiedzą może, iż twierdzenie, że nie możemy stworzyć siły, jest w sprzeczności z doświadczeniem. Do czegoż jest, powiedzą, machina parowa, jeżeli nie do tworzenia siły? Czyż nie wytwarzamy siły za pomocą bloka, drąga i innych machin prostych? Albo czyż nie wytwarza się ogromna, olbrzymia ilość siły przy wybuchu prochu strzelniczego, dynamitu, nitrogliceryny i innych podobnych substancyj wybuchających?

Przedewszystkiém zaznaczymy fakt, że różne siły przyrody, jak siła mechaniczna, światło, ciepło, elektryczność, magnetyzm, siła powinowactwa chemicznego, pozostają między sobą w takim związku, że każda z nich może być pośrednio lub bezpośrednio zamieniona na inną. Tak np. elektryczność wytwarza siłę mechaniczną, ciepło, działanie chemiczne, wreszcie magnetyzm: i przeciwnie ruch mechaniczny może dać początek elektryczności. Przy pomocy maszyny Gramme'a, którą opiszemy w następstwie, przy sposobności, wykazać można dotykalnie zamianę ruchu mechanicznego na magnetyzm i elektryczność. Tę wzajemną zależność i, że tak powiemy, możność zamiany sił pomiędzy sobą, ogłosił prawie jednocześnie Meyer w Niemczech, Grove



w Anglii (1842 r.). Ten ostatni sformułował tę nową naukę w traktacie pod tytułem *The Correlation of the physical Forces*.

Nauka w mowie będąca obejmowała cokolwiek więcej, niż prosty związek pomiędzy różnymi siłami, gdyż rozszerzoną została o tyle, iż mogła wyrażać stosunki ilościowe. Podług niej dana ilość pewnej siły tworzyła zawsze, po dokonanej przemianie, pewną określoną ilość innej siły: np. pewna ilość ciepła dawała zawsze pewną oznaczoną ilość siły mechanicznej, a ta ilość siły mechanicznej dawała *równoważnik ciepła*. To ostatnie twierdzenie wszakże spoczywało na podstawie czysto rozumowej dopóty, dopóki dr. James Prescott Joule z Manchesteru nie poddał kwestyi téj specjalnym badaniom i nie podjął cierpliwej i mozolnej pracy. Joule pracami swojemi osiągnął takie rezultaty, dokonał tego dla siły, czego dokonał był Lavoisier dla materji: oznaczył tak zwany *równoważnik mechaniczny ciepła*, a następnii badacze, zmieniając ciągle metody badania, potwierdzili w zupełności dokładność rezultatów, jakie otrzymał Joule.

Główna część jego zadania polegała na oznaczeniu, jaka ilość ciepła wytworzona być może z danéj ilości pracy. Dr. Joule urządzał koła mosiężne lub żelazne, któreby mogły obracać się swobodnie w odpowiedniém naczyniu, zawierającém wodę lub rtęć. Powszechnie wiadomo, że w czasie podobnego obrotu wywiązuje się znaczny opór płynu, ale nie każdy może wie o tém, że wśród podobnych okoliczności płyn ogrzewa się, staje się gorącym. Joule starał się oznaczyć stopień podnoszenia się temperatury płynu w stosunku do użytej pracy na obrót w mowie będący. Doświadczenia te powtarzał przy zmienionych okolicznościach, dla uniknienia czyli raczej wyrugowania błędów, używając bardzo delikatnych termometrów do oznaczania temperatury płynu, i wywołując obrót przez spadanie oznaczonej wagi ciężaru z danéj wysokości. Kiedy w skutek podobnego powtarzania doświadczeń, otrzymał prawie zgodne wskazówki, rezultat ostateczny był taki, że 772 jednostki pracy, czyli tak zwane stopofunty <sup>1)</sup>, wydają ciepło, zdolne podnieść temperaturę jednego funta wody od 32° do 33° termometru Fahrenheit'a, co jest jednością ciepła. Liczba ta jest ilością stałą największej wagi w naukowych i praktycznych obliczeniach i stanowi tak zwany *równoważnik mechaniczny ciepła*. Ilość pracy, jaką wyraża, oznaczana bywa niekiedy, zwłaszcza przez uczonych angielskich, nazwą „Joule” i przedstawianą we wzorach algebraicznych przez „J.” Pierwszy artykuł naukowy Joule'a o tém odkryciu pojawił się w roku 1843 i dodał bodźca innym uczonym do wielolicznych specjalnych badań nad tą ważną kwestyą. Do najznakomitszych pracowników na tém polu liczą się: Sir William Thomson, James Thomson, Rankin, Andrews, Clerk Maxwell, Tait, Helmholtz, Clausius.

W machinie parowej ma miejsce odwrotny przypadek, w porównaniu z przedstawioném wyżej doświadczeniem Joule'a. Tam ciepło

<sup>1)</sup> Stopofunt jest to praca potrzebna do podniesienia ciężaru jednego funta na wysokość jednéj stopy.

wytwarza pracę. Otóż znając ilość pary, która wchodzi do cylindra maszyny parowej, oraz temperaturę téj pary, możemy obliczyć ilość ciepła, która wchodzi do cylindra na minutę, a tém samym, na mocy znanego równoważnika mechanicznego ciepła, pracę wykonywaną przez maszynę.

Ponieważ takim sposobem wszystkie znane siły dadzą się wyrazić pod formą pracy mechanicznej, to wygodną jest bardzo rzeczą w nauce uważać pracę za wspólną ich miarę. Przez wprowadzenie do nauki nowego terminu *energia*, której dwie formy, a mianowicie, energią rzeczywistą czyli kinetyczną i potencjalną, bliżej określiliśmy na inném miejscu a mianowicie przy rozbiorze dziełka Balfoura Stewarta „Zasada zachowania energii”<sup>1)</sup>, możemy mówić o *energiach natury* zamiast o *siłach*. I wszystkie siły tak czynne jak i bierne, jakieś tam widzieli, mogą być wyrażone jednym terminem *energia*. Wielkie odkrycie zachowania sił wyraża się tak: *Summa energii we wszechświecie jest stałą*.

Przy strzelaniu z broni palnej, rzeczywistém źródłem energii jest muskularna siła człowieka; źródłem zaś energii w wybuchu prochu jest rozdział atomów węgla i tlenu, co jest dziełem promieni Słońca. Biorąc pod uwagę nitroglicerynę, możemy, ze względu na działania chemiczne, które dały początek tej substancji, również przypisać jój energią naszej gwiazdzie centralnej.

Co się tyczy zadziwiających stosunków, zachodzących między życiem zwierzęcém i roślinném, łatwo jest zrozumieć, jakim sposobem Słońce własną swoją rzeczywistą energią wpływa na rozdział atomów węgla i tlenu w liściach roślin, wytwarzając przez to energią położenia, t. j. energią potencjalną; i jakim sposobem zwierzęta, pochłaniając oddzielony węgiel pod postacią pokarmu, oraz oddzielony tlen pod postacią powietrza, którém oddychają, wywołują zamianę energii potencjalnej na energią rzeczywistą, która przejawia się pod postacią ciepła, ruchów, oraz funkcij żywotnych ciała zwierzęcego. W węglu kamiennym mamy zachowaną, spoczywającą jakby na składzie, pod formą potencjalną, energią, którą rośliny pochłoneły ze Słońca przed wickami. Atomy zatem węgla gotowe są wejść w związek z atomami tlenu i zamienić ich energią położenia, w inne energie, rozwijane przez działanie chemiczne, jakimi są ciepło, światło, i. t. d. Takim sposobem energia ciągle zmienia formę, przechodząc z kinetycznej w potencjalną i odwrotnie, i przedstawiając nam się pod różnemi przeobrażeniami siły, kiedy siła słoneczna np. zmienia się na działanie chemiczne, to ostatnie na ciepło, ciepło na elektryczność, i t. d. Energia tedy jest rzeczywiście nowożytnym Proteuszem, ciągle przybierającym różne kształty: jużto formę lwa, już płomienia ognistego, trąby powietrznej, prądu i t. d.

To największe odkrycie naszego wieku, jak powiada Routledge, ma bezpośrednie i bardzo ważne znaczenie praktyczne. Długi czas lu-

<sup>1)</sup> „Biblioteka Warszawska,” posyzt za miesiąc luty r. b.



dzie nienaukowi łamali sobie głowę nad wynalezieniem t. z. perpetuum mobile. Zasada zachowania energii wykazuje, że to jest niepodobieństwem, że wynalazca, który stara się tworzyć siłę, mógłby z równym prawdopodobieństwem powodzenia próbować stworzenia materii; że zbudowanie podobnej maszyny, zdolnej poruszać się samodzielnie i nieograniczenie, tak przechodzi granice władzy i możliwości ludzkiej, jak powołanie do bytu nowej planety. Tak co do siły, jak i co do materii panuje nieubłagane prawo: *ex nihilo nihil fit*.

Słońce buduje roślinę, oddzielając tlen od węgla. Zwierzę, już to bezpośrednio, już pośrednio, wprowadzając do organizmu pokarm zwierzęcy, przyjmuje materię węglową rośliny, i łączy ją z tlenem. Energią zatem życia zwierzęcego można przypisać działaniu, które jest ich źródłem, a tęp samym źródłem wszelkiego życia.

T. Skomorowski.

## KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Dwie uroczystości w Akademii Francuzkiej: przyjęcie J. B. Dumasa, mowa na cześć Guizota, odpowiedź p. St. René Taillandier, przyjęcie b. ministra Simon. Rozbiór dramatu Remuzata: *Abellard*.—Georges Sand: mowa pogrzebowa Wiktora Hugo.—Joachim du Belay poeta XVI wieku.—Badania nad językiem i rytuałem, przyznawanym Ś-mu Cyryllemu, barona d'Avril.—Wystawa na Polach Elizejskich: Obrazy rodzajowe.—P. Gervex, *Stół anatomiczny*.—Epizody wojenne.—*Sypialnia Maryi Antoniny w Wersalu*.—Przedmioty wachodnie.—*Chińczyki Delamara; Pług egipski, Meczet Gerona*.—Sceny buduarowe Toulmouche.—*Wieś w górach zasypana śniegiem*, Emila Breton.—*Rybaczka z Dieppe, Vollona*.—*Dziewczyna wiejska*, Jacqueta.—*List z obozu*.—*Normandki z Cancalle*.—*Rybacy, Rodzina alzacka* pani Chatillon.—*Śpiące dziecię, Sala ochrony*.—Nasi artyści: pp. Bakałowicz, Szyndler, Szermentowski, Gąsowski, Brochocki, Łaszczyński, Kozakiewicz, Maszyński.—*Na Ukrainie*, p. Chelmońskiego.—*Lirnicy ukraińscy*, panny Mikulskiéj; pp. Łukaszewski, Piątkowski, Przepiórski, Roszczewski, Sokołowski, Czechowicz, panie: Przepiórska, Płuzañska, Konstancya Boulard.—*Posąg Iamartina*, p. Folguere.—*Posąg marszałka Niel*, Craucka.—*N. Panna Bolesna, Sansona; Ś-ty Jan z Matty, IIIol-*la.—*Gal u słupa*, p. Lequesne.—*Perseusz*, p. Marqueste.—*Rybaczka z synem*, p. Sary Bernhardt.—p. Cypryan Godebski.—*Odium*. PP. Hegel i Ryger.—Nikanor Płaza z Chili: popiersie Domejki.—Arcydzieło rzeźby: *Miłosierdzie i odwaga wojskowa*. p. Pawła Dubois.—Wychowanie publiczne w Skandynawii, p. Hippeau.—P. Józef Wieniawski.

W ciągu ubiegłego miesiąca, po dwakroć rozwarły się dla publiczności, podwoje Akademii francuzkiej. Uczone grono przyjmowało



uroczyście dwóch, wybranych przed rokiem, członków. Pierwszy zasiadł krzesło Jan Dumas, oddawna stały sekretarz Akademii Nauk, słynny badacz przyrody, któremu chemia zawdzięcza wielki rozwój w ostatnich czasach. Uczony ten posiada również niepospolity dar wymowy. Akademia francuzka, której pierwszym obowiązkiem trzymać straż nad czystością języka, uczciła w nim znakomitego mówcę i filozofa w najwyższym słowa znaczeniu. Mowa akademicka Dumasa odpowiedziała godnie naszym oczekiwaniom. Słuchaliśmy jój ukorzeni w obec tego olbrzyma wiedzy pełnego prostoty dziecięcój; wobec tego siwego starca, który od pół wieku, zatopiony w ściśle naukowych badaniach, sięga duchem w wyżyny niedostępne myślą ludzką, i wskazuje kres, poza który wiarą tylko człowiek przeniknąć może!

„Dlaczego, pyta Dumas, nauka przyrody, podnosząc się coraz to wyżej, w pojmowaniu abstrakcyjnych faktów, widzi jak przedmiot ściagany oddala się od niej bezustanku? Oto dlatego, że człowiek w miarę jak bada do gruntu sam siebie, przychodzi w końcu do uznania, że poza obrębem organów jest wola, poza obrębem zmysłów rozum, poza obrębem gliny, z której ciało jego zlepione, jest dusza, której nie zna początku ani końca.“

„Kiedy materyalizm oświadcza, iż nie ma nic w inteligencji, co by wprzód nie przeszło przez wrażenia zmysłowe, niechże Leibnic odpowie na to: „nie ma nic, oprócz saméjże inteligencji, jedyne go źródła potęgi ludzkiej! Odkąd człowiek poczyną myśleć, uczucie nieskończoności już mu jest objaśnioném; że zaś niepodobna mu sięgać w nieskończoność, myśl jego zatrzymuje się nad brzegiem tajemniczej otchłani. W obec przyrody, człowiek rozpatruje fakta; odnosi je do pierwszój a najwyższój przyczyny; przebiega prace rozpoczęte czterdzieści wieków temu i musi naostatek uznać, że nieskończoność zastania tę przyczynę przed jego wzrokiem. Im dalej idzie, tem lepiej poznaje ową prawdę niezbitą!“

Zobaczmy jeszcze jak wielki chemik odpowiada zwolennikom czystego materyalizmu, téj szkoły zrodzonej w Niemczech, a liczącej dziś i we Francyi, zbyt wielu uczniów i propagatorów.

„Wielkie wynalazki, mówi on, wzbogaciły dziś wiedzę ludzką; zapowiedziano nawet, że dosięgną wkrótce tych granic, które dotąd oddzielały materją od ducha. Nie ma w tém słowa prawdy! Astronomia w rzeczy saméj, nie przedstawia nam już widnokregu, jakoby stałego sklepienia nabitego gwiazdami; jój narzędzia, jój obliczenia, ogarnęły szeroki wszechświat. Mechanika, przez międzymorza, i przez góry, otwiera handlowe gościńce na pożytek narodom; fizyka na skrzydłach elektryczności, przenosi myśl z jednéj półkuli na drugą, błyskawicy polotem; chemia wnika przez analizę, w najdalsze kończyny niebios; przez syntezy swoje, odtwarza najśłodszą woń lub najdelikatniejsze barwy zdobiących ziemię kwiatów, a tymczasem przestrzeń, czas, ruch, siła, materya, stworzenie pierwotnéj przyrody, pozostały dla nas niedoścignioną tajemnicą.“





że w chwilach nieszczęścia nie zatraciła nigdy poczucia własnej godności: ale dlatego przede wszystkim, że każda wielka zasada cywilizacyjna, wprzód zwykle przechodziła przez Francją, zaczęła się rozszerzać po świecie; dlatego, że Francją, bogata w siłę i w ideę, całą siłą posługiwała zawsze ideom: dlatego, że nasz język, nasze obyczaje, nasz umysł współczujący, usposobiły naród nasz do przewodniczenia cywilizacji europejskiej."

Tu mówca zapytuje, azali to ocenienie, prawdziwe wówczas kiedy Guizot ogłaszał je z katedry, pozostało po dziś dzień prawdą? I tak odpowiada na pytanie: „Kiedy Francją spotwarza się sama, kiedy na deskach teatralnych albo w powieściach, rozwija słabości wielkich miast, pokazujące jakoby upadek cywilizacji: nie wiercie temu, co mówi! Ona zapomina wielkich cnót, spełnianych w ciszy ducha, po wiejskich zagrodach, gdzie rolnik krając w skiby swój zagon i posiewając go ziarnem, odradza pracę życia rzeczywistego siły, wyczerpane gdzieś indziej obłędami sztucznego życia. Nigdy zaprawdę ów materializm, charakteryzujący narody w upadku, nie zdoła nas pochłonąć, a dziatwa nasza, nadzieja zbołałej ojczyzny, ta dziatwa, której zapal do pracy wzmaga się w miarę naszych nieszczęść, nie odtrąci nigdy szlachetnego dziedzictwa intelligencji i idei, przekazanego nam przez praoców!”

Z równym spokojem ducha, z jakim oblicza moralne bogactwa Francji, Dumas umie się podnieść po nad namiętne walki i uprzedzenia, miotające dziś społeczeństwem; umie sądem prawdziwego mędrca, ocenić zdobycze cywilizacyjne, które wiek XIX-ty dorzucił do dawnych zasobów. „Byłoby prawdą, mówi, że ludzie, którzy spełniali władzę w kraju naszym, od początku tego stulecia, nie zostawili po sobie nic więcej, jeno próżne wspomnienie? Azaliż nie pozostało nam nic ze świetnych zwycięstw cesarstwa? z długich dni pokoju, poświęconych pracy wewnętrznej za restauracji i rządu lipcowego? Z ekonomicznych reform i wielkich robót publicznych za ostatniego panowania? z tych szlachetnych zapasów parlamentarnych, które zwróciły na Francją podziw ludów, zmieszany to z nadzieją, to z trwogą? Wszystkie te wysiłki, bujny wydały owoc. Jak niegdyś Francją, przyjmując chrześcijaństwo, przygotowała szesnaście wieków temu nawrócenie Europy całej; tak samo i w tym wieku, dając ludom swój kodeks, swoją filozofią, swoją literaturę, gdziekolwiek postawiła stopę, wycisnęła wszędzie głębokie i niezatarte ślady.”

Potrzeba było takiej powagi, jaką Dumas zjednał sobie pięćdziesięcioletnią pracą i wielkimi wynalazkami, aby w obec dzisiejszego rozdrażnienia umysłów, rzucić słowo pokazujące stały postęp Francji, mimo pięćkroć zmienionych systematów rządowych, od początku XIX wieku. Słuchaliśmy go z głęboką czcią i podziwem; radziłyśmy powtórzyć tu całą tę piękną mowę od początku do końca. Nie mógł Guizot znaleźć wymowniejszego i wznioślejszego duchem apologety!





Thiersa przybranego w akademickie palmy, i grzmot oklasków rozlegający się o sklepienia, nadały tym słowom charakter publicznej i dobrze zasłużonej owacy.

Nowy akademik nie przepomniął także wszechstronnych zasług poprzednika swego. Przebiegł pracowity żywot Remusata od pierwszej młodości aż do grobu. Ukazał go młodzieńcem, wychowanym pod opieką znakomitej matki, której dzieło pedagogiczne otrzymało niegdyś akademicki wieniec. Wymienił jego liczne a rozmaite utwory literackie; począwszy od pieśni ulotnych, pełnych rzewnego wdzięku, od przekładów Goetego; od broszur politycznych, nacechowanych zdrowym sądem i prawdziwą miłością kraju, do obszernych dzieł literackiej i filozoficznej treści, w pośród których błyszczy dwutomowa monografia Abellarda, obejmująca najdokładniejszą historią filozofii scholastycznej, tak słynnej we Francyi w XII wieku.

Dzieło o Abellardzie, które utorowało autorowi drogę do akademii, znane oddawna i słusznie ocenione. Remusata okazał się w niem wysokim spirytualistą a zarazem głębokim historykiem. P. Simon nie rozszerza się nad tą pracą: wydobył za to z ukrycia wielki dramat, osnuty na tymże samym wątku, w którym talent Remusata okazuje się w pełnej sile, według świadectwa St. Beuva, i innych krytyków pierwszorzędnych. Dramat ten nigdy jednć nie był drukowany; od lat trzydziestu spoczywał on w tece autora: znało go tylko małe koło wybranych literatów. Czuł Remusata wartość tego utworu, widział w nim najpiękniejsze dzieło swego ducha; nie drukował go jednak, ulegając radzie przyjaciół, którzy utrzymywali, że niepodobna być razem mężem stanu i autorem dramatycznym. Anglia, gdzie pierwszy powieściopisarz d'Israeli, stoi na czele ministeryum, pobłażliwsza w tym względzie; Francya większej od polityków swoich wymaga wyłączności. Wiadomo jak drogo dwaj wielcy poeci tych czasów, Hugo i Lamartine, przypłacili swoje błuszcze na polu zapasów politycznych! Zrozumiał to Remusata, zachował więc dla przyszłości Abellarda, zarówno jak inny dramat, osnuty na wypadkach strasznej Nocy Bartłomiejowej.

P. Simon sprawił słuchaczom prawdziwą niespodziankę rozbiorem Abellarda. Dramat ten mimo istotnych zalet, nie może być grany na scenie. Rozmiary jego zbyt szerokie, a co ważniejsza, przedmiot dostępny zaledwie wyborowym słuchaczom, wtajemniczonym w formuły filozofii scholastycznej. Wkrótce zapewne dramat ukaże się w druku, przy wydaniu pośmiertném prac Remusata. Przebiegnijmy go jako nowość literacką.

Rzecz podzielona na pięć aktów; każdy z nich osobny ma tytuł: *Filozofia, Teologia, Miłość, Polityka, Śmierć*. Scena pierwsza odbywa się w klasztorze Panny Maryi. Grono uczniów czeka na lekcją Wilhelma z Champeaux. Sławny to mistrz; przezwano go Arystotelesem paryzkim. Abellard pierwszy raz występuje w pośród młodzieży. Przybywa z daleka, z kraju prawie nieznanego, z nadmorskiej Bretanii. Złożył oręż, opuścił feudalne gniazdo, porwany prądem dy-

alektycznych sporów. Marzy o innych walkach, o inném panowaniu. Towarzysze wypytyują go, on odpowiada z prostotą, ale z widoczném samopoznaniem własnej siły. Drzwi rozmykają się nagle, uczniowie otaczają katedrę, wstępuje na nią Wilhelm z Champeaux. Lekcja wlecze się długa, ciężka, zawikłana; wyłożony w niej cały systemat realistów.

WILHELM (*po lekcji*).

„Pozwólcieź mi zadać pytanie: czyście zadowoleni? Nie pozostał w umysłach waszych, chociażby najlżejsza chmurka? Zadenli z was nie zachował jakiejśbądź wątpliwości? Niech powie... rozproszę ją natychmiast!

Uczniowie spoglądają po sobie; szmer uwielbienia wybiega z ust wszystkich. Nikt nie czyni zarzutu, w sali panuje cisza. Z pośród tłumu występuje Abellard; podnosi rękę w górę.

— Proszę o głos!

WILHELM (*zdziwiony*).

Zbliż się młodzianie!... ja cię nie znam.

ABELLARD.

Jam tu wszystkim nieznany.

WILHELM.

Jesteś duchownym?

ABELLARD.

Niczém dotąd nie jestem.

WILHELM.

Czego żądasz?

ABELLARD.

Proszę o głos.

WILHELM.

Mamże pozwolić? sam nie wiem.

ABELLARD.

Zadałeś mistrzu pytanie... ja na nie odpowiadam. Rzekłeś: nie pozostał w kim wątpliwość? Otoż ja wątpię, i wyznaję to śmiało.

WILHELM.

Bądź zwięzłym...

ABELLARD.

Krótko wypowiem myśl moję, gdyż chcę aby mnie zrozumiano. Odwołuję się do sądu wszystkich... niechaj rozum rzecz tę rozstrzygnie: wielka to zaprawdę potęga!



WILHELM.

Błąd pierwszy... ciągnij dalej...

ABELLARD.

Błąd? rzekłeś mistrzu! jakież to błąd? to przecież nie teologia, nie żaden dogmat wiary! O czemże rozprawiamy? o dyalektyce! Czém dyalektyka? to rozum uzbrojony do zapasu. Czém szkolne spory nasze? To szermierka, w której rozum stawia swoje dowody. Ty sam mistrzu, co czyniłeś przed chwilą? Oto rozumowałeś. Nie dostrzegłem błyskawic w twém oku, ni piorunów w prawicy twojej. Jedynym twym orężem było słowo, ten węzeł, co łączy pojęcia za przyzwoleniem rozumu. A cóż ja teraz czynię? ja także mam słowo, i pragnę z kolei rozumować. W tej chwili oba jesteśmy równi. Prawda sama oznacza różnicę między jedną a drugą inteligencyą. Ażaliż wszystkie nie powstały z jednego światła? alboż nie zagrzęzły w jednej glinie?"

Dysputa toczy się dalej. Formuły do niej czerpane z ksiąg Abellarda, i z samego Wilhelma z Champeaux. Abellard mówi coraz żywiej, z coraz wyższém natchnieniem. Wilhelm miesza się, szamocze, dowody odpiera zniewagą. Słuchacze stają po stronie młodzieńca. „Ustąp stary mistrzu!“ wołają chórem „Abellardzie wstąp na katedrę!“

WILHELM.

„Szaleńcy! Oto szatan z piekła stanął pomiędzy nami!

ABELLARD.

Szatan nie przyszedł do was przyjaciele! bądźcie spokojni! Herezja nie leży w sercu mojem, nie spłynie przez me usta! Wilhelmie z Champeaux!... słyszysz ich! Mógłbym jedném skinieniem strącić cię z tej katedry, lecz nie przyszedłem po to, by zmuszać drugich do milczenia. Każdy ma prawo mówić. Roztwieram szranki na ościęż... pozwóluję wszystkim do zapasu! Utrzymaj szkołę, gromadź uczniów, ale niech w obec twojej, powstanie druga szkoła. A wy słuchacze moi... mamże powiedzieć: uczniu!...

WSZYSZY.

Tak! tak!

ABELLARD.

Wybierajcież. Niech jedni pozostaną u stóp tej katedry zwątpienia i nicestwa, niechaj drudzy szukają ze mną prawdy! prawdy! i prawdy! Kto kocha prawdę, wzywam go!"

Wszyscy prawie powstają.

Autor ukazuje potem Abellarda w pośród biesiadujących uczniów. Czara miodu krąży z rąk do rąk. Lica wszystkich zapalone trunkiem, wzrok ich błędny. Zgiełk, wrzawa szalona. Młody mistrz ukazuje

się nagle... przemawia, głosi wielkość filozofii. Pijana gawiedz milczy z razu: w miarę jak mówi Abellard, umysły trzeźwieją, zapał ogarnia serca.

Mistrz wyprowadza uczniów... zakłada w Paryżu nową szkołę. Roztwarza ją... wielka aula pomieścić nie może niezliczonych słuchaczy. Na ulicy zgiełk, tłum ludu napływa jak fala.

— Zamknąć drzwi!—wołają uczniowie.

— Rozemknąć je na oścież!—zawoła mistrz.

I oto zstępuje z katedry, staje w progu, przemawia w obec tłumów, wykłada im najwyższe prawdy!

Wkrótce filozofia wystarczyć mu nie może. Wielki szermierz pragnie walczyć na szerszym polu. W pośród szkół teologicznych słynie szkoła Anzelma w Laon. Abellard porzuca Paryż w chwili najwyższych tryumfów: staje w pośród uczniów Anzelmowych. Wykład nowego mistrza, pełen mądrości i nowych pomysłów; brak mu tylko metody i światła. W tym ciemnym lesie, trudno dopatrzeć drogi. Abellard wpada jednakże na tor, zostaje równie biegłym mistrzem w teologii, jak nim był w filozoficznych naukach. Szkoła jego świeci w pośród innych nieporównanym blaskiem. Uczniowie otaczają go czcią najwyższą, uczeni składają mu hołdy, kobiety uganiają się za nim, lud chwyta z zapalem jego słowo. Młody, dorodny, do tyłu czarów łączy jeszcze dar poezji. Pieśń jego przebiega z ust do ust, on sam śpiewa ją z urokiem niepojętym. Oczy i serca wszystkich zwracają się ku niemu.

W lekcjach swoich, Abellard określa całą potęgę rozumu ludzkiego, porusza najwyższe zagadnienia, jakimi kiedykolwiek zajmowała się ludzkość. Upojony tryumfem, w zapale walki nie pojmuje nawet rychłego niebezpieczeństwa. Akt trzeci ukazuje go w pełnym blasku chwały, zakochanego w idealnej Heloizie. Historia ich uczuć, rozpoczyna się jak idylla. Koniec jej prawdziwie tragiczny. Po zemście Fulberta, życie Abellarda, tryumfujące dotąd, jest już tylko wolnym konaniem. W czwartym akcie chmury uczniów przybywają znowu do mistrza. W pustym, bezludnym miejscu budują mu Paraklet. Ztamtąd autor prowadzi go do Sens, stawia w obec zgromadzonego soboru.

Poważny sobór potępia naukę Abellarda, rozkazuje spalić na stosie jego księgi. Przerażony tym widokiem mistrz, upada na ziemię bez zmysłów. Powstaje wreszcie, chwyta kij pielgrzymi. Chory, złamany w duchu i na ciele, puszcza się piechotą do Rzymu, ale siły nagle go opuszczają. W piątym akcie znajdujemy go w pośród zakonników kluniackich, nad którymi Piotr (*le Venerable*), stodkie piastuje berło. Abellard umiera, otoczony tkliwą opieką braci.

Nowy akademik wypowiedział świetnie cały ten ustęp, znacznie przez nas skrócony. Była to prawdziwa nowość: złamanie rutyny akademickiej, obowiązującej dotąd każdego do mowy. Akademicy, zwykli powtarzać po kilka wierszy chwalonych przez siebie poprzedników; lecz wydeklamowany, a raczej odegrany akt dramatu, nie rozległ się

nigdy jeszcze o sklepieniu pałacu Mazaryniego. Co do nas, nie myślimy nastawać na tę nowość. Wolimy to stokroć niż zużyte retoryczne formuły i kliwne pochwały, sypane w urzędowy sposób. Przeciwnicy byłego mistrza inaczej jednak tę rzecz uważali; nuż więc szydzić nie-miłosiernie z mówcy że wystąpił z lekcją deklamacyi teatralnej, dla obecnych w sali artystów dramatycznych. Ostrzejsze jeszcze pociski miotano na samą akademię, która jak mówiono „z ciała naukowego, stała się szpitalem dla politycznych niedobitków, która atmosferą demokratyczną zaraża płuca nieśmiertelnych, a zielone palmy łączy z frygijską czapką!“ Są to słowa pana Pomartin z odcinka „Gazety francuzkiej.“

Odpowiedź p. de Viel-Castel, ściśle akademicka, nie wywołała ani gorących pochwał, ani też złośliwych zarzutów. Z pomiędzy licznych dzieł filozoficzno-ekonomicznych Simona, apologeta podnosi najwyżej dzieło *l'Ouvrière*, określające stanowisko wyrobicy, które przed laty kilku słuszną znalazło wziętość. „Dzieło to, rzekł poważny mówca, obejmuje najciekawsze szczegóły, tyżące się doli robotników paryzkich; odkrywa bolesne ich rany, a zarazem podaje zaradcze środki, które jeśli nie usuną radykalnie złego, mogą przynajmniej zażegnać niebezpieczeństwo i ukoić cierpienia. Podziwiamy szczególnie odwagę, z jaką pan dotykasz drażliwego przedmiotu, oddając słuszną uwagę na usiłowania i ofiary przedsiębiorców, dla polepszenia losu robotnikom a pokazując zarazem, jak wiele jeszcze zostaje do czynienia. Z niemniej szlachetną odwagą, pokazujesz robotnikom, że nędza po większej części jest owocem własnego ich bezrządu, że dopóki nie zmienią trybu życia, wszelkie działania na ich korzyść okażą się całkiem bezskuteczne. Te prawdy wyjaśnione szeregiem faktów, głęboko poruszają umysł a gdyby mogły wnikać w pojęcia wszystkich robotników, zniszczyłyby wiele uprzedzeń, zażegnały w sercach nienawiść, zahartowały mężką wolę, słowem do najpiękniejszych doprowadziłyby rezultatów.“

Takie wyrazy wybiegłe z ust osmdziesięcioletniego legitymisty, który styrał życie w walkach na inném polu, pokazują, wymownie, że *frygijska czapka* Simona, nie tak groźna dla spokoju nieśmiertelnych, jak to inni wmówić usiłują!

Wspomnieliśmy już o skonie Georges-Sand, powracamy dziś jeszcze do sławnej pisarki, którą Francya utraciła. Nie mamy bynajmniej zamiaru wdawać się w rozbiór przeszło stu powieści, znanych i osądzonych już przez ogół, powieści tak rozmaitych pod względem przewodniczącej im myśli, w tém jednak zbliżonych do siebie, że każda nosi piętno twórczego geniuszu. Nie utrzymujemy bynajmniej, żeby wszystkie utwory Georges-Sand, jednaką miały wartość; to przecież pewna, że mistrzowski język czyni z nich wszystkich prawdziwą ozdobę literatury francuzkiej XIX wieku.



Patrząc na ten geniusz tak wspaniały w polotach swoich, powtarzamy ze smutkiem prześliczne słowa Pola:

Geniuszby wleciał archaniola skrzydłem,  
Prosto w niebiosą, z kąd mu światłość błyska;  
Gdyby mu pycha nie była wędzidłem,  
Co go brzemieniem ku ziemi przyciska.

Tak jest! pycha strąciła pisarkę z tych jasnych szlaków, na których geniusz jęj mógł być nietylko zdumiewającym świat meteorom, lecz niemniej dobroczynnym promieniem słońca, które ożywia ziemię, wydobywa z jęj łona krzepkie plony i zdrowe owoce. Pycha doprowadziła Georges-Sand do stargania praw wiążących społeczeństwo i rzucenia w świat najbłędniejszych paradoksów; pycha wygnała z jęj serca tradycyjną wiarę, a ukorzyła głowę jęj przed bóstwem, własną stworzonóm wyobraźnią, na modłę filozoficznych jęj pojęć.

W słowach naszych nie ma przesady. Zobaczmy tylko rozprawę Georges-Sand o Mickiewiczu <sup>1)</sup>. Autorka skreśliwszy rozbiór „Dziadów“ i porównawszy ten utwór z Faustem i Manfredem, mieni naszego Adama prawdziwym olbrzymem poezyi. „Obrazy jego, mówi, tak wielkie, że ani Byron, ani Goete, ani Dante nie mogliby ich stworzyć. Sam nawet Mickiewicz miał w życiu całym, jedyną może chwilę, w której dano mu było wznieść się do tych nadprzyrodzonych wyżyn.“ Po takiej apoteozie poematu, autorka wskazuje ciemną jego stronę, i tłumaczy ją na swój sposób. „Pamiętajmy, mówi Georges-Sand, że Polska jest katolicką, a Mickiewicz mistycznym jęj poetą. Ideał jego nie wcielił się jeszcze w nową formę. Większość słowiańskich plemion, zostaje dotąd pod prawem Ewangelii. Uszanujmy naiwną ich wiarę, nie stawiajmy ich przed kratkami naszego filozoficznego trybunału. I Francya zaczęła podniosła się od filozofii chrześcijańskiej do bardziej postępowych pojęć, przeszła chlubną ekspiacją okropnego przewrotu społecznego!“

Słowa te skreślone były w roku 1839, powtórzone w nowém zeszytowanym wydaniu. Pycha, tryskająca z nich, nie potrzebuje komentarza!

Niemamy prawa wchodzić w tajemnice życia autorki, najprzód że ich nie znamy, trudno bowiem opierać się na pogłoskach, zrodzonych może z zawistnej podejrzliwości ludzkiej, a potem niechaj nam prawem będzie, prześliczny wiersz Adama:

„Kto mnie sądzi, nie zemną musi być lecz we mnie.“

Na co jednak mamy prawo powstawać, to na fałszywe teorye, które im piękniejszym wypowiedziane słowem, im cudniej przystrojone w kwiaty wyobraźni, tém silniej oddziaływały na umysły, tém większy zamęt wprowadziły w pojęcia dwóch pokoleń. Ileżto kobiet przeżyłoby dni spokojnie, gdyby im *Indyana* nie odkryła ran niezrozumianego serca,

<sup>1)</sup> *Autour de la Table.* Paris, Michel Sevy 1875.

gdyby ich *Lelia* nie porwała za sobą w pogoń za niedoścignionym ideałem, gdyby im *Walentyna* nie poszepnęła, że miłość potężniejsza nad prawa rozumu i nad całą potęgę woli!

Na obronę wielkiej pisarki powiedzmy, że błędy jej wypłynęły raczej z warunków, w jakich była wychowaną i w jakich upłynęła jej młodość, aniżeli z niej samą. Sierota po ojcu, dziecinne lata przeżyła przy babce, zagorzałej wielbicielce Woltera i encyklopedystów, która szydłacznie uśmiechem wstrzymywała jej religijne popędy. Później namową skłoniona do małżeństwa, nieszczęśliwa w pożyciu z mężem, rzuciła się z zapałem w literaturę. I kiedyżto przypało? oto w chwilach gwałtownego rozprzężenia ducha, kiedy umysł ludzki nowym porwany prądem, targał trzywiekowe swe więzy: w chwilach rodzącego się romantyzmu.

Francya chlubi się tą epoką, widzi w niej odwet intelektualny nad zwyciężkim nieprzyjacielem, zorzę odrodzenia, zwiastującą jej nowe tryumfy w świecie; widzi w niej, jakoby drugi akt dramatu, rozpoczętego zburzeniem Bastylii, a przerwanego klęską Waterloo i powrotem Burbonów. Wspaniała to była w rzeczy samej chwila, kiedy naród, który *dzieckiem urwał łeb hydrze, wzrósłszy w młodzieńca, jął dusić Centaury!* Hugo z Dumasem przeistaczają teatr, Thierry z Micheletem przeistaczają historią, Villemain z Guizotem przeistaczają katedrę, Jules Janin przeistacza krytykę literacką, Delacroix przeistacza malarstwo, Chopin przeistacza muzykę, Girardin przeistacza dziennik. Wśród tej falangi nowatorów ukazuje się kobieta przebrana po męzku, pokryta męzkim pseudonimem: ta kobieta przeistacza powieść.

Wykarmiona w ciszy wiejskiej, czytaniem pisarzy XVIII wieku, mianowicie Jana Jakóba Rousseau, Georges-Sand pierwszym pociągiem pióra, tworzy arcydzieło pod względem formy. Indyana jej przerasta wszystkie Delfiny i Corynny, samą nawet nową Heloizę: zkądże ta w niej potęga? Oto ztąd, że serce jej prawdziwem drga tętnem, że oko jej prawdziwemi płacze łzami. Autorka w przygodach Indyany nie odtworzyła przygód własnego życia, jak to mylnie twierdzono, ale wykutą przez siebie Galateę ożywiła gorącym technieniem własnej piersi, wlała w nią własne bole i zawody, szła i rozpacz własnego serca.

*Indyana* zaświeciła w literaturze, jeśli nie blaskiem przeczystej gwiazdy, to przynajmniej połyskiem jaskrawego meteoru, zapowiadającego nowy porządek rzeczy w powieściopisarstwie. W ślad za nią ukazała się *Walentyna*, nieco później *Jacques*. Trzy te utwory pokazują walkę uczucia z prawem ustanowionem. Wszystkie trzy wywołały z jednej strony gorący poklask, z drugiej najgwałtowniejsze pociski na autorkę, burzącą podwaliny moralnego porządku.

W *Lelii*, Georges-Sand nowy podjęła temat. I tu miłość główną odgrywa rolę, ale miłość bez przedmiotu, a raczej przerzucająca się rozpaczliwie z jednego na drugi przedmiot, w szalonej pogoń za ideałem nie istniejącym w świecie. Wulkaniczny ten wybuch, jeśli pokazał ca-

łą potęgę siły twórczej autorki, tém ostrzejsze za to wywołał sądy, tém bardziej oburzył zdrową część społeczeństwa. Lelia, to najjaskrawszy wyraz tej literatury, którą krytyk nasz Michał Grabowski określił dobitnie nazwą *literatury szalonej*.

Trudno było iść dalej po tej drodze. Georges Sand w nową uderzyła strunę. Zapowiadana chwila przewrotu społecznego, znalazła ją uzbrojoną do walki; idee krążące w umysłach, wiernego zdobyły w niej tłumacza. W *Towarzyszu cechowym* (Compagnon du tour de France), podnosi ideał rzemieślnika; w *Consuelo* i *Hrabinie Rudolstadt*, wprowadzając czytelników w zakłęty świat sztuki, wiedzie ich zarazem w świat socyalnych marzeń, uchyla przed nimi zasłonę pokrywającą tajniki wolno-mularstwa. Utwory te wyraźnie tendencyjne, przeplata mnóstwem innych! To zadziwaczy mistyczną nutą, jak w *Lirze siedmiostrunnej*, to pełnym życia piórem, nakreśli obraz zwiedzonych krajów, jak w *Listach podróżnika*, lub *Zimie na Majorce*.

Pod wpływem ciszy wiejskiej, w tém Nohant, gdzie przeżyła dziecięce lata, gdzie później, złamana burzą, znajdowała tylekrotnie spokojną przystań, w Nohant, gdzie nakoniec zamieszkała stale z córką i synem, autorka ochłonęła wreszcie z młodzieńczych uniesień; umysł jej dojrzał, przyszedł do równowagi, i nowego zapragnął żywiołu. Georges-Sand poznała zbliżka lud wieśniaczy, przenikliwem okiem spojrzała w jego obyczaje, przyłożyła ciepłą rękę do żywej piersi. Dzięki temu zbliżeniu utworzyła trzy powieści, trzy perły czystej wody: *Małą Fadetkę*, *Franciszka Znajdę* (*Champi*) i *Kalużę Dyabłą*, prawdziwe arcydzieła, pełne prostoty i niezrównanego wdzięku. Przygody tych powieści, zwyczajnie i proste, jak życie ludu wieśniaczego, silnie jednak poruszają serca, bo pisane z miłością, oddane z całym urokiem prawdy. Autorka przemawia w nich językiem ludu, ogładzonym wprawdzie, lecz nie pozbawionym żywotnej barwy, ani krzepkiego tętna. Najcudniejsze krajobrazy przeplatają opowieść. Krajobrazy te dały poznać Francyi nieznaną jej zakątek. Co zaś najważniejsza, autorka wprowadziła do literatury lud wieśniaczy, pokazując go w całej prawdzie, w pełnej godności, z bogatym zasobem tradycyi, złożonym w jego sercu. Georges-Sand, śmiało powiedzieć można, stworzyła nowy rodzaj, wytknęła nowe drogi pisarzom i artystom. Na tych drogach doścignął ją w malarstwie Millet, później Juliusz Breton, w muzyce poprzedził ją genialny Chopin; ale w powieściopisarstwie, żaden z naśladowców zrównać jej dotąd nie potrafił. Trzy powieści, wysnute z życia ludu, stanowią prawdziwą koronę jej literacką; z niemito imię Georges-Sand przejdzie do późnej potomności.

Odtąd przez lat dwadzieścia z górą słynna pisarska zapełniała wszystkie pisma i przeglądy utworami niewyczerpanej wyobraźni. Do powieści swoich najrozmaitszą dobięra formę: to listów, to prostego opowiadania, to wspomnień kreslonych w dzienniczku, to dramatycznych dyalogów. W każdej formie pokazuje się mistrzem. Charaktery osób



rzeźbi jak snycerz, krajobrazy zaprawia kolorytem miejscowym, jakby najbieglejszy malarz.

Umysł jęj wytrzeźwiał, lecz nie wystygł bynajmniej. Serce jęj rozszerza się coraz bardziej, coraz szersze ogarnia koło. Kocha gorąco dzieci własne, następnie miłość tę przelewa na drobne wnuczęta; kocha licznych przyjaciół, którzy garną się do jęj boku; lato spędzają w Nohant; kocha najbliższych sąsiadów, swoich włościian, przychodzi im z pomocą w każdęj potrzebie, w chwilach spoczynku szyje sama odzież dla biędnych; karmi, odziewa, leczy: słowem zdobywa u ludu najpięknęjsze imię matki i dobroczynnęj pani. I tak zbiega dzień za dniem, rok za rokiem; starsze pokolenia, które widywały śmiałą amazonkę cwałującą konno po jarach i manowcach, ze strzelbą na ramieniu, pokładły się do trumien; synowie ich i córki znają tylko posiwiałą matronę, otoczoną poważaniem licznych przyjaciół, miłością rodziny, pieśczożą drobných wnucząt. Taką pozostała w okolicy Nohant pamięć genialnęj pisarki.

Georges-Sand pracowała wytrwale do ostatnęj chwili życia. Na dziewięć dni przed skonem, gwałtowna choroba wytrąciła pióro z jęj ręki. Praca była dla nięj powszednim chlebem, ukrzepieniem umysłu i ukojeniem serca. Nie czekała nigdy chwili szczególných natchnień, których brakiem tłumaczą się leniwi. Co dzień o jednęj godzinie siadała do stolika, brała pióro, a natchnienie, zmuszone niejako dzielną jęj wolą, tryskało w każdém słowie, niby zdroj żywęj wody. W ostatnich kilkunastu latach zabrała się gorliwie do dramatu. Kilka jęj sztuk: *Margrabiawillemer*, *Franciszek Champi*, *Małżeństwo Wiktoryny*, znalazło nie małe powodzenie na deskach teatru francuzkiego.

Korzymy głowę przed geniuszem Georges-Sand, oceniamy niepopolitą dobroć jęj serca, o któręj świadczą łzy wieśniaków z Nohant, płynące nad świeżym jęj grobem! Mimo to w ostatnich nawet dziełach, dalekich od szału co stworzył Lelią i Indyangę, stajemy śmiało przeciwko jęj zasadom.

Nie jesteśmy tak ślepymi bałwołchwalcami geniuszu, abyśmy do chóru z dziennikarstwem francuzkiem, głosić mieli bezwarunkowe apoteozy, gdy sumienie inaczej mówić każe. Ze wszystkich pochwał jakimi ziomkowie zasypali świeżą jęj trumnę, najwięcej przemówił do nas wiersz Alberta Delpit; dajemy go w przekładzie:

W promieniach słońca kąpie się dolina,  
Dębów konary wiatr z szumem nagina,  
Pszczoła na łące zbiera plon bogaty,  
Wybiega z pieśnią skowronek skrzydlaty;  
Wody rzeczulki parowem się toczą,  
To pomaleńku, to pomkną ochoczo:  
Wśród rozbudzonęj przyrody czerwcowęj,  
Ciągnie poważny orszak pogrzebowy,  
W sercu wybraném śmieró iskrę zgasiła!

Pomni przyroda jak drogą ci była,  
 Ona wyprawia stypę godną ciebie!  
 Śpiewny skowronek, co buja po niebie,  
 To dusza twoja obłokiem spowita,  
 A ta na łące pszczoła pracowita,  
 Wszak jój wytrwałym sprostaliś mozołem!  
 A dąb stuletni z pochyloném czołem,  
 Uderzon blaskiem twój, pocto, chwały  
 Przed geniuszem zgina kark wspaniały!

Stusznie cię wieńczą one kwiaty świeże.  
 Wielu... tak, wielu...—ja do nich należę—  
 Twoje zasady potępią surowo;  
 Lecz tobie geniusz rozpostarł nad głową  
 Szerokie skrzydła!.. Acz żyłaś w obłędzie,  
 Gdy z twój się piersi głos już nie dobędzie,  
 Niech ci przyroda nad grobem pogwarza,  
 Czcí w tobie swego piewcę i malarza,  
 Niech splot fijołków otoczy cię wiosną,  
 Niech bzy kwitnące ten kamień obrosną,  
 Co dla potomnych pamięci, kobieto,  
 Nazwał cię mistrzem, mężem i poetą!

Zwłoki zmarłej pogrzebano na wiejskim cmentarzu pod cieniem kościołka w Nohant, obok grobu ojca i babki. Grono pisarzy i artystów, przybyło oddać ostatnią posługę zmarłej współpracownicy. Wiktor Hugo przybyć sam nie mógł, lecz słowa nakreślone jego ręką, wyrzeczone ustami Pawła Meurice, zabrzmiały po nad grobem:

Placzę umarłej! witam nieśmiertelną!"

Od antytezy poeta przechodzi do paradoksu:

„Georges-Sand w naszych czasach, osobne zajmuje miejsce. Innych nazwano wielkimi mężami, ona wielką była kobietą! W tym wieku, którego zadaniem dopełnić rewolucyi francuzkiej, rewolucyą humanitarną, ponieważ równość obu płci stanowią cząstkę równości ludzkiej, wielka kobieta była nam konieczną; potrzeba było dowieść, że kobieta może posiadać wszystkie dary właściwe mężom, nie tracąc przeciw swoich darów anielskich; być silną a zarazem pełną słodyczy. Georges-Sand tego dowodem!

„Wylizac jój arcydzieła rzecz zbyt cenna; wszyscy je pamiętają. Główną ich cechą: dobroć. Georges-Sand była dobrą, dlatego ją znieawidzono. Uwielbienie podszyte zwykle nienawiścią; zapal jednych, zniewagą drugich. Nienawiść i zniewaga dają chlubne świadectwo temu, przeciw komu są wymierzone. Wrzaski tłuszc doliczycy potomność do zaszczytnych okrzyków chwały. Kto nosi koronę, kamienowan za życia. Takie powszechne prawo. Siła zniewag daje miarę posypanych oklasków!

„Istoty jak Georges-Sand, są dobroczyńcami ludzkości. Ledwie ustępują, z miejsc przez nie opuszczonych wybiega nowa realizacja postępu. Ilekroć umiera wielka jednostka, słyszymy jakoby szum olbrzymich skrzydeł: coś odeszło i coś nadchodzi!

„Pracownik odszedł, lecz praca pozostała.”

„Quinet umarł, a oto potężna filozofia powstaje z jego grobu, i z wyżyn tego grobu, ogłasza rady ludziom. Michelet umarł, a oto poza nim występuje historia, i wytyka drogozkaż dla przyszłości! Georges-Sand umiera, ale przekazuje nam prawo kobiety, czerpiące moc w geniuszu kobiety. Tym sposobem spełnia się przewrót. Płaczymy umarłych, a obliczajmy to co nam zostawili. Stanowcze wypadki nadchodzą, dzięki owym zwiastunom! Wszelka prawda, wszelka sprawiedliwość kroczy ku nam, ztąd to ów szelest skrzydeł potrąca ucho nasze.”

Powtórzyliśmy słowa Wiktora Hugo, spełniając obowiązek kronikarza, ale powtórzyliśmy je ze smutkiem. Do jakichżeto obłądów pycha doprowadza najpotężniejsze nawet geniusze! Przy każdej sposobności, poeta przypomina zniewagi, jakich sam był celem, a przez to ściąga coraz to nowe chłosty, na siwą głowę swoją!

Aleksander Dumas, obecny na pogrzebie, miał także przemówić nad grobem. Słowa Wiktora Hugo zamknęły mu usta. Położenie jego było w istocie trudne. Systematyczny głosiciel przewagi męczyzny nad kobietą, przewagi tak daleko posuniętej, że daje mężom prawo życia i śmierci, cóż mógł Dumas powiedzieć na pochwałę autorki *Mauprata*, *Consuelo*, i tylu innych utworów, których głównym tematem: udoskonalenie męczyzny przez kobietę?

Nie wiemy dotąd, czy Georges Sand zostawiła jakieś ważniejsze prace w rękopismach, wyjąwszy niedokończoną powieści, wśród której śmierć wytrąciła jej pióro. To jednak pewna, że każdy świstek nakreślony pobieżnie jej ręką, wydobyty będzie z ukrycia i oddany na pastwę ciekawym. Wiemy, że od lat dwudziestu kilku, autorka zapisywała, co wieczór, wrażenia dnia zbiegłego. Część tych zapisów złożona przez nią w ręce Karola Edmunda (Chojeckiego) wydana była w roku 1873, większa część pozostała w tece. Pozostało także mnóstwo listów w ręku przyjaciół i rodziny. Wszystko to, dołączwszy dziesięć tomową *Historią życia*, drukowaną przed laty dwudziestu, bogaty stanowi materiał dla przyszłych biografów; zapewne ich też nie zabraknie. Dziś już z samych nekrologów dziennikarskich, które nazajutrz po skonie, sypnęły się jak z rogu obfitości, możnaby ułożyć tom nie mały. Nie pociesniejszego jak te listy z Nohant repporterów, wyprawionych tam na wieść o katastrofie. Każdy z nich skarży się na natręctwo tej ciekawej gawiedzi, która nie da spokojnie zaptakać rodzinie, obsypując ją tysiącem niedyskretnych pytań. Każdy z tych panów wyłącza tylko siebie, z owiej ciekawej chmary: on był jak mówi przyjacielem i powiernikiem Georges Sand, on przebywał niegdys w jej do-



mu całe tygodnie i miesiące, on posiadał zupełną jej ufność. On sam tylko pospieszył do Nohant; wiedziony współczuciem, nie próżną ciekawością. I dalejże opisywać codzienne niegdys zajęcia zmarłej, malować jej ubiór, jej postać, każdy rys jej oblicza. Jakaż to sprzeżność w tych opisach. U tych Georges Sand wysokiego wzrostu, u tamtych znów mała i krępa. U tych ma czoło podniesłe, oko płomieniste; u tamtych czoło niskie, wzrok zagasty, jakby przymglony. Tamci, przebywając niby w jej domu, odbywali z nią co dzień ranne przechadzki po łąkach i po lasach; ci znów utrzymują, że pisarka po nocy spędzonej z piórem w ręku sypiała długo i ledwie około południa ukazywała się zebrany w sali gościom. Tamci wystawiają niewyczerpany jej dowcip; słowa, jak mówią, płynęły z ust jej niby kryniczny potok; ci ją znów pokazują małomówną, wsłuchującą się pilnie w rozmowy drugich, lecz nie zdolną żywem słowem, bez pomocy pióra, wyrazić myśli własnej. Jedni nakoniec opisują, skromną, pełną prostoty jej odzież; drudzy tymczasem pokazują zwieńczoną codzien w kwiaty, ubraną jaskrawo jak *papuga!* I wysnuć-że tu wątek z tego chaosu?

W rozbiorach prac autorki, większą jeszcze napotykamy sprzeżność. Co jedni wynoszą pod obłoki, inni potępiają surowo. Każdy mierzy jej słowa, miarą własnego kryterium. Bonapartyści przypominają z chlubą, że nazwała Napoleona III, człowiekiem niepospolitego serca. Republikanie, mimo sypanych pochwał, gotowi pomówić ją o brak patryotyzmu, gdyż w *Listach podróżnika*, kreślonych podczas wojny, rzuciła parę ostrych pocisków na Gambettę. Professor estetyki Taine, legitymuje geniusz jej szczęśliwym zbiegiem zdarzeń, iż była wnuczką Maurycego, a prawniczką Augusta Sasa (!!)

W jednym tylko ogół zgadza się jednomyślnie, a to w uznaniu powieści ludowych Georges Sand'a, za prawdziwy klejnot francuzkiej literatury.

Uczony filolog Becq de Fouquieres, wydawca Ronsarda i innych pisarzy epoki odrodzenia, wydobył z prochu niepamięci imię Joachima du Belay, poety XVI wieku. Na czele wydanych sonetów pomieścił krótką ale ciekawą jego biografią. Zajmująca to bardzo osobistość. Belay zapomniany po śmierci, mało też był znany za życia; przeszedł niezauważenie, kiedy innym muić zasłużonym, szczerą ręką sypano wieńce. Potrzeba było trzech z górą wieków, aby filologowie uznali wartość jego pracy. Poeta czuł te ciężące nad nim uprzedzenia, to też struna jego lutni drży załośnie, jakby przycięta całunem. Sierota od dziecka, roś jak mówi, samopas, istny kwiat w ogrodzie, nigdy ożywcym nie zroszony strumieniem. W młodzieńczych latach utracił zdrowie. Dotknięty głuchotą, a tém samém skazany na samotność, szukał w księgach otuchy, jakiej ludzie dać mu nie mogli czy nie chcieli. Każda pieśń jego tchnie jakąś niewysłowioną tęsknotą. W Rzymie gdzie długo przebywał z krewnym swoim kardynałem du Belay, błakał się jak cień wśród

zgliszczów Palatynatu. Widok tych zwalisk przejmował boleścią jego serca.

Dajemy w przekładzie sonet skreślony pod wpływem smutnych wrażeń:

Szczęśliwy, kto jak Odys przebiegł ziemię całą,  
Kto jak Jazon w Kolchidzie wywalczył skarb złoty,  
I zwrócił ku ojczyźnie wzrok pełen tęsknoty,  
Gdy na dalsze wędrówki już sił mu niestało!

Zaliż powitam jeszcze moję wioskę małą,  
Dym własnego komina, me ubogie płoty?  
Znajdęż tam za cichemi dworku mego wroty,  
Wszystko, co niegdyś serce rzewnie ukochało?

Dom rodzinny ma dla mnie stokroć więcej czarów,  
Niż gmachy ręką pysznych wzniesione Cezarów,  
Z dała marmurowemi błyszczące krużganki;

Wolę galską Loarę nad Tyber szeroki,  
Me błonia, nad Palatyn sterczący w obłoki,  
Nad aromat ziół obcych woń swęj macierzanki!

Poeta wrócił do kraju. Byłże tu szczęśliwym? niewiadomo. Umarł w trzydziestym piątym roku; pamięć o nim zamarła dla potomnych; dziś dopiero odgrzebano jego imię. Oprócz sonetów i innych poezyi, Belay zostawił rozprawę p. t. *Obrona i świetność francuzkiego języka*. Pomnik to nadzwyczaj ważny dla literatury. W XIII i XIV wieku jak wiadomo, język francuzki rozpowity z łaciny, stał się, w ucywilizowanej Europie, językiem uczonych i poetów. Pieśni trubadurów i truverów brzmiały na wszystkich dworach; śpiewano je w Budzie i w Krakowie, na dworze Ludwika i Jadwigi prawnuczki Ludwika świętego. Później stuletnia wojna z Anglią zatrzymała ten rozwój. Epoka odrodzenia, rozpowszechniając klasyczną łacinę w krajach ucywilizowanych, tém większy pomrok rzuciła na skażony język francuzki. Belay w rozprawie swojej usiłuje wrócić mu dawną godność. Miłość kraju dodaje mu bodźca. Z boleścią patrzy na sponiewieraną mowę praojców. Gorącym słowem pragnie przekonać współczesnych, że język ten odpowiada poezyi, że maluje wiernie myśl, w najdelikatniejszych nawet odcieniach. Wyraz ojczyzna (*patrie*) przepomniany oddawna, odżył pod jego piórem i odtąd zyskał obywatelstwo we Francyi.

Du Belay naucza, jak można wzbogacić język naśladowaniem starożytnych klasyków, nie pozbawiając go przeciez rodzimój samodzielności. Stawia za przykład Rzymian, którzy pod względem języka dorównali mistrzom swym Grekom; pokazuje w jaki sposób Cyceron

szedł śladem Demostenesa, a Wergili śladem Homera. I przypomina wyrazy Molona z Rodes, który posłyszawszy Cycerona przemawiającego na forum, zawołał z najwyższą boleścią: „pozostała nam tylko chwała wymowy, a ten młodzian gotów nam ją odebrać!“

Widzi poeta smutny stan języka francuzkiego, lecz nie rozpacza o nim. Żarliwie upomina współczesnych, aby ożywili go tchnieniem własnej piersi, a nie odtrącali pogardliwie. „Tak samo jak wy pomiatacie mową ojczystą, woła na humanistów, tak współcześni Cycerona i Horacego, pomiatali łaciną, nieodpowiednią według nich potrzebom wymowy, poezji i historii!“

Czy Jan Kochanowski przebywając w Paryżu, znał Joachima du Belay lub czytał jego rozprawę językową, trudno nam dzisiaj zgadnąć; to jednak pewna, że siłą geniuszu, poeta nasz przeczuł myśl drgającą w duchu epoki, zastosował ją lepiej niż wszyscy poeci francuzcy owych czasów. O nim to śmiało powiedzieć można, że naśladował Horacego w ten sam sposób, w jaki Horacy naśladował swych poprzedników greckich. Dostyc oto porównać cudny język Jana z Czarnolasu z językiem Ronsarda i samego du Belay, aby przekonać o ile nasz wieszcz wyprzedził wszystkich koryfeuszów tej epoki w stopieniu myśli polskiej, z formą starożytnych klasyków. Ronsard i Belay dostępni dziś tylko filologom; pieśnią Kochanowskiego karmi się dotąd naród.

Na jednem z ostatnich posiedzeń w akademii napisów, odczytaną była ważna praca barona d'Avril: *badania nad językiem, rytuałem i alfabetem, przyznawanym ś-mu Cyryllemu*. Autor objaśniając znaczenie rytuału, nader ważną czyni uwagę: „Ludy, mówi on, mogą zmieniać religią; widzimy rodzące się i długo trwające odszczepieństwa, ale nie widziano jeszcze, aby ludy zmieniały rytuał, zostając przy jednej religii. Jeżeli były zmiany tej natury, stanowią one bardzo rzadki wyjątek.“

Pod taki zapewne wyjątek podciąga autor szlachtę na Rusiach, która jak kniaziowie Ostrogscy i tyle innych rodzin, nie zmieniając religii, przyjęła jednak w miejsce rytuału grecko-unickiego, rytuał rzymskiego kościoła.

Autor najszlachetniej ostrzega, przeciw niewłaściwemu użyciu wyrazów: *rytuał słowiański, liturgia słowiańska*. „Dwa są tylko w Europie, mówi p. A., języki pierwotnie poświęcone przez Kościół: są niemi grecki i łaciński. Tak rytuał grecki jak rzymski, tłumaczone były po sławońsku, nie można przeto zwać ich słowiańskim rytuałem.“

Następnie autor bada, jakim językiem pisane były modlitwy przyznane Ś-mu Cyryllemu. Po dokładnem zestawieniu pisarzy, którzy rozbięrali to pytanie, p. d'Avril utrzymuje że w tym względzie nie ma żadnej pewności. Prawdopodobnie tylko Ś-ty Cyrylli zachował składnię gramatyczną języka przyjętego w Tessalonice. Odtąd jednak, że, lubo w treści żadna nie zaszła zmiana, różne narody: Serbowie, Rusini i t. p. wprowadzili tu idyotyzmy własnych swoich języków.



W inném miejscu autor udowadnia, że znajomość pisma istniała u ludów słowiańskich w głębokiej już starożytności.

Po licznych wywodach i cytacjach p. Avril wyprowadza w końcu taki wniosek: „Św. Cyrylli i Metody, przybyli do kraju Słowian południowych i zachodnich; te kraje administrowane już były przez duchowieństwo niemieckie, podległe dyscyplinie rzymskiej. Obrzędy odbywały się tam po łacinie według rzymskiego rytuału. Działanie obu świętych można streścić w ten sposób: 1) zaprowadzili w obrzędach język słowiański w miejsce łaciny; 2) do pisania tym językiem użyli charakterów głagolickich; 3) odnowili starożytną hierarchią miejscową, wprowadzoną przez św. Andronika; 4) zachowali dyscyplinę i rytuał rzymski.“ Zmienili jedynie, mówi autor, to co mogło być zmienioném. Ale pełni zdrowego sądu, i tój niemylnój intuicji, która jest udziałem świętości równie jak geniuszu, nic więcej nad to nie uczynili.

Uczniowie zastosowali systemat mistrzów swoich do krajów rytuału greckiego. Święci Cyrylli i Metodyusz pośrednio więc tylko działali na Słowian wschodnich i północnych. Po śmierci dopiero tych świętych wpływ ich oddziaływał na te ludy.

Zostawiliśmy na ten miesiąc zdanie sprawy z obrazów rodzajowych na wystawie paryzkiej. Liczba ich była wielka. Tak samo jak powieść pochłania inne działy literatury, tak téż i rodzajowe obrazy panują dziś w malarstwie. Niektórzy estetycy bardzo utyskują na ten kierunek. Przerażeni powodzią realizmu tak zabójczą dla sztuki w innych krajach, lękają się aby ta zaraza nie przyszła także do Francji. Nie sądźmy jednak, by realizm miał się wyłącznie czepiać charakterystycznych utworów, branych z rzeczywistego życia. Alboż go nie widzimy i w wielkich kompozycjach czysto historycznych czy religijnych? Weźmy tylko walkę *Jakóba z Aniołem*, Bonnata; czyż *pogrzeb zakonnika*, Suchodolskiego, nie idealniejszy stokroć od onój walki, lubo jest prosto obrazem rodzajowym? Dosyć życie ma w sobie ideału, trzeba tylko umieć dopatrzeć i oddać ten ideał.

Nie szukał go zapewne p. Gerwex w wielkim obrazie, o którym dla tego wspominamy, że wykonany biegłym pędzlem, godnym estetyczniejszego przedmiotu. Wyobraźmy sobie stół anatomiczny, w sali szpitalnej; na nim leży trup naturalnej wielkości; dwóch uczniów fakultetu medycznego, w białych fartuchach, odrzyna płyty ciała: sługa szpitalny podtrzymuje głowę. I Rembrand traktował podobny przedmiot, lecz on pragnął pokazać tryumf nauki, wydzierającej tajemnicę z łona śmierci: myśl ta odbija na obliczu mistrza i uczniów, skreślonych twórczym jego pędzlem. P. Gerwex nie podniósł się do tych wyżyn; w obec jego obrazu, mimo całej biegłości pędzla, rozumiemy obawy estetyków. Szczęściem, jest on jedyny na wystawie, gdy tymczasem podobne dyssekcye zbyt często napotykamy w powieściach Zolla, Flauberta, i innych realistów nowój szkoły.

Obrazy określone nazwą rodzajowych tworzą mnóstwo osobnych działów, tak samo jak i powieść. W ich skład wyłącznie dziś wchodzi epizody wojenne. Kilku młodych malarzy: Protais, Detaille, Dupray, zdobyli na tej drodze nie małą wziętość po ostatnich wypadkach, i umieją godnie ją utrzymać. Tłumy przyglądają się ich *marshom* i *rekonessansom*, karmiąc w nich bolesne a niezatarte wspomnienia.

Z historyczno-rodzajowych uderzył nas w oczy obraz p. Bache-reau przedstawiający sypialnię Maryi Antoniny w Wersalu, w pamiętnym dniu 6 października 1789 r.. Błękitna kotara odsunięta, łóżko w bezładzie, królowa uciekła, zbudzona szczękiem broni i wrzawą tysiąca głosów. Przez drzwi szeroko rozwarte wdziera się tłum zbrojny: kobiety rozczochrane, istne meduzy, ukazują mu drogę. Scena ta prawdziwie przerażająca.

Malarze kolorysty upodobali sobie Wschód, gdzie i niebo tak jaskrawym połyskuje słońcem, i strój tak malowniczy. Mnóstwo też co krok spotykamy haremów, meczetów i odalisk. Wszystkie kraje Azji przesuwać się tu jakby w kalejdoskopie. Delamar, specjalny malarz Chińczyków, wystawił strojnego mandaryna z synem; Guillaume egipskiego rolnika, orzącego ziemię plugiem uprężonym w dwa wielbłądy; Gerome wewnątrz tureckiego meczetu i *santona* stojącego u drzwi, nad stosem zzutych pantofli, Clairin szeryfa ciągnącego ulicą ze zbrojnym orszakiem, Makowski powrót dywanu z Mekki i t. p.

Wytwornych scen buduarowych mniej widzimy w tym roku niż to dawniej bywało. Toulmouche, mistrz w owym rodzaju, ukazał nam zalotną elegantkę w balowej sukni, szczebioczącą z utrefionym dandysem. Igra wesoło jak kotka z kłębkami nici, tylko patrzeć, jak się upłaje.

Ale przejdźmy na inne pole, do obrazów z życia wiejskiego ludu. Nie ujrzymy tu ani genialnych utworów Milleta, ani również genialnych scen Juliusza Bretona, który jak wiemy wieńce w Filadelfii. Jest tylko prześliczny obrazek brata jego Emila, przedstawiający wioskę w zasypianym śniegiem parowie. Noc zapadła, czarne chmury pokryły niebo, i tylko z wnętrza chat połyskuje przez szyby jasny płomień ogniska. Malarz mógł być pod tym obrazkiem skreślić sławny czterowiersz Pola:

I z tego ognia ma się rozejść ciepło,  
Po całym kraju, gdy boleść przemienie,  
I przy tym ciepłym domowym kominie,  
Znów się ogrzeje, co w życiu zakrzepło.

Mysł ta przewodniczyła Bretonowi, cudnie ją tu wyraził pędzlem. Twórcy szkoły ludowej w malarstwie (Millet i J. Breton) znaleźli zdolnych uczniów, którzy umieli zrozumieć ich, i podążać samodzielnie wskazaną przez nich drogą. W większej części tegorocznych scen ludowych, nie widzimy już tej sielankowej maniery, tak cklivej i wymuszonej, jaka niedawno wyłączenie panowała. Wicśniacy pod pędzlem

dzisiejszych malarzy, to kość z kości tych starych Gallów, co przepędzali niegdyś za Ren Aryowista, wieśniaczki; to nie *puch marny, nie wietrzne isloty*, z arystokratycznego świata paryzkiego, ale matki karmicielki przyszłych pokoleń. Patrzymy oto, na tę rybaczkę z Dieppe, nakreśloną śmiałym pędzlem Vollona: deszcz leje, ona nie zważa na to, idzie zamaszystym krokiem, nie zgięta pod ogromnym koszem ryb, który dźwiga na plecach. Szara zmoczona spódnica, przylega do bosych jej nóg, obutych w stare wykrzywione trzewiki. Jakaż to w niej siła, jakie poczucie samodzielności własnej!

Równém życiem tchnie wieśniaczka pędzla Jacqueta, ogorzała na słońcu, w łatanym gorsecie, podparta pod bok żyłastą ręką, gotowa do sierpa i do grabi. Nie zna ona teorii nowoczesnych, wyraz *emancypacja* nie obił się nigdy o jej ucho; ale z krzepkiej postawy zgadniesz odrazu, że gdy pójdzie na zagon, wara temu ktoby chciał ją prześcignąć!

Zajrzyjmy teraz do chaty bretońskiej, pędzla Hublina. Ojciec siedzi na ławie, matka w wysokim białym czepcu, stoi przy nim drżąca jak listek, młode dziewczątko czyta list nadeszły z obozu. Starzy słuchają pilnie, połykają łyzy...

Na boku widać stół zastawiony skromną wieczerzą. Wszystko tu tak samo jak było, kiedy chłopiec opuszczał próg domowy, który wciąż stoi mu przed oczyma jak się wyraża w liście:

Widzę izbę i półki przyparte o ścianę,  
I misy farfuruowe, dzbanki malowane;  
Na stole garść orzechów, kawał szynki tłustej:  
Z misy na całą izbę bucha woń kapusty.

Popularny poemacik Franciszka Coppéc: *List z obozu młodego Bretona*, dał malarzowi myśl do rzetelnego utworu.

P. Feyeux w dwóch obrazach pokazuje nam krzepkie Normandki z Cancalle. O dziennym brzasku spieszą na połów ostryg, o zachodzie słońca sprzedają łup zdobyty; z radosną pieśnią podążają do pracy: z dumą obliczają dzienny zarobek. Na innym obrazie widzimy normandzkie kobiety, zaprzężone do ogromnego koła. Ciągną grubą linę, istne konie w deptaku; okręt tymczasem, dzięki ich wysileniu wpływa spokojnie do przystani. Tu znowu w pięknym obrazie Poirsona, tłum rybaków i rybaczek pędzi nad brzeg, z pękami lin w ręku, z wyrazem przerażenia na twarzy. Wicher dmie, na niebie kłębią się czarne chmury, w oddaleniu widać statek miotany wściekłą burzą. Chwila zwłoki, już po nim. Dramat oddany potężnie: kto widział ten obraz, nigdy go nie zapomni.

Mnóstwo spotykamy rybaków i rybaczek. Francya wdzięczna swym bretońskim i normandzkim marynarzom, iż w pośród klęsk podtrzymali tak dzielnie godność narodową, pragnie uczcić ich na każdym kroku, to pieśnią poetów, to pędzlem swych malarzy.



Niepodobna wyliczyć nam wszystkich obrazków, w których widzimy lud wieśniaczy z całej przestrzeni kraju, oddany żywo z charakterystyką miejscową. Tu wpada nam w oko rodzina flamandzka, zamożna, rozmiłowana w pracy; tam spostrzegamy grupę dzielnych Owerniaków, nieodrodných potomków Wercyngetoryksa. Alzatzcy, do których Francya nie zrzeka się praw dawnych, świetnie oddani pędzlem własnych artystów. Pabst odmalował wybornie młodą gosposię, krzątającą się w kuchni i krzepką młodzież, grającą w kregle pod wystawą, obrosłą winogradem. Wspomnimy tu jeszcze śliczny obraz pani Chatillon. Rodzina alzacka opuszcza kraj zabrany przez Prusaków, podąża do Francyi. Dwaj dorodni synowie niosą w krzesle starego ojca, matka idzie podpierając się kijem, z podrózną torbą na plecach; młoda synowa piastuje dziecię, a oczyma ściga dachy rodzinnej wioski; druga ciągnie wózek z niemowlęciem, przy niej stąpa małeńka dziewczeczka: na każdej twarzy boleść połączona z rezygnacją i niezgasłą nadzieją.

Snać artystka czuje głęboko upokorzenie kraju swego: na inném płótnie przedstawiła śpiącego chłopczyne w błękitnej sukience marynarskiej. Na czapeczce wyszyty wyraz *Révenge!* Pięcioletni chłopczyk urodzony w dniach klęski i hańby, to zwiastun nowego pokolenia. Przyszły mściciel zasypia głęboko, trzyma w ręczce wiązkę stokroci.

Całą chmarę przyszłych republikanów i republikanek przedstawia śliczny obraz Delagreva: *Sala ochrony w domu Siostr miłosierdzia*. Jedne główki wyglądają z nad drugich, jak kwiaty rozkwitłe latem na grządce ogrodowej; wszystkie podobne niby do siebie, a przecież jaka w nich różnaitość. Jedna uśmiecha się wesoło, druga patrzy z pod oka, trzecia spogląda na jabłka stojące w koszu. Siostra zakonna przechodzi poważnie, między ową czeladką Bożą, jak pilna ogrodniczka w pośród kwiecistej grzedy. Promień słońca wbiega przez okno i powodzią światła zalewa całą salę.

Wielu cudzoziemców wzięło w tym roku udział w wystawie paryzkiej; Amerykanów samych naliczyliśmy do trzydziestu. Są to wszystko uczniowie kształcący się w pracowniach mistrzów tutejszych; utwory ich nie przedstawiają charakteru miejscowego. Włosi w liczbie pięćdziesięciu, nie odznaczają się także osobnym piętnem. Hiszpanie o wiele samodzielniejsi; z malarzy ich, Cortez wystawił piękną scenę *powrót z jarmarku w Andaluzji*, Gonzales *powrót ze chrzcin do chaty wiejskiej*. Niderlandczyk Tydgadt nadesłał *Obrząd weselny w Holandyi*: panna młoda, starym zwyczajem, daje narzeczonemu ogromną fajkę, przystrojoną w długie wstęgi i wieńce kwiatów. Skandynawi, mistrze w oddaniu scen ludowych, czyto piórem czy pędzlem, roztworzyli szeroko wnętrza chat swoich, zaczawszy od gór Dalekarlii, aż po lańskie lodowiska: ich krajobrazy, odrębnym nacechowane piętnem.

Artyści nasi pięknie też reprezentowani na wystawie: naliczyliśmy aż do trzydziestu imion polskich. Mówiliśmy już o obrazach pp. Gersona, Suchodolskiego, Alchimowicza, Cetnera i panny Mikulskiej; rzućmy jeszcze okiem na prace innych rodaków naszych. Pan Bakałowicz

mistrz w oddaniu atłasów i aksamitów, ukazał, w dosyć obszernych ramach, jakąś bohaterkę salonową wybierającą się w drogę, jak świadczy napis *Depart*, po nowe hołdy i tryumfy. Inną bohaterkę ukazał nam p. Szyndler uczeń Cabanella; ta w rycerskim przyborze snać innych pragnie wieńców. Portret pana Wag... wykonany zarówno pędzlem Szyndlera, uderza nadzwyczajnym podobieństwem. Józef Szermentowski, w ślicznym krajobrazie przedstawił krowy pasące się nad strugą. Wszystko tu nasze: i blade niebo, i woda zarosła tatarakiem, i wierzby z pochylonemi ku niej gałęziami. Dość rzucić okiem na przedmiot, aby zgadnąć co wyobraża: czuć w nim zapach macierzanki i żywiczną woń naszych sosen.

Przepamniał tej woni p. Gąsowski, odmalował bowiem letni wieczór, nie w naszej polskiej wiosce, ale w okolicy Casteljaloux. Pędzel jego śmiały, metoda dobra, znać w nim ucznia sławnego Rousseau. Pan Walery Brochocki z Włocławka, pięknie też oddał wnętrze lasu, i przedmieście małego miasteczka w Galicyi. P. Bolesław Łaszczyński przysłał rzewny obrazek: *Ostatnie chwile Chopina*. Opisywać go nie będziemy, znany bowiem w Warszawie; powiemy tylko, że tak wykonaniem jak i samym przedmiotem, żywo zajął Francuzów, którym osobistość Chopina, znana dobrze i dotąd pamiętna.

P. Kozakiewicz, uczeń szkoły krakowskiej, a następnie wiedeńskiej i mnichowskiej, obrał nadzwyczaj zajmujący przedmiot: scenę z czasów konfederacyi barskiej. Szlachcic w kontuszu naostrza karabelę i młodzieuczna dziewczeczka patrzy mu w oczy z trwogą; inny konfederat przestępuje próg domu: garstka domowników głęboko poruszona; dwóch włościan trzyma okulbaczone konie: wiele mówi ten obraz!

Głębiej w przeszłość sięgnął p. Julian Maszyński, uczeń p. Gersona. Przedstawił on pokutę szlachcica polskiego w XVI wieku. Skruszony grzesznik kłęczy z pokorą obnażony do pasa: dwaj bernardyni smagają mu plecy twardym rzemieniem; wyraz pobożnej skruchy oddany przewybornie, równie jak i postacie młodych mnichów.

Wspomnijmy tu jeszcze *owoce* p. Łukaszewskiego, *kobietę z papugą* p. Piątkowskiego, *salon w Luwrze* p. Przepiórskiego; portrety pp. Roszczewskiego i Sokołowskiego. Samo przyjęcie na wystawę świadczy o ich wartości, komisya bowiem przyjmująca obrazy, wybredna była w tym roku, zwłaszcza dla cudzoziemców.

P. Józef Chełmoński z Warszawy, uczeń pp. Gersona i Gerymskiego, sprawił wielkie na Francuzach wrażenie dwoma ukraińskimi krajobrazami. Jeden przedstawia roztop śniegów, drugi scenę przed wójtem. Przytaczamy tu słowa jednego z pierwszych krytyków, p. Pawła S. Victor. Ocenienie Francuza, nieskorego do sypania kadzideł ani swoim ani też obcym, daje nie małą rękojmiej rzeczowistęj doniosłości tego utworu.

„Chcesz-li—mówi krytyk—orzeczyć się kolorytem miejscowym, wypić że tak powiem łyk palącej żytniówki, zatrzymaj się przed scenami na Ukrainie p. Józefa Chełmońskiego. Jedna z nich *przed wójtem*



wyobraża przyjazd wyższego urzędnika do wioski. Wysiadł w progu *izby* (chaty) pobudowanej z drzewa. Konie uprężone do sanek, buchają kłębami pary, jak gdyby wlokły Mazepę po nieścignionych okiem stepach. Starszyzna miejscowa pochyla grzbiet przed nowo przybyłym. Postacie te w kożuchach, dziwnie charakterystyczne; twarze ich zaczerwienione od mrozu i alkoholu. Odznacza się między niwi siwy starzec, otulony w futro po uszy, istny syn *generała zimy*, który zbił Napoleońską armią w r. 1812. Wykonanie śmiałe, szorstkie, odpowiada wybornie rzeczy. Niektóre głowy rzekłbyś namazane palcem, ale ów szkic stokroć wymowniejszy tak jak jest, niż gdyby był staranniej wygładzony. W głębi piętrzą się dachy, całkiem zasłane śniegiem na tle lodowatego nieba. Silne wrażenie sprawia ten obraz, tém silniejsze iż jak widać rzucony na płótno odrazu w chwili, gdy wpadł w oczy artysty: czas nie zmroził twórczego natchnienia. Mało znam obrazów, któreby tak nagle uderzyły myśl, przecuciem stron dalekich i nieznanych."

Pochwała to nadzwyczaj chlubna. Pytamy tylko, czy znakomity krytyk zrozumiał Ukrainę? czy go nie wprowadziły w błąd, pomieszane typy, jakie nasz artysta zebrał w scenie *przed wójtem*? Siedziba kmieci ukraińskich ma w sobie izbę, ależ nie zowie się *izbą* tylko *chatą*. Nie na ukraińskich to stepach *generał zima* pokonał wojska Napoleońskie! Gdyby p. Wiktor de St. Paul pojął prawdziwy typ Ukraińców, podniósłby go właśnie w drugim obrazie, o którym ogólnikowo tylko wspomina. Tu na przyzbie przed chatą widzimy rzeczywistych wieśniaków tych okolic. Tak wytrawny krytyk, powinienby lepiej obznajmić się z etnografią.

Rzeczywistych Ukraińców widzimy także na wielkim rysowanym obrazie panny Mikulskiej. Młoda artystka zapuściła się w roku zeszłym, w strony Białocerkwi. Tam nakreśliła z natury, dwa wyborne typy lirników ukraińskich. Siedzą obaj na ziemi z lirami w ręku: poza nimi stoi młody chłopiec, jak widać przewodnik ślepych dziadów. Mamy nadzieję, że artystka odtworzy ten obraz na płótnie: miejscowy koloryt podniesie jeszcze jego istotną wartość.

W dziale akwarelli uważaliśmy portret pędzla pana Czechowicza na porcelanie, jak niemniej reprodukcye z Rembrandta pani Przepiórskiej; Madonnę według Bougereau pani Płużańskiej, i symboliczny utwór Prudona, *zbrodnię w obec sprawiedliwości*, powtórzone na fajansie przez panią Konstancją Boulard z Warszawy.

Z pomiędzy dwóch tysięcy olejnych obrazów, żadnemu w tym roku sąd przysięgłych nie przyznał medalu honorowego. Wysoki ten zaszczyt przypadł rzeźbie, równie jak w roku zeszłym. Rzeźba téż w rzeczy samój, króluje dziś w sztuce francuzkiej. Do wielkiego uroku, jaki sprawiają na widzach liczne grupy, posągi i popiersia, przyczynia się wielce ich pomieszczenie w ogrodzie oszklonym, wśród kwiatów i zieleni. Pomiedzy niemi uderzał w oczy kolosalnym rozmiarem *posąg Lamartina*, dłuta pana Falguerre, przeznaczony dla miasta Ma-



con. Posąg ten wystawiony na zeszlórocznym konkursie, otrzymał nagrodę od rodzinnego miasta poety. Dziś, czy to stracił na wykończeniu, czy też przyćmiły go inne udatniejsze utwory, nie bardzo się estetycznie przedstawia. Trudne to dla rzeźbiarza zadanie, odtwarzać rzeczywistość podniesioną do kolosalnych rozmiarów. Rysy Lamartina regularnie piękne, rozpromienione blaskiem ideału, mogłyby być dla malarza, wdzięcznym nadzwyczaj wzorem; rzeźba tymczasem, wymaga klasycznych kształtów ciała, których pocie niedostawało. Wyobraźmy sobie postać szczupłą, wysmukłą, eteryczną, w długim angielskim surducie, wspartą o krzak bluszczowy, który patrząc z frontu, śmiesznie trochę wybiega z poza bioder. Wspaniałej przedstawia się posąg marszałka Niel, dłuta Craucka, przeznaczony dla miasta Muret.

Z religijnych przedmiotów, na szczególną zasługuje uwagę grupa utworu Sansóna: *Najświętsza Panna Bolesna, nad zmarłym Chrystusem*. Piękny też *S-ty Jan z Maty* dłuta Hiolla; pobożny trynitarz ukazuje więzy rozkutyh przez siebie niewolników, oblicze jego tchnie zapamię. Ów posąg przeznaczony dla kościoła Ś-tój Genowefy, godne miejsce zajmie, w tym przyszłym Muzeum sztuki XIX wieku.

W pośród symbolicznych rzeźb uderzył nas krzepki *Gal* przykuty do słupa. Rozpacz, wstyd i boleść, odane w najwymowniejszy sposób. Niestety! jedyny to Gal na tegorocznej wystawie. Twórca jego p. Lequesne, sam jeden pojął, jak bogatym źródłem dla sztuki, byłyby tradycje starych Gallów. Gdyby artyści czerpać w nich tylko chcieli! O ile ten Gal przedstawia się wspaniale, o tyle znów Francya Clesyngera nieszczęśliwie wygląda. Wyobraźmy sobie szczupłą elegancką Paryżankę, uzbrojoną w ryszunek wojenny. Drobnieczne rysy jój, giną pod spiżowym szyszakiem, wążka kibić zgina się pod zbroją!

Pomijamy Bachusów, Satyrów i Amorów, których napotykałyśmy do przesytu; z mytologicznych rzeźb, wspomnimy tylko Perseusza w walce z Gorgoną, dzieło p. Marquesta, słusznie złotym uwienzione medalem. Młody ten uczeń szkoły rzymskiej, wielkie zapowiada nadzieje. Oblicze bohatera tchnie zgrozą, postać wyraża siłę pewną zwycięstwa.

W liczbie dwudziestu pięciu rzeźbiarek, które w tym roku wystąpiły, góruje nad innymi Sara Bernhardt, artystka teatru francuzkiego. W przeszłym już roku zwróciły naszą uwagę, wykonane przez nią popiersia; w tym roku zadziwiła wszystkich, tak publiczność jak sędziów, wielka grupa rodzajowa jój utworu, pełna niepospolitych zalet. Grupa ta przedstawia starą rybaczkę, trzymającą w objęciu zwłoki syna, snąc świeżo wydobyte z wody. Boleść matki oddana z nadzwyczajną potęgą; niepodobna bez dreszczu patrzeć na rysy jój skurczone konwulsyjnie, na usta rozwarłe szeroko, wołające daremnie o ratunek. Pęk sieci rybackich, malowniczo uzupełnia całość tej pięknej kompozycji. Sądzę przysięgłych tak nieprześlągany dla kobiet, zaszczycił jednak utwór panny Bernhardt chlubną wzmianką. Jedyny to zaszczyt, jaki spotkał jedną z pięciuset artystek na tegorocznej wystawie; zaszczyt zbyt mały, gdyż Sara Bernhardt zasłużyła niewątpliwie na medal.

Spotykamy wśród rzeźb, kilka imion rodaków naszych; pierwszym z nich: znane dobrze w kraju imię Cypryana Godebskiego. Artysta wystawił popiersie kobiety, olbrzymich rozmiarów, z obliczem wyrażającym zgrozę. Na głowie ma hełm; wąż oplata się wkoło szyi. Postać cała tchnie życiem, znaczenie jej tylko pozostało dla nas nierozwikłaną zagadką. Napis *Odium* niedostatecznie ją tłumaczy.

Pan Władysław Hegel z Warszawy wykonał biust kobiety; p. Teodor Rygier popiersie dr. Levitoux; p. Nikanor Płaza, polak sądząc z nazwiska, nadesłał z Chili popiersie uczonego Domejki, rektora uniwersytetu z San Jago. Z radością patrzyliśmy na szlachetne rysy męża, który, głęboką nauką i zyskaną powagą, czyni zaszczyt Polsce na drugiej półkuli, a którego najściślejsze związki przyjaźni, łączyły od młodu z Mickiewiczem.

Przystąpmy nakoniec do prawdziwego arcydzieła, które zjednało p. Dubois wielki honorowy medal, i podniosło go do rzędu najznakomitszych mistrzów tej epoki. Mówimy tu o dwóch cudnie pięknych posągach, przeznaczonych do ozdobienia grobowca generała Lainoricière w mieście Nantes. Jeden z nich wyobraża *miłosierdzie*, w postaci młodej wieśniaczki. Prawą ręką przyciska do piersi ssące niemowlę, drugą podtrzymuje uśpione starsze dzieciątko, z główką w tył przechyloną. Nic piękniejszego, jak ta dziecinka uśmiechająca się we śnie do niewidzialnych aniołów. Oblicze kobiety pełne powagi i spokoju, przypomina Madonny włoskich mistrzów. Odzież jej prosta, wieśniacza; cała postawa tchnie miłością i religijnem poświęceniem.

Drugi posąg symbolizuje *odwagę wojskową*, w postaci siedzącego żołnierza. Prawą rękę wsparł o kolano, lewą przytrzymuje rękojeść szpady: obie ręce nagie do łokcia, wykonane po mistrzowskiu. Na piersi zwieszoną ma tarczę, na głowie hełm z podniesioną przyłbicą. W rysach odbija głęboki rozmyśl i odwaga, pewna siebie, gotowa na wszystko! Spełnić powinność, czeka, rychło uderzy godzina czynu, rychło trąba zadzwoni znow pobudkę.

Imię p. Dubois od lat dziesięciu znane już w świecie artystycznym. Widzieliśmy z kolei na poprzednich wystawach: *Spiewaka florenckiego* i cudnie piękną *Ewe*, wykutą jego dłutem. Geniusz młodego mistrza rozwijał się widocznie od roku do roku, nigdy jednak nie dosięgnął tych wyżyn, na jakie wzbil się obecnie, dzięki wytrwałej pracy. Francya może pochłubić się jego arcydziełem, i ukazać je zwyciężko tym, który odebrałszy jej na czas jakiś polityczną przewagę, chcieliby jeszcze odebrać jej prawo przodownictwa na polu artystycznych zapasów. Paweł Dubois należy do wybranych, co podtrzymują sztandar ideału w ręku niezwyciężonej Francji!

Znany pedagog p. Hippeau, członek akademii nauk moralnych i politycznych, przygotował do druku dzieło o wychowaniu publicznem w Skandynawii. Pokazuje w niem organizacją szkolną tak po wsiach jak po miastach na całym Skandynawskim półwyspie; zapuszcza się

nawet w te strony, gdzie ludność wiejska zasypana śniegiem, pozbawiona promieni słonecznych, przez pół roku nie wychodzi za próg domu własnego.

Na jednym z ostatnich posiedzeń akademickich, autor czytał ciekawą ustęp z tego dzieła, dotyczący Danii. Skutkiem usiłowań prywatnych, uorganizowano tam niedawno wyższe szkoły dla włościan, rodzaj uniwersytetów wiejskich; takich zakładów istnieje siedmdziesiąt: uczęszcza do nich 2,500 młodzieży.

Szkoły te otwarte są od października do kwietnia. Kursa dzienne trwają po sześć do siedmiu godzin. Wykład po większej części opowiadany. Professorowie usiłują żywém słowem rozbudzić umysł uczniów, uderzyć ich wyobraźnią. Młodzież, która niedawno pasła trzody lub stąpała za pługiem, słucha pilnie opisu krajów skandynawskich, poznaje bogatą ich przyrodę, podziwia olbrzymie dzieła geniuszu ludzkiego, dokonane tu w ciągu wieków; bada zdarzenia historyczne zaszłe w Danii, śledzi rozwój przemysłu i rolnictwa. Literatura, muzyka, malarstwo, słowem wszystkie działy nauk i sztuk pięknych objęte są programatem szkolnym. Podobne zakłady, lubo w mniejszej liczbie, istnieją zarówno w Szwecyi i w Norwegii.

Skandynawia wytknęła nową drogę. Ani wątpić, że inne ludy europejskie naśladować będą przykład, tak zgodny z ideą wieku, a tak ważny dla prawdziwego postępu cywilizacyi. Ileżto zmarniało na świecie geniuszów, przez brak odpowiedniego wykształcenia!

Artysta p. Józef Wieniawski zachwycił téj wiosny Paryżanów, którzy z chlubą przypominają, że słynny fortepianista uczniem jest i laureatem konserwatorium paryzkiego. Na świetnym koncercie w sali Plejela, obsypano szczególnie oklaskami, wspaniałą jego symfonią koncertową z towarzyszeniem orkiestry, równie jak *walca melancholicznego* Moniuszki i *Scherzo z h mol* Chopina.

Oprócz tego pan Wieniawski dał się kilkakrotnie słyszeć w pomniejszych kołach, złożonych z wyborowego audytorium. Na jednym z tych artystyczno-literackich zebrań, znakomity nasz muzyk przebiegł kolejno najsłynniejszych mistrzów, zaczawszy od Bacha do Chopina i Liszta. Oczarowani słuchacze jęli prosić, aby zakończył sonatą Beethowena.

— Chętnie—odrzekł wirtuos—ale Beethoven zostawił trzydzieści ośm sonat: którą z nich mam odegrać?

— Czy pan wszystkie umiesz napamięć?—zapytano.

— Rzecz prosta! wszystko to arcydzieła, godziż się ich nie umieć?

— A więc prosimy o wielką sonatę *apassionata*.

— Najchętniej... ale z jakiego tonu?

Obecni spojrzeli na artystę niedowierzającym wzrokiem, wielu wzięło te słowa za żart.

— Żądana sonata — rzekł muzyk—napisana *z f mol*. W jakim tonie chcecie panowie bym ją zagrał?



— *Z es*—odparł ktoś z obecnych.

P. Wieniawski pomyślał chwilę, a potem odegrał transponowane arcydzieło, z niesłychanym podziwem znawców.

Muzyka polska w ogóle używa wielkiej wziętości pomiędzy Francuzami. Na zebraniu Orfeonu, w cyrku na Polach Elizejskich, wykonano między innymi *Krakowiaka* Moniuszki.

## KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

*Florencya, dnia 2 lipca 1876 roku.*

Nie ulega wątpliwości, że wiadomem jest redakcyi, iż uniwersytet Rzymski 1873 roku założył w swym gmachu Muzeum Kopernika; że takowe niezadługo będzie inaugurowane, że przeważnie nosić będzie charakter polski i że ja zajmuję się jego urządzeniem, a zwłaszcza działem polskim.

Pomimo pięciomiesięcznej pracy i *zebraniy* po całym kraju, nie dało mi się zebrać wszystkiego, co powinniśmy i możemy dostarczyć Muzeum, aby przekonać świat: 1) iż Kopernik był Polakiem, 2) że literatura nasza o nim sama z siebie więcej wydała, aniżeli piśmiennictwa całego świata razem wzięte, 3) że kraj nasz posiada jeszcze żywotność społeczną i o ile może pracuje na drodze postępu i cywilizacyi.

Muzeum Kopernika, przez kilkadziesiąt tysięcy cudzoziemców corocznie zwiedzane w Rzymie, więcej nam pożytku i zaszczytu przyniesie, aniżeli gdybyśmy sami w Warszawie lub jakim innem mieście założyli podobną instytucyą.

Wezwany przez profesora Berti'ego do zajęcia się działem polskim, przystąpiłem do dzieła i za pośrednictwem moich przyjaciół w kraju zebrałem już trochę przedmiotów, i mam nadzieję, iż za dwa miesiące Muzeum Kopernika w Rzymie będzie w posiadaniu wszystkiego tego, co kiedykolwiek kraj nasz zrobił i wydał na cześć swego astronoma. Na szczególniejsze uznanie i wdzięczność zasługują nasi artyści, którzy z chwalebą i zacną bezinteresownością pospieszyli z ofiarowaniem prac swoich, mających służyć ku ozdobie Muzeum. Pan Wiktor Brodzki ofiarował statuę gipsową Kopernika, p. Teofil Godecki wykonał dwa medaliony Kopernika i Galileusza, które teraz odlewają się z brązu, a na pokrycie kosztów zbiera się składka; p. Henryk Siemiradzki maluje swym mistrzowskim pędzlem, jaki cały Rzym po-

dziwia teraz w jego obrazie *Palenie chrześcian przez Nerona*, portret Kopernika według sztychu Falcka, który jedynie jest zgodny z rzeczywistością. Oprócz tego w Muzeum będzie pomieszczony marmurowy biust Kopernika wykonany przez p. Brodzkiego i gipsowa statua roboty p. Teodora Rygiera, która otrzymała 1873 r. premium na konkursie warszawskim. W pięknych ramach orzechowych zostaną rozwieszane po ścianach Muzeum następujące sztychy, drzeworyty i druki: 1) sztych Oleszczyńskiego, 2) objaśnienie tego sztychu; 3) rysunek Andriolego: *Astronomowie* w drzeworycie wykonany i ogłoszony przez Kłosa, 4) obraz Kopernika przez Matejkę, drzeworyt Tygodnika Ilustrowanego; 6) fotodruk sztychu Falcka, a jeżeli otrzymam oryginał, takowy zostanie umieszczony; 7) drzeworyt Tygodnika Ilustrowanego z obrazu Gersona; 8) *Fac simile* przedmowy Kopernika do dzieła *O obrotach ciał niebieskich*, 9) objaśnienie tej przedmowy; 10) sztych Reussnera z 1590 r. niecouszkodzony w dwóch miejscach; 11) fotodruk wszystkich medali Kopernika; 12) mapa Polski z czasów Kopernika; 13) sztych Astrolabium: Ptolomeusza, Kopernika i Tycho Bracha; 14) gablotka z 8-miu medalami Kopernika; 15) gablotka ze statuetkami Kopernika, wyrobu Mintra; 16) gablotka z medalami toruńskimi; 17) *gablotka z medalami gdańskimi z 1654 i 1758*; 18) gablotka z medalami Zygmunta i Bony; 19) gablotka z monetami Zygmunta I, a zwłaszcza z lat 1520—1540, w których Kopernik agitował za wprowadzeniem monety polskiej do ziem Pruskich i 20) portret ojca Kopernika, dar p. Kraszewskiego. Dział bibliograficzny obejmować będzie przeszło 80 dzieł, broszur i artykułów o Koperniku. Z artykułów dziennikarskich układa się teraz tom Miscelaneów. W dziale tym zasługują na uwagę: piękne *Album* ilustracji warszawskich, dalej *Zbiór Polkowski* sztychów, fotodruków, litografii i drzeworytów, już to portretów, już to pomników, już wreszcie obrazów dotyczących toruńskiego astronoma, i *Zbiór Polkowski* listów Kopernika facsimiliowanych przez ks. kanonika Polkowskiego. Wszystkie dzieła będą oprawne w safian i płótno, stosownie do materyi i kategorii w czerwony lub niebieski, lub pargamin.

Na uroczystość inauguracyi będą zaproszeni: ministrowie, senat, parlament, ambasadorzy i wszystkie uniwersyteta, akademie i ciała uczone tak krajowe jak i zagraniczne. Dla podniesienia świetności inauguracyi i uwiecznienia jej pamięci będą rozdane zgromadzonemu następujące rzeczy: 1) włoska broszura o Koperniku i Galileuszu, 2) kantata Deotymy, wierszem, przetłumaczona przez Hektora Marcucci'ego; 3) drzeworyty z obrazów Matejki, Gersona, Andriollego etc.; 4) fotodruk lub drzeworyt z 5-ciu rzeźb polskich artystów, jakie znajdują się w Muzeum; 5) drzeworyt ze sztychu Falcka z krótkim życiorysem Kopernika; 6) rozprawa o Muzeum wraz z katalogiem *darów polskich i wyluszczeniem ich ofiarodawców*; 7) zbiór listów i dokumentów dotyczących Kopernika, jeżeli na to znajdzie się fundusz.

Pomimo zgromadzonych zabytków, daleki jeszcze jestem od mego ideału, to jest od kompletnego zbioru, jak załączona tu lista świadczy. Poszukuję Szymona Starowolskiego: *Scriptorum polonicorum Hecatonlos, seu centum illustrium Poloniae scriptorum elogia et vitae*,” trzech wydań i sztychów Kopernikowskich z XVI, XVII i XVIII stulecia, jakie są wskazane w trzecim tomie *Kopernikianów* księdza Polkowskiego.

Do zbioru medali braknie mi: 1) Medalu Oleszczyńskiego z długim napisem, bitego z miedzi czy spiżu (zdaje się w Paryżu); 2) Medalu Oleszczyńskiego, bitego w Warszawie z miedzi z napisem krótkim: *Nicolao Copernico Polono Societas Reg. Liter. Vars.*; 3) Srebrny medal Majnerta, bity 1836 roku w Warszawie.

Dotąd zebrałem 36 sztuk półgroszków i groszy srebrnych z czasów Zygmunta I-go, a nie mam ani jednej sztuki trzygroszka, sześciu groszy srebrnych, talara i dukata, jakie między rokiem 1516 a 1540 były wprowadzone, ponieważ skutkiem agitacji Kopernika. Czyby warszawscy numizmatycy nie zechcieli ponieść ofiary ze swych zbiorów pod tym względem i przesłać kilka okazów dla Muzeum Kopernika.

Dr. Artur Wołyński.

#### *Spis rzeczy brakujących w Muzeum Kopernika w Rzymie.*

**Medale i monety.** 1) *Kopernika*, wybity z jednej strony tylko, w fabryce guzików Minheimera w Warszawie; 2) *Kopernika*, wybity 1845 r. o średnicy 15 milimetrów. Z jednej strony głowa Kopernika, z drugiej napis *Sta sol. 1473—1543*; 3) *Toruński* z popiersiem Jana Kazimierza z 1658 r.; 4) *Toruński* z 1731 r. z widokiem miasta; 5) *Gdańskie* z 1654 i 1758 na pamiątkę traktatu Toruńskiego 1454 r.; 6) *Wszelkie monety Zygmunta I*, a zwłaszcza z lat 1520—1540 (mamy już sztuk 30); 7) *Wszelkie medale Zygmunta I i Bony* (nie mamy jeszcze ani jednego).

**Warszawskie litografie Kopernika.** 1) Zamieszczona w czwartym tomie *Wyboru pisarzy polskich* wydanego 1805 r. przez Mostowskiego w Warszawie; 2) Z podpisem „Mikołaj Kopernik” in 8 o przed 1830 r.; 3) Podług portretu Kupernego po astronomie Parelli w Bolonii, wydana przez Sebastjana Ciampi 1826 r.; 4) Wydana w zakładzie Kosmińskiego 1829 r.; 5) Wydana 1830 r. z podpisem: *Polskie wydało go Plemię—Wstrzymał słońce, wzruszył ziemię*; 6) Wykonana 1852 r. przez Piwarskiego z podpisem *Podług dawnego obrazu znajdującego się w obserwatoryum warszawskiém*; 7) Wykonana 1854 r. przez Piwarskiego do warszawskiej edycji pism Kopernika; 8) Drzeworyt Pomnika Toruńskiego przez Adolfa Dietricha w kalendarzu Ungra 1854 r.; 9) Portret nr. 115 z atlasu Jana Minhejmiera wydanego 1860 r. pod tytułem „300 znakomych Polaków”; 10) Rozrywki N. 24 Klementyny z Tańskich Hofmanowej wraz z portretem Kopernika.

**Dzieła.** 1) *Historya literatury polskiej* przez Bartoszewicza (Warszawa 1861 r.), przez Łukaszewicza (Poznań 1866), Rycharskie-



go (Kraków 1868), Rogalskiego (Warszawa 1871) i przez Wójcickiego; 2) *Astronomie popularne* przez ks. Putyatyckiego (Warsz. 1855 r.), Juliana Fontanę (Poznań 1869 r.) i Celińskiego; 3) *Życie sławnych Polaków* przez ks. Józefa Konstantego Bogusławskiego Warsz. 1788; 4) *Kompas Polski* przez Wojciecha Jastrzębowskię. Warsz. 1843 r.; 5) *O astronomii w Polsce* przez Feliksa Kucharzewskiego, Paryż 1872 r.; 6) *Wiadomości do historyi sztuki lekarskiej w Polsce* przez Ludwika Gąsiorowskiego, Poznań 1839 r.; 7) *Dykcyonarz Poetów polskich* przez ks. Juszyńskiego; 8) *O litewskich i polskich prawach* przez Tadeusza Czackiego; 9) *Życiorys M. Kopernika* przez Jana Śniadeckiego, Warszawa 1802 r.; 10) *Discours sur Nicolas Kopernik par Jean Śniadecki* traduit par Tęgoborski, Warszawa 1802 i 1818; 11) *Zbiór pism Dominika Szulca*, Warszawa 1854; 12) *O Polakach w Bononii i Padwie* przez Aleks. Przedzieckiego, Warszawa 1853 r.; 13) *Wspomnienie z życia szkolnego* przez Augusta Wilkońskiego. Warszawa 1841 r.; 14) *Obrazy wszechświata* Stella Sawicki, Lwów 1872.

Czasopisma warszawskie. 1) *Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk* rok 1802: tom 2, rok 1830 tom 21; 3) *Pamiętnik Warszawski*: rok 1802 i 1803 tomy 8 i 9, rok 1816 zeszyt sierpniowy i rok 1819 tom 14; 3) *Nowy Pamiętnik Warszawski* rok 7 str. 222; 4) *Pamiętnik Religijno-Moralny*, rok 1843 zeszyt 5 i 6; 5) *Przegląd Naukowy*, rok 1843 tom 2-gi (artykuł Wilkońskiego rok 1344, tłumaczenie ustępu z Cosmosa Humbolta o Koperniku; 6) *Noworocznik Warszawski Jutrzenka* 1834 r.; 7) *Kuryer Warszawski* rok 1843 r. nr. 18; 8) *Gazeta Warszawska* 1853 r. nr. 317; 9) *Dziennik Warszawski* 1825 tom 1 (odpowiedź Jana Śniadeckiego); 10) *Niwa* 1873 r. nr. 28 i 31; 11) *Przyroda i Przemysł* 1873 r. nr. 7 i 9; 12) *Przegląd Katolicki* rok 1871 r. nr. 36 i 37; 13) *Tygodnik Ilustrowany* rok 1860: tom 1 str. 64, rok 1861 tom 4 str. 52, r. 1865 nr. 299, r. 1871 nr. 164 i 165, r. 1873 i 1874 nr. 299, 270, 271, 272, 273 i 321 (w 2 egzemplarzach).

## PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Historya Starożytna ułożona przez Tadeusza Korzóna. Warszawa 1876.*

Nie po raz pierwszy autor występuje na polu pedagogiczném, a w kierunku dziejowym. Nad wartością jego *Kursu wieków sre-*

*dnich* już się w łamach Biblioteki Warszawskiej inne pióro zastanawiało. Dziś przychodzi zdać sprawę z drugiej próby tego samego autora, orzec o ile lepij lub gorzej od pierwszej wypadła druga.

Z góry powiedzmy, że pomimo znacznej liczby książek podręcznych do wykładu a raczej do użytku uczących się historii, zamiar napisania odpowiedniego kompendyum bynajmniej nie był niestosownym. Autor nowj *Historji Starożytnj* dał poznać w „Przedmowie do panów nauczycieli i nauczycielek,” powody skłaniające go do przeprowadzenia w czyn takiego zamiaru. Wyznać należy jednak, że lepszą od wymotywowania jest treść (nie forma) postulatów dla podręcznika historycznego przez autora stawionych. Uskarża się mianowicie na upowszechnione mniemanie, jakoby w pierwotnym wykładzie historii należało dawać dzieciom biografie, anegdoty lub ćwiczenia chronologiczne. Aczkolwiek przyznaje tój metodzie traktowania historii zalety przystępności i powab zajęcia, przecież widzi zarazem brak związku i ładu w tak dawanym materyale.

Pragnie „jasności pojęć, dokładności określeń, systematyczności w układzie szczegółów, dochodzenia do ogólnego poglądu na całość nauki,” a to z tój ważnej przyczyny, iż „ideału elementarnego wykładu historii szuka, nie w mnogości imion, dat i faktów, ale w przyswojeniu sobie przez ucznia skomplikowanych wielce pojęć historycznych. Zatem żąda, by po krótkim kursie geografii, chociaż dwunasto lub trzynasto letnim, próbować wszczepić jeszcze pojęcia o religiach, poezyi, sztuce, rządach, przewrotach społecznych, o narodach, państwach, prawach, nauce, o całej cywilizacji.”

Zaiste, zapatrując się bacznie na większość używanych przy wykładzie podręczników, przyznać należy, że powyższe postulata autora, przez nie bynajmniej nie są spełniane. Żadne z pojęć historycznych, które autor wzmiankował, nietylko że nie jest wyjaśnione przez podręcznik, ale nawet *wykład ustny* nauczyciela nie zawsze kusi się o uzupełnienie tego braku.

Ztąd też bardzo długo, nawet w późniejszym wieku, zdarza się spotykać ludzi używających pewnych terminów historyografii właściwych, bez możności jasnego ich wytłumaczenia i sobie i innym. Pierwiastki dziejów może zbyt bezładnie przez naszego autora wyliczone, są stroną nauki najbardziej lekceważoną, najpowszechniej pomijaną, milczeniem i w książce i przez nauczyciela. Ztąd najsmutniejsze rzeczy dzieją się w życiu, w skutek takiej nieznamomości prawdziwej „nauki życia,” którą jakże wykładają? Najczęściej zdarza się, że rzekomy nauczyciel od punktu do punktu zadawszy część kursu, każe go następnie wydawać na pamięć, nawet dosłownie, nie troszcząc się o to czy nie należy błędów korekty lub autora poprawić lub opuszczeń uzupełnić. Systemat uczenia się mechanicznego na pamięć został co prawda uszanowany i przez autora najnowszj *Historji Starożytnj*, wszakże z ograniczeniem do tak zwanj treści syste-

matycznej, jakby summaryusza tego, co dziecko przeczytało obszerniej. Nadto „wykucie” na pamięć ma być dopiero praktykowane przez dziecko po urobieniu się w umyśle jego wyobrażeń i pojęć z czytania i po sprawdzeniu ich jasności przez nauczyciela. Rzecz więc praktycznie biorąc, możnaby śmiało powiedzieć, że po tej, zaleconej przez autora, samodzielnej pracy przyswajającej dziecka, po wzięciu przez nie treści rozdziału: *na rozum*; żądanie, by się uczyło jeszcze na pamięć suchej konotaty imion i cyfr, jest tylko hołdem oddanym przez p. Korzona dawnej, a zganionej przez się rutynie, jest powrotem do tego, z czego wyłamać się zalecał. Również z tą rutyną sprzecznym jest bardzo słuszne żądanie autora, aby po ukończeniu każdego z działów kursu, całość została związaną w obraz ogólny; szkoda tylko że jedynie podług tablicy synchronistycznej, i aby spórzędnie z opowieścią zdarzeń, studyowanie ich widowni, lub nawet rysowanie postępowało.

Widać z tego, że autor dobrze pojmował wady obecnego systemu nauczania historii, gdy pragnął przedewszystkiem, przedstawić samą treść ubiegłego żywota ludzkości, w jej organicznym związku, uchwycenia jądra, już wyzwolonego od suchej łupiny: czczych spisów nazwisk panujących, licznych szczegółów o bitwach, terytorjalnych podbojach, jednostkowych przygodach niecharakteryzujących ogółu i t. d. Rzeczy te przypadkowe, łatwo ulegające niepamięci, miały ustąpić głębszemu zbadaniu tego, co zwiemy ludzkością, życiem ogółu, co rzeczwiście historią czyni nauką. Wykaz dzieł wskazuje, że autor kuśił się o zrobienie swego wykładu odbiciem najświeższych zdobyczy nauki na obranym przezeń polu.

W całym dziełku przejawiają się jeszcze inne nowości pożądane, bo liczne drzeworyty objaśniające słowa tekstu, aczkolwiek nie są zawsze wyraźne (fig. 24 str. 38. fig. 16 str. 77), zamało liczne (w Grecyi) jednostronne (przewaga wojskowości w Rzymie) albo też prawie ich zaniechano (przy Hebreach, Fenicyi, Kartaginie). To co już jest jednak silniej i wyraźniej działać może jako objaśnienie, niż długie wywody.

Zobaczmy szczegółowiej o ile autor dopiął swego celu. Myśli ma szczęśliwe, ale mniej trafnych dobióra materiałów do swjej pracy. Spis źródeł podanych przez autora jest zbiorem rozmaitych wartości utworów.. Źródła spotykają się z opracowaniami, studia źródłowe z podręcznikami, popularyzujące wykłady z materyałami.

Ztąd wynikało, że Kossowicz i Boeck wydawcy źródeł stanęli obok Beulego, wytwornego ale powierzchownego dworskiego opowiadacza; filozofujący, poważny Grote i tendencyjny Mommsen ocierają się o niespórzędnych autorów podręczników jak Duruy, Lange, Gul i Koner, lub też szperaczy jak Szwegler. Zetknęli się



liczni a różnej wartości przedstawiciele jednego działu ku upośledzeniu drugiego. Puchta, Ihering, Zielonacki aż trzech prawników! nie mówiąc już nic o Fustel de Coulanges, i o groźnym wyrażeniu „i innych.“

Co przy Gulu i Konerze robią tacy specjaliści jak Overbeck i Canina?

Jest Lepsius, Lenormant, Szmitt, Rawlinson, Menant, do Egiptu i Azyi, a rzecz i autorzy o Indyach opuszczeni, jak gdyby mówiąc o „religiach starożytności,“ o tej ich kolebce wolno było zapomnieć.

Jest wprawdzie niby rozdział VI poświęcony temu przedmiotowi, ale gdy widzimy oddane Egiptowi dwa dziesiątki (str. 1—36) stronic, Semitom półtrzecia (str. 37—63), słusznie możemy się poskarżyć na zbycie Indyi trzema stronicami, i w jaki sposób jeszcze! Nie ma też obok wydawców źródeł jak Kossowicz, Boeck: Opperta, Spiegla, przynajmniej równie ważnych jeżeli nie równie jak wymienieni niepotrzebnych. Jest wspomniany np. Grote, a czemu nie ma Curtiusa, Droysena, Ottfr. Müllera, czemu nie ma przeciwnika Mommsena, Ihnego?

Załączymy, że autor uważał za rzecz niestosowną mówić o Chinach i Japonii. Źródełby nie zbrakło, choć ich nie wyliczył, a w obec faktu, że Chiny sięgały i moralną i polityczną swą władzą, aż do morza Kaspijskiego i wysyłały posłów aż do Rzymu, godziło się tej Grecyi czy Rzymowi Azyi poświęcić jakiś ustęp. Autor, odstępujący od rutyny, powinien był też niezapominać w starożytności o Wschodzie i Północy Europy, oraz nietylko w notach wspominać (np. s. 288) o państwach, które zajęły po Aleksandryjskiej epoce Azyą i kotlinę morza Czarnego. Toć to dalsi promotorowie historycznego zadania Aleksandra W., nieraz mimowolni amalgamatorowie kultury Grecyi i Wschodu. Autor nawet nie podał żadnego dzieła do tej epoki specjalnego, jak to uczynił dla innych.

To też podobno nie będziemy niesprawiedliwymi dla autora, twierdząc, że może zbyt wiele a niepotrzebnie zadał sobie trudu odpowiednio do założonego celu. Przy układaniu podręczników dla naszej społeczności, wystarczyłoby *przewertować* najsumienniejsze kompendya przez specjalistów dla każdego działu wydane, i takowe umiejętnie i stosownie do powziętego planu, złąć w organiczną całość.

Przy takiej pracy, rozstrzyganie lub wzmiankowanie wątpliwości, do czego czuje się powołanym autor (np. str. 164 n., str. 10 por. str. 176 n. 1, „consules-radcy albo może spółtowarzysze,“ a czemu nie spół-skaczący Mommsena)? było rzeczą zbyteczną, dość było powiedzieć za kim się postępowano w wykładzie. Po autorze bowiem podręcznika nie wymaga się studyów samodzielnych, niech będzie światłym swoim pedagogiem, i świadomym co obce władze wychowawcze i umiejętna krytyka uznały za odpowiednie do nauki młodzieży. Niech dobrze przyswoi, według należycie obmyślanego planu, co inni zbadali, to już będzie dostateczne. Po spisie dzieł wnosząc, przypuściłoby mo-

zna, że autor tak prosto rzeczy nie rozumiał. Zobaczmy, czy choć w tekście, ułożonego przez się dobrego programu, autor dopełnił.

Autor wziął za swych czytelników dzieci lat 12—13, t. j. starsze i nieco przygotowane. Wszakże, traktowanie przedmiotu w różnych częściach dziełka wskazuje zupełnie niezdecydowanie dla kogo ono ma służyć: jestże to jasny i prosty wykład historycznych pojęć, gdy autor na zapytanie, co to jest historia? daje odpowiedź zawierającą taki ustęp: „Historia poda te tylko wypadki, które wyjaśnią, dlaczego sami nie jesteście Irokezami? dlaczego wy dziwicie się i wyśmiewacie z nich, kiedy sami nie tak bardzo jesteście mądrzy, i dużo musicie się nauczyć.“ Autor tu miesza dwie odrębne kwestye:

Pierwszą jest, czemu czytelnicy autora nie są Irokezami, to jest autor potrącać się zdaje kwestyą nierozstrzygniętą nigdy losów człowieka, czemu rodzi się tu lub tam, takim lub innym, teraz lub kiedy indziej. Pytanie, przyobleczone w formę wyżej cytowaną, inną myśl wypowiadać nie może, jak tylko tę, że historia może być metafizyką. Tymczasem ze słów autora następnych okazuje się, że Irokezi są tu dla niego synonimem ludów dzikich, które w niewykształceniu swém są porównane z dziećmi, choćby cywilizowanych rodziców.

Ta skłonność do różnych figur retorycznych wywołuje żywość form i obfitość słowa, może nazbyt niestosowną do zamierzonego celu.

P. Korzon, przerzucając się żywcem w ducha swych mniejszych czytelników, pisze: „Chcielibyście zapewne dowiedzieć się *odrazu* co jest historia, w paru słowach.“ I na to odpowiada: „*powiem krótko*,“ na dwóch stronicach. A stopniowanie, by otrzymać definicyą historyi tak się zaczyna: „Historia jest *długie* opowiadanie o tém, co się działo z ludźmi przed laty dziesięcioma... *ba* nawet przeszło 6,000.“ Mówiąc nawiasem, cyfra ta ostatnia jest błędną, bo peryody sotyackie 1460 lat liczące, nie mogły być ustalone jak po zrównaniach się początku roku cywilnego egipskiego z rokiem astronomicznym, które to zgadzanie się właśnie stanowi podstawę tego peryodu. Pięć zaś najmniej peryodów ( $1460 \times 5 = 7300$ ) potrzebnych chyba do wykrycia tego prawa astronomicznego już przewyższa cyfrę u autora dawność historyi określającą, lecz idźmy dalej za myślą autora. „Przygód tych ludziom wiele się zdarzyło, ale ich wszystkich *niepodobnaby* nawet opowiedzieć.“ Tak twierdzi autor, a źródło niepodobieństwa tak podaje: „Wam by się sprzykrzyło słuchanie i czytanie. Zniccierpliwieni zawołali byście, a po co nam ta ciekawość?“

Autor uspakaja te trwogi bardzo nauczające i potrzebne przy definicyi prostej i jasnej: „Nie bójcie się, historia nie będzie wam opowiadała o każdym chłopaku i wszystkich chociażby najfiglarniejszych dziewczkach jakie są na świecie.“ Autor w ogóle lubi pisać tak jakby mówił, lubi ten sposób zwracania się w książce jakby z katedry bezpośrednio do czytelnika.

„Wyobraźcie sobie jaka to męczarnia“ (str. 6), „oto możecie sami widzieć takie topory... ja próbowałem rąbać takim kamieniem“ (str. 7). „Nie wiem i nie mogę się domyślcć“ (str. 10), „przypatrzcie się jak trątnie narysowane.“ Autor też często zapominając o swém założeniu, iż

mówi do dzieci 12—13 letnich, robi uwagi, dobre do dzieła poważnego. Tu należy odsyłanie na naukę koptyjskiego języka do Lepsius'a, Chabasa, Mariette'a lub Bircha, lub uzalenie się że nikt z Polaków nie może czytać hieroglifów, „o ile mi wiadomo“ (str. 21). Później w swęj dedukcyi określenia historyi autor stosowniej rzecz prowadzi, choć przy tém jeszcze po trzykroć Irokezów wspomina. Definicya historyi, jako nauki opowiadającej życie ludzi i ludów, godnych wiekui-stej pamięci za utworzenie cywilizacyi dla nas, dałaby się może obro-nić, gdyby autor objaśnił poprzednio, co to jest naród, lud, i t. p. wy-razy tu użyte, a które później dopiero *niby* objaśnia.

Ośmielilibyśmy się téż zapytać, czy używając wyrazu oświata, cywilizacya, nie należało jeszcze dodać kultura, wyjaśnić znaczenie etymologiczne i odcienie jakie bądź co bądź w trzech tych wyrazach się kryją?

Następnie autor mówi o ważności dla dziejów i związku z niemi geografii i chronologii. Możemy żałować, że znając zapewne nowoczesny postęp nauk antropologicznych, czego dowodem jest wprowadze-nie do dziełka archeologii ludzkiej, autor zaniechał systemu Rittera w geografii. To niedość miejsce pokazać, gdzie się co działo, ale jak kraj wygląda będący widownią historyi. Wiadomą jest rzeczą, że nie posuwając się do skrajności, wszystko w wpływie przyrody na człowieka widzącej, trzeba wiele temu, „objawieniu się przez przyrodę woli Bożej“ (jak się wyraża Quinet) przypisać w dziejach ludów pierwotnych, a nawet i klasycznych. Taki ściślejszy związek geografii z historyą, byłby autorowi oszczędził smutnych prób wyjaśnienia po-czątku religii (str. 17), które nietylko nie pasują do wieku rzekomych czytelników, ale budzą w nich wrazenia zgubne dla starszych i doro-ślejszych. Mówić o tworzeniu religii przez kapłanów, tych wystawiać prawie za oszustów, i łumaczyć ich z téj nazwy (str. 19), zdaje nam się rzeczą za hazardowną. Podawać takie *niby* „wymysły“ ich, reli-gią objaśniające, w wyrazach, jak np. (str. 17), „Izyda jest matką, któ-ra rodzi tylko wtedy kiedy słońce ją ogrzeje i zapłodni“ (str. 47), „Astarte płodna matka świata“, jest podobno błędem pedagogicznym nowego rodzaju, jest zamachem na moralność.

Dodajmy jeszcze, że już to jest błędem naukowym, wprowa-dzać jedną zdobycz nauki (archeologią ludzką) a pomijać drugą tak zwaną (*Völker psychologie*) etnopsychologią. Autor dalej zapomniał, że mówi do dzieci dwunasto i trzynasto letnich, jak uważa już zdol-nych myśleć i wnioskować logicznie, nauczając je, że dowolność ludzka jest podstawą dogmatów religijnych starożytności, na których przecie oparł moralność téjże starożytności (str. 274), i których właśnie upadkiem motywował przyjście Chrystusa (tamże i nast.). Podobno tkwi tu pewna niekonsekwencya, wykrywa się jakieś chwieianie między racjonalizmem a pozorami ortodoksyi.

Postawiwszy za zasadę, że Bóg i poganom objawił się, choć niezaw-sze zrozumiałe dla nich; formę tego objawienia wskazując w warunkach



geograficznych: autor byłby sobie też drogę ułatwił do objaśnienia tych i innych zjawisk historycznych.

Dalój co do chronologii, autor stoi na dawnym stanowisku, nie objaśnia różnych systemów liczenia czasu, coby i ożywiło wykład, i przygotowało umysł do ocenienia owych zasług twórców cywilizacji. Chronologia chrześcijańska nie jest wszystkiem. Godną pamięci jest egipska wysoce naukowa, greckie olimpiady, reformy Sostenesa, nazwy nawet miesiący godne i wzmianki i szczegółowego rozbioru jako wskazówki cywilizacji. Chcąc nareszcie odpowiedzieć założeniu metodologicznemu, aby tak była ułożona historia, jak jest arytmetyka, geografia, „aby zrozumiałą była” (str. 3), powinien był autor nie dzielić historyi szematycznie, ale *zasadnic* swój podział, podać cechy. W arytmetyce wszystkiego się dowodzi, autor tylko twierdził. Chcąc dać poznać źródła, jakimi się historia posługuje, winien był także coś wspomnieć, co to jest archeologia, numizmatyka, starożytności i jeszcze wiele rzeczy, których definicya gdzieindziej, uczniom już się nie trafi; nie wiemy nic co to jest rząd, administracya, sztuka i t. p., których znajomości potrzebę sam autor wskazał; więc tutaj już wypadało rzec o prawie politycznym, mytologii, boć objaśnienie mytologii przez zbiór bajek (str. 84) uważamy za *lapsus calami*.

Następuje rozdział bezładny o ludziach najdawniejszych, przy czem podano niby określenia narodu, państwa, wreszcie dano jakby szemat etnograficzny.

Przy wykładzie pierwotnych dziejów człowieka, uderza że autor tworzenie się społeczeństw, zbył krótkim zdaniem. „Śród tej walki nieustannej z dzikimi zwierzętami, człowiek rad szukał towarzystwa podobnych sobie ludzi.“ W obec zaraz następującego twierdzenia, że tak pragnący swego towarzystwa ludzie nie mówili, lecz tylko posługiwali się mimiką, wykrzykami, naśladownictwem głosów zwierząt i ptaków, twierdzenia pono za śmiałego, choćby je się wzięło nawet odrębnie, zdaje się nam owo zdanie tém większą zagadką powód tworzenia się społeczeństw. Zesłówka „rad” wysuwa się bodziec zwany przez Arystotelesa instynktem społecznym (*ζῶον πολιτικόν*), inny od tego jaki z głównego przez autora podanego źródła męczarni nieumiejących mówić (obawa przed zwierzętami) należałoby się domyślić jako bodźca do tworzenia pierwszych społeczeństw. Trzeba się tego wszystkiego domyślać, bo nic tego autor jasno nie powiedział. Zresztą przed wzmianką o szukaniu owego społeczeństwa przez ludzi, autor daje nam obraz człowieka zasiadającego wspólnie przy ognisku z żoną, dziećmi i towarzyszami. Zkąd ci się biorą, co jest łącznikiem tej rodziny i tego towarzystwa? Czy to nie społeczeństwo? cóż to jest więc? O początku wiary w Wyższą Istność przez niektórych uważaną i za początek społeczeństwa ani słówka, boć do tego pytania nie odnoszą się chyba słowa: „Kiedy już ludzie byli mądrzy i oświeceni, kiedy już istnieli kapłani odprawiający nabożeństwa.“ Autorowi stoją tylko na myśli kapłani wynalazcy religii (str. 18), nie mówi nic, ani

o obawie, wedle jednych, pierwszym źródle w każdej jednostce czci Wyższej Istoty, ani też o wrodzonej wszystkim potrzebie wierzenia w coś. A przeciw to należy do ogólnych pojęć historycznych. O stanach, kastach dopiero wzmianka z okazji egipskich (str. 28), o mytologii przy Grecyi (str. 84), jakby ich nie było w Egipcie, u Semitów; za to autor (str. 100) mówi o monecie ateńskiej bardzo szeroko; ale o niej jednéj. Koroną tego wstępu jest „treść rozdziału do wyuczenia się na pamięć.“ Oto mała próbka dokładności określeń: „Państwo jest wielka liczba wsi i miast, ulegających rozkazom jednego pana i ustanowionych przez niego naczelników.“

„Rzeczpospolita jest to kraj złożony z wsi i miast, których naczelnicy są ustanowieni przez zgodną wolę, albo najznakomitszych ojców albo wszystkich mężów z całego ludu naradzających się po placach.“ Sądzę, że cytata jest dostateczną; wytykając nietrafność definicyi przytoczonych, obrazilibyśmy naszych czytelników przypuszczeniem, że jéj sami nie dostrzegają, że nie widzą, iż odróżnienie państwa od rzeczypospolitéj jest pomięszaniem pojęcia ogólniejszego ze szczegółowszém; że określenie obu jako wielkiéj liczby miast i wsi lub kraju złożonego z miast i wsi, grzeszy zbyt wielkiém wykluczeniem społeczeństwa z pocztu istotnych czynników państwa; że państwo nie jest tylko monarchią i t. d. Pomijamy te szczegóły a przechodzimy do reszty dzieła.

Autor gniewał się na ćwiczenia chronologiczne, aż oto „dla ciekawych“ wylicza (str. 78) cały poczet królów perskich po Daryuszu panujących, a dalej podaje suchy spis cesarów rzymskich (str. 293).

Autor chce doprowadzić swych uczniów do ogólnego poglądu, ale za podstawę bierze tylko lata (str. 11 nr. 3). Żałować przychodzi że nie uwzględnił podobieństw i różnic instytucyi, obyczajów i t. p. Nie ulega kwestyi, że mówić o tém niepodobna na początku kursu; przy wykładzie dziejów Azyi, nie można robić uogólnień z rzeczy greckich i t. p., ale już warto było robić odsyłacze do zjawisk podobnych, lecz późniéj wzmiankowanych, a przynajmniej należało po skończeniu kursu, więc już mając materiał gotowy, do zestawień filozoficzniejszych, jak prosty synchronizm przystąpić. Autor zapomina, że w dziejach starożytnych bardzo mała liczba faktów wypada w czasach blizkich sobie chronologicznie, i tą spółczesnością swoją może lub ma prawo wyrobić w uczniu pojęcie łączności przyczyn je wywołujących. Krom wątpienia zaś, synchronizm miał w dziełku p. K. grać rolę tego czynnika uogólniającego faktu, téj historyzożni, jakiej wprowadzenie do podręcznika, za tak wielką zasługę autorowi przyznajemy.

Jeżeli uważał za stosowne w książce dla dwunastoletnich dzieci przeznaczonej podawać liczne cytaty łacińskie przy historii Rzymu, lub przypuszczał, że słowa jego „kto umie po łacinie, ten potrafi ocenić i dokładność wyrażeń łacińskich“ (str. 191) mogą mieć praktyczne znaczenie, w takim razie, jeszcze z większą słusnością po-

winiem był paralelizować zjawiska stron i czasów różnych, i tym sposobem przyzwyczajając swych czytelników do pojęcia łączności wszech objawów dziejowych, w duchu swego założenia. Słaby tego ślad znajdujemy w paraleli srogości króli greckich i Faraonów (str. 88 § 43). Wypadało więc konsekwentnie np. zwrócić uwagę na fakt, że Minos na Krecie, Miniowie w Beocyi, prawa Manu w Indyach, Menes w Egipcie, słowiańscy Omani (Manimi, mąż, Mazury), niemieckie Mensch, sanskryckie Manuça wskazują jakąś wspólność pierwotnych podań ludzkich. Godziło się zestawić podania chaldejskie o Ksyztrosi, Oanesie, z podaniami o Noem, Deukalionie i Pirze, Prometeuszu, ludziach z gliny w Egipcie, (Dyodora) i t. d. Autor wspomniał tylko o greckim potopie i genezie (str. 84) ze słowami „naturalnie téj bajce wcale wierzyć nie można“ (że pochodzili z kamieni) i że tyle w niej sensu, iż wszyscy Heleni uważali się za współbraci. Uwaga w naszym duchu byłaby może pożyteczniejszą i z ogólniejszego materiału.

Przy sądzie egipskim nad zmarłym (str. 33 § 16), wypadało metampsychozę egipską porównać z indyjską. Przemilczamy już nieustanną przegrywkę o kapłanach, to tłumaczących Egipcyanom ich dolę po śmierci, to wymyślających karę pogrobową.

Amente (mówiąc nawiasem) nie jest państwo słoneczne lub raj, lecz dosłownie, ukrycie podziemne, grób, pierwsze miejsce kędy idzie dusza, a raczej „serce,” wedle egipskich pojęć.

Trzeba też było porównać egipskie pola Aalu z Elizeum, sądy greckie pośmiertne z egipskimi i albo wskazać wpływ egipskich wierzeń na heleńską religią, usymbolizowany w podaniu o Danau bracie Egiptu, albo też ogólne pokrewieństwo wszech religii widoczne w pominiętych przez pana Korzona szczegółach. Czemu autor takich zestawień, rzekłbym mimowolnych, unikał? Czyby dla tego przenie-wierzał się swój zasadzie wyrabiania w uczniach pojęcia łączności zjawisk dziejowych, że to podobieństwo objawia się w sferze religii? owym-wymyśle(?) kapłanów, w sferze dowolności(?) ich komentatorskiej? Byłaby to za wielka ofiara ze strony autora, na korzyść fałszywej hipotezy.

Autor mówi o teokratyzmie hebrajskim (str. 60) a nie wskazuje wyraźnie pokrewnych mu objawów, np. w tytule króla egipskiego (Fra lub Ra-słońce) w ubóstwieniu cesarów, i t. p. i nie uczy różnic między nimi. Pana Korzona uderza „zabawność“ czei zwierząt (str. 18) a nie zwraca uwagi dziecka na ogólność tego faktu, i pod koniec dziełka nie daje uczniom rysu historycznego pojęć religijnych, któryby im najlepiej cywilizacyjną konieczność chrześcijaństwa wykazał, lepiej niż to uwagi autora już cytowane zdołają uczynić. Zabawiając się autor tym egipskim kultem zwierząt, pominął rysy cywilizacyjne Egiptu, jego feudalizm, podział, spółzrządztwo ojców z synami, łączność centralizacji politycznej i religijnej i t. d. Nie wspomniał też o literaturze egipskiej, która pono jest ważniejsza jak opisy wojen i podbojów, w wychowaniu nie tylko dzieci ale i ludów. Czy-



tamy za to u autora w okresie memfickim o piramidach, taki ustęp: (str. 23) „przykro nam jest zapewne dowiadywać się, że setki tysięcy ludzi cierpiały tak *srogi ucisk* (dla budowania tych piramid), ale powinniśmy też zważać na to, że *bez przymusu* i Egipcianie nie chcieliby pracować, jak nie chcą dotychczas dzicy mieszkańcy Australii lub Ameryki. A przecież *bez przyzwyczajenia do pracy* nie byłoby żadnej cywilizacji.“ Jest tu godne uwagi łagodzenie: „srogi ucisk, przymus, przyzwyczajenie do pracy;” niech nam daruje szanowny autor, ale tego rodzaju wykład rzeczy zakrawa czasem na sofistykę. Tak umiejętnie wyłożywszy konieczność cywilizacyjną „straszego ucisku” fizycznego, więc przez to przekręciwszy znaczenie podanego przez się faktu, że budowców tych piramid i sprawców owego ucisku tradycya egipska uważa za tyranów, p. Korzon charakterystycznie nie wspomina uczniom o „naukach“ np. Ptah hotepa za memfickiej, Uzortezena I z tebańskiej dynastji o istnieniu za szóstą dynastji „rządzcy domu książek“ w liczbie wysokich dostojników Faraona, o pamiętnikach Syneha, naukach Amenemhata I dla Uzortezena, zaleceniach pisarza Duane Khardy dla syna jego Pafi, hymnie do Nilu za dwunastą dynastji, o poetach i poematach XIX dynastji: Amenemapie, Pentaurze; nie napomknął autor nawet, że obok tego ucisku, materialnej, jedyną dźwigni wedle niego cywilizacji Egiptu, uważano w tym kraju naukę za narzędzie i drogę do zaszczytów. Wątpimy aby takie zestawienie cywilizacyjnej dążności „bata” (którego to wyrazu sam autor użył) z pominięciem objawów umysłowych narodu egipskiego, ostać się mogło w obec historyozofii.

Dodajmy, że autor nie wyjaśnił znaczenia piramid; mówi o „wykopaniu” jeziora Merys, gdy już Maxime du Camp, *podróżnik* tylko nie specjalista, dojrzał że to jest nizina otoczona groblami i wyjaśnia podanie o królu Merysie. Przemilcza, że świątynia Amenemhata III nazywała się *po egipsku* nie po grecku labirynt, to jest „lope-ro-hunt świątynia wstępu do zalania,” że było nie 3,200 ale 3,000 celek ciemnych (nie pokoi) prócz 12 sal dużych służących za składy (ekspe-dycya pruska) (str. 25). Godziło się nie mieszać nazwy i genezy egipskiego Seta z Sutekiem Szasu’ów, czyli Hyks-osów nie króli pasterzy, ale dosłownie „rabusi” (str. 26), nie mieszać Haur to jest nowego obozu Szasu z dawnym miastem Tanis. Ze względu na pojęcia autora o genezie religji zastanawia, że uważa za dostateczny powód do reakcyi Egipcyan przeciw Szasu ucisk religijny (str. 26). Cyfry statystyczne dokładne ofiar zwycięstwa lub łowów są wyraźnie słabością autora; mamy je przy Tutmesie III (str. 27) i pomyłką 914 za 994 wozów przy Tiglepilezarze (s. 41), Senacherybie (s. 45), upadku Samaryi 718 (str. 62) i t. d. Przemilczał zaś o Hatasu poprzedniczce, spółrządczyni i siostrze Tutmesa III, córce Tutmesa I i siostrze oraz żonie Tutmesa II, której wyprawa przez morze Czerwone do ziemi Punt, jest ważna i dla początku aklimatyzacyi roślin, była jeśli nie godniejszą to równie godna wzmianki jak czyny Tutmesa III. Zwracamy

przycém uwagę pana Korzona, że wyrażenie „jakiś król (Kadesz)” trochę jest niedbałe, bo naprowadza (str. 27) na przypuszczenie, że Kadesz imieniem jest króla, gdy niżej (str. 28) jest to „miasto Kadesz.” Szkoda, że autor pominął Amenhotepa III, którego prace budowlane tłumaczą myt o Memnonie. Nie wspomniał przy Ramzesie II, że to jest Sezostrys i t. d. Takie szczegóły są konieczne, bo wyjaśniają uczniom podania dawniejsze, które mogą znaleźć gdzieindziej nie objaśnione i nie będą wiedzieli co o jednych a co o drugich sądzić. Wprawdzie autor cząstkowie tylko np. przy początkowej historii Rzymu (str. 169), taki wykład przeprowadził, ale tym wyjątkiem wydał na siebie wyrok niekonsekwencji i niewierności iście zbawiennój zasadzie. Dobrze autor odsyłaczami związał dzieje Izraela z Egiptu przy Józefie (str. 59) i téj metody powinien był stale się trzymać, ale czemu wspomina o Merencie (raczej Menfcię) egipskim przy Izraelu, nie podawszy go *suo loco*? (str. 26).

Wszakże dajmy już pokój Egiptowi. Tylko mimochodem zapytamy, czemu autor streszczając np. Iliadę (87—88) nie uważał za stosowne coś podobnego w dziejach Indyi zrobić z Ramajaną i Mahabharatą. Nowy to dowód niekonsekwencji autora, który posyła swych 12-to letnich czytelników na naukę koptyjskiego języka, a nie wie nic o Shliemana wykopaliskach w Troi i o studyach etnopsychologicznych nad owymi indyjskimi poematami, które zmieniają i znaczenie wyprawy pod Ilion i podnoszą ważność Mahabharaty dla Grecyi. Darujemy autorowi określenia chronologiczne, że Italo-Greki przyszli na 2000 lat przed Chrystusem, Celtowie na 600, Germani około 200 lat przed Chr. do Europy (str. 67). Pomijamy anegdoty w dziejach Persyi jak późniój Rzymu i t. d. (str. 74, 189). Nie będę robił wyrzutu autorowi za to, że np. w dziejach Izraela, rola proroków, tak zgodna *niby z jego* poglądami na tworzenie religii, została zbyta milczeniem, a raczej odesłaniem do katechizmu (str. 60) przy wzmiance o Mojżeszu, a reszta objawów życia tego narodu tak została przedstawiona, że cytata dzieła Ewalda na początku *Historyi Starożytnej* okazuje się być tarczą przeciw nieznamcom, ale nie wskazówką, że autor z tego opracowania korzystał. Autor nie korzystał nawet z późniejszego Dunkera np., który by wystarczył do dziejów hebrajskich za źródło i postawić mógł takowe na bardziej naukowém stanowisku, jak to ma miejsce u pana Korzona. Uczeń z *Historyi Starożytnej* mniéj się dowié o Hebrejach jak wie z wykładów Historyi Świętej, a pono w podręczniku naukowym, trzeba było mówić o „ludzie wybranym” w sposób choćby nie najskrajniejszy: konserwatywny lub radykalny, ale umiejętny. Autor prawowierności swych uczuć nie zaszkodziłby zgoła mówiąc np. w duchu uogólnień, że Mojżesz, Perseusz, Ozyrys, Cyrus, Romulus i Saryukin I król Agane, (poprzednik wielkich państw Chaldei), jako reformatorzy lub bohaterzy, twórcy państw i religii podobną mają historiją dzieciństwa lub śmierci; że np. Dawid nie był taki dobry politycznie, a Saul taki zły, jak go klasa Samuela przedstawiła; że cywilizacya egipska



oddziałała była dobitnie na izraelską nie tylko w przepisach higienicznych i t. d. Nie będąc niedowiarkiem, można było nierównie żywniejszy dać obrazek izraelskich dziejów, nie będąc dosłownym parafrazą rzeczy biblijnych można było nierównie lepiej przedstawić i dobitniej rozwój tego istotnie dla Europy pierwszorzędnego wśród Semitów narodu.

Przechodzimy szybko obok słabych dziejów chaldejskich (str. 40), w których podobnie jak w egipskich (str. 22) autor nie wylicza wielu wypadków już znanych i ważnych z pierwotnych dziejów pod błahym pozorem tam, że „nie może króli wyliczyć” tak ich było wielu; tu, że „wszystkich imion byłoby zatrudno się uczyć.”

Pomijamy to, choć geneza faktyczna dużych państw z małych, chyba nie jest zbyt cenną w dziejach. Pomijamy i ironią (str. 41) z tytułów króli Asyrii: „najszanowniejszy ojciec, pasterz prawdziwy postępował na wojnach wcale nie po ojcowsku, nie po pastersku,” ironią szczególną gdy przypomniemy sobie sofistykę autora przy piramidach egipskich, i gdy zważymy, iż ironia paczy jasny pogląd na rzeczy. Tytuły te bowiem asyryjskie oznaczać mają stosunek ich piastuna do swoich poddanych, nie do obcych, a właśnie do tych ostatnich pan Korzon stosuje błędnie i fakt dziejowy i swe uwagi.

Podążamy czémprędzej do Grecyi i Rzymu, które w przedstawieniu autora różne szczególności przedstawiają.

Najprzód: w dziejach Grecyi uderza nowa terminologia. Mamy tam w tekście i na mapach Bojotyja, Mykena i t. p. (str. 81) w tekście Pind, Farsal, na mapie Pindos, Farsalos, Ajtolija, w Liwadyi i Ajtolis osady małaazyatyckie na mapie. Co prawda, ortografia w ogóle u autora nie stała jest zwłaszcza na mapie świata starożytnego. Jest Hiszpania, Hibernia, obok Mauretania, Etiopia, Mezya, obok Numidya Baktryjana.

Powtóre: są tu szeroko rozwiedzione pokrewieństwa bogów, wskazane stosunki między nimi, a zjawiskami przyrody lub dziejów bez uwagi na najnowsze poglądy uczonych specjalistów, na myty, które autorowi podobało się nazwać „bajkami” (str. 84). Błąd to przeciw nauce. Cóż dopiero mówić o błędzie pedagogicznym, wynikającym z niesystematycznego traktowania jednego i tego samego przedmiotu u różnych ludów, narodów lub szczepów. Czytając szerokie „wykłady” kapłanów egipskich, uczeń będzie myślał błędnie, nawet wedle autora, że u Greków takich wykładów nie było. Pomijam już okoliczność, że w tej greckiej mytologii następczo się wdzięczne pole panu Korzonowi do okazania na jedném plemieniu wielkiej zasady oczyszczania się i doskonalenia pojęć i wierzeń. Tu była pora np. przez Minotaura Kreteńsko-fenickiego, byka Falarysowego, Zeusa-byka porywcę Europy, Jo-jałówkę, przez owe objawy czci bogów w zwierzętach, przejść do mysteryów, do bogów-ludzi, do bohaterów krystalizujących w czynach indywidualnych prace społeczeństw, preradzających tym sposobem ludzi w bogi nie znające czasu. Toby nie było „zabawne.”



Nawiasem rzucamy pytanie, czy nie wypadaloby objaśnić ucznia co jest „demon,” „nektar,” „ambrozja,” „dytyramb” i t. p. (str. 85—86), nie zapominać przy Zeusie, że mowa o stworzeniu przezeń bogów i t. d. może jest trochę zaśmiałą, przy Febusie o Muzach, przy Eosie, że nie purpurowe ale różane miała palce, przy Pallas Atene, że miała aikse czyli egidę, przy Afrodycie, że nie była opiekunką kobiet zamężnych. Żałujemy, że autor nie wszedł głębiej w znaczenie tych postaci, i przy np. Hermesie nie wspomniał o indyjskim Saramejasie, jego prototypie; przy Dionizosie że to bóg gór (div, niszada) i nie połączył z tym dziejów teatru (dopiero str. 118; tam też okolicznie przy Edypie królu o fatum) jako cząstki kultu. Czemu autor rzecz pominął o Prometeju, Tytanach, Centaurach (Gandarvach) i t. p. tak charakterystycznych dla rozwoju umysłowości Grecyi, czemu o Hadesie, polach elizejskich, Charonie, sądach piekielnych, karach i t. d. pan Korzon nic nie mówi; czemu pominął mysterja, zbył lekko teorye, nie pojmujemy. Tezeusz i Herkules traktowani po macoszemu, o charakterystycznym związku rycerzy i ich woźnic, o parach przyjaciół (Tezeusz i Pirytons, Herkules i Filoktet, Orsetes i Pylades), o rodach Pelopidów, Atrydów, o jotę nie gorszych od przytoczonej historii Laiusa i Edypa, lub od zapomnianej Siedmiu przeciw Tebem i t. d. nic nie powiedziano. Nie zbrodnie np. tych rodów, ale fakt istnienia licznych politycznych ognisk w Grecyi obok Aten i Sparty jest tu ważnym. W obec też malejącego znaczenia w nauce wojny trojańskiej, należało rozszerzyć czasy przed Solonowe i przed Likurgowe, aby w umyśle dziecka nie wyrobiła się fałszywa dziejowa perspektywa.

Przy ustępie do źródeł do opisu wojny trojańskiej, niech mi wolno będzie zapytać autora (str. 88), co robi wzmianka o Enejdzie, gdy wypadalo raczej zacytować Cyprye, Arktinosa Etyopis, Iliupersis, Leschesa Mityleńczyka małą Iliadę, Aygiosa trezeńczyka Nostoj, Eugamnosa Cyrenajczyka Telegonią i t. d.?

Daléj spytamy się, czy to jest zgodne z najnowszymi zdobyczami nauki, mówić o Likurgu, jako, jednym mądrym człowieku, który *wymyślił* prawa dla Sparty (str. 89). Nie chcemy autora posądzać o brak zdolności pedagogicznych, ale widzimy, że bardzo blizki jest punktu, w którym może stać się, jeżeli już nie jest, nauczycielem omyłek historycznych. Ten zarzut nasuwa się przy czytaniu ustępu, w którym autor opowiedziawszy, że Heloci byli ludnością achejską *podbitą* przez „Spartatów” (sic) doryckich, więc wyjaśniwszy *różnicę społeczną* różnicą *etnograficzną*, dodaje: „Heloci... wieśniacy achejscykowie, niby nasi chłopci.”

Taki pogląd uchodził w czasach Naruszewicza, nawet do tég pory erudyci mówią o szlachcie, jako skandynawcach, lazzach i t. d., ale po badaniach Lelewela i Kętrzyńskiego, a w części i Wojciechowskiego, już tego powtarzać się niegodzi, by stany u nas nie były swojskim tworem, wedle ogólnych warunków się formującym. Porównanie autora *Historji Starożytnéj* jest co najmniej... *rażące*.

Pomijam peryejków za peryojków (str. 92), pedonomos za pajdonomos (str. 91), tłumaczenie tetów przez najemników (str. 98), podsumowanie urządzeń ateńskich pod biografią Solona, choć biograficzny sposób był w przedmowie ganiony, a natomiast pytam czemu pan Korzon (str. 105) używa wyrazu „tyran” w znaczeniu nowoczesnym nie greckim, mówiąc o tyranach małoazyatyckich z naciskiem... „Persowie wyznaczyli... rządzę Greka wprawdzie, ale zawsze tyrana?” Wojny perskie są opowiedziane anegdotycznie, „awantura” spalenia Sardes jest „najbliższym powodem” wojen owych, wedle autora (str. 106), choć już Herodot w ich opisie podawał myśl historyczniczną ciągłych oddziaływań Azji i Europy. Szeroko rozwiódł się autor o Peryklesie i jego czasach, a z dziwną suchością traktuje spartańskie dzieje, raczej przemilcza czasy Agisów, Kleombrotów, Agezylauszów, ich reformy i wyprawy, które to ostatnie są jakby przepowiednią czynów Aleksandra Wielkiego. Dzieje Wielkiej Grecji pominięte milczeniem. Macedonii dzieje rutynicznie wypełnione biografią Aleksandra Wielkiego, bez podniesienia ogólnie dziejowego znaczenia tak tej, jak innych wypraw Grecji a zwłaszcza Sparty na Azyą. Epoka Aleksandryjska i politycznie i cywilizacyjnie zbyt tak kuso, że wstyd było o niej mówić w ten sposób w dziełku, mającym świetne istotnie (ale tylko) założenie. Dzieje Macedonów są spisem nazwisk, ani słówka tu nie ma o ich związku za drugiej wojny punickiej z Annibalem (dopiero str. 216), co przecie charakteryzuje dobrze to zadzierganie się z sobą, nowożytnie już, losów różnych narodowości. Późniejsze stosunki z Grecją są przy Rzymianach dopiero wspomniane (str. 219) podobnie jak dzieje królów syryjskich. Lepiej byłoby choćby dwa razy toż samo szerzej i krócej wspomnieć, aniżeli raz i bez należytego akcentowania rzeczy, które należą do programu autora. Godziło się też tu pomieścić dzieje Pyrusa (dopiero str. 198) jako godzące w tę samą myśl starcia Grecji z Rzymem, ważenia się tak losów tych narodów na Zachodzie pod przewodnictwem coraz późniejszych ludów ze strony Grecji, jak na Południu Semicci szli o lepsze z Italami, a na dalekim Wschodzie Grecy aleksandryjscy szerzyli swoją cywilizacją. Słabych nawet uwag w tej kwestii walki o hegemonię nad światem, nie bardzo można spostrzedz, a raczej wyszukać u pana Korzona, aczkolwiek te i tym podobne myśli należą właściwie do jego programu uogólniania suchych wypadków. Nie wspomina już o nieproporcjonalności w wykładzie różnych części dziejów Grecji, jako stałym błędzie autora, o bezładnym przedstawieniu, w różnych miejscach, przedstawicieli myślenia greckiego (str. 99 n. i 124, 133—137), między którymi pominięto cyników, hedoników, stoików, szkołę grecko-żydowską. Przemilczam, że np. dzieje Pizystratydów i ich morderców zanadto są przejęte duchem czasów późniejszych, nie przychylnym pierwszym; że antyteza Spartan do Ateńczyków, zamiast być wyrażoną w kilku związłych formułach, daje się jedynie odnaleźć w szczegółach, oraz w takim ustępie: mówiącymi o dwu ga-



tunkach urn (spiżowej i drewnianej) do rzucania losów sądowych w Atenach używanych. „Ateńczycy byli litościwsi od Spartyatów, chcieli więc iżby głos uniewinnienia był dźwięczny, a głos za śmiercią spadał cicho, jako smutna konieczność” (str. 98).

Przelotnie o tym tylko mówimy, bo jeszcze słówko mi rzecz wypada o Rzymie, a już i tak długo zastanawialiśmy się nad dziełkiem, którego największą zasługą pomysł nie przeprowadzony, a usprawiedliwieniem błędów.... niezdecydowanie się na zakres, brak krytyki i przysposobienia.

Epoka królów rzymskich, jak wspomnieliśmy, ma dwoistą postać: bajeczną i naukową, czego gdzieindziej, z żalem nie widzieliśmy. Zamiast jednak tu być zaletą, jest to wadą bo wyjątkiem. Zresztą, autor dowolnie pomija niektóre szczegóły charakterystyczne jak np. o Horacyuszach i Kuracyuszach, o Tarpei i t. d. i wszystkich podać nie tłumaczy. Stosunek Rzymian do Etrusków (str. 160 i Tarkwiniusze) nie dobitnie i nie należycie scharakteryzowany. Pan Korzon przeciw zwyczajowi swych poprzedników obficie uwzględnił stosunki społeczne, ale nie zapomniał o anegdotach tak tu (str. 181, 189) jak i przy wojnach łatyńskich, samnickich i następnych. Szeroko przedstawia stronę faktyczną tych wojen, a pomija wewnętrzną, któraby wykazywała ich doniosłość historyczną, geograficzną, cywilizacyjną; kto się powołuje na Mommsena, mógł z niego czerpać w tym względzie.

Wzmianki o przezywaniach Fenicyan szachrajami, oszustami (str. 55), też same wymysły o Kartagińczykach podane (str. 57); dowodzenia, że Kartagina byłaby szczęśliwą, będąc jedynie handlarską, a nie pragnąc wojennej sławy (str. 57) nie malują antytezy dziejowej tego ludu do Rzymian. Już nawet są dla nas za przestarzałe, nie po uwagach Mommsena ale Krasickiego, który broni osławionej *fides punica* i z Rzymskich dziejopisów robi panegirystów swego narodu (Historja na 2 księgi podzielnou I 8 nast.). Czemu autor zostawił powieść o Dydonie nie tkniętą, w dawniej formie, nie dziwimy się, jako nowemu dowodowi niekonsekwencji zwykłej.

Wytykając tylko zaniedbanie w praktyce przewodniej myśli autora co do uogólnienia istotnego dziejów, zwróćmy w zakończeniu uwagę, na zbyt krótkie traktowanie cesarstwa rzymskiego. Jak zwykle tak i tu mamy ubocznie wzmiankę o Kwadach, Dakach (str. 278) jak o ponckich, partyjskich królach (288).

Śnać autot rutyny się trzymał, uważając, że o geografii i dziejach dalszych stron Europy, tylko przy początku wieków średnich godzi się mówić. Zastanawia też nas, mówiąc nawiasem, wywód etymologiczny autora, w duchu Mickiewicza, Lelewela i Bielowskiego czyniony, że decebal jest tytułem króla Daków („decebal czyli król Daków” s. 275). Prócz tej szczególności, zaznaczymy i drugą, wedle której, „choć kolei żelaznych nie było za Trajana”, przecie z racji, że nad Dunajem były kolonie rzymskie, zdaniem autora (str. 282) owocześni mieszkańcy Polski (sic! nad Dunajem i w 2 stuleciu po Chrystusie?) zapewne przed-



kwie nasi skorzystali na sąsiedztwie Rzymian, bo dostawali przez handel żelazo, monety, wyroby metaliczne. P. K. zapomina, że już za Nerona stosunki te istniały, że jeszcze przed Rzymianami, ludy północne znały się z Fenicyanami i Grekami mającymi owe przedmioty.

Lecz przejdźmy do wady zasadowej.

Autor wskazawszy jak wszystkie bogi obrały siedzibę w Rzymie, nie widział w tym fakcie wielkiej zasady starożytności, że bóg to państwo, więc bóg w niewoli to i kraj w pętach. Dalej nie spostrzegł w rzymskim Panteonie dodatniej strony, że pomieszaniu bogów z sobą dotrzymuje kroku pomieszanie stanów i narodowości, nawet na tronie; że gotuje się tym sposobem solidarność Europy; że równość prawna szerzy się z braterstwem religijném z synchronizmem uderzającym, jeżeli nawet niewyprzedzając ostatniego. Autor zdaje się raczej ubolewać nad tém (str. 28) mówiąc: „Nikt już nie rozumiał różnicy między Rzymianami a podbitými przez nich ludami.“ Dalej (str. 289) zupełnie nie wyjaśnia prawdziwego powodu dla czego chrześcian prześladowano „jako wrogów Rzeczypospolitej,“ jako sektę niebezpieczną dla państwa: prześladowanie przedstawiono tém jaśkrawiej, że zestawione mamy czasy, najlepszych cesarzy i najsrozszych kar na chrześcian. Autor rad wszędzie dopatrywać sprężyn ludzkich w religii, tu nie spostrzegł, że zachowanie się bierne chrześcian względem państwa, że ludzkie wnioski ze słów ewangelii powyższe sprzeczności wywołały. Nareszcie pan Korzon nie wytknął ogólnych cech charakterystycznych starożytności, pod każdym względem nie uzupełnił tego, czego brak w pierwszym rozdziale wykazaliśmy. Pomimo tych ogólnych niedokładności, nierównomierności w traktowaniu przedmiotów, niepotrzebnego schematyzmu i usterków w szczegółach, których wszechstronnie nie chcieliśmy wytykać, żeby nie rozszerzać i tak obszernego artykułu, przyznajemy z prawdziwą radością, że i sam autor daleko postąpił, od czasu pierwszej swój pracy i przewyższył tych autorów, których prace dotąd służyły po szkołach i pensjach. Trzeba tylko poddać je takiemu przerobieniu, jakie nazywa się w pedagogice pospolicie *ad usum Delphini* albo *editio castigata*.

J.—d.

### *W sprawie mowoznawstwa krajowego.*

W chwili ożywionego ruchu umysłowego, w chwili obecnej, pewne jego sprężyny, może mimowiednie, skazane są przez ogół, prawie na zapomnienie. Mówimy tu o nieponętém z pozoru, lecz arcyważném polu głębszej działalności naukowej: o poszukiwaniach w zakresie mowoznawstwa krajowego. Oschłość i pedanterya, z jaką uczącym się podawano niegdyś pierwsze zasady języka, a następnie zmechanizowanie tej pięknej nauki, przez oddzielenie słowa od jego duchowej treści, przygo-

towały po części tę obojętność, jeśli nie wstręt. Lecz jest to dopiero ujemna strona rzeczy. Niepowodzenia pewnych grup umiejętności, tak jak upadku pewnych dzieł sceny, nie należy bezwzględnie tłumaczyć sobie nieudolnością aktorów; owszem policzyć je trzeba i na karb ogólnego położenia stosunków naukowych. Najprzód, zdaniem naszym, bujny rozrost myśli społecznej w dziełach umiejętności lub natchnienia, już sam przez się mógł zasłonić przed oczami widzów zagadnienia, dotyczące najistotniejszych jej organów, prawdziwych ziarn, któremi ta myśl posiana zostaje. Zgadząmy się wprawdzie na to, że z wysokości arcydzieła sztuki, prozaicznem jest zapytanie o jego zaletach lub wadach pod względem języka. Czytając np. wielkie utwory pisarzy obcych w wybornym przekładzie, ani tych zalet ani wad nie widzimy; bo zalety wiernie odtworzonymi, a wady wprawną ręką tłumacza zagładzionymi zostały. Widzimy tedy jedynie wielką myśl i to, co nazwałbym pierwszym wcieleniem myśli. Ale w utworach oryginalnych oko bacznego czytelnika, wśród wrażeń pomysłowych, zatrzymuje się jeszcze na wykończeniach formy i samym kroju tej formy, a to jest już sfera właściwości lub niewłaściwości mowniczej i badacz języka ma tu głos stanowczy. Tak więc przy najwyższym nawet wzroście piśmiennictwa stoją w całej powadze podstawowe zasady języka, tak samo, jak w najpiękniejszej architekturze pionek mularski.

Drugim powodem usunięcia mowoznawstwa na drugi plan w uprawie powszechniej, jest zbyt silne ciśnienie gramatyki porównawczej na badania tego rodzaju. Jakkolwiek przyznać należy gramatyce porównawczej wysoką wagę teoretyczną, jednakże tam, gdzie idzie o właściwą naturę języka, jako jednostki duchowej, o linię graniczną pomiędzy *swojém a nieswojém*, prawowitą instancją ona stanowić nie może. Jest to niejako filozofia prawa, obok której, a niekiedy i pomimo której, wymaganiemi są jeszcze prawidła praktycznej obyczajowości, odznaczające dotykálną barwą dobre od złego. Otóż taką dotykálną etyką w rzeczach piśmiennictwa, jest rozumna i poważnie prowadzona teoria języka. Ależ nietylko *piśmiennictwa*; wszelkie zdanie wychodzące z duszy człowieka, przez jego usta, wszelka myśl, poczuwać winna nad sobą wszędzie domyślną normę streszczającą się w dwóch wyrazach: duch języka.

Zarzucają nam szczególną drażliwość na błędy cudzoziemców, naszym językiem mówiących. Wrażliwość ta jednak nietylko naszym jest znamięm, i wyzwać się od niej bynajmniej nie należy. Mowa jest to organizm, który żywiołów szczerlnie do jego natury nie przystających, który obcego ciała znosić w sobie nie umie, nie może. Ani składni, ani zwrotów obcych nie potrzebuje mowa, bogata w pierwiastki i wszelkie organa ruchowe. I tu badacz języka stanowi wyrocznią. Nietylko dźwiękami i ich ukształtowaniem, nietylko sposobem wiązania wyrazów różni się jedna mowa od drugiej; każda przytém ma pewien typ gruntowy, w imię którego kolejną czasów dźwięki się cieniują, wytwarzają nowe wyrazy i nowych pojęć wyrażenia. Ciągłość i nieustanna ewolucya, ale nigdy przełom. Otóż odszukanie nitek tej ciągłości



ści jest zadaniem mowoznawcy; zadanie głębokie i jak nadmieniliśmy, nie zaszczycające się szerszym rozgłosem, ale niesłychanie ważne.

Słowem, wśród budzącego się coraz silniej poczucia potrzeb umysłowych, mamy tę uzasadnioną nadzieję, że i mowoznawstwo, w pośród innych przedmiotów uprawy odzyska przynależne sobie stanowisko, a jego pracownicy, głośniejsze uznanie i zachęty.

Pod taką wróżbą zamierzaliśmy uczynić wzmiankę o odnoszących się do tej dziedziny pracach p. F. J. Sławińskiego, częścią ogłoszonych już, częścią zapowiedzianych przez niego.

Szereg prac swoich p. Sławiński rozpoczął od przewodnika elementarnego „Początkowa nauka czytania i pisania“ (Warszawa 1870). Układ tej książeczki jest bardzo prosty, gdyż w niej przystępuje się do czytania bezpośrednio. Punktem wyjścia jest samogłoska, jako najprostsza i łatwa do ogarnięcia całość, z kolei zaś podają się spółgłoski w wyrazach najłatwiejszych. Autor zachowuje tu najściślejsze stopniowanie w materyale, tak znakowym, jak i pojęciowym. Z całego układu książeczki wydatnie przebija myśl wychowawcza: ułatwienia i skrócenia mozolnego procesu czytania, przez pominięcie rutynowego szczebla syllabizowania.

2-gą pracą p. Sławińskiego jest „obliczenie wyrazów, zawartych w trzech słownikach języka polskiego: Lindego, wileńskim i Rykaczewskiego (Warsz. 1873, str. 36, tablic 10). Jest to owoc długiej i mozolnej wędrówki, bez której wartości słownika ocenić niepodobna, nawet ze strony mechanicznej. Otóż p. Sławiński podaje ciekawe wywody, a mianowicie, że wszystkie te słowniki nie są wyczerpująciami. W wileńskim np. najobfitszym (o 108,513 wyrazach), opuszczono przeszło 424 wyrazów, a w ich liczbie i najwzyczajniejsze, jako to: bezład, lirniki, żać (żnę), żać (żmie) i t. p. Słownik Lindego zawiera wyrazów 58,739, Rykaczewskiego 49,545. Następnie autor określa znaczenie wyrazu, mającego służyć za podstawę do obliczania. Przeznaczeniem tablic było wskazanie ilości wyrazów pod względem ich głóski początkowej, stosunku opracowania liczebnego pomiędzy trzema słownikami, obficiością lub skąpością podanego szeregu znaczeń wyrazów. Zgoła jest to inwentarz wyrazowego bogactwa, tak jak go podają trzy pomienione słowniki, a zarazem wymowna wskazówka dla przyszłego badacza.

3) „O prawach budowy zgłósek“ (Warsz. 1873, str. 197, tablic 10).

Oddawna już postawiliśmy, jako konieczny warunek dla prawidłowego postępu fonologii; uznanie zgłóska za prawdziwą jednostkę rozrostu mowy naszej. Rozwój syllabowy stanowi tu istotną właściwość, którą inne języki indo-europejskie (w wielkiej części nawet i germańskie) utraciły. Wywody naszego badacza w tym przedmiocie nie naruszają praw dotychczasowej pisowni, nauce nadają trwałe podstawy, rokując obfite wyniki, uchylają wyjątki w gramatyce teoretycznej, i zapewniają niejedną podwalinę gramatyce porównawczej. Już samo przyjęcie przez p. Sławińskiego systemu syllabowego, daje hasło do potępienia, a przynajmniej ograniczenia w mowoznawstwie metody głóskowej, która zajmowała się głównie głóską, mieszając nawet niekiedy literę z syllabą.



Podług zdania naszego autora, samogłoski cieniują się, ztąd powstają samogłoski grube i cienkie, będące podstawą podziału spółgłosek na twarde i miękkie. Co do nas, wolelibyśmy może, aby p. Sławiński za główną dźwignię ruchu fonologicznego uważał spółgłoskę, samogłoskę zaś, jedynie za gatunkową granicę tego ruchu; to bowiem, jak my sądzimy, stanowi cechę naszego języka, wobec współplemiennych. Myśl tę poddajemy pod rozwagę p. Sławińskiego z życzeniem, aby nam wyjaśnił bliżej pobudki skłaniające go do przyjęcia za zasadę, że „teoria jotacyzmu uchyla się jako bezzasadna, bo miękkość spółgłosek zależy bezpośrednio od samogłosek cienkich.”

Poczytujemy autorowi za ważną zasługę podniesienie kwestyi iloczasu w naszym języku; przy którym tak zasadniczo ob staje znany nasz mowoznawca p. Lucyan Malinowski. Oby ten fakt posłużył za hasło bacznosci przeciwko owym zagranicznym znawcom naszej mowy, co to nigdy w życiu nie podsłuchali własnem uchem dźwięku naszego, lecz słyszą go jedynie okiem, a ztąd o formach i pierwiastkach naszych tworzą sobie takie wywody, jak dawni etnografowie o źródłach i kierunkach wód Afryki środkowej. Sprawozdanie z tej pracy p. Sławińskiego podała Akademia Umiejętności w Krakowie (tom IV 1875 r.). Krytyki jednak „Praw budowy zgłosek,” dotąd nie czytaliśmy nigdzie. Czekamy na nią już to ze względu na ogólny interes zagadnień dotkniętych w „prawach budowy zgłosek” już to szczególnież ze względu na chwytającą się dotąd alternatywę pomiędzy spółgłoskową a samogłoskową zasadą naszej fonetyki.

4) Pismo naszego autora „o głosie i literze *j* w obec zasad pisowni” wyszło nakładem redakcyi Kroniki rodzinnej (Warsz. 1874, stronic 31). Napisanie tej broszury spowodowane zostało wnioskami o głosce *j*, podanemi przez komisją ortograficzną w Poznaniu. Autor podaje tu podstawy, na których prawidła pisowni opierać się powinny i takich podstaw podaje pięć, stosując je do użycia głoski *j*: fonologiczną, morfologiczną, źródłosłowową, składniową i zwyczajową.

Dowodzi tu autor, w imię przyjętej przez siebie teoryi budowy zgłosek, że *j* nie jest spółgłoską, że ma dwojaki charakter: a) jest brzmieniem pojedynczém po samogłoskach (daj, twój); b) że jest literą, znakiem (w zgłoskach *ja, je*, i t. d., które nazywa dwójkami a przytém uważa je za samogłoski cienkie).. Następnie dowodzi, że *i* nie potrzebuje przed sobą *j*, bo samo brzmi cienko; dalej wskazuje znaczenie *j* na przykładach, w zastosowaniu do deklinacyi, koniugacyi i w urabianiu wyrazów pochodnych: udawadnia użycie *j* w końcówkach wyrazów przyswojonych (lekcya, familija), odróżniając od użycia w środku wyrazów (tryumf i znowu materyja).

Sprawozdania lub wzmianki o wymienionych pracach p. Sławińskiego umieszczane były w rozmaitych pismach czasowych, a mianowicie mówi o nich: *Kuryer Codzienny* z 1872 r. N. 285, *Gazeta Polska* z 1873, N. 1. podaje treściwe sprawozdanie i ogólny wyciąg przez M. P. W.; zapowiedziała przytém rozbiór „Praw budowy zgłosek.” W numerze

zaś 54 Gazety Polskiej powiedziano: „dzieła te nie mogą jakoś dotychczas znaleźć sprawozdawcy, któryby je rozebrał starannie i obszernie, jak na to zasługują. Czyżby dziś istotnie było tak trudno o kompetentnego w tym przedmiocie recenzenta?” *Kłosa* 1873, n. 393., gdzie K. zwraca uwagę znawców na pomienione utwory. *Przegląd tygodniowy* 1873, N. K. nazywa je „pracą egipską.” *Biblioteka Warszawska* 1873, (luty), gdzie o pracach autora odzywa się Wł. N., w tych słowach: „dzieło zadziwia specjalnością, ogromem doświadczeń i dochodzeń.” *Kurier Warszawski* 1873, n. 28; *Kronika Rodzinna* 1873 (1 września); *Tygodnik Ilustrowany* 1873, n. 292; *Wiek* 1873 (lipiec n. 32).

W rozprawach i sprawozdaniach z posiedzeń wydziału filologicznego akademii umiejętności (Tom. I. 1874. st. IX—XV) Dr. K. Mecherzyński robi uwagi o budowie zgłosek: „ciekawa jest metoda, jakiej używa autor w dochodzeniu różnicy pomiędzy samogłoskami grubymi a cienkimi i tę różnicę udowadnia.” Przynętem obszernie sprawozdanie czytamy w tomie II 1875.

Oprócz dotkniętych poprzednio prac, p. Sławiński umieszczał w pismach czasowych artykuły ekskursowe, najczęściej z powodu ukazujących się w druku utworów filologii krajowej. Tu należą:

1) „Uwagi z powodu kwestyi językowej Kryńskiego” (Biblioteka Warsz. 1873, zeszyt majowy).

2) „Sprostowania z powodu recenzji o głosce i literze *j* wobec zasad pisowni (artykuł drukowany w Gazecie Polskiej 1874, n. 146).

3) Kilka słów z powodu broszurki p. t. „Dawny zabytek języka polskiego o żywocie ojca Amandusa, opisał ks. Ignacy Polkowski, z jedną tablicą podobizny. Wydanie w stu egzemplarzach. Gniezno, 1875.” Ten artykuł był drukowany w *Kłosach* 1875 n. 515. Przynętem nasz autor podał krótką wzmiankę o tym pomniku w *Kronice Rodzinnej* 1875 n. 9.

4) Czy: *to* album, czy: *ten* album?” drukowane w *Kurierze Codziennym* 1875, w lipcu n. 157.

Otóż poczet prac p. Sławińskiego na roli mowoznawstwa krajowego dokonanych, wraz z głosami publicznych organów naszej umysłowości. Co do zasług naszego pracownika, oceniając sam rodzaj zadania, w którym jak wiadomo specjalistom, pod każdym niemal punktem leżą rozległe studia, oraz wytrawną rękę filologa, umiejącą sprowadzać fakta pod ogólnie tętno ducha języka, stosujemy do nich stanowczo to godło: „artystę zaleca dzieło.” Z drugiej strony, jak widzieliśmy, zasług tych nie minęło i uznanie publiczne. Przynętem należy się spodziewać, że odpowiednia ocena „Praw budowy zgłosek” najważniejszej z dotychczasowych prac autora, przeniesie to uznanie i dalej, po za koło ściśle literackie; i tym sposobem ułatwi mu wystąpienie z utworem poważnych rozmiarów, o którym pisma publiczne już przed dwoma laty wzmiankowały.

Utworem tym, już przygotowanym do druku, jest „System zamiany głosek“ (około 40 arkuszy druku w wielkiej 8-ce).

Ponieważ autor pozwolił nam zapoznać się z tym olbrzymim owocem poszukiwań swoich, przed ogłoszeniem go drukiem, przeto podajemy tu ogólne zarysy „Systemu zamiany głosek.“ Dzieło to zostaje w organicznej ciągłości z zasadą postawioną w „Prawach budowy zgłoszek“ (o tém dziele mówiliśmy wyżej). Autor udowadnia tu ostatecznie żywotne znaczenie zgłoski i prawo, wskazane poprzednio, przeprowadza na wielką skalę przez grupy szczegółowych przetworów zgłoski, tak w mowie ludzkiej, w ogóle, jak i w polskiej. Liczbę kategorii zamian w języku naszym p. Sławiński doprowadził do 1,600, zaznaczając wszakże, że i ta nawet liczba wszystkich nie wyczerpuje. Tak więc czytelnik, idąc za śladem badacza, mimowolnie uchyli czoło przed imponującą siłą i bogactwem dźwiękowych kombinacji języka. Za podstawę grupowania autor bierze nie *litere*, lecz *zgłoskę*. Dla unaocznienia zamian, dołącza do dzieła 17 figur geometrycznych, tworzących niejako kompas, ułatwiający ogarnięcie ogromu. Pamięć więc wyręcza się tu rozumowaniem.

Tak np. spółgłoska *k* (mocna), ma odpowiednią sobie (słabą) *g* (ręka, noga), jeżeli więc *k* zamienia się na *e* (ręka, ręce), któremu odpowiada *dz*, tedy *g* powinno przechodzić w *dz* (noga, nodze). Następnie skoro mocnej spółgłosce *t*, odpowiada słaba *d*, (męt, pęd), mocnej *ć*, odpowiada słaba *dź*, (pięc, piędź), przytém *t* zamienia się na *ć* (kręt, kręć), więc *d* powinno przechodzić w *dź* (swąd, swędzi). Dalej, skoro *ć* zamienia się na *e*, a *dź* na *dz*, więc *t* i *k* powinny się jedna w drugą zamieniać. W ten sposób autor przechodzi kolejno wszystkie głoski, używane w języku polskim, łącząc je w jeden system dziwnej odpowiedzialności.

Szczególne zamiany głosek opracowane są kategorycznie zakresami pokrewnych wyrazów i rodzinami pierwiastków.

Drugą z prac, już gotowych do druku, jest: „Budowa zdania pojedynczego“ (około 100 stronnic w 8-ce).

Tu p. Sławiński sprowadza wszelkie postacie zdania prostego do jednego zdania zasadniczego, w którym orzeczenie zawsze jest słowem i łączy się z podmiotem na mocy „rozumu osoby mówiącej lub piszącej.“ Rozum dobięra orzeczenie z zakresu przedmiotu, zdanie zasadnicze rozwija się stopniowo aż do wykształconego; w zdaniu prostém objęta jest cała składnia zgody, szyku i rzędu.

Ponieważ składnia pociąga już mowoznawstwo w zakres logiki, przedstawiamy pod rozwagę naszego badacza następujące zapytanie, które mimo swojej ważności i ściśle naukowej natury, dałoby się jednak rozstrzygnąć i na gruncie gramatycznym. Czyli to, co uważamy zwykle za składnią rzędu, t. j. czyli nazwa *zależność wyrazów* od wyrazów, ma być pojmowaną dosłownie? Co do nas, domniemywamy się, że w pojęciowych stosunkach pomiędzy wyrazami nie zachodzi nic takiego, coby nazwę zależności, w ścisłym rozumieniu, usprawiedliwiać



mogło, i że tym sposobem wszystkie związki pomiędzy wyrazami, jako częściami zdania, sprowadzonemi być mogą wyłącznie do składni zgody. Ramy niniejszego sprawozdania pozwalają nam podać ten wniosek zaledwie w postaci aforyzmu, ale stanowczo przy niej obstawać będziemy. Główne bowiem pole tak zwanęj składni przy niej stanowią w naszym języku przypadki. Przypuszczać więc, że forma imienia t. j. jego przypadku, zależy od innego wyrazu (od słowa, przyimka i t. p.), jest to przypuszczać, że forma ta wyrabiała się pod wpływem już doskonałej i dojrzałej składni, co wszakże głębszej krytyki logicznej nie wytrzyma. Wprawdzie przypuszczalnem jest, że najpierwotniejszy kształt językowy był już zdaniem (a w żadnym razie częścią mowy), czy to w kształcie imienia, czy w kształcie czasownika; ale i to zdaje się niewątpliwem, że pierwotna składnia polegała na mechanicznem zestawianiu pojęć (wyrazów), a orzeczenie ich zgodności stanowił frazes, czyli zdanie. Otóż zdanie i dziś niczem innem nie jest, jak zestawieniem pojęć (wyrazów, części mowy), ale już nie mechanicznem, w tém cała różnica. Ścisłszy dzisiaj związek pomiędzy częściami zdania, np. słowem a jego przedmiotem, zależy na tém, że co się zawiera w pojęciu słowa, to samo wyraża i rzeczownik; jeżeli np. słowo wyraża ruch, spoczynek, dążenie, i t. p., tedy i zestawiony z nim rzeczownik wyrażać musi po swojemu pojęcie ruchu, spoczynku i t. d. Zgoła, pomiędzy wyrazami nie ma zależności, lecz jedynie odpowiedniość, zgoda pojęciowa, *harmonia prestabilita*.

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć o nagromadzonych przez p. Sławińskiego materiałach do rozmaitych gałęzi słownika polskiego, a szczególnie słownika pierwiastków. Tu przedewszystkiem pragnęlibyśmy zachęcić go do niesłychanej ogłędności, a mianowicie życzymy badaczowi, aby z jednej strony nie dał się złudzić przypadkowem, chociaż niekiedy wielkiem z zewnątrz podobieństwem pierwiastku polskiego do obcego, a ztąd nie śpieszył się z wnioskiem o pochodzeniu jednego od drugiego; z drugiej zaś strony radzimy, aby rażąca napozór różnica, ale przewidziana i uprawniona względami fonetycznemi nie odstraszała go od uznania tożsamości dwóch pierwiastków. W ogóle pochopniejszym być należy w przyjmowaniu wspólności pierwiastków (np. polskich i niemieckich), aniżeli pochodzenia jednego od drugiego. Pospolici germanizatorowie źródłosłowu polskiego doszliby do straszliwego odczarowania, gdyby sięgnąć raczyli do starożytnego pokładu mowy angielskiej i zobaczyli ile tam jest pierwiastków wspólnych mowie polskiej i anglo-saksońskiej, których w późniejszym języku Germanów ani śladu nie zostało.

Z powodu poruszonej kwestyi słownikarstwa nie możemy pominąć szczegółu wysokiej ważności. W skład jednego z trzech słowników, rozbieranych przez p. Sławińskiego weszły, jak wiadomo, masami terminy filozoficzne, wytworzone przez wiekopomnego ziomka myśliciela. Wyrazy te, uwieńczające zwykle głębokie rozumowania mędrca, malują dokonany proces energicznie, a niektóre z nich przytém nader mile

wpadają w ucho. Ale z tém wszystkiém, są to brzmienia doraźne, mające jedynie wagę miejscową, nie powinny więc były wchodzić do *słownika*; rzeczą słownika jest nie *fient*, lecz fakt; nie to, co się dopiero *staje*, lecz co się stało.

Tyle z powodu prac p. Sławińskiego. Niniejsze uwagi i wnioski, podane w dobrej wierze, w zamiłowaniu prawdy naukowej, nawet w razie okazania się jednostronnými lub zgoła bezzasadnymi, nie powinny chybić głównego celu, t. j. dowiedzenia p. Sławińskiemu, że poszanowanie ku przedmiotowi, uznanemu za najgodniejszy uprawy, sływa tém samym i na gorliwych jego uprawiaczy.

F. Jezierski.

---

*Rys historii literatury niemieckiej do połowy XVIII wieku.*  
Zebrał Antoni J. Szabrański. Warszawa 1876. Nakładem  
księgarni Gebethnera i Wolffa.

Dzieło p. Szabrańskiego napisane przed trzydziestu laty, ukazuje się dziś przerobione i poprawione, z wcieleniem ustępów opuszczonych lub usuniętych poprzednio. Sama doniosłość zadania, obowiązuje recenzenta do czegoś więcej, jak do prostej wzmianki bibliograficznej. Autor bowiem rozpoczynając dzieje piśmienniczej kultury germańskiej, od *względego* jej początku, to jest od Ulfilasa, zamierzył ogarnąć ją tym sposobem na przestrzeni XIV-tu wieków. Ogromne to pasmo stuleci, pomimo pewnej niezaprzeczonej ciągłości, nie przedstawia jednak takich wydatnych cyklów, któreby w imię ogólnej zasady wzrostu ugrupować można. Nie można również powiedzieć, aby owo z górą tysiącolecie miało dawać obraz jakiejś kolejnej fluktuacji. Przeciwnie, po chaosie, jak zwykliśmy nazywać wszelkie wieki pierwotne, po mroku przeszłości, zwaney gocką, i przedświcie czasu Karolingów, Sasów i Franków, przedstawiającym jeszcze ciemny ferment na tle religijnym; przechodzimy odrazu do wielkiej jasności. Po nad zupełnym prawie nicestwem, nagle wznosi się zdumiewająca liryka, w Walterze Vogelweide, powieść poetycka w Eszenbachu i t. p., a wreszcie prawdziwa Iliada wieku XIII-go: Nibelungi. A potem?... omdlenie i zastój przeciągły. Takich gorączkowych przesileń nie miała ani Grecya i Rzym w starożytności, ani Włochy i Zachód w wiekach nowożytnych. Autor nasz nie zraza się takimi znamionami historii literatury niemieckiej i wszystkie jej stulecia prowadzi pod jednym prawie wymiarem.

Szło mu widocznie przedewszystkiém o okrągłą całość czasową. Poczynając, jak powiedzieliśmy od Biblii, przekładu pisma o Narodzeniu Chrystusa (z hiszpańskiego), p. Szabrański prowadzi nas przez okres Hohensztaufów, to jest wiek złoty i rycerstwa, cykl ś. Graala

i legend o Karolu Wielkim, a następnie rozwija z równą rozciągłością wiek XIV i XV, to jest dobę zachwiania się wielkości politycznej i piękna w sztuce; dobę, w której dźwignęło się wprawdzie życie duchowe, ale poezya zasiadłszy na warsztatach, utraciła namaszczenie. Perły epopei i liryki XIII wieku zastąpiono miarami, rytмами, *tabulaturą*, *tonem łączowym* (termina ówczesnej poetyki) i t. p. Następuje epoka religijnych wstrząśnień, przesadzenia sztuki z fantazyi i serca w dziedzinę myśli; wpływy francuzkie i holenderskie, makaronizm ducha i kształtów, nieskończenie niższy od naszego w tém, że u nas nadarzały się przynajmniej iskierki w popiele. Szczerze więc żałujemy, że p. Szabrański mozolnej wędrówki po tém drugiem, jałowém polu dydaktyzmu i satyry, nie osłodził sobie wejrzeniem na drugą połowę wieku XVIII. Czytelnik przypomniałby sobie o Zygfrydzie, germańskim Janie z Czarnolesia—o Walterze. Ale zadania autorom, czytelnik narzucać nie ma prawa.

Każdą z głównych epok p. Szabrański charakteryzuje na wstępie, zjawiska piśmiennicze podstawia pod światło dziejów i kultury powszechnej. Podaje wyjątki własnego przekładu, wraz z tekstem niemieckim. I ta materyałowa strona podnosi wysoko pożyteczność dzieła p. Szabrańskiego.

Streszczenie książki, w której naczelnym interesem stanowią fakta, jest tu niepodobnym; przeto podniesiemy tylko wydatniejsze fakta tam, gdzie co do sposobu ich oceny przez autora, lub co do stopnia ich ważności, mimowolnie nasuwały się uwagi. Szczególniejszy zaś nacisk położymy tu na wiek złoty.

Mówiąc o Ulfilasie, który, jak wiemy, w miejsce runicznego zaczął używać pisma gockiego, pożądaném byłoby przytoczenie, w kilku przynajmniej wyrazach, tekstu, gdzie czytelnik z podziwem spotkałby się z dźwiękiem *hlaib* (chleb), z pełnemi końcówkami; *in himinam* (=w niebie), z wolną jeszcze od sztywności składnią. Pomiędzy zabytkami IX wieku autor nie uznał za ważny ułomku z „Muspilli” (o sądzie ostatecznym) wiersza alliterowanego, nadzwyczaj charakteryzującego ówczesne wyobrażenia (Muspilli, jest to ogień, który ma zniszczyć świat przed sądem ostatecznym i mówiąc słowami zabytku „zatrzeć granice krajów, o które dziś brat przelewa krew brata.”) Muspilli pomiędzy innemi opisuje walkę Eliasza z Antychrystem.

Co do Waltera Vogelweide, uznajemy w zasadzie podaną przez p. Szabrańskiego charakterystykę, ale nie możemy powiedzieć za autorem, aby „placziwe żale miały nie zgadzać się z sercem tego poety” (str. 15). Przeciwnie w duszy Vogelweide'a jest miejsce i na łzę, na łzę serdeczną; a nawet powiedziałbym jest on wyższym właśnie w tych chwilach, kiedy przystraja pieśń na nutę minorową. Ów marzący Walter, który z takim wdziękiem rycerstwa występuje na scenie *Złotej Legendy*, rzewny, utyskujący nad opuszczonym zamkiem jej głównego bohatera, Walter zawsze mi przypominał lutnię Kochanowskiego. Na dowód, że Vogelweide unie chwilami potraćać o małą tercją, do-



syć będzie wspomnieć prześliczny wiersz, którego tu w całości podać nie możemy „Coraz to smutniej:”

(„O we! war sint verswunden allin minju jar”)  
 Dokąd zeszyły, niestety, wszystkie moje lata?  
 Czym śnił tylko, że żyję? czy żyłem wśród świata?  
 Świat, w który nibym patrzył, miał-że byt i ciało?  
 Nie! w śniem brodził, bezwiedny, co oko widziało.  
 Oto budzę się—nowa, dziwna tajemnica;  
 Com ja widział? wiem tyle, co moja prawica.  
 Kraj, ludzie, których dziećmi znałem, dziś po scenie  
 Życia mkną przed oczyma, jak nocne marzenie.  
 Zgnusniała, postarzała młodź ubiegłych czasów.  
 Gaj zaorano, wyległ pokotem mrok lasów;  
 Gdyby nie strumień, dawny znajomy wśród pola,  
 Pomyślałbym, że ciężka dotknęła mię dola.  
 Waha się z powitaniem ten i ów—mój Boże,  
 Jakież to mgły złowróbne w okół na przestworze.  
 A przeszłość? dni rozkoszy, czystej nie pojętej?  
 Znikły, jak kamień w morskie rzucony odmęty.  
 Coraz to smutniej.“

Cykl burgundzki skreślonym został przez autora w liniach wydanych, treść wyłożona obszernie z dodaniem obszernych, dobrze przetłumaczonych ustępów. — Nibelungi zasługują na to, aby ich nie zbywać ogólnikami. W streszczeniu jednak pasma wypadków, od chwili zabicia Zygryda na łowach (przez Hageną), zdaniem naszym nie należało opuszczać jednego z ważnych ogniw pośrednich. Otóż epos mówi, że zabójca Zygryda, Hagen, rozkazał ukradkiem złożyć trupa przy drzwiach, aby go tam zoczyła Krymhilda, skoro przechodzić będzie *przededniem na jutrznią*, którą pobożna królowa rzadko kiedy opuszczała. „Zadzwoniono w minster podług zwyczaju, arcy-piękna Krymhilda zbudziła służebne, światło podać im kazała i szaty swoje. Przechodził tedy szambelan i spostrzegł Zygryda zbroczonego krwią, cała odzież jego mokrą była. Ale że to jest pan jego, nie wiedział; i ze świecą w ręku poszedł do komnaty (woryginale kemenaten). Smutną wieść usłyszała od niego Krymhilda.

Skoro iść chciała do kościoła ze służebnemi, szambelan mówi do niej:

— Pani zatrzymaj się—przed pałacem leży rycerz zabity.

— Ach!—zawołała—jakież ty mi wieści mówisz?

Zanim naocznie poznała, że to jest mąż, zaczęła wspominać sobie owe pytanie Hageny: „gdzie on go ma ocalić.” Wtedy to uczuła boleść, a wszystka radość odbiegła ze śmiercią męża.” (Zygryd kiedyś namięcił się cały krwią smoka, w skutek czego jego ciało stało się rogowem; całe, wyjąwszy jeden punkcik, na którym przylepił się listek. Krymhilda miejsce to naznaczyła krzyżykiem wszytym w jego suknie, bo

o to ją prosił Hagen, pod pozorem że będzie czuwał nad zasłonięciem tego miejsca na ciele Zygryda od ciosów).

Co do tekstu niemieckiego, ponawiamy i tu myśl naszą poprzednią, że właściwiej i pożyteczniej byłoby przytaczać tekst źródłowy, skoro autor uznał (i słusznie) za stosowne, w pieśni np. o arcybiskupie kolońskim Anno, podawać w odsyłaczu wiersz staro-niemiecki. Mają wprawdzie Niemcy piękne przekłady Nibelungów, a na ich czele: Simrocka; ale te przekłady w rysie dziejów piśmiennictwa nie więcej obchodzą nas, jak tłumaczenia łacińskie Homera albo Scholie. Radzi też byłibyśmy ustyszeć wzmiankę o najpiękniejszej karcie w Nibelungach, a mianowicie, o margrabim Rydegerze i jego śmierci (Aventiur, wie der marcgrave Ruedeger erslagen wart). Poezya świata zaledwie wskazać jest w stanie drugi obraz tak wysokości, tak straszliwej tragiczności. Nic wznioślejszego nad rozmowę Krymhildy z margrabią, który niegdyś przysiągł władczyni nicograniczną wierność i ofiarę, a dziś mścicielka męża, powołując się na przysięgę, żąda od niego, aby mordercom Zygryda, zaproszonym do siebie, sam, pod najświętszym nietykalnym sztandarem gościnności, zgotował krwawą ucztę. „Prawda—mówi Rydegier—przysiągłem ci dostojna pani, przynieść w ofierze cześć moję i ciało, ale zagubić moję duszę? o! na to nie przysiągłem; wszak ci wysocy książęta zaproszeni są przezemnie na ucztę” i t. p.

Okres koła rycerskiego i świętego Graala autor charakteryzuje trafnie. Nieśmiertelne typy Merlina, czarnoksiężnika, Artura, Parcywala, Lohengryna, żyją dotąd, lub zmartwychwstają, to w poezyi, to w muzyce. (Najcudniejszym feniksem z popiołów okrągłego stołu są Idylle o królowej *Tennysona*). Wolelibyśmy, aby zamiast wyjątków z poezyi dydaktycznej, to jest z prozy wierszowanej, p. Szabrański pokazał nam wzorki talentu prawdziwie kapłańskiej poezyi: Wólframa, Eszenbacha, a mianowicie z jego Parcywala.

Czytelnik, jesteście tego pewni, chętniejby się zgodził na słuchanie rozmowy Parcywala z matką, aniżeli etycznych przestróg Winsbekowej.

Z upadkiem domu szwabskiego rozpoczyna się upadek poezyi. Oprócz przyczyn politycznych, autor tłumaczy ten upadek zwrotem rozumowym, jaki począł się mieszać do poezyi. Uwaga to nie bezzasadna, należy jednak tę nową sprężynę podnieść w większej rozciągłości, a przedewszystkiém wskazać jej źródło dziejowe. Źródeł zwrotu rozumowego szukać należy w walce cesarzów ze stolicą apostolską. W walce tej obie strony popadły w wysilenie. Rycerstwo odarte z najistotniejszej dźwigni swojego ducha, z natchnienia religijnego, straciło przyrodzoną podstawę bytu; a z rozkładu jego wytworzyło się prawo pięściowe. Pomieniony antagonizm z polityki przeniknął i w dziedzinę sztuki. Analiza w daniej sferze świadczy już, jak wiemy, o zachwianiu się tej sfery. Zastanawiać się nad przedmiotami natchnienia, znać było to samo, co zaprzeczyć sobie ich prawowitości. Jeżeli wiersz

p. n. *Rozum Freidanka* (Freidank's Bescheidenheit), jak sądzi Grimm, ma wyobrażać Waltera Vogelweide, a ten żył jeszcze w r. 1227; tedy w wieku XIII mielibyśmy już zadatki protestacyi przeciw Rzymowi, ze wszystkimi towarzyszącymi jej znamionami. „S-ty Piotr, mówi on, był dobrym rycerzem, i dlatego Bóg powierzył mu pieczę nad owcami, ale powierzył mu je nie na strzyżenie; teraz zaś myślą jedynie o strzyżeniu.”

Były to przegrywki zapowiadające przesilenie w kierunku rozumowym, ale zarazem i upadek dawnych pierwiastków poezyi w wyższej warstwie społeczności i ich schronienie się pod strzechę ludową. Tam zaś na miejsce pieśni rycerskich, ukazują się pieśni wojenne. W ustępie o pieśniach ludowych (str. 85—99) autor wypowiada głębokie swoje współczucie do tych kwiatów dzikorosłych, ale wzorki tego typu przez p. Szabrańskiego nie dość szczęśliwie wybrane i chyba tylko dlatego, aby dowieść, że prototypu *naszych* pijackich *Jasieńków* tam szukać należy.

Zatrzymaliśmy się dłużej na epoce wstępnej dlatego najprzód, że ona jest wybitniejszą pod względem cech rodzajowych, a następnie dlatego, że w niej właśnie tkwiły pierwiastki poetyczne ducha dalekiej przyszłości. Ow prawdziwie idealny pokład nakrytym został grubą warstwą wysileni stronnicych, które w ostatecznym rezultacie przygłuszyły poezyą, nie wytwarzając prozy; a usadowiły łacinę. Reformator nie tylko polemizował i uczył, lecz śpiewał za wszystkich. Nad Hansem Sachsem autor, zdaniem naszym, zbyt obszernie się rozwodzi i zgodzić się nie możemy z p. Szabrańskim na to, aby farsy zapustowe dowodziły pełni twórczego ducha w rymotwórcy Hansie, który, jak wiadomo, każdy prawie poemat kończył ulubioną zwrotką: „tego chce Hans, to mówi Hans i t. p.” Podobnież zawiele czasu i miejsca poświęca p. Szabrański straszliwej rozmiarami *Epopei* Rollenhagena „Przygody żab i myszy,” którą szanowny rektor magdeburski postanowił sobie napisać jedynie dlatego, że Homer napisał batrachomijomachią. Gdyby nie 300 wierszy greckich, nie mielibyśmy 10,000 wierszy najnudniejszej w świecie kompozycyi. Z samego zacięcia w przekładzie p. Szabrańskiego widać, że sam nie dokonywał go bez zadania sobie przymusu. Tak zwaną *poezyą dramatyczną*, odpowiednio do ogólnych rozmiarów pisma p. Szabrańskiego należało dać szersze granice. Gdyby nawet w dziedzinie sztuki *niesmak* był gatunkiem smaku, i w takim razie podawanie rozległe jego wzorów nie odpowiadałoby celowi. Wszak nie my, ale ziomek Hansa Sachsa, mówi o nim: „napisał on 208 dzieł scenicznych, ale na *szczęście* nie wszystkie ogłoszono drukiem” <sup>1)</sup>. Niektóre z ówczesnych utworów składały się z kilkunastu (jeden nawet z 19!) aktów. Do jednej z ewangelicznych tragi-komedyi wchodzi dwieście kilkadziesiąt osób!

<sup>1)</sup> Fryderyk Rösselt.



W rozdziale V autor opisuje ważne zwroty umysłowe, oraz ujemne warunki XVII wieku. Jest to okres wielkich klęsk i poważnych usiłowań, wojny i klassycyzmu, wpływu francuzkiego i holenderskiego. Co do wpływu francuzkiego, któremu autor przypisuje opóźnienie wzrostu piśmiennictwa, zrobilibyśmy pewną uwagę. Ponieważ był to wpływ, nie narzucony, nie wymuszony siłą zewnętrzną, przeto z góry potępiać go nie należy. Zewnętrzny nawet pogląd na doby rozwoju języka Germanów, porównanie np. okresu burgundzkiego z wiekiem XV lub XVI pokazuje, że ten instynktem przyrodzonym, zmierzał do wywikłania się z pierwotnej gockiej okrągłości form; tak samo jak i nasz język z pierwotnego ukształtowania słowiańskiego. Otóż wpływ mowy francuzkiej był niejako uprawnieniem tego kierunku i przyłożył się ostatecznie do jego ustalenia. Oto filologiczna strona kwestyi. Co do samej treści piśmiennictwa, wpływ francuzki również nie był bezowocnym.

Wprawdzie Leibnic pisząc po francuzku, *osobiście* nie przyspieszył rozwoju języka narodowego; ale za to urabiając myśl naukową w języku z natury swojej nadającym przezroczystość najgłębszym subtelnościom, pobudził umysły mędrców do rozejrzenia się we własnej mowie. Pisać dzieła wyższego tonu w mowie obcej, jest to poniekąd dawać przestrożę ziomkom, aby mowę ojczystą starali się postawić w stanie uruchomienia sił swoich. Tego dokonał Leibnic, tego dokonało u nas w swoim czasie piśmiennictwo łacińskie i w szczerotę purystów niemieckich, w tym względzie, niezupełnie wierzyć należy. Wszak pamiętamy czasy, kiedy Niemcy czytali Nibuhra w przekładzie francuzkim, a dzisiejsze nawet repertoary niemieckie są tu najlepszym komentarzem.

Znaczną część rozdziału p. Szabrański poświęca Opitzowi, duszy nie ognistej wprawdzie, ale umiejaczej ją zastąpić literacką odwagą cywilną. Opitz silnie powstawał przeciwko używaniu wyrazów obcych: łacińskich, hiszpańskich, francuzkich i włoskich, nazywając to szaleństwem. Następnie mamy podaną grupę wytworzoną przez Opitza; w ostatnim zaś rozdziale: grupę uboczną, drugą szkołę szlązką, szkołę moderantów i krytykę, której utwórcą był także Opitz. W końcu autor przytacza wyjątek z Judasza-Szelmy (przez Abrahama), jak gdyby na ujemny dowód naszego zdania, że w obrazie piśmiennictw obcych, tylko kwiaty i ziarna uwadatniać należy, a co do utworów miernoty przestawać na treściwój wzmiance.

Ogólnie streszczając nasze wrażenia, uznajemy pożyteczność dzieła p. Szabrańskiego. Poda ono czytelnikowi poważny zapas wiadomości faktycznych i pewne zarysy ducha epok opowiedzianych. Wykład jest jasny, tłumaczenie wyjątków powiększej części wierne, w wielu miejscach energiczne. Ocena, szczególnież utworów natchnienia, sprawiedliwa, oparta na powagach. Żałujemy tylko, że autor nie podał nam na wstępie ogólnego planu, w sposób plastycznie wpadający w oczy, a tym sposobem złożył na czytelnika mozolną pracę nasnuwania głównych nitki ciągłości dziejowej.

J.



ALEKSANDER Z PLESZOWIC  
MR. FREDRO

*był kapitan wojsk pol. i franc., kawaler wielkiego krzyża orderu Franciszka-Józefa, pol. krz. „Dirtuti militari”, Legii honorowej i medalu ś. Heleny, b. dep. wydz. stanów i poseł na sejm krajowy, czł. b. Tow. Warsz. Prż. N., Ak. Um. w Krak., Paryżkiego Tow. hist.-lit., hon. ob. m. Lwowa i t. d. po długich i ciężkich cierpieniach, opatrzony ŚŚ. Sakramentami, usnął w Panu d. 15 lipca r. b. o godz. 6-jej rano w 84 roku życia swego.*

W żalu pogrążeni: żona, dzieci i wnuki, zapraszają krewnych, przyjaciół i pobożnych chrześcian na obrzęd pogrzebowy, który się odbędzie we Wtorek d. 18 lipca r. b. o godzinie 10 zrana, z domu pod l. 7, przy ulicy Fredry do kościoła parafialnego ś. Mikołaja, zkaąd po odprawioném nabożeństwie, zwłoki odprowadzone zostaną do rogatki Gródeckiej i przewiezione do Rudek, gdzie we Środę d. 19 lipca r. b. o godzinie 11 zrana złożone zostaną w gróbach rodzimnych.

Lwów, dnia 15 lipca 1876 r.

Taką kartę pogrzebową, otrzymawszy redakcyja naszego pisma, z rzewném a bolesném uczuciem głębokiego smutku dosłownie podaje.

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### WARSZAWA.

*Warszawa, lipiec 1876 r.* — W zeszytcie pisma naszego na czerwiec r. b. wspomnieliśmy o obchodzie jubileuszowym pięćdziesięcioletniej pracy na polu literatury krajowej K. Wł. Wójcickiego, który odbył się uroczystie i poważnie w sali *Resursy Obywatelskiej*, d. 15 maja r. b. Gdy pisma tygodniowe jak *Kłosa*, *Tygodnik Mód* i *Bluszcz* oraz pisma codzienne, podały szczegóły o pomienionym obchodzie, porzeczaliśmy na przytoczeniu dosłowném odezwy Akademii Umiejętności w Krakowie, którą jubilat zaszczycony został, a która jak i poniżej podane tu wiadomości nie były w pomienionych pismach pomieszczone.

„Czcigodny panie!

„W d. 15 maja r. b. obchodzi świat naukowy i literacki warszawski uroczystość jubileuszową Twego pierwszego wystąpienia na widowię piśmieniczą. Pięćdziesiąt lat zawodu pisarskiego, spędzonego z rzetelnym pożytkiem dla wiedzy o rzeczach ojczystych, dla zachowania godnych pamięci tradycyi, dla uprawy języka, dla rozbudzenia i utrzymania ruchu naukowego, zapewnia Ci, Szanowny jubilate, wdzięczne uznanie wszędzie, gdzie sięga nasza mowa, nasz obyczaj i pamięć przeszłości. Wśród naszych stosunków literackich i naukowych wymagało skuteczne ich spożytkowanie, nie tylko spokojnej i wytrwałej pracy, ale i twardej z przeciwnościami walki.

„Jeżeli téż w poczuciu spędzonego z pożytkiem żywota, mógłbyś w dniu jubileuszowym porzecztać na rzewném rozpamiętywaniu przebytą drogą i obcowaniu duchowém z druhami tyloletnich zapasów: to pokolenie współczesne oddając Ci w tym dniu cześć należną, potrzebuje tego zbliżenia się do Ciebie z wyrazem wdzięczności i uznania, bo przez to stwierdza swój związek z świetną i pełną zasług epoką umysłowego działania, na której stanąć, której cnoty i dążenia naśladować powinno, a to właśnie w duchu dobrze zrozumianej krytyki naukowej, która sądząc przeszłość, liczy się z jej ceną pozostałością.

Instytucya nasza, której w udziale padło stać się jedném z ognisk pracy naukowej powszechniej, i krytycznego badania rzeczy swojskich, jako najpotężniejszego środka działania w społeczeństwie na podsta-wie świadomości o jego dziejach, umysłowym rozwoju i warunkach przez przyrodę danych, jak już raz miało sposobność dać wyraz uznania swego dla długoletniej pracy Twojej Szanowny jubilate, tak i dzisiaj łączy głos swój do serdecznych życzeń wszelkiego błogosławieństwa Bożego, które Ci składać będą najbliżsi prac i trudów Twoich uczestnicy i świadkowie. Przyjmij je w tém błógiem poczuciu wspólności, któ-



re łączyło i łączy pracowników na niwie umysłowego działania, najpewniejsze, a przeciw złej woli losów najlepiej zabezpieczone, owoce obiecującej.

W Krakowie d. 12 maja 1876 r.

Prezes akademii. *Dr. Józef Majer.*

Sekretarz generalny. *Dr. J. Szujski.*

*Rivista Internationale* pomieściła opis obchodu tego i obszerny życiorys K. Wł. Wójcickiego, a uczniowie Wszechnicy wrocławskiej nadesłali następujący adres:

„Czcigodny panie!

„Dzień 15 maja, w którym społeczność uznając pięćdziesięcioletnią pracę Twoją na niwie literatury ojczyźnej, uwieńczy skroń Twą dobrze zasłużonym wawrzynem, wkłada i na nas, niżej podpisaną młodzież polską wszechnicy tutejszej, święty obowiązek wyrażenia Ci głębokiej czci i wdzięczności, za nieocenione płody Twego pióra, którym wzbogaciłeś piśmiennictwo nasze.

„Pominawszy już „Historią literatury polskiej,“ która długie jeszcze lata służyć będzie młodzieży naszej miłującej rzeczy ojczyźnej za wyborny podręcznik, już sama dążność zbliżenia się do ludu i poznania starodawnych pieśni, podań i zwyczajów odległej starożytności słowiańskiej, właściwa Twoim dziełom, zasługuje na uznanie i żywą wdzięczność naszą, że wtenczas kiedy pole owych badań leżało odłogiem, miałeś odwagę wypowiedzieć wojnę przestarzałym przesądom i wskazać uczonym polskim drogę, która rychlej czy później na polu naukowym zbliży do siebie i zjednoczy wszystkie słowiańskie narody.

„Przyjmij zatem, Czcigodny Panie, wyraz prawdziwego uwielbienia wraz z życzeniem, abyś jak najdłuższe lata pracowita Twą ręką zasiliał piśmiennictwo narodowe.

Wrocław, w maju 1876,“ i na oddzielnej karcie 68 podpisów uczniów uniwersytetu wrocławskiego.

— Zgon Aleksandra hr. Fredry okrył żałobą całą naszą społeczność. Genialny ten pisarz pozostawił wiele komedyj w rękopiśmie, których, zrażony krytyką niedorzeczną a dotkliwą, drukować nie chciał, ale zastrzegając ich ogłoszenie po swoim zgonie. Z tych jedną ofiarował na własność Janowi Królikowskiemu, znakomitemu naszemu artyście dramatycznemu. Spodziewać się więc mamy prawo, że wszystkie utwory nieznanego dostojnego znakomitego poety, pozostały synowi a tak chlubnie znany jako komedyopisarz, z rękopismów wyda i na nowo rozbudzi rzewne wspomnienie, jednego z największych pisarzy naszego stulecia, który rozpoczynając zawód literacki przed K. Brodzińskim i Mickiewiczem, utrzymać się zdołał na wyniosłym stanowisku swoim do dni naszych.

— W przepysznym edycy, wydawnictwa Jana Noskowskiego, ukazała się księga *V Bajek La Fontaine'a* z rysunkami Gustawa Dore'go. Całe dzieło składać się będzie z ksiąg XII i księgi wstępnej prozą.

— Na półkach księgarzy naszych ukazała się dopiero znakomita rozprawa Augusta Cieszkowskiego: *O drogach Ducha*, wydana jeszcze w r. 1869 w Poznaniu. Wydrukowana pierwotnie w Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk poznańskiego, w oddzielnej ukazała się książce nakładem autora, i sprzedaje się na dochód szkoły rolniczej imienia Haliny. W literaturze dzieł filozoficznych, z ostatnich czasów praca ta niewątpliwie pierwsze miejsce zajmie.

— Nakładem Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie ukazała się pierwsza powieść z IX wieku, z ogólnego zbioru powieści historycznych J. I. Kraszewskiego: p. n. *Stara baśń*, a główną treścią jest wyniesienie *Piasta* na tron i walka z Niemcami. Są tu obrazy mistrzowskiem piórem skreślone, o których powiemy we właściwem miejscu obszerniej. Zbiór cały ma wynosić 65 tomów, i dostoyny autor przyjął ten warunek. Tomy następnych powieści historycznych już się drukują w Krakowie w drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

— Ruch niezwykły w prasie peryodycznej codzienniej ukazał się z początkiem lipca. Dwa nowe pisma powstały: *Antrak* gazeta teatralna wychodząca codziennie niewyłączając niedziel i świąt (wydawca Aleksander Niewiarowski, redaktor Jan Mieczkowski); i *Nowiny Niedzielne* tygodnik polityczny, literacki i społeczny (dodatek płatny do *Wiek*). Ostatniego pisma wydawcą i redaktorem jest Kazimierz Zalewski redaktor *Wiek*. *Gazeta Polska* znacznie powiększyła swoje rozmiary, a zaledwie wydrukowano prospekt na *Nowiny niedzielne*, wszystkie codzienne pisma ogłosiły wydawnictwo w niedzielę *Telegramów politycznych*. Tygodnik *Ognisko domowe* pod redakcją Jana Noskowskiego wychodzący, przeszedł na własność Adama Mieczyskiego, założyciela przed laty *Opiekuna domowego*.

— Nakładem i drukiem S. Lewentala (Warszawa 1876. w 8-ce str. 191). wyszedł *Spis rzeczy* zawartych w dwudziestu tomach czasopiśma ilustrowanego *Kłosa*, poczynając od 1 lipca 1865, do 1 lipca 1875 roku, ułożył Maksymilian Glücksberg. Za przykładem redakcyi *Biblioteki Warszawskiej*, która dała „Zestawienie przedmiotów w 136 tomach zawartych,“ tego pisma, ułożony przez Karola Estrejchera, wydawca *Kłosów* swój spis rzeczy ogłosił. Praca to pożądana dla każdego miłośnika i badacza literatury krajowej. Jako w piśmie ilustrowanem, właściwie dział obszerny obejmuje szereg artystów, którzy utworami swego ołówka pismo pomienione przyozdobili. Sam spis, ułożony systematycznie na przedmioty właściwe, ułatwia nie mało poszukiwania w tym ogromnym zbiorze. W końcu dodane są dwa spisy alfabetyczne tak autorów jak artystów, których prace w czasopiśmie pomieszczone zostały.

— Otrzymaliśmy list od p. Józefa S. Zielińskiego ze Skepego, z którego podajemy ustęp dotyczący Antoniego Malczeskiego. „Biblioteka Warszawska“ w zeszycie na czerwiec r. b. zawiera nader zajmujące szczegóły o Malczeskim, udzielone przez p. M. Modzelewskiego. Ze zaś ze wszystkich o autorze „Maryi“ te są rzeczywiste, czuję się

w obowiązku do takowych i swoje osobiste wspomnienia dorzucić. P. Modzelewski, niegdyś mój kolega szkolny na Żoliborzu, zajmował się naówczas, o ile pamiętam, skreśleniem: „literatury poezji polskiej.“ On też pierwszy, zaraz po ogłoszeniu „Maryi,“ dał mi poznać, ocenić i uwielbiać, czytając mi we własnym mieszkaniu przy ulicy Sto-Jerskiej najpiękniejsze ustępy tego świeżo ogłoszonego ślicznego poematu, oraz wiele szczegółów o Malczeskim, z którym żył w zażyłości, opowiadał mi, których treść teraz czytałem w „Bibliotece Warszawskiej.“ Od owego to czasu tak zamiłowałem tę powieść, że po jej wyczerpaniu w handlu księgarskim, własnym nakładem przedrukowałem ten poemat we Francji w mieście Agen. Przy tém wydaniu (lubo usterek trudnych zagranicą do uniknienia pełném) zamieściłem wzniankę, o której nikt dotąd nie wspominał, że pomiędzy nieogłoszonymi pismami Malczeskiego znajdował się poemat o Jeremim ksiądzęciu Wiśniowieckim ojcu króla Michała, o czém zkądinąd miałem pewną wiadomość. Bliżej zaś z samym Malczeskim poznałem się u wód mineralnych przy ogrodzie Krasińskich.“

— Księgarz F. Hösick ogłosił prospekt na: „*Dokładny słownik Polsko-Ruski i Rusko-Polski*, ułożony przez Piotra Dubrowskiego członka Cesarskiej Akademii Nauk;“ dwa wielkie tomy w 8-ce objętości stu arkuszy druku, które wyjdą w XII zeszytach we dwie szpalty drukowanych. Cena rs. 5 z przesyłką 7; prenumerata w drobniejszych rozplatach ułatwia nabycie tego dzieła.

— Na wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem, zwraca uwagę obraz znanego od lat wielu artysty Aleksandra Lessera przedstawiający: *Ostatnie chwile Kopernika*. Fotodruk z tego utworu jest podany w *Album Kopernikowém* ks. Polkowskiego.

Wiadomo jak długo genialny astronom wahał się ogłosić drukiem swój nowy system, i jedynie za namową i staraniem życzliwych mu przyjaciół dał się po temu nakłonić, ale na kilka dni przed swoim zgonem zobaczył dopiero pierwszy egzemplarz odbity.

Tę chwilę nasz artysta starał się uwydatnić.

Kopernik cierpiący siedzi na krześle, wspierany przez wiernego sługę, a w twarzach postaci otaczających go, widać ogólne współczucie. Dantyszek biskup warmiński, jeden z bliższych przyjaciół Kopernika, przypatruje się z zajęciem podanej księdze autorowi przez wydawcę i drukarza norymberskiego Jana Petrejusza. Obecni duchowni zajęci są modlitwą, drudzy zastanawiają się nad nowym systematem, a biędni i ubodzy, którzy licznych dobrodziejstw doznawali od Kopernika jako księdza i lekarza, cisną się przez korytarz do celi chorego.

Przez okno widać wieżę kościoła Frauenburskiego, przy którym astronom był kanonikiem. Stojący na progu, jest to młody Krakowianin lekarz Melchior Pirneziusz, który w kilkanaście lat po śmierci Kopernika swoim kosztem czcząc jego pamięć, umieścił tablicę pamiątko-



wą ozdobną w kościele toruńskim Ś-go Jana, z portretem astronoma, który za najdawniejszy z wizerunków Kopernika jest uważany.

— Wyszedł z druku VIII i IX zeszyt t. II Podręcznika dla sądów gminnych, wchodzących w skład nowego sądownictwa, którego otwarcie urzędowe nastąpiło w dniu 1 lipca v. s. r. b. w gmachu sądu okręgowego warszawskiego. Szczegóły tego aktu podały już pisma codzienne. Dotychczasowa więc organizacja zaprowadzona dekretem Napoleona I w 1808 roku, zmieniona w części w następnych latach, z dniem pomienionym ustała.

— Czytamy w *Kuryerze Warszawskim*: „W tych czasach w St-Petersburgu opuściły prasę dwie publikacye a mianowicie: *Tablica historyczna Polski od r. 860 do 1875 r.* na papierze klejowym białym, szerokości 3 a długości 2 arszynów, poświęcona ojczyźnie autora, z 45 portretami monarchów polskich od początku ich panowania do czasów obecnych i wizerunkami dwóch pomników w Warszawie: Kopernika astronoma i generała-feldmarszałka Paskiewicza, oraz herbami Cesarstwa i gubernii Królestwa Polskiego, w języku rosyjskim i polskim, i *Album historyczne*, formatu  $\frac{1}{2}$  arszyna szerokości, na  $\frac{1}{4}$  arszyna długości, w języku polskim i rosyjskim, druk w rubrykach wzduż, tekst obu języków obok, ułatwiający studia pobieżne, oraz naukę historii i języków obu narodów, które prawie jednocześnie rozpoczęły swój byt historyczny. Naród polski znanym jest ze swych prac na polu rozmaitych nauk i sztuk; kompozycye muzyczne polskie zdumiewają poetycznym nastrojem, świetnymi efektami, bogactwem motywów swojskich rozumnie i z talentem użytych. Utwory rzezzone uzyskały powszechne uznanie w świecie artystycznym. Uroczą swoboda ich, kunsztowne modulacye, ognistość i fantazyja cenione są powszechnie; w całym ukształconym świecie znani są kompozytorowie polscy i ich poważne kreacye, a z popularnych utworów zjednały sobie wszędzie obywatelstwo: polonezy, krakowiaki, mazury, polki, wiślanki (??) i t. d.

Cena publikacyi tablicy historycznej rs. 1 k. 50 i tyleż za album historyczne na papierze kolorowym. przyjemnej i ulubionej Polakom barwy. Zamówienia bezzwłocznie ekspeduje księgarnia Lisienkowa, St.-Petersburg, na Newskim Prospekcie, Gościenny Dwór Nr. 5 na pierwszym piętrze.“

— W ostatnim zeszycie na lipiec r. b. *Wiestnika Europy*, znajdujemy udatny przekład poematu Mickiewicza: *W Alpach* przez p. G. Nikolskiego.

— W Krakowie odbyło się pierwsze posiedzenie komisji konkursu dramatycznego na rok 1877.

Fundusz konkursu składa się na rok 1877: 1) z pozostałych z poprzedniego konkursu 600 złr., 2) z corocznie przeznaczonych na czas istnienia obecnej Dyrekcyi przez hr. Artura Potockiego 200 złr., 3) z przeznaczonych na rok 1877 przez dyrektora Koźmiana 100 złr.:

zatem, summa ogólna wynosi tak jak w z. r. 900 złr. Przewodniczący C. K. Koźmian.

Naznaczono następujące warunki konkursu dramatycznego Krakowskiego na rok 1877:

1. Nagrodę 600 złr., otrzyma najlepsza, zdaniem komisji, komedia, osnuta na tle współczesnym lub historycznym, zapełniającym cały wieczór; w 3-ch aktach.

2. Nagrodę 300 złr., otrzyma najlepsza, zdaniem komisji, sztuka ludowa, ze śpiewami lub bez śpiewów. Gdyby nagroda 600 złr. nie została przyznana, a komisja uznała to za potrzebne, podwyższy nagrodę o 100 złr. z pozostałego funduszu.

3. Komedye i sztuki ludowe, zalecone przez komisją do grania, otrzymują 10% tantiemy od czystego dochodu za każde przedstawienie, lecz mogą być grane tylko za zezwoleniem autora.

Utwory winny być nadsyłane pod adresem Dyrektora Teatru p. Koźmiana, w teatrze przed 1 stycznia 1877 r. Jednak do dnia 15 stycznia 1877 r., komisja przyjmować będzie nadsyłane utwory, lecz po tym ostatecznym terminie przyjmować ich nie będzie. Imię i nazwisko autora winny być dołączone w zapieczętowanej kopercie. Komisja rozpocznie swoje prace 1 stycznia 1877 r., a wyrok wydanym zostanie najpóźniej z końcem lutego 1877 r.

Skład komisji jest następujący: przewodniczący Dyrektor Koźmian, pp. Estreicher, Kłobukowski, Podwyszyński (reżyser), Edward hr. Raczyński, Lucyan Siemieński, Maryan Sokołowski, Ignacy Skrochowski, Szukiewicz, Stanisław Tomkiewicz. Do komisji należą także ofiarodawcy: hr. Franciszek Żubieński, hr. Artur Potocki, hr. Jan Zamoyski, książę Marcei Czartoryski.

Zastrzeżenia, uczynione na poprzednich konkursach krakowskich co do sztuk drukowanych, granych lub odrzuconych przez komisją, obowiązują nadal.

Komisja uprasza o nadsyłanie czytelnych rękopisów.



Dnia 14 lipca r. b. we Lwowie umarł *Jan Tański*, dawniej redaktor „Kaliszanina, tłumacz utworów z literatury francuskiej, którego wyborny przekład z włoskiego komedii w jednym akcie z prologiem: *Partya szachów* J. Giacosa, *Kłosy* w tomie XXII r. b. podały. Przeniósłszy się do Lwowa na stałe mieszkanie, był jednym z dyrektorów teatru lwowskiego.

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger.*